ROBERT BRYNDZA
ZABÓJCZE
TAJEMNICE

ROBERT BRYNDZA

ZABÓJCZE TAJEMNICE

DETEKTYW ERIKA FOSTER

TOM VI

empik go

Copyright © by Robert Bryndza, 2018
First published in Great Britain in 2018 by Storyfire Ltd trading as Bookouture
Copyright for Polish translation © by Emilia Skowrońska, Łukasz Hajdrych
Copyright © by Virtualo, 2024

Redakcja: Jowita Kostrzewa
Korekta: Weronika Rychta / Book Flow
Skład ebooka: Elibri Sp. z o.o.
Projekt okładki: Małgorzata Drabina / Yellow Room

Tytuł oryginału: *Deadly Secrets (Detective Erika Foster #6)*

Wydanie I
Warszawa 2024
ISBN 9788327287274

Książka jest objęta ochroną prawa autorskiego. Wszelkie udostępnianie osobom trzecim, upowszechnianie i upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Virtualo Sp. z o.o.
ul. Marszałkowska 104/122
00-017 Warszawa
www.virtualo.pl

Chcesz wydać książkę lub audiobook?
Wejdź na virtualo.eu lub napisz do nas na adres: redakcja@virtualo.pl.

empik go

Znajdziesz nas na

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja
- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18
- Rozdział 19
- Rozdział 20
- Rozdział 21
- Rozdział 22
- Rozdział 23
- Rozdział 24
- Rozdział 25

Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60

Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Epilog
List od Roba
Podziękowania

Dla Riky'ego i Loli

Człowiek jest najmniej sobą, kiedy przemawia we własnym imieniu. Daj mu maskę, a wtedy powie ci prawdę.

Oscar Wilde

Rozdział 1

Było już późno w Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy Marissa Lewis wysiadła z pociągu na peronie w Brockley i poszła wraz z pijanym tłumem w kierunku kładki dla pieszych. Pierwsze płatki śniegu wirowały leniwie w powietrzu, a rozgrzani i pełni alkoholu ludzie chcieli tylko wrócić do domu i rozpocząć święta.

Marissa była piękną kobietą o kruczoczarnych włosach, fiołkowych oczach i figurze klepsydry. To przed takimi dziewczynami matki ostrzegają swoich synów. Wracała do domu z klubu w Londynie, gdzie występowała jako tancerka burleski, i miała na sobie długi czarny płaszcz vintage z wyszukanym futrzanym wykończeniem. Tego dnia zrobiła mocny makijaż, malując usta szkarłatną pomadką i przyklejając sztuczne rzęsy. Gdy dotarła do schodów prowadzących na kładkę, kilku młodych mężczyzn stojących przed nią odwróciło się, chciwie się w nią wpatrując. Popatrzyła tam, gdzie oni, czyli w dół swojego ciała, i zobaczyła, że dolna połowa jej długiego płaszcza rozpięła się, odsłaniając pończochy i podwiązki, które założyła na występ. Zatrzymała się, aby zapiąć duże mosiężne guziki, i wtedy wokół niej się gromadzić się tłum.

– Mam nadzieję, że to sztuczne futro – mruknął jakiś głos z tyłu.

Marissa spojrzała na kościstą młodą kobietę i jej równie kościstego chłopaka. Oboje mieli na sobie znoszone zimowe kurtki, a włosy kobiety były przetłuszczone.

– Tak, sztuczne – odparła Marissa i natychmiast zamaskowała swe kłamstwo olśniewającym uśmiechem.

– Moim zdaniem wygląda jak prawdziwe futro – upierała się młoda kobieta.

Jej przyjaciel stał z lekko otwartymi ustami i wpatrywał się w skrawki koronki i podwiązki, które nadal były widoczne, gdy Marissa kończyła poprawiać płaszcz.

– Frank! – warknęła kobieta, i zaczęła ciągnąć go po schodach.

Futro na płaszczu Marissy było prawdziwe. Kupiła go na wyprzedaży w sklepie z używaną odzieżą w Soho. Razem z torebką, która wisiała teraz na jej ramieniu.

Weszła po schodach i ruszyła przez kładkę. Tory kolejowe pod nią lśniły w świetle księżyca, a na dachach okolicznych budynków pojawiła się cienka warstwa śniegu. Gdy Marissa zbliżyła się do końca kładki, zauważyła, że dwaj młodzi mężczyźni odłączyli się od reszty i czekali na nią na szczycie schodów. Jej serce biło coraz szybciej.

– Czy mogę pani pomóc? – zapytał wyższy, oferując swoje ramię.

Przystojny mężczyzna miał rude włosy i gładką, rumianą twarz. Ubrany był w trzyczęściowy garnitur, długi brązowy płaszcz zimowy, a jego skórzane buty lśniły. Niższy był ubrany niemalże identycznie, ale też mniej przystojny.

– Poradzę sobie – odparła.

– Jest ślisko – zaczął się upierać i złapał ją pod rękę.

Blokowali teraz połowę schodów w dół.

Przez chwilę mu się przyglądała i doszła do wniosku, że może łatwiej będzie, jeśli przyjmie jego propozycję.

– Dziękuję – powiedziała i chwyciła dłoń mężczyzny.

Jego niższy kolega chciał zabrać od niej torebkę, ale pokręciła głową i się uśmiechnęła. Sól chrzęściła pod ich stopami, gdy schodzili, trzymając Marissę wciśniętą między sobą. Cuchnęli piwem i papierosami.

– Jest pani modelką? – zapytał wysoki.

– Nie.

– Co oznacza skrót M.L.? – zapytał jego niższy kolega, wskazując wyhaftowane na torebce litery.

– To moje inicjały.

– I? Jak się pani nazywa?

– Ja jestem Sid, a to jest Paul – powiedział ten wyższy.

Paul się uśmiechnął, odsłaniając duże żółte zęby. Dotarli na dół, Marissa im podziękowała i zabrała rękę.

– Ma pani ochotę na drinka?

– Dziękuję, ale wracam do domu – odparła.

Mężczyźni nadal blokowali połowę schodów, tłum przechodniów musiał się przeciskać między nimi. Stali tak przez chwilę, czekali, rozważali opcje.

– Och, proszę dać się namówić, są święta – zauważył Sid.

Marissa odsunęła się, żeby inni pasażerowie ją od nich oddzielili.

– A może panią podwieziemy? – dodał, przepychając się obok ludzi, by do niej dołączyć.

Paul podążył za nim i zepchnął z drogi młodego chłopaka. Jego paciorkowate oczy były zarówno przenikliwe, jak i zamglone.

– Nie. Naprawdę. Muszę wracać do domu, ale dziękuję. Wesołych Świąt.

– Na pewno? – spytał Paul.

– Tak, dziękuję.

– Możemy sobie zrobić z panią selfie? – zapytał Sid.

– Co?

– Po prostu chcemy sobie zrobić z panią zdjęcie. Lubimy ładne dziewczyny, a dzięki takim zdjęciom mamy na co patrzeć, gdy chłodnymi nocami leżymy samotni w naszych łóżkach.

Patrzyli na nią w taki sposób, że Marissa od razu pomyślała o wilkach. Głodnych wilkach. Podeszli do niej z obu stron i się pochylili. Poczuła dłoń na plecach, gdy Sid wyciągnął

iPhone'a i zrobił jedno selfie, a potem kolejne. Jego palce zaczęły zmierzać między jej pośladki.

– Świetnie – powiedziała i się odsunęła.

Pokazali jej zdjęcie. Miała na nim szeroko otwarte oczy, ale nie wyglądała na tak przerażoną, jak się czuła.

– Naprawdę jesteś seksowna – zauważył Sid. – Na pewno nie dasz się namówić na drinka?

– Mamy wódkę, Malibu, wino – wtrącił Paul.

Marissa zerknęła z powrotem na kładkę i zobaczyła, że wciąż jest na niej kilku pasażerów. Spojrzała na mężczyzn i zmusiła się do kolejnego uśmiechu.

– Przykro mi, panowie, ale nie dzisiaj.

Popatrzyła na znajdującą się nad nimi jedną z kamer monitoringu w plastikowej osłonie. Skierowali wzrok w to samo miejsce. Wydawało się, że w końcu zrozumieli sugestię, i ruszyli przed siebie.

– Co za uparta suka – usłyszała jeszcze głos Paula.

Nie odezwała się, tylko obserwowała, jak podchodzą do stojącego przy krawężniku samochodu, kiedy jednak się odwrócili, spojrzała gdzie indziej. Usłyszała śmiech, trzaśnięcie drzwiami, a następnie odgłos uruchamianego silnika.

Dopiero po ich odjeździe poczuła, że cały czas wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze i zobaczyła, że kilku ostatnich pasażerów schodzi na dół. Na samym szczycie stał wysoki, przystojny mężczyzna po pięćdziesiątce, a obok jego bardzo blada żona.

– Cholera – mruknęła pod nosem Marissa.

Szybko podeszła do rzędu samoobsługowych automatów biletowych i zaczęła wpatrywać się w jeden z ekranów.

– Marisso! Widzę cię! – powiedział kobiecy głos, niepewny od alkoholu. – Widzę cię, dziwko!

Na schodach rozległ się stukot, gdy kobieta pospieszyła w jej kierunku.

– Jeanette! – krzyknął mężczyzna.

– Zostaw nas w spokoju – wrzasnęła kobieta i podbiegła do Marissy. Wyciągnęła długi palec, jego opuszek znalazł się centymetr od jej twarzy. – Trzymaj się od niego z daleka.

Miała przekrwione oczy, czerwoną i opuchniętą twarz, a szkarłatna szminka spłynęła w zmarszczki wokół ust.

– Jeanette! – syknął mężczyzna, dogonił ją i odciągnął.

Chociaż para była w tym samym wieku, on miał surową, ale przystojną twarz. Kolejne przypomnienie, że dla mężczyzn czas jest o wiele łaskawszy.

– Staram się nie wchodzić wam w drogę, ale mieszkamy na tej samej ulicy. Więc siłą rzeczy będziemy się spotykać – zauważyła Marissa i uroczo się uśmiechnęła.

– Jesteś zdzirą!

– Byłaś w pubie, Jeanette?

– Tak! – warknęła kobieta. – Z moim mężem.

– Wyglądasz na trzeźwego, Don. A ja myślałam, że bardziej ty będziesz potrzebował się napić.

Jeanette podniosła rękę, by uderzyć Marissę w twarz, ale Don ją złapał.

– Dość tego. Dlaczego nie potrafisz trzymać języka za zębami, Marisso? Przecież widzisz, że ona kiepsko się czuje – powiedział.

– Kurwa, nie mów o mnie w trzeciej osobie! – burknęła Jeanette.

– Chodź, idziemy – zarządził.

Zaczął ją prowadzić prawie jak inwalidkę.

– Pieprzona dziwka – mruknęła jeszcze na odchodnym Jeanette.

– Nikt nigdy nie zapłacił mi za seks! – krzyknęła za nią Marissa. – Zapytaj Dona!

Odwrócił się i zobaczyła jego smutną minę. Nie wiedziała, czy to z powodu żony alkoholiczki, czy sam z siebie był smutny. Pomógł Jeanette dojść do stojącego na ulicy samochodu i posadził ją na miejscu dla pasażera. Gdy odjechali, Marissa zamknęła oczy i zaczęła wspominać. Czasy, kiedy pukał do jej drzwi późno w nocy, gdy jej matka już spała, i gdy zakradali się do sypialni. Jego ciepłe ciało na jej skórze, kiedy się kochali…

Gdy ponownie otworzyła oczy, zobaczyła, że ostatni pasażerowie rozeszli się po okolicznych ulicach, a ona została sama. Śnieg zaczął już porządnie sypać, widać go było w łukach jasnych świateł wokół hali dworca. Marissa doszła do wyjścia ze stacji, i skręciła w prawo w Foxberry Road. W oknach domów świeciły choinki, a śnieg chrzęszczący pod jej stopami zakłócał ciszę.

Koniec drogi skręcał ostro w prawo i przechodził w Howson Road. Zawahała się. Panowała tam ciemność. Kilka ulicznych latarni zgasło i tylko dwie z nich oświetlały pięciusetmetrowy odcinek, wzdłuż którego, po obu stronach, ciągnęły się szeregowce. Planowała iść tędy razem z innymi osobami, które wysiadły z ostatniego pociągu. Zawsze tą trasą szło z nią co najmniej kilku pasażerów, przez co droga wydawała się bezpieczniejsza. Jednak Jeanette i ci dwaj dranie ze stacji wszystko zepsuli.

Marissa pośpiesznie mijała zacienione alejki i ciemne, puste okna, szła od oświetlonej plamy do oświetlonej plamy. Odetchnęła z ulgą, gdy z ciemności wyłoniła się Coniston Road, jasno oświetlona dzięki znajdującej się na jej końcu szkole. Kobieta skręciła w lewo i minęła plac zabaw, po czym przeszła przez ulicę do bramy wejściowej. Zaskrzypiała, gdy ją otworzyła. We wszystkich oknach było ciemno, w małym ogródku z przodu budynku panowała ciemność. Miała już przygotowane klucze i właśnie zamierzała otworzyć drzwi, gdy usłyszała za sobą ciche stuknięcie.

– Jeeezu, Beaker, ale mnie przestraszyłeś – powiedziała na widok smukłego, czarnego kota siedzącego na koszu obok bramy.

Wzięła go na ręce. – Chodź, jest za zimno, by kręcić się po dworze. – Beaker zamruczał i spojrzał na nią intensywnie zielonymi oczami. Wtuliła twarz w jego ciepłe futro. Przez chwilę godził się na pieszczoty, a potem zaczął się wiercić. – W porządku, ty mały gówniarzu. – Zeskoczył i uciekł przez żywopłot do ogrodu sąsiada.

Marissa właśnie miała włożyć klucz do zamka, gdy znajdująca się za nią brama skrzypnęła. Kobieta zamarła. Usłyszała chrzęst stóp na śniegu. Powoli się odwróciła.

Za nią stała postać w długim czarnym trenczu. Jej twarz była ukryta za maską przeciwgazową ze szczelnie okrywającym czaszkę kapturem z błyszczącej czarnej skóry. Dwa duże, szklane, okrągłe otwory na oczy wpatrywały się w nią pustym wzrokiem, a zbiornik lub przyrząd do oddychania wydłużał twarz tak, że wisiała tuż nad klatką piersiową. Postać miała na rękach czarne rękawiczki, a w lewej dłoni trzymała długi, cienki nóż.

Marissa próbowała włożyć klucz do zamka, ale ten ktoś rzucił się na nią, złapał ją za ramię i przycisnął plecami do drzwi wejściowych. Błysnęło coś srebrnego, a krew trysnęła na szklane otwory na oczy w masce.

Torebka upadła na ziemię, a Marissa dotknęła szyi, i dopiero wtedy poczuła potworny ból płynący z głębokiej rany. Próbowała krzyczeć, ale wydała z siebie tylko bulgotanie, a jej usta wypełniły się krwią. Podniosła ręce, gdy napastnik się zachwiał i machnął nożem, przecinając jej dwa palce i materiał płaszcza na przedramionach. Nie była w stanie oddychać i łapała powietrze, bulgocząc i tryskając krwią. Postać chwyciła ją za tył głowy i pociągnęła wzdłuż ścieżki, uderzając jej twarzą w ceglany słupek bramy. Marissa poczuła nieznośny ból i usłyszała trzask łamanych kości.

Dyszała i wymiotowała, nie była już w stanie nabierać powietrza do zalanych krwią płuc. Była zupełnie obojętna, gdy ta dziwna postać z trudem usiłowała ciągnąć ją po ziemi, z dala od słupka bramy, na środek małego ogrodu. Postać zachwiała się i wyglądało

na to, że zaraz upadnie, ale utrzymała równowagę. Obiema rękoma przyłożyła nóż do gardła i szyi dziewczyny, tnąc je i dźgając. Gdy krew lała się na śnieg i życie opuszczało ciało, Marissie wydawało się, że rozpoznaje twarz za dużymi szklanymi otworami maski przeciwgazowej.

Rozdział 2

Budzik głównej inspektor Eriki Foster włączył się o siódmej rano. Spomiędzy kołder i koców wyłoniła się szczupła blada ręka i go wyłączyła. W sypialni panował mrok i chłód, światło ulicznych latarni przeświturwało przez cienkie jak papier żaluzje, które zamierzała wymienić, odkąd się tu wprowadziła, ale nigdy nie miała czasu spytać o to właściciela. Przetoczyła się na bok, ściągnęła z siebie kołdrę, po czym przeszła do łazienki, gdzie wzięła prysznic i umyła zęby.

Dopiero gdy się ubrała, schowała telefon, portfel i policyjną odznakę, przypomniała sobie, że jest Boże Narodzenie i została zaproszona na świąteczny lunch do domu komendanta Paula Marsha.

– Cholera – powiedziała i usiadła na łóżku. Przeczesała palcami swoje krótkie blond włosy. – Kuźwa.

Większość policjantów uznałaby zaproszenie do zjedzenia świątecznego obiadu z komendantem i jego rodziną za straszne i przerażające, ale Erika wiedziała, że jej relacje z Marshem są… skomplikowane.

Właśnie zakończyła pracę nad wstrząsającą sprawą dotyczącą młodej pary, która popełniła serię morderstw. W ramach swojej chorej gry uprowadzili dwie małe córki komendanta Marsha, a jego żona, Marcie, została zaatakowana podczas porwania. Rozpoczęło się prawdziwe polowanie. To dzięki Erice dziewczynki zostały uratowane, doszła więc do wniosku, że Marsh i Marcie zaprosili ją do siebie w ramach podziękowania, ale ona chciała po prostu iść dalej.

Erika wstała, otworzyła szafę i popatrzyła na wieszak z kilkoma ubraniami, z których prawie wszystkie były przeznaczone do pracy. Przejrzała schludnie powieszone czarne spodnie, swetry i białe bluzki i wygrzebała niebieską sukienkę bez rękawów. Odwróciła się do lustra nad toaletką i przyłożyła wieszak pod brodę. Miała metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, wyraźne, wysoko umieszczone kości policzkowe, duże zielone oczy i krótkie blond włosy, które sterczały teraz w mokrych kępkach.

– Jezu, ale jestem chuda – powiedziała do siebie, przykładając sukienkę do ciała w miejscach, w których kiedyś znajdowały się krągłości. Spojrzała na stojące na komodzie zdjęcie zmarłego męża, Marka. – Ktoś potrzebuje diety odchudzającej, co? Bycie wdową cudownie wyszczupla talię… – Ten czarny humor ją zszokował. – Przepraszam – dodała.

Mark również był policjantem. Erika, Marsh i Mark służyli razem, ale ponad dwa lata wcześniej Marka zabito podczas nalotu na gang narkotykowy. Zdjęcie Marka zostało zrobione w salonie domu w Manchesterze, w którym mieszkali przez piętnaście lat. Słońce wpadało przez okno i podświetlało jego ciemne włosy, tworząc złocistą aureolę. Miał przystojną twarz i ciepły, zaraźliwy uśmiech.

– Nie wiem, co powiedzieć Marshowi i Marcie… Chcę po prostu zamknąć ten rozdział i iść dalej, bez żadnego zamieszania.

Mark się uśmiechał.

– Teraz to już lipa, co? Już za późno na wymyślenie wymówki?

„Tak”, mówił jego uśmiech. „No dalej, Eriko, bądź dla nich miła”.

– Masz rację, nie mogę odwołać… Wesołych Świąt. – Przyłożyła palec do ust i przycisnęła go do szybki.

Przeszła do niewielkiego, skromnie umeblowanego aneksu kuchennego z małą sofą, telewizorem i do połowy pustym regałem na książki. Na kuchence mikrofalowej stała malutka plastikowa

choinka. Wcześniej stawiała ją na telewizorze, ale od czasu pojawienia się płaskiego ekranu górna część kuchenki mikrofalowej okazała się jedynym miejscem, w którym można było ją umieścić. Erika włączyła ekspres do kawy i rozsunęła zasłony. Parking i droga za nim pokryte były grubą warstwą śniegu, który w świetle ulicznych latarni nabrał pomarańczowego blasku. Nie widziała ludzi ani samochodów i poczuła się jak jedyna osoba na świecie. Podmuch wiatru przetoczył się po ziemi, przesypując śnieg po powierzchni i dołączając go do zwałów przy ścianie parkingu.

Gdy nalewała sobie kawy, zadzwonił telefon stacjonarny, więc pospiesznie wyszła na korytarz i odebrała z nadzieją na cud i odwołanie lunchu. To był ojciec Marka, Edward.

– Obudziłem cię, kochanie? – spytał z tym swoim ciepłym akcentem z Yorkshire.

– Nie, już wstałam. Wesołych Świąt.

– Tobie też Wesołych Świąt. Czy w Londynie jest zimno?

– Spadł śnieg – powiedziała. – Co prawda jest głęboki po kostki, ale wystarczy, by trafić na pierwsze strony gazet.

– My mamy tu metr dwadzieścia. A w Beverley jest jeszcze więcej. – Jego głos brzmiał dziwnie odlegle.

– Grzejesz?

– Tak, kochanie. Mam napalone w kominku, a ponieważ chcę być dzisiaj rozpustny, będę tak palił przez cały dzień… Szkoda, że cię nie zobaczę.

Naszło ją poczucie winy.

– Przyjadę w nowym roku. Mam jeszcze kilka dni urlopu.

– Kazali ci dzisiaj pracować?

– Nie, dzisiaj nie. Zostałam zaproszona na obiad do Paula Marsha i jego rodziny… Po tym wszystkim, co im się przydarzyło, czułam, że nie mogę odmówić.

– A kto to jest, kochanie?

– Paul, Paul Marsh…

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Tak, oczywiście. Młody Paul. Czy udało mu się sprzedać forda cortinę?

– Co?

– Na pewno niewiele za niego dostanie. To przecież kupa zardzewiałego złomu. Można wsadzić palec w blachę.

– Edwardzie, o czym ty mówisz? – Marsh posiadał wprawdzie czerwonego forda cortinę, ale było to lata temu, na początku lat dziewięćdziesiątych.

– Och, oczywiście… ale jestem durny… Nie spałem dziś zbyt dobrze. Jak się czują po tym, co się stało?

Erika nie wiedziała, co powiedzieć. Bawiła się kablem telefonicznym. Edward miał prawie osiemdziesiąt lat, ale zawsze był bystry i orientował się na bieżąco.

– To wydarzyło się tak niedawno… Nie widziałam ich od tamtej pory. – W tle usłyszała gwizd czajnika.

– Pozdrów ich ode mnie, dobrze?

– Oczywiście.

– Będę już kończył, kochanie. Wypiję sobie filiżankę porannej herbaty i się dobudzę. I otworzę prezenty. Trzymaj się i wesołych Świąt.

– Edwardzie, na pewno wszystko w porządku? – zaczęła, ale on już się rozłączył.

Przez chwilę wpatrywała się w telefon, po czym podeszła do okna. Znajdujący się naprzeciwko wiktoriański dworek był duży, ozdobny i podobnie jak reszta domów przy ulicy został podzielony na mieszkania. W kilku oknach paliły się światła, w jednym z nich zobaczyła parę z dwójką małych dzieci otwierającą prezenty pod dużą choinką. Chodnikiem szła kobieta w grubej kurtce i ze

spuszczoną głową, ciągnąc za sobą małego czarnego psa. Erika wróciła do telefonu i podniosła słuchawkę, po czym ponownie ją odłożyła.

Erika naszykowała się i opuściła mieszkanie tuż przed jedenastą. Padał gęsty śnieg i wokół panowała senna atmosfera, ponieważ wszystkie sklepy były zamknięte. Po drodze widziała tylko grupkę dzieci rzucających w siebie śnieżkami.

Gdy przejeżdżała obok rzędu sklepów przy stacji kolejowej Crofton Park, ruch zaczął się zagęszczać, zwalniać, a potem wszystko stanęło. Wycieraczki skrzypiały, usuwając suchy śnieg. Z przodu widziała błysk niebieskich świateł policyjnych. Trochę ją to pocieszyło, pomyślała o pracy. Samochody posuwały się do przodu, a tuż za szkołą Crofton Park jedna z dróg po lewej stronie była zablokowana przez dwa radiowozy i otoczona policyjną taśmą. Posterunkowy John McGorry stał obok, za trzepoczącą na wietrze taśmą, i rozmawiał z dwoma funkcjonariuszami. Gdy Erika się z nimi zrównała, zatrąbiła, a oni na nią spojrzeli.

– Co się dzieje? – krzyknęła, otwierając okno.

Do środka jej samochodu zaczął wpadać śnieg, ale nie zwróciła na to uwagi. McGorry postawił kołnierz swojego długiego czarnego płaszcza i szybko ruszył w jej stronę. Był przystojnym młodym mężczyzną w wieku około dwudziestu lat, z prostą grzywką oraz ciemnymi włosami, które opadały mu na twarz. Jego skóra była gładka i blada, a policzki zarumienione od zimna. Kiedy dotarł do samochodu Eriki, dłonią w rękawiczce odgarnął włosy.

– Wesołych Świąt, szefowo. Wybierasz się gdzieś? – zapytał, bo zauważył, że miała makijaż i kolczyki.

– Na obiad… Co się dzieje?

– Młoda kobieta została znaleziona na progu swojego domu. Zasztyletowano ją. Ktokolwiek to zrobił, dostał szału, wszędzie

była krew – powiedział, kręcąc głową.

Samochody przed Ericą ruszyły, a posterunkowy wycofał się na chodnik, spodziewając się, że Erika odjedzie.

– Miłego obiadu. Miałem nadzieję, że o tej porze będę już po służbie. Jutro twoja kolej?

– Kto jest dziś dyżurnym nadkomisarzem?

– Peter Farley, ale wyjechał w sprawie pchnięcia nożem trzech osób w Catford. Ludzie nie przestaną się zabijać tylko dlatego, że są święta.

Samochód z przodu odjechał, a jadąca z tyłu furgonetka zatrąbiła. Erika pomyślała, że brutalne morderstwo jest o wiele ciekawsze niż świąteczny obiad z Marshem. Furgonetka z tyłu ponownie zatrąbiła. Erika wrzuciła bieg i wjechała na chodnik, McGorry odskoczył w ostatniej chwili. Złapała policyjną odznakę, płaszcz i wysiadła.

– Zaprowadź mnie na miejsce zbrodni – rzekła.

Rozdział 3

Erika błysnęła swoją odznaką, i potem ona i McGorry przeszli pod kordonem policji. Ruszyli ulicą, mijając podniszczone domy, w których na gankach stali sąsiedzi, na różnych etapach porannego ubierania się, i wpatrywali się w taśmę policyjną na końcu drogi, gdzie umundurowani funkcjonariusze krążyli wokół kolejnego terenu oddzielonego taśmą.

Erika z trudem dotrzymywała kroku McGorry'emu, bo odkryła, że obcasy, które założyła na świąteczny lunch, nie mają przyczepności na oblodzonym chodniku. Pragnęła, żeby było tak ciepło, aby mogła zdjąć buty i chodzić boso.

– To najgorszy dzień na zamknięcie ulicy. Musieliśmy już zawracać ludzi, którzy przyjechali odwiedzić krewnych… – Spojrzał za siebie i zobaczył Erikę, która ostrożnie szła wzdłuż ściany.

– No co? – spytała, gdy już go dogoniła i zauważyła, że się w nią wpatruje.

– Nic. Masz na nogach obcasy – powiedział.

– Świetna robota, detektywie.

– Nie, wyglądasz w nich świetnie. To znaczy inteligentnie, naprawdę dobrze…

Skrzywiła się i ruszyła przed siebie, ale się poślizgnęła. McGorry złapał ją w ostatniej chwili, inaczej by upadła.

– Chcesz wziąć mnie pod rękę? – zapytał. – Dom znajduje się nieco w dół.

– Nie bardzo, ale tak może być szybciej. No i nie chcę wypieprzyć się przed mundurowymi.

Chwyciła go pod ramię i ruszyli wolniejszym tempem.

– Miałem kiedyś na nogach szpilki – zauważył McGorry.

– Tak?

– Piętnastocentymetrowe. Kiedy byłem w Hendon, zorganizowaliśmy świąteczne przedstawienie charytatywne. Grałem lady Bracknell w *Bądźmy poważni na serio*.

Pomimo irytacji Erika uśmiechnęła się, idąc ostrożnie po lodzie.

– Piętnastocentymetrowe szpilki? Czy lady Bracknell nie powinna być sztywną, stateczną, starszą wiktoriańską damą?

– Noszę rozmiar dwanaście. To były jedyne szpilki, jakie pasowały na moje stopy – powiedział, wskazując swoje wielkie buty.

– I ile udało się zebrać na cele charytatywne?

– Czterysta siedemdziesiąt trzy funty pięćdziesiąt…

– No to dalej, odegraj dla mnie lady Bracknell – poprosiła Erika.

– Torebka? – spytał, udając wibrato starszej damy z klasy wyższej.

Erika pokręciła głową i uśmiechnęła się:

– Cieszę się, że nie zrezygnowałeś z pracy.

Puściła jego ramię, gdy dotarli do kolejnego kordonu policyjnego rozciągającego się przed szeregowym domem na końcu ulicy. Niski murek i wysoki ośnieżony żywopłot zasłaniały ogród z przodu domu, a przez otwartą bramę widać było tłum funkcjonariuszy kryminalistyki w niebieskich kombinezonach z Tyveku. Funkcjonariuszka stojąca przy kordonie spojrzała na legitymację Eriki.

– Wezwano już głównego inspektora. Spóźnia się, bo potrójny atak nożownika w Cat… – zaczęła.

– Cóż, jego tu nie ma, a ja jestem – odparła Erika.

Policjantka pokiwała głową i podniosła taśmę. Podeszli do vana ekipy kryminalistycznej zaparkowanego na chodniku. Inna

umundurowana funkcjonariuszka, surowo wyglądająca kobieta w średnim wieku z kolczykiem w nosie i krótkimi siwymi włosami, wręczyła każdemu z nich kombinezon. Zdjęli kurtkę i płaszcz, i rzucili je na vana.

– Cholera jasna, ale zimno – powiedział McGorry, szybko wkładając kombinezon na swój cienki garnitur.

– Zeszłej nocy temperatura spadła do minus dwunastu – zauważyła policjantka.

Erika przytrzymała się vana, balansując na jednej nodze, i spróbowała ubrać się w kombinezon, ale zaczepiła lewą piętą o materiał i rozdarła nogawkę.

– Kuźwa!

– Zapakuję to, tu jest drugi – rzekła policjantka i podała jej kolejny.

Erika wzięła go i włożyła, ale znowu się podarł.

– Powinna być pani w butach na płaskim obcasie, zwłaszcza w taki dzień – zauważyła kobieta.

Erika rzuciła jej ostre spojrzenie, a McGorry grzecznie odwrócił wzrok, gdy wzięła trzeci kombinezon, który tym razem z powodzeniem włożyła. Zapięła go i oboje naciągnęli kaptury. Nałożyli ochraniacze na buty, co znowu przysporzyło Erice sporych trudności, ale gdy byli gotowi, ruszyli do bramy i weszli do niewielkiego ogrodu.

Isaac Strong, patolog sądowy, pracował na małej przestrzeni z dwoma asystentami. Był to wysoki, szczupły mężczyzna po czterdziestce. Spod kaptura kombinezonu wystawał wdowi szpic ciemnobrązowych włosów. Miał długie, cienkie brwi, które sprawiały, że wyglądał na nieustannie zdziwionego.

Zakrwawione ciało młodej kobiety leżało na plecach pod wykuszowym oknem. Jej długi czarny płaszcz był rozpięty. Niska temperatura w nocy zamroziła rozlaną krew do konsystencji rubinowoczerwonego sorbetu. Ofiara miała rozcięte gardło. W tym

miejscu było najwięcej krwi, która utworzyła rozległą kałużę pod ciałem ofiary. Krwią przesiąkła cienka zielona sukienka bez ramiączek, rozcięta na lewej nodze, i odsłaniająca czarne pończochy, oraz pas, krew pokrywała również wykuszowe okno oraz parapet ponad ofiarą, tworząc drobną oszronioną mgiełkę.

– Dzień dobry, wesołych Świąt – powiedział Isaac, kręcąc głową.

Po jego powitaniu zapanowała niezręczna atmosfera. Erika ponownie spojrzała na młodą dziewczynę. Jej twarz zastygła, w przenośni i dosłownie, ze strachu. Usta ofiary były lekko rozchylone, jeden z przednich zębów został wybity tuż przy dziąśle. Jej oczy, choć mętne, miały fioletowy odcień i były uderzająco piękne, nawet po śmierci.

– Czy wiemy, kim ona jest? – zapytała Erika.

– Marissa Lewis, lat dwadzieścia dwa – odpowiedział Isaac.

– Czy to formalnie potwierdzona tożsamość?

– Dziś rano ciało znalazła jej matka, w portfelu było prawo jazdy.

Erika przykucnęła i przyjrzała się bliżej. Kwadratowa torebka z inicjałami M.L. leżała na wpół zakopana w śniegu, przy żywopłocie, a obok niej znajdował się czarny but na wysokim obcasie. Oba przedmioty były oznaczone plastikowymi numerami.

– Czy ktoś dotykał ciała?

– Nie – odparł McGorry. – Byłem pierwszym funkcjonariuszem ma miejscu zbrodni. Znalazła ją matka i zapewniła, że niczego nie dotykała.

– Udało ci się określić czas zgonu?

– W warunkach ekstremalnego mrozu to może być trudne – zauważył Isaac. – Jej gardło zostało poderżnięte bardzo ostrym narzędziem, co spowodowało głęboką ranę i przecięcie tętnic szyjnych po obu stronach szyi. Doprowadziło to do szybkiej utraty krwi, więc ofiara błyskawicznie się wykrwawiła. Palec wskazujący

prawej dłoni jest prawie odcięty, a kciuk, palec środkowy i ramiona są poranione, co sugeruje, że próbowała się bronić.

– Nie ma innego wyjścia z ogrodu, poza bramą lub frontowymi drzwiami – zauważył McGorry.

Erika zobaczyła, że na wyblakłym niebieskim lakierze drzwi wejściowych również znajdowała się cienka strużka krwi.

– Czy to jej klucze? – spytała na widok pęku kluczy z brelokiem w kształcie serca.

– Tak – odparł McGorry.

Erika zamknęła na chwilę oczy, wyobrażając sobie, jak musiała się czuć ta kobieta, obezwładniona przez uzbrojonego w nóż szaleńca w tej niewielkiej, zamkniętej przestrzeni. Otworzyła je ponownie i spojrzała na twarz Marissy.

– Ma złamany nos – stwierdziła.

– Tak. I lewą kość policzkową. Znaleźliśmy też jej przedni ząb, był wbity w słupek bramy – dodał Isaac.

Erika i McGorry odwrócili się, by spojrzeć na bramę, gdzie w połowie wysokości przymocowany był numerowany znacznik. Na ceglanym murze widać było bryły śniegu. Obok stał śmietnik na kółkach i pojemnik na surowce wtórne wypełniony pustymi butelkami po wódce. Erika odwróciła się, by spojrzeć na dom. Zasłony były zaciągnięte, nie paliło się żadne światło.

– Gdzie jest matka?

– U sąsiadki – odpowiedział McGorry i wskazał szeregowy dom po drugiej stronie ulicy.

– I jesteśmy pewni, że ofiara tutaj mieszka? Może po prostu przyjechała do mamy na święta?

– Musimy to sprawdzić.

– Będziemy mieli trudności z przeniesieniem jej – zauważył jeden z asystentów, który skończył odśnieżać zakrwawione nogi.

– Dlaczego? – zapytała Erika.

Spojrzał na nią – był niskim mężczyzną o dużych intensywnie brązowych oczach. Wskazał rozległą kałużę zamarzniętej krwi pod ciałem.

– Krew. Ofiara jest przymarznięta do ziemi.

Rozdział 4

Isaac podszedł do bramy razem z Eriką. Zerknął na nisko wiszące szare chmury.

– Muszę ją przenieść, zanim pogoda się zmieni. Niedługo znowu zacznie padać śnieg – zauważył.

Spojrzała z powrotem na ciało, asystenci Isaaca próbowali ostrożnie wykopać dziewczynę z zamarzniętej i przesiąkniętej krwią ziemi. Erika poczuła znajome uczucie przerażenia i podniecenia, którego zawsze doświadczała na miejscu zbrodni. Tak wiele w jej życiu było poza jej kontrolą, ale miała moc, by wytropić tego, kto to zrobił. I wiedziała, że jej się to uda.

– Jak sądzisz, kiedy będzie można przeprowadzić sekcję zwłok?

Isaac wydął policzki.

– Przykro mi, ale za kilka dni. Mam zaległości. To pracowita pora roku, jeśli chodzi o podejrzane zgony. Nie wspomniałem ci? Zostałem przeniesiony. Pracuję w kostnicy szpitala Lewisham.

– Od kiedy?

– Odkąd kostnica w Penge została sprzedana deweloperowi. Kilka tygodni temu pojawił się wielki szyld Parkside Peninsula Apartments, a my przeprowadziliśmy się w zeszłym tygodniu. Powoduje to różnego rodzaju opóźnienia.

– Parkside Peninsula Apartments, Penge – powtórzyła Erika, unosząc brew.

Isaac też uniósł brew.

– I jeszcze jedno – dodał. – Rozbryzgi krwi. Osoba, która to zrobiła, musiała być pokryta krwią i miała przy sobie broń, ale krople krwi kończą się nagle przy bramie.

– Myślisz, że ten ktoś wytarł nóż? A może przy bramie zaparkował jakiś pojazd? – zapytała Erika.

– To ty musisz to ustalić – zauważył Isaac. – Ja będę na bieżąco informować cię o postępach w sekcji.

Po tych słowach patolog wrócił do ogrodu.

Erika i McGorry zdjęli kombinezony, oddali je, a następnie przeszli pod taśmą policyjną. Zapięli guziki płaszczy, żeby chronić się przed zimnem. Właśnie podjechał duży policyjny van i próbował zaparkować przy krawężniku. Jeden z radiowozów zjechał na pobocze, by zrobić więcej miejsca, i utknął w śniegu, jego koła obracały się i piszczały.

– Szukamy zatem kogoś, kto przypuszczalnie miał samochód – stwierdziła Erika. – Ten ktoś wsiadł i odjechał. Ale dokąd?

Podniosła wzrok i spojrzała w dół ulicy. Dom stał na końcu rzędu szeregówek, a ulica wychodziła na tylnie ogrody domów przy ulicy Howson Road, która biegła równolegle do Coniston Road.

– Chcę jak najszybciej zacząć wypytywać sąsiadów. W Boże Narodzenie w domach powinno być mnóstwo ludzi. Chcę wiedzieć, czy ktokolwiek coś widział, i potrzebuję szczegółowych informacji na temat mieszkańców okolicy: przestępców, którzy używali przemocy, osób z zakończonymi lub trwającymi wyrokami sądowymi.

Na pomoc przybyło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, którzy spróbowali wypchnąć radiowóz z zaspy. Silnik ryczał, a koła się obracały.

– Na końcu następnej ulicy znajduje się wiadukt kolejowy, który prowadzi do Fitzwilliam Estate – powiedział McGorry.

Erika kiwnęła głową.

– To warte uwzględnienia, ale ten, kto tam pojedzie, musi zachować ostrożność. – Wiedziała, że osiedle Fitzwilliam Estate, podobnie jak wiele wieżowców w biednych dzielnicach, było

dobrze znane miejscowej policji. Zerknęła w długie alejki biegnące po obu stronach domów. – Musimy też sprawdzić, czy któreś bramy ogrodowe wychodzą na te alejki…

Gdy radiowóz wreszcie został wypchnięty ze śniegu, zeszli mu z drogi. Przejechał obok, skręcił w prawo na końcu ulicy i zaparkował przed szkołą naprzeciwko. Van wjechał na wolne miejsce przy krawężniku. W ciszy rozległo się nagłe kliknięcie migawki aparatu. Erika zwróciła się do McGorry'ego.

– Słyszałeś to? – mruknęła.

Kiwnął głową.

Spojrzeli na okoliczne okna, ale nic nie zobaczyli. Z tyłu rozległ się szelest. Erika odwróciła się i spojrzała w górę na gałęzie wysokiego dębu po drugiej stronie ulicy, obok barierek szkolnego boiska. Młody mężczyzna, który wyglądał na dwadzieścia kilka lat, schodził cicho z drzewa. Stanął na metalowej barierce przy placu zabaw, po czym zeskoczył na chodnik. Wyglądał niechlujnie, miał długie blond włosy, a na jego szyi, na pasku, wisiał aparat z obiektywem długoogniskowym. Zerknął na Erikę i McGorry'ego, po czym puścił się pędem zaśnieżoną alejką.

– Ej! Proszę się zatrzymać! – krzyknęła Erika.

McGorry ruszył, a Erika podążyła za nim.

Młody mężczyzna miał na sobie ciemną kurtkę. Po chwili wspiął się na pokrywę kosza na śmieci i przeskoczył przez ceglany mur, za którym znajdowały się wysokie drzewa. Kilka sekund później McGorry dopadł do tego samego kosza na śmieci, podciągnął swój płaszcz i zaczął się wspinać. Erika dotruchtała chwiejnie do kosza, podczas gdy McGorry złapał się gałęzi jednego z grubych, pokrytych śniegiem zimozielonych drzew, podciągnął się i stanął na krawędzi muru.

– Co tam jest…? – zaczęła, ale on już zeskoczył na drugą stronę.

Rozległ się huk i krzyk. Gałęzie nad murem zakołysały się, sypiąc śniegiem, a potem znieruchomiały. Erika usłyszała kolejne

krzyki i instynktownie sięgnęła do kieszeni po radio, ale go tam nie było. Spojrzała na ulicę, ale okazało się, że miejsce zbrodni znajduje się bardzo daleko.

– Cholera, jeśli coś sobie złamał… – mruknęła, myśląc o tym, ile papierkowej roboty będzie do wypełnienia w takim przypadku.

Odepchnęła od siebie tę myśl i poczucie winy, zdjęła obcasy i włożyła je do kieszeni długiego płaszcza, po czym podkasała go, i weszła na kosz. Plastikowa pokrywa ugięła się pod jej ciężarem. Erika zahaczyła nogą o ceglany mur i chwyciła się gałęzi jednego z drzew, by zachować równowagę. Przy okazji zrzuciła sobie na głowę kolejną porcję śniegu. Po przeciwnej stronie ziemia znajdowała się wyżej i Erika opadła miękko na podłoże z ziemi i liści między murem a gęstym rzędem drzew. Ponownie włożyła buty i wyszła zza drzew do dużego, pokrytego śniegiem ogrodu. Pośrodku znajdowała się ścieżka z dwoma rodzajami śladów, a za nią dwie duże szopy, szklarnia i długi tunel z polietylenu. Wysokie mury ogrodu skutecznie tłumiły odgłosy ruchu ulicznego.

McGorry szedł powoli w kierunku szopy. Odwrócił się do Eriki i przyłożył palec do ust, wskazując drugą szopę, tę bliżej domu. Pokiwała głową. Budynek był duży i zaniedbany. Miał brudne okna, na których łuszczyła się farba. Wysoka brama ogrodzeniowa zablokowana była przez przepełnione kosze na śmieci. Tylne wejście do domu miało małą zadaszoną werandę ze schodami prowadzącymi do ogrodu. Stało na nich kilka donic.

Gdy Erika dotarła do McGorry'ego, z wnętrza domu dobiegła kakofonia wybijających godzinę zegarów. Blondwłosy chłopak wyłonił się zza szopy i podbiegł do ściany budynku. McGorry ruszył szybciej i błyskawicznie powalił go na ziemię. Erika popędziła w ich stronę, ale przy okazji zgubiła jeden z butów i się przewróciła.

– Uspokój się! – krzyknął McGorry, gdy chłopak zaczął się szarpać i wymierzać na oślep ciosy, z których jeden trafił

policjanta w twarz.

– Złaź ze mnie! – wrzeszczał młody mężczyzna.

Był chudy, ale umięśniony. Miał szczupłą, wściekłą twarz i jasnoniebieskie, nieco zbyt szeroko rozstawione oczy.

Erika wstała i ruszyła przed siebie, gubiąc w śniegu drugi but.

McGorry rozwalał śnieg, starając się utrzymać młodego mężczyznę, który kopał i wymachiwał rękami, aż wreszcie zdobył przewagę i wepchnął twarz McGorry'ego w śnieg. Policjant zaczął szukać po omacku ręką, zdołał złapać aparat i zacisnął pas na szyi chłopaka. Ten puścił głowę McGorry'ego i chwycił za pasek zaciskający się wokół jego szyi.

– Cofnij się! – krzyknął jakiś głos. – Puść go!

U szczytu schodów na ganku stała tęga, starsza kobieta w pomarańczowym kombinezonie. Mierzyła do nich ze strzelby. Siwe włosy opadały jej na ramiona, na nosie miała ogromne okulary, które powiększały oczy. Trzymając funkcjonariuszy cały czas na muszce, ruszyła w ich kierunku przez śnieg.

Erika podniosła ręce do góry. W oczach kobiety widoczne było szaleństwo i policjantka poczuła, że sytuacja nagle stała się niezwykle niebezpieczna. McGorry zakaszlał i zaczął pluć, wciąż mocno trzymając pasek. Młody mężczyzna szarpał się gorączkowo, próbując się uwolnić.

– John. Puść go! – krzyknęła Erika.

McGorry puścił pas aparatu, chłopak upadł na śnieg i zaczął kasłać.

– Erika Foster, główna inspektor, jestem z londyńskiej policji metropolitarnej, a to jest posterunkowy John McGorry. Pokażemy pani nasze odznaki, ale musi pani opuścić broń… Natychmiast.

Kobieta patrzyła z niepokojem na Erikę i McGorry'ego, ale nie opuściła broni.

– Zaatakowaliście mojego syna i wtargnęliście na mój teren!

– Jesteśmy z policji, a pani syn wtargnął na miejsce zbrodni i robił zdjęcia – powiedziała Erika, zastanawiając się, do czego ta kobieta jest zdolna.

– Joseph! Odejdź od nich! – krzyknęła kobieta, wciąż celując do nich ze strzelby. Chłopak kasłał i się zataczał, kurtkę miał pokrytą śniegiem.

– Elspeth! – krzyknął inny głos.

W tylnym wyjściu pojawił się starszy mężczyzna. Wyglądał jak ekscentryczny profesor, miał na sobie długą niebieską pelerynę i wytartą czapkę z cekinową czaszką. Na głowie miał również opaskę z przymocowaną lupą, przez co wyglądał, jakby miał jedno wielkie oko.

– Elspeth, natychmiast to odłóż!

– Jesteśmy z policji i możemy pokazać nasze odznaki – powtórzyła Erika, której serce waliło coraz szybciej.

Czuła się głupio, że wplątała się w taką sytuację, w dodatku boso. Stopy już jej zdrętwiały z zimna.

Mężczyzna delikatnie wziął strzelbę od Elspeth i złożył lufę.

– Nie jest naładowana – powiedział, a następnie przewiesił broń przez ramię tak jak leśniczy. – Poza tym mamy na nią pozwolenie.

– Mój chłopiec, mój chłopiec! – zawołała Elspeth, po czym chwyciła Josepha w ramiona i zaczęła go oglądać, gładzić dłońmi jego szyję i zaglądać mu w oczy. – Zrobili ci krzywdę? Wszystko w porządku?

Chłopak wyglądał na nieco zszokowanego.

– Dlaczego ta broń była tak łatwo dostępna? – zapytała Erika.

McGorry uklęknął i znowu splunął.

– Mili państwo, jeśli wejdziecie z nami do środka, będziecie mogli się wysuszyć i wszystko wam wyjaśnimy – zaproponował mężczyzna.

Rozdział 5

Erika i McGorry tupali nogami na werandzie i strzepywali śnieg z płaszczy. Następnie przeszli do ciepłej, przytulnej kuchni. Elspeth zajmowała się Josephem jak małym dzieckiem, zaprowadziła go do jednego z krzeseł przy długim drewnianym stole. McGorry przysunął się do znajdującego się w rogu kominka, w którym było napalone. Kuchnia została urządzona w wiejskim stylu, z pięknym kredensem i dużą zieloną kuchenką, od której unosił się kuszący zapach indyka.

– Już widać pręgę! – krzyknęła Elspeth i przechyliła głowę Josepha na bok.

Chłopak, ściskając cały czas aparat, patrzył na policjantów.

– Proszę usiąść – powiedział mężczyzna i wysunął kolejne krzesła przy stole.

– Mogę zobaczyć pozwolenie na broń? – spytała Erika, ignorując krzesło.

– Oczywiście – odparł, po czym oparł strzelbę o kominek i wysunął szufladę kredensu.

– To legalna broń palna – upierała się Elspeth, pomagając Josephowi zdjąć mokrą kurtkę i okrywając jego ramiona ręcznikiem.

Erika zauważyła, że nie chciał puścić aparatu, nawet gdy próbowała wyciągnąć jego ręce z rękawów kurtki.

– Jak właściwie się państwo nazywają?

– Nasze nazwisko brzmi Pitkin. Ja jestem David, to są Elspeth i Joseph. Rozumiem, że nie spodziewała się pani, że będzie pani dziś na służbie? – spytał, podnosząc wzrok znad szuflady.

Wskazał na przemoczone, zniekształcone buty, które Erika trzymała w dłoni.

– Nie.

– Wybierała się pani w jakieś miłe miejsce?

Erika zdała sobie sprawę, że powinna poinformować Marsha, iż nie przyjdzie na obiad. Zignorowała Davida i odepchnęła od siebie tę myśl.

– Z czego się państwo utrzymują?

– Jestem zegarmistrzem – odparł mężczyzna, stukając w lupę przymocowaną skórzanym paskiem do głowy. – Naprawiam zegary i zegarki, chociaż, szczerze mówiąc, odkąd przeszedłem na emeryturę i skończyłem pracę w sądzie, jest to bardziej hobby. Ach, tutaj jest – dodał i wyciągnął pozwolenie na broń.

– Był pan adwokatem? – spytała trochę podłamana Erika.

– Tak. Przez trzydzieści lat.

Erika wzięła od niego kartkę i uważnie ją przeczytała.

– To broń Elspeth. Ja mam swoją. Lubimy strzelać. Oczywiście w ramach hobby.

– Licencja wydaje się w porządku – zauważyła Erika, oddając mu pozwolenie. – Ale skoro to hobby, to dlaczego trzymają państwo broń pod ręką?

Elspeth podniosła wzrok znad szyi Josepha.

– Trzymam ją zamkniętą w szafie na zapleczu! Zauważyłam was w ogrodzie, skradaliście się. To nie jest już taka przyjazna okolica jak kiedyś. Narkotyki i włamania niemal każdego dnia… Zobaczcie, co mu zrobiliście! Będzie miał paskudnego siniaka.

– Chcę również przypomnieć, główna inspektor Foster, o prawie w Wielkiej Brytanii dotyczącym samoobrony, opartym na zasadach rozsądnego użycia siły – dodał David.

– Czy ona często wymachuje strzelbą w biały dzień, grożąc każdemu, kto wejdzie do jej ogrodu? Jej reakcja wydaje się trochę

przesadzona – zauważyła Erika.

– Przepraszam, ale nikt nie będzie mówił o mnie per „ona" w moim własnym domu! – prychnęła Elspeth. – Miałam zamiar zaoferować wam, na zgodę, kawałek mojego ciasta kawowo-orzechowego, ale teraz już tego nie zrobię.

McGorry odwrócił się, tłumiąc uśmiech, ale Erika nie uznała tej sytuacji za zabawną. Miała ochotę zabrać aparat, który Joseph wciąż mocno trzymał, i wrócić na miejsce zbrodni.

– Sąd zazwyczaj bierze pod uwagę fakt, że bycie zastraszanym we własnym domu jest przerażającą sytuacją – zauważył David. – Prawo polega na tym, że człowiek ma prawo do obrony siebie, swojego mienia i osób, za które jest odpowiedzialny…

– W żadnym momencie życie pańskiego syna ani pańskiej żony nie było zagrożone – przerwał McGorry.

– Naprawdę? Jak się nazywasz, młody człowieku?

– Posterunkowy John McGorry.

– Posterunkowy Johnie McGorry, dlaczego próbował pan udusić mojego syna?

– Ja nie…

– Proszę nie kłamać. Używał pan paska do aparatu Josepha, aby go poddusić. Duszenie podejrzanych lub osób postronnych jest nielegalne. Dawniej policja była szkolona w duszeniu, ale pan jest trochę młody i niedoświadczony…

– Ja tylko… – zaczął McGorry i, zdenerwowany, oblał się rumieńcem.

Erika rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, by był cicho.

– Pana przełożona powinna o tym wiedzieć – dodał David.

– Wiem o tym – wtrąciła Erika. – Wiem również, że skoro policjant kogoś dusi, będzie w stanie przedstawić uzasadnienie użycia siły, biorąc pod uwagę okoliczności. Jeśli bazować na fakcie, że pański syn próbował udusić mojego funkcjonariusza, wciskając

jego twarz w śnieg, duszenie w samoobronie można uznać za uzasadnione lub konieczne. Proszę sprawdzić to w internecie, zostało to szczegółowo opisane w niedawnej ustawie o wolności informacji dla West Mercia Police.

David próbował ukryć irytację, ale mu się nie udało.

– Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego ścigali państwo mojego syna.

– Pański syn wtargnął na miejsce zbrodni.

– Co nie jest przestępstwem – wtrącił David.

– Robił zdjęcia miejsca zbrodni…

– Ponownie, nie jest to przestępstwo.

Erika przerwała rozmowę i uśmiechnęła się nieznacznie.

– Ignorował polecenia policjanta.

– Tak, a teraz wszyscy tu jesteśmy, i będzie współpracował, oczywiście w granicach rozsądku.

– Pański syn może mieć zdjęcia, które mogą pomóc w naszym śledztwie – zauważyła Erika.

Czuła się głupio z powodu pościgu, a teraz musiała bronić siebie i McGorry'ego przed tym emerytowanym adwokatem, który mógł ją pokonać.

– Gdzie jest miejsce zbrodni? – zapytał David.

– Nie mogę tego powiedzieć.

– Na Coniston Road znaleziono ciało – wtrącił Joseph.

Miał miękki, kulturalny głos i niemalże nienaganną wymowę.

– Ty znalazłeś ciało? – spytała Elspeth, która wciąż wycierała jego włosy ręcznikiem.

– Nie, mamo – powiedział wreszcie, odtrącając jej rękę. – Policja znalazła ciało.

– Nie możemy wypowiadać się na temat sprawy o morderstwo będącej w toku – zauważył McGorry.

– Uważacie, że to morderstwo? – spytał David.

– Morderstwo? – powtórzyła Elspeth.

– Zabito Marissę Lewis. Ktoś zadźgał ją na progu własnego domu – powiedział Joseph.

– To tylko spekulacje… – zaczęła Erika.

– Nie. Byłem obecny, gdy znaleziono jej ciało. – Joseph przytulił do siebie aparat, tak jakby chciał go chronić.

– To ty wezwałeś policję? – spytała Erika.

– Nie miałem przy sobie telefonu.

– Ale zrobiłeś zdjęcia miejsca zbrodni jeszcze przed przyjazdem policji?

– Josephie, nie musisz odpowiadać na to pytanie. Na święta kupiliśmy mu nowy obiektyw do aparatu – dodał David.

– Jeśli ktokolwiek miałby tutaj zginąć, to byłaby to właśnie Marissa Lewis – zauważyła Elspeth, kręcąc głową.

– Moja żona bardzo lubi spekulacje – wtrącił David. – Ale to nie jest zabronione, prawda?

Był irytująco spokojny.

Erika nabrała głęboko powietrza.

– Oczywiście, że nie, ale czy ona… Czy pani mogłaby to wyjaśnić?

Elspeth przerzuciła ręcznik przez oparcie wolnego krzesła, skrzyżowała ręce na piersi i odwróciła się do Eriki.

– Marissa Lewis ma, miała, pewną reputację, jeśli wie pani, co mam na myśli. Kobiety dość rozwiązłej. Pracowała jako striptizerka.

– Widziała ją pani w pracy? – spytał McGorry.

– Oczywiście, że nie! Żadne z nas jej nie widziało! – Zerknęła na Davida i Josepha, którzy pokręcili głowami i spuścili wzrok. – Powiedziała mi o tym moja fryzjerka.

Erika spojrzała na rozpuszczone, przetłuszczone, siwe włosy na ramionach kobiety i zaczęła się zastanawiać, czym dokładnie

zajmowała się owa fryzjerka.

– A do kogo pani chodzi?

– Do najlepszej przyjaciółki Marissy Lewis, Sharon-Louise Braithwaite. To ona jest moją fryzjerką. Pracuje w salonie Złotowłosa przy stacji Crofton Park. Marissa poprosiła Sharon o wywieszenie w salonie plakatu jednego z jej… występów. Było to zdjęcie przedstawiające ją w samych pończochach, pasach do pończoch i w staniku! – Pod wpływem tego wspomnienia Elspeth pokręciła głową. – Dowiedziałam się również od Sharon, że Marissa miała romans z żonatym mężczyzną, który mieszkał kilka domów dalej, a oprócz niego miała jeszcze paru innych chłopaków.

– A zna pani może nazwisko tego żonatego mężczyzny?

– Don Walpole. Ma żonę, Jeanette. Mimo wszystko nadal są ze sobą.

Erika skupiła się z powrotem na Josephie.

– Więc siedziałeś wcześnie rano na drzewie, naprzeciwko domu Marissy Lewis, i robiłeś zdjęcia? Co udało ci się sfotografować?

– Wschód słońca – odparł z chytrym uśmieszkiem.

– Wszedłeś na drzewo, aby uchwycić wschód słońca, ale pozostałeś tam po tym, jak zobaczyłeś, że w ogrodzie naprzeciwko leży martwy człowiek, a ulica została zamknięta przez policję?

– Zauważyłem ciało, dopiero gdy usłyszałem krzyk matki Marissy.

– O której to było godzinie?

– Nie wiem.

– Prezenty świąteczne otworzyliśmy za dziesięć siódma – powiedział David. – Zjedliśmy śniadanie i Joseph wyszedł około siódmej dwadzieścia. Dzisiaj wschód słońca był o ósmej pięć.

– Właśnie zrobiło się jasno, więc mniej więcej w tym czasie mama Marissy wyszła z ich domu – powiedział Joseph. – Nie noszę zegarka.

– A wiesz, dlaczego matka Marissy wyszła przed dom?

– Nie.

– Pewnie chciała wyrzucić kolejne butelki do kosza na szkło, jest pijaczką – wtrąciła Elspeth. – To nie najprzyjemniejsza ulica.

– Przez ostatnie kilka dni padał śnieg i utrzymywały się gęste chmury. Jakim cudem spodziewałeś się wschodu słońca? – spytał McGorry.

– Gdyby wszyscy fotografowie myśleli w ten sposób, nie robiliby żadnych zdjęć – odparł Joseph.

– Jesteś profesjonalnym fotografem?

– Słowo „profesjonalny" jest raczej zbędne. A pan określiłby się mianem zawodowego policjanta? Czy zachował się pan profesjonalnie, gdy mnie pan dusił?

– Słuchaj, ty mały gów… – zaczął McGorry i zrobił krok w jego stronę.

Erika uniosła dłoń.

– Josephie, przestań marnować czas i odpowiedz na nasze pytania.

– Nie musi odpowiadać na żadne z waszych pytań! – krzyknęła Elspeth.

– Młoda kobieta została brutalnie zaatakowana i zamordowana na progu swojego domu. Dzisiejszy poranek powinna spędzić ze swoją rodziną, a zamiast tego leży w śniegu z rozpłatanym gardłem. Ma połamane kości twarzy i być może była napastowana seksualnie – powiedziała Erika. – Joseph nie musi odpowiadać na żadne z moich pytań, ale może mieć informacje, które pomogą nam w śledztwie.

Joseph po raz pierwszy poczuł się nieswojo i nerwowo poruszył się na swoim miejscu.

– No dobrze, trochę się pogapiłem, ale policja przyjechała naprawdę bardzo szybko. Zamknęli ulicę. Nie wiedziałem, co

robić. Kiedy wchodziłem na to drzewo, obok nie było żadnego miejsca zbrodni, ale kiedy z niego schodziłem, wiele się zmieniło.

– Zrobiłeś zdjęcia ciała?

– Nie.

– Czy mogę przejrzeć zdjęcia z twojego aparatu?

– Nie. To aparat analogowy – odparł i podniósł go do góry.

Erika podeszła do niego i zobaczyła, że był to model vintage, który nie miał cyfrowego ekranu. Chciała odebrać go chłopakowi, ale zanim zdążyła to zrobić, Joseph odwrócił aparat do góry nogami, otworzył klapkę z tyłu, i wyjął rolkę filmu. Wyciągnął negatyw i rzucił go na stół.

– Proszę. Żadnych zdjęć do przetworzenia. Wszystko zniknęło.

Erika tylko się w niego wpatrywała. Miał dziwny wyraz twarzy, jednocześnie wrażliwy i twardy. Patrzył na nią wyzywająco.

– Myślę, że byliśmy bardziej niż chętni do współpracy, mili państwo – odezwał się David. – A teraz, jeśli to już wszystko, to chcielibyśmy przejść do świętowania Bożego Narodzenia.

Erika i McGorry wyszli przez frontowe drzwi. Przestało padać, na ulicy było mnóstwo samochodów. Kiedy odwrócili się i spojrzeli za siebie, zauważyli, że dom dziwnie nie pasował do otoczenia: rozpadająca się konstrukcja, wciśnięta w szczelinę między eleganckim, pionowym rzędem szeregowców.

– Tak jakby ktoś zrzucił go z góry – rzekł McGorry.

Erika włożyła ręce do kieszeni i skuliła się z zimna, gdy ruszyli z powrotem alejką w kierunku Coniston Road.

– Będę musiała to wszystko spisać – powiedziała. – A co z duszeniem?

– Nie powiedzieli, że złożą skargę, ale to jeszcze nie oznacza, że tego nie zrobią.

– John, jesteś cholernym idiotą. Dlaczego, u diabła, posunąłeś się tak daleko?

– Wyrywał się, więc próbowałem go… uspokoić, żeby przestał mnie bić. Zadziałałem instynktownie. Poza tym powiedziałaś, że da się to usprawiedliwić.

– Nadal może złożyć skargę i narobić nam problemów. Cały czas musisz zachowywać czujność. I mieć na względzie konsekwencje swoich działań.

– To niemożliwe.

– Oczywiście, że to kompletnie niemożliwe, ale to część bycia policjantem. Nie możesz ponownie dopuścić do sytuacji, w której niepotrzebnie użyjesz siły.

– Przepraszam – powiedział McGorry, i oblał się rumieńcem wstydu.

– W porządku. Żyjemy w gównianych czasach, John. Wszyscy obrażają się o wszystko i człowiek przez cały czas jest uważany za winnego. Musisz być mądry. Myśleć. Zrobię, co w mojej mocy, aby nie wspomniano o tym w raporcie…

Znajdowali się teraz z powrotem w alejce na wysokości muru prowadzącego do ogrodu Pitkinów.

Erika zauważyła coś za koszem na śmieci i się zatrzymała.

– Co? – zapytał McGorry.

Przykucnęła, wyjęła z kieszeni pustą plastikową torbę na materiał dowodowy i podniosła z ziemi mały, czarny, plastikowy cylinder. Wstała i podniosła go pod światło. Udało jej się zdjąć przez folię pokrywkę plastikowego pojemnika.

– To klisza z aparatu – powiedziała, i się uśmiechnęła.

– Używana?

– Mam taką nadzieję. Widziałam jego aparat, zanim wyciągnął z niego film. Zrobił tylko jedno zdjęcie.

– Myślisz, że, gdy siedział na drzewie, wypstrykał całą kliszę, a potem ją zmienił? – spytał z nadzieją McGorry.

– Będziemy mieli pewność, kiedy wywołamy film, a opakowanie zostanie sprawdzone pod kątem odcisków – odparła Erika.

Rozdział 6

Kiedy Erika i McGorry dotarli z powrotem na Coniston Road, trwała już akcja wypytywania sąsiadów. Umundurowani funkcjonariusze chodzili po całej ulicy i pukali do każdych drzwi, a kilku z nich rozmawiało z sąsiadami na progu ich domów.

Znowu padał śnieg i pomimo wczesnej pory – było tuż przed piętnastą – zaczął zapadać zmierzch. Obecność policji kłóciła się ze świątecznymi lampkami w oknach.

Zatrzymali się przy vanie z technikami.

Erika poleciła McGorry'emu przekazać film specjalistom z prośbą o jak najszybsze wywołanie zdjęć i sprawdzenie odcisków palców. Zostawiła go. Gdy wysiadała z vana, przez bramę właśnie wywożono zapakowane w czarny worek zwłoki. Wszyscy zatrzymali się i obserwowali. Erika pomyślała, że ciało wygląda na bardzo małe. Gdy załadowano je do vana i zamknięto drzwi, Isaac kiwnął do niej głową. Poczuła zbliżającą się falę wyczerpania i przygnębienia, ale jakimś cudem udało jej się ją powstrzymać. Nabrała głęboko powietrza. Z zadowoleniem przyjęła rozproszenie uwagi w postaci funkcjonariuszki, która właśnie przyjechała, kobiety o krótkich blond włosach, ubranej w długą niebieską zimową kurtkę,

– Jestem posterunkowa Tania Hill, pełnię funkcję łączniczki rodziny – powiedziała, wyciągając rękę.

– Czego do tej pory dowiedziałaś się o sprawie? – spytała Erika.

– Właśnie widziałam ciało młodej dziewczyny. Nigdy nie widziałam tyle zamarzniętej krwi – powiedziała, stawiając kołnierz kurtki. – Najwyraźniej matka bardzo źle to przyjęła.

Niskie dochody, poważne problemy zdrowotne związane z alkoholem.

– Jest u sąsiadki. Cieszę się, że tu jesteś. Chciałabym z nią porozmawiać – powiedziała Erika.

Przeszły przez ulicę do eleganckiego domu z nowymi plastikowymi oknami i małym wybetonowanym placem w miejscu ogrodu. Erika zadzwoniła do drzwi. Otworzyła je drobna kobieta w średnim wieku ubrana w czerwony aksamitny dres i złote kapcie. Jej śnieżnobiałe włosy były starannie przycięte w stylu pixie, ale fryzura nie pasowała do pociągłej twarzy. W lewej ręce trzymała papierosa.

Erika się przedstawiła, a następnie obie z Tanią pokazały swoje odznaki.

– Jak się pani nazywa?

– A kto pyta? – spytała kobieta z niemal komediową defensywnością.

Miała głęboki, chrapliwy głos palaczki.

– Ja – odparła Erika.

– Nazywam się Joan Field.

– Czy możemy wejść?

Joan odsunęła się na bok. Ciemnoniebieski dywan w korytarzu był nieskazitelnie czysty. – Proszę zdjąć buty – dodała kobieta.

– Czy mogę mówić do pani „Joan”?

– Nie, wolałabym „pani Field”.

– Jestem łączniczką rodziny – przedstawiła się Tania i postawiła buty przy balustradzie. – Jestem tu w charakterze wsparcia, aby stanowić pomost między Mandy a policją.

Joan zmierzyła ją wzrokiem.

– Stanowić pomost? Co to za wymyślne określenie?

Tania zignorowała zaczepkę.

– Gdzie jest Mandy?

– W kuchni.

Poszły za gospodynią, minęły salon, w którym znajdował się ciężki trzyczęściowy komplet wypoczynkowy obity czerwonym aksamitem i mała srebrna choinka. Poza tym pomieszczenie było pozbawione wszelkich dekoracji i nie wyglądało na zamieszkane. Na tyłach domu znajdowała się niewielka kuchnia wychodząca na zaśnieżony ogród. Było czysto, ale ciasno. Sufit i ściany pożółkły od nikotyny. Zamrożony indyk, wciąż owinięty w folię, pływał w zlewie.

Matka Marissy Lewis, Mandy, była kobietą o potężnej posturze, ubraną w brudny różowy dres. Kiedy usiadła przy stole, jej ogromne pośladki zwisały po obu stronach drewnianego krzesła. Erika spojrzała na stare buty, które Mandy miała na sobie, rozcięte na środku, aby pomieścić spuchnięte stopy. Jej twarz była blada, a oczy przekrwione i zapłakane.

– Mandy Trent? – zapytała.

– Marissa nie była adoptowana. Płynie w nas jedna krew – powiedziała Mandy, widząc zaskoczenie Eriki jej wyglądem. – Nosiła nazwisko po ojcu, a ja swoje zmieniłam, kiedy on się odpierdolił… To po nim Marissa była szczupła. – Jej głos przepełniała gorycz.

– Rozumiem, że obie chcecie herbaty? – spytała Joan, podchodząc do czajnika.

– Tak, proszę – odparła Erika.

Tania skinęła głową i obie zajęły miejsce na krzesłach.

– Mandy. Jestem tu jako pani rodzinna łączniczka – powiedziała Tania, i położyła dłoń na jej ramieniu. – To będzie dla pani bardzo trudny czas, a ja mogę pani pomóc i wyjaśnić, co dalej.

Mandy zapaliła papierosa i wypuściła dym w twarz Tani.

– Co dalej? Chcecie mnie zabrać, żebym zobaczyła jej ciało? To była ona.

– Czy jest pani gotowa na udzielenie odpowiedzi na kilka pytań? – spytała Erika.

– Dziś rano, gdy wynosiłam śmieci, znalazłam ją przed drzwiami wejściowymi. Po prostu leżała cicha i nieruchoma, ale krew… Było jej tak dużo…

– Pamięta pani, która to była godzina?

– Po ósmej.

– Marissa z panią mieszkała? – spytała Erika.

– Tak. Odkąd skończyła szesnaście lat, płaciła mi za sprzątanie domu.

– Wie pani, gdzie Marissa była wczoraj wieczorem?

– Miała występ taneczny, ale nie mam pojęcia gdzie. Ma ich… miała, dużo. Była tancerką burleski, pracowała w klubach na całym West Endzie. Kilka wieczorów w tygodniu.

– I nic nie słyszała pani wczoraj wieczorem, nie słyszała pani jej powrotu do domu?

– Nie.

– A spodziewała się jej pani o konkretnej godzinie?

Mandy pokręciła głową.

– Wykonałam swoją robotę, wychowując ją, teraz jest już dorosła…

– O której godzinie poszła pani spać?

– Coś koło dziesiątej, tak mi się wydaje.

– I nic pani nie słyszała?

– Na przykład?

– Jakichś krzyków albo hałasów przed domem. Ryk silnika?

– Nie.

– Czy kiedy znalazła pani Marissę, jej klucz nadal był w drzwiach?

– Tak. Mówiłam o tym policji.

– Czy do dziesiątej wieczorem była pani w salonie?

– Tak, oglądałam telewizję. Jakieś bzdety. Kiedyś w Wigilię puszczali sensowne rzeczy.

– Jak długo Marissa pracowała jako tancerka? – zapytała Tania.

– Trzy albo cztery lata. Dobrze sobie radziła, zawsze miała rezerwacje. Choć nie zarabia… Nie zarabiała na tym zbyt dużo pieniędzy. Nie. Płaciła mi za utrzymanie domu, a trzy dni później pożyczała ode mnie te pieniądze.

– Taki zawód trochę kosztuje – zauważyła Joan, wyciągając kubki z szafki. – Rekwizyty, kostiumy, których używała do tańca. Duże wachlarze z piór, ozdoby na głowę. Przecież Mandy przeprowadziła się nawet do sypialni z tyłu domu, żeby córka miała miejsce na to wszystko, prawda?

– Tamten pokój jest obok toalety, poza tym tam też sprzątałam – wyjaśniła Mandy, jakby nie chciała, żeby zostało to zrozumiane jako miły gest.

Erika nie rozumiała, co się dzieje. Mandy wydawała się bardzo rzeczowa w kwestii śmierci Marissy.

Joan przyniosła im herbatę.

– Czy Marissa miała chłopaka na poważnie? – spytała Erika.

Mandy wypuściła dym papierosowy i zaśmiała się cicho i przeciągle.

– Wydawało mi się, że nigdy nie wytrzymali dostatecznie długo, by zasłużyć na miano poważnych. Wielu miejscowych chłopaków kręciło się wokół niej, miała też kilku adoratorów, którzy oglądali jej występy, kupowali prezenty…

Erika i Tania wymieniły spojrzenia.

– Nie mówi się źle o zmarłych, ale moja córka była prawdziwą szmatą. Sypiała z dwoma facetami z tej ulicy, obaj są żonaci. Pojawiali się różni mężczyźni, ale tych dwóch znałam.

– Kim oni byli? – spytała Erika.

– Don Walpole, mieszka z żoną pod czterdziestym szóstym. Marissa pieprzyła się z nim kilka lat temu, gdy miała szesnaście lat…

– Plotka głosi, że sypiał z nią jeszcze przed jej szesnastymi urodzinami – wtrąciła Joan i kiwnęła znacząco głową.

– Joan, Don Walpole nie tknąłby dziecka. Zrobił po prostu to, co zrobiłby każdy facet, gdyby zaoferowano mu deser na talerzu. Marissa bardzo szybko dojrzała, jeszcze przed czternastym rokiem życia wyglądała na dwadzieścia lat – powiedziała Mandy i odpaliła nowego papierosa od poprzedniego.

– A ten drugi żonaty mężczyzna? – Ivan… Jak mu tam…

– Stowalski – podpowiedziała Joan.

– Tak. Polak. Ma kilka funtów w banku, więc myślę, że dlatego go polubiła. Bo z pewnością nie dlatego, że jest przystojny. Wygląda na strasznie bladego i zmęczonego. Mieszka tu od kilku miesięcy.

– A wie pani, kiedy widziała się z nim po raz ostatni?

– Nie. Dzwonił kilka tygodni temu, ale nie wszedł do środka.

– Marissa pracowała w charakterze tancerki na pełny etat?

Mandy pokręciła głową.

– Nie. Przez kilka godzin w tygodniu opiekowała się też pewną starszą panią w Hilly Fields.

– Jak się nazywa?

– Elsa Fryatt – odparła Joan. – Ma dziewięćdziesiąt siedem lat. Bardzo elegancka, pomimo imienia Elsa. Mieszka w jednym z tych dużych domów z widokiem na pola.

– Marissa dostawała tam niezłą kasę – zauważyła Mandy. – Jedyne, co robiła, to zabierała ją na zakupy. Podpięła swoje ubezpieczenie pod samochód staruszki. Tak naprawdę to nie była to żadna opieka. Wydaje mi się, że Elsa po prostu lubiła mieć Marissę w pobliżu, tak jak kobieta lubi, kiedy facet jest trochę

szorstki. Moim zdaniem uważa zwykłych ludzi za całkiem zabawnych.

– A co z przyjaciółmi? – spytała Erika.

– Wydaje mi się, że większość jej przyjaciół już nie żyje. Nie słyszała pani? Ona ma dziewięćdziesiąt siedem lat.

– Miałam na myśli Marissę – uściśliła Erika.

Mandy wydmuchała dym i wzięła duży łyk herbaty.

– Dziewczyny, z którymi tańczyła burleskę, to banda dziwek, tak zwykła mawiać Marissa, ale miała przyjaciółkę, którą znała jeszcze ze szkoły. Pracuje jako fryzjerka, Sharon-Louise Braithwaite.

– Goldilocks Hair Studio?

– Tak.

– Czy mogę prosić o listę klubów, w których pracowała Marissa?

Dolna warga Mandy zadrżała, kobieta przetarła oczy.

– Cholera jasna, nie potrafię teraz trzeźwo myśleć, robienie list, używanie czasu przeszłego: pracowała, żyła…

– Załatwimy to później – zaproponowała Tania i dotknęła jej ramienia.

– Kiedy będę mogła wrócić do domu? – spytała Mandy i delikatnie się odsunęła.

– Cały czas pracują w nim oficerowie śledczy, żeby mieć pewność, że nikt nie przeoczył żadnych dowodów. Gdy tylko zakończą przeszukiwania, z pewnością damy pani znać – odparła Erika. – Czy chce pani, żeby Tania znalazła dla pani jakiś nocleg?

– Nie, zostanę tutaj, z Joan – odparła Mandy.

Joan skinęła głową, ale nie wyglądała na zachwyconą.

Rozdział 7

– I co o tym sądzisz? – zapytała Erika, stawiając kołnierz płaszcza, gdy razem z Tanią wyszły z domu Joan.

– Rozpacz ma różne oblicza – odparła Tania, a Erika zmarszczyła czoło.

– Daj spokój, nie wciskaj mi tu kitu. Przecież często widujesz pogrążonych w żałobie krewnych. Tutaj wyczuwało się tylko wrogość.

– Biła ona od nich obu, choć myślę, że Mandy była bardziej wrogo nastawiona niż Joan. To Mandy nosiła spodnie w tym domu i zwyczajnie nie lubiła swojej córki.

– Nie każda ofiara jest kochana przez swoich bliskich.

– Myślisz, że należy zaliczyć matkę do grona podejrzanych?

– Jak wszystkich. Chcę, żeby kryminalistycy sprawdzili jej ubrania i pobrali wymazy spod paznokci… – Erika skinęła na młodą policjantkę, która wyglądała na zaniepokojoną, gdy przechodziła przez ulicę w stronę bramy domu zamordowanej. – Jak się nazywasz?

– Kay Hornby, posterunkowa Kay Hornby, proszę pani – padła odpowiedź.

– Weź kogoś z CSI (Kryminalnego Biura Śledczego) i zapakuj z nim ubrania oraz pobierz wymazy spod paznokci od matki ofiary, Mandy Trent.

– Dobrze, proszę pani… Eee, mam w samochodzie zapasową parę trampek – powiedziała, patrząc na buty Eriki, które były przemoczone i wyglądały, jakby miały się zaraz rozpaść.

Erika spojrzała na czarne buty młodej kobiety.

– Jaki masz rozmiar buta?

– Szóstkę. To nie są śmierdzące trampki. Po prostu prowadzę w nich samochód. Tak tylko przyszło mi to do głowy, proszę pani. – Miała zmartwioną minę, tak jakby przekroczyła jakąś granicę.

– Dziękuję. Byłabym ci bardzo wdzięczna – rzekła Erika.

– Już po nie biegnę, proszę pani.

W kieszeni Eriki zawibrował telefon. Wyjęła go i ruszyła ulicą.

– Gdzie ty, u diabła, jesteś? – spytał Marsh. – Już prawie czwarta!

– Przepraszam. Zostałam wezwana na miejsce zbrodni. Młoda kobieta została zabita na progu swojego domu przy Coniston Road, niedaleko Crofton Park.

– Przecież nie masz dzisiaj dyżuru.

– Pomagam, bo wielu policjantów wzięło urlop na święta…

– Wiem!

– Wyjaśniam ci tylko, dlaczego tu jestem.

– Spodziewałem się ciebie na obiedzie.

– Wiem, przepraszam, ale nie przyjadę. Mam prezenty dla dziewczynek, podrzucę je później…

– Powiedziałem: spodziewałem się ciebie na obiedzie.

– To rozkaz, tak?

– Nie. Po prostu chciałem cię zobaczyć. Marcie i dziewczynki chciały cię zobaczyć.

Zapadła cisza, po czym Erika zdała sobie sprawę, że Marsh się rozłączył. Schowała telefon z powrotem do kieszeni, czując wyrzuty sumienia. Przeszła przez drogę do vana techników, gdzie Kay czekała już na nią z parą różowo-białych trampek.

– Dziękuję – powiedziała Erika.

– W butach są też skarpetki.

Erika zdjęła swoje zniszczone szpilki i przytrzymała się Kay, gdy zakładała skarpetki i trampki.

– Och, o wiele lepiej. Dziękuję.

Z vana wysiadł McGorry. Zauważył Kay, uśmiechnął się i uniósł brew.

– Jeszcze dzisiaj oddam ci buty – rzekła Erika.

– W porządku, zrobi to pani, kiedy będzie pani pasowało – odparła Kay, i wsiadła do vana, kiwając po drodze głową do McGorry'ego.

– Nie masz przypadkiem dziewczyny? – zapytała Erika, która zobaczyła, jak McGorry patrzył za Kay.

– Mam – odparł z lekką irytacją.

– Wiesz, nie każda młoda policjantka musi ulegać twoim wdziękom.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Przewróciła oczami.

– Dobra, bierzemy się do roboty.

Drzwi wejściowych pilnował funkcjonariusz policji. Ciało Marissy Lewis zostało usunięte z ogrodu przed domem, ale wielka kałuża zamarzniętej krwi pozostała. Ścieżka była odśnieżona, plamy krwi opatrzono małymi żółtymi numerkami.

W domu panował bałagan, meble wyglądały na przestarzałe, w powietrzu unosił się zapach wilgoci i smażonego jedzenia. W salonie stała malutka choinka, kuchnia była zawalona naczyniami i brudna. Schody prowadziły na obskurne półpiętro z opadającym sufitem. Na górze drzwi prowadziły do łazienki i dwóch sypialni. Erika i John założyli lateksowe rękawiczki. Sypialnia od frontu miała wykuszowe okno wychodzące na ulicę, na której pracowali teraz policjanci. Pokój wyglądał na świeżo pomalowany, był schludny i uporządkowany, z nowymi meblami i piękną narzutą w kwiaty. Przy jednej ze ścian stały trzy manekiny ubrane w pierzaste stroje, jeden był w czarnym gorsecie. Na półkach na przeciwległej ścianie leżało siedem peruk

na styropianowych głowach, na toaletce pod oknem piętrzyły się kosmetyki do makijażu. Rząd butów na wysokim obcasie w różnych kolorach stał starannie ustawiony przed pasującą do reszty mebli szafą.

– Czy ona opiekała pianki na gazowym ogniu? – zapytał McGorry, po czym podszedł do małego kominka i podniósł jeden z kilku opartych o ruszt cienkich metalowych prętów z poczerniałymi piankami.

– Myślę, że używa się ich do rozpalania ognia – zauważyła Erika, przyglądając się im.

Na ścianie wisiało kilka oprawionych zdjęć. Na pierwszym z nich Marissa leżała w ogromnym kieliszku do szampana, ubrana w prześwitującą różową bieliznę. Na innym miała na sobie czarne pończochy, pasy do pończoch i frędzle na sutkach i trzymała jeden z płonących prętów blisko ust. Ostatnim oprawionym zdjęciem był plakat reklamowy, na którym Marissa leżała na szezlongu w srebrnym gorsecie, otoczona umięśnionymi młodymi mężczyznami w bieliźnie. Ogromny nagłówek głosił:

NOC Z PANNĄ HONEY DIAMOND
14 LIPCA 2017 ROKU
BETHNAL GREEN KLUB DLA PRACUJĄCYCH MĘŻCZYZN

– To musi być pseudonim, pod którym występowała, panna Honey Diamond – zauważył McGorry.

Erika zauważyła kształt diamentu wyhaftowany złotą nicią na czarnym gorsecie na drugim manekinie.

– To logo jest takie samo jak na plakacie. Wyhaftowano je również na tych dwóch kostiumach – powiedziała, patrząc na pozostałe dwa manekiny.

– Diament dla panny Honey Diamond – dodał McGorry i pogładził haft palcem.

– Musimy sprawdzić, czy to jakaś marka odzieży, czy też przyszyto to później. A pierwsze, co musimy sprawdzić, łącznie z billingami telefonicznymi, to jej media społecznościowe.

– Śledczy stwierdzili, że w domu nie ma laptopa ani komputera – odparł McGorry. – Nie było też telefonu komórkowego i nie znaleziono go przy jej ciele.

– Czyli brakuje jej telefonu.

Erika podeszła do szafy, otworzyła ją i zobaczyła kolejne burleskowe stroje. Diamentowe logo było wyhaftowane na dwóch kolejnych stanikach. Było też trochę zwykłych ubrań: dżinsy, swetry, kilka „konwencjonalnych" sukienek i par butów. Do jednych z drzwi szafy przyczepiono kilka zdjęć Dity Von Teese wykonującej burleskę, a także jedno przedstawiające ją leżącą w gigantycznym kieliszku do martini. Ruszyli z powrotem na półpiętro, minęli zaniedbaną małą łazienkę, i przeszli do małej sypialni na tyłach domu. Był to jedynie skromnie umeblowany pokoik z pojedynczym łóżkiem i szafą. Na łóżku leżały worki z ubraniami i ręcznikami. Na parapecie leżała szczotka do włosów i krem do twarzy. Na kaloryferze leżały olbrzymie poszarzałe majtki.

– Jezu – powiedział McGorry, który podniósł je do góry.

Erika rzuciła mu ostre spojrzenie, ale się nie odezwała.

– Oddała najlepszą sypialnię dla Marissy i jej rzeczy?

– Powiedziała, że płaciła jej za dodatkowe sprzątanie.

– Nie wygląda na to, żeby tu spała.

Erika zauważyła, że plastikowe worki pokryte są warstwą kurzu.

– Powiedziała, że położyła się do łóżka około dziesiątej wieczorem.

– Może chodziło o to, że spała na kanapie? – zastanawiał się McGorry.

Wrócili na dół i poszli do salonu. Na sofie, pod wykuszowym oknem, leżały pognieciona kołdra i poduszka. Na podłodze poniewierała się pusta litrowa butelka po taniej wódce i dwie puste tuby po pringlesach.

– Nie wspomniała, że śpi na kanapie – zauważyła Erika.

Podeszła do okna. Było brudne od kurzu, skroplin oraz od krwi Marissy. Miało tylko jedną szybę, a przez spróchniałą ramę okna wpadał mroźny wiatr i bardzo wyraźnie słyszeli hałas z ulicy.

– Może była zbyt wkurzona, by pamiętać – wtrącił McGorry, wskazując pustą butelkę po wódce.

Erika usłyszała trzaśnięcie drzwi furgonetki i chrzęst śniegu, gdy ktoś przechodził drogą za żywopłotem. Zastanawiała się, czy zabójca czekał na swoją ofiarę.

– Ciekawe, czy Marissa miała szansę, by krzyknąć – powiedziała bardziej do siebie niż do McGorry'ego.

Rozdział 8

Erika i McGorry wrócili do policyjnego vana, gdzie grupa sześciu funkcjonariuszy zrobiła sobie krótką przerwę. Wszyscy rozmawiali, ale na widok Eriki zamilkli.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi – poprosiła.

– Przyjechało jedzenie, proszę pani – powiedział jeden z oficerów i wskazał stojący w rogu stolik, na którym znajdowały się termos i zapakowane kanapki.

– Dzięki. Jak się nazywasz? – spytała.

– Posterunkowy Rich Skevington, proszę pani.

Erika i McGorry wzięli po kanapce i napełnili papierowe kubki parującą kawą. W vanie panowała taka cisza, że odgłos napoju lejącego się do papierowego kubka wydawał się bardzo głośny. Erika się rozejrzała. Nie rozpoznała większości z policjantów, wszyscy wydawali się tacy młodzi.

– Kto może przedstawić mi wyniki rozmów z sąsiadami? – zapytała, odrywając folię od kanapki i biorąc kęs.

– Nie udało nam się porozmawiać z Donem Walpolem i Ivanem Stowalskim. Czekamy na numery ich telefonów komórkowych – powiedziała Kay, młoda funkcjonariuszka, która pożyczyła Erice buty.

– A co z resztą ulicy? Czy ludzie byli pomocni? – zapytała Erika, popijając suchą kanapkę łykiem kawy.

– Połowa domów jest pusta, ale mieszkańcy, którzy znali Marissę Lewis, wiedzieli o jej romansie z Donem Walpolem i o tym, że sypiała z Ivanem Stowalskim za plecami jego żony.

– Nie wiadomo, czy żona opuściła Ivana Stowalskiego – wtrącił Rich. – Ich sąsiadka, staruszka o paciorkowatych oczach, mówi, że na święta zawsze oboje wyjeżdżają na północ do jego rodziny. Szukaliśmy również telefonu komórkowego ofiary w ogrodach i koszach na śmieci, na wypadek, gdyby został wyrzucony, ale jak dotąd nic nie znaleźliśmy.

– A jak tam rozmowy w Estate?

– Właśnie wróciłem – powiedział inny młody funkcjonariusz. – Rozmawialiśmy ze standardowymi podejrzanymi. Kilku chłopaków powiedziało, że słyszeli o Marissie Lewis.

– Jak to „słyszeli o"? – zapytała Erika.

– Powiedzieli, że w przeszłości miała reputację miejscowej łatwej dziewczyny. To ich słowa, nie moje. Jeden z nich był notowany, odsiedział trzy lata za gwałt. Drugi był notowany za napaść i ciężkie uszkodzenie ciała. Obaj twierdzą, że mają alibi, byli poza domem do szóstej rano w klubie H20 w New Cross Gate. Powiedzieli nam, żebyśmy sprawdzili monitoring.

Erika przewróciła oczami.

– Haitch 20. Znam to miejsce. Straciłam już rachubę, ile razy prosiliśmy ich o monitoring. Dobra, niech ktoś się tym zaj… – Wzięła kolejny kęs kanapki. – Co do cholery jest w tych kanapkach? – spytała, przełykając.

– „Świąteczne kanapki na kolację", tylko to mieli na stacji benzynowej – zauważył Rich.

Erika wypluła kęs do opakowania.

– Dostrzegam sens indyka i żurawiny, a nawet farszu, ale kto, u diabła, wkłada do kanapki ziemniaki?

Erika wyrzuciła resztę do kosza. Rozejrzała się po zespole, który odwrócił wzrok, nie chcąc ryzykować jej gniewu. Każdy inny policjant w jej wieku wziął urlop, aby być ze swoją rodziną lub drugą połówką. Tęskniła za ciągłością pracy funkcjonariuszy, z którymi regularnie pracowała. Inspektorzy Moss i Peterson oraz

sierżant Crane. Przez chwilę zastanawiała się, czy mieli miłe święta. Cieszyła się, że miała przynajmniej McGorry'ego, który wciąż był względnym nowicjuszem. Jednak zgłosił się na ochotnika, ryzykując gniew swojej dziewczyny czekającej na niego w domu.

Nagle zadzwonił telefon. Nie znała tego numeru, więc wyszła z vana. Było już ciemno, a zimne powietrze kąsało ją w kark.

– Cześć, Eriko, tu Lee Graham.

– Cześć, wesołych Świąt – powiedziała.

– Nawzajem. Miałem pecha w losowaniu i siedzę w laboratorium.

Erika lubiła Lee. Był ekspertem do spraw kryminalistyki i komputerów w policji metropolitalne, i pracowali razem nad kilkoma sprawami. Trochę ze sobą flirtowali, ale nic więcej. Zastanawiała się teraz, czy był singlem, i czy to właśnie dlatego zdecydował się pracować w Boże Narodzenie.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – zapytała.

– Niestety nie jest to rozmowa prywatna. Zobaczyłem twoje nazwisko na pilnej prośbie o wywołanie filmu z aparatu.

– Tak. Jak szybko możesz to zrobić?

– Już to zrobiłem. Zeskanowałem zdjęcia i właśnie wysyłam je na twój służbowy mail. A papierowe kopie wyślę pocztą tradycyjną.

– Dziękuję. Będę musiała postawić ci kiedyś drinka.

– Mam nadzieję – odparł.

Usłyszała piknięcie telefonu.

– Właśnie dostałam twojego maila.

– Dobra, w takim razie już cię nie zatrzymuję. Wesołych Świąt – powiedział i się rozłączył.

Otworzyła wiadomość i przewinęła załączone zdjęcia. W większości zostały wykonane z drzewa rosnącego naprzeciwko

sypialni Marissy. Była to seria zdjęć zrobionych w nocy przez okno sypialni Marissy, na których była świeżo po prysznicu i miała na sobie ręcznik, a następnie była naga i zakładała bieliznę. Były też trzy zdjęcia zrobione z góry przedstawiające ciało Marissy leżące na śniegu. I jeszcze trzy pod niższym kątem, które wyglądały, jakby zostały zrobione na poziomie gruntu, blisko ogrodu, z przodu domu lub nawet w nim.

– Josephie Pitkin, ty kłamliwy gówniarzu – powiedziała Erika. Podeszła do frontowej bramy domu Marissy, gdzie zamarznięta krew w ogrodzie szybko pokryła się świeżym śniegiem. Spojrzała na drzewo, na jego grube, nagie gałęzie. – Czy to z tego miejsca stale ją szpiegowałeś? – Ponownie spojrzała na zdjęcia i zobaczyła, że na dole maila Lee dołączył wiadomość:

> *Właściciel tego aparatu używa filmu ILFORD DELTA 100 Professional 35 mm. Zdjęcia na takiej kliszy można przerabiać w ciemni. Lee.*

Już miała wracać do vana, gdy poczuła ostry zapach palonego plastiku. Rozejrzała się i zobaczyła, że na końcu alejki prowadzącej do domu Josepha Pitkina unosi się dym.

Szybko ruszyła w tę stronę, zapach stawał się coraz silniejszy. Gdy dotarła do tylnej ściany domu Pitkinów, widziała, jak gęsty czarny dym unosi się w powietrze zza linii wiecznie zielonych drzew. Weszła na kosz na kółkach – okazało się, że w pożyczonych trampkach jest to znacznie łatwiejsze – i podciągnęła się na mur. Przez drzewa widziała Josepha w długim płaszczu, skulonego nad płonącą beczką na olej. Na zaśnieżonej ziemi obok niego leżało pudełko z papierami. Część ich wziął i wrzucił do beczki, a w ciemne niebo uniósł się deszcz iskier i płomieni. Okna w domu za nim były ciemne, a jego postać oświetlał jedynie blask płomieni.

Erika opadła miękko na pas ziemi między murem a linią drzew, i przeszła dalej. Gdy zaczęła się zbliżać, Joseph usłyszał chrzęst jej

stóp na śniegu.

– Przestań robić to, co właśnie robisz. Natychmiast – rozkazała.

Złapał za szpadel oparty o beczkę z olejem, ale ona była szybsza i błyskawicznie mu go odebrała. Myślała, że będzie próbował uciekać, ale on osunął się na śnieg i schował głowę w dłoniach, a ona zadzwoniła po McGorry'ego.

Rozdział 9

– Wiele z tych zdjęć przedstawia Marissę – zauważyła Erika, przeszukując pudełko ze zdjęciami leżące na śniegu obok beczki z olejem.

Podniosła czarno-białe zdjęcie Marissy występującej w burlesce. McGorry zebrał kilka fotografii, które spadły na śnieg. Ogień w beczce przygasł, ale wciąż dawał ciepło w chłodny wieczór.

– Proszę, jakie piękne ujęcie! – powiedział McGorry, trzymając zdjęcie Marissy pozującej na scenie w majtkach i frędzlach na sutkach i zdejmującej zębami długą czarną rękawiczkę.

– Nie potrzebuję głupich komentarzy. Po prostu je zapakuj – odparła Erika.

Ponownie spojrzała na dom. W kuchni paliły się światła, a dwóch umundurowanych funkcjonariuszy stało nad Josephem, który siedział na krześle. Jeden z nich z nim rozmawiał, drugi robił notatki, a chłopak płakał.

– Myślisz, że te łzy są prawdziwe?

– To synuś mamusi – zauważył McGorry.

Joseph stracił panowanie nad sobą i zaczął szarpać się za włosy. Wstał, krzyczał na policjantów. Jeden z nich pchnął go brutalnie na krzesło, które prawie się przewróciło, i zaczął krzyczeć. Erika ściągnęła lateksowe rękawiczki i zapaliła papierosa. Nie udało im się nic uratować z beczki, w środku znajdowała jedna wielka poczerniała bryła. Erika musiała działać szybko i podjąć decyzję, czy chce zabrać Josepha na przesłuchanie. Powiedział im, że jego rodzice poszli do sąsiadów na szybkiego świątecznego drinka.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Zaciągnęła się głęboko papierosem i wtedy zadzwonił jej telefon. Przeszła na koniec ogrodu i zobaczyła, że to Marsh. Kiedy wyciszyła dzwoniący telefon i włożyła go z powrotem do kieszeni, przypadkowo upuściła zapalonego papierosa. Przetoczył się przez śnieg pod linię drzew. Wyjęła więc z powrotem telefon i włączyła latarkę, żeby go poszukać. Znalazła papierosa, wpadł pod jedną z wiecznie zielonych roślin, nadal się tlił. Zauważyła również, że na końcu rzędu roślin znajdował się niewielki kwadrat naruszonej ziemi. Wcześniej tego dnia go tu nie widziała. Zawołała do McGorry'ego, by przyniósł szpadel, który wciąż stał oparty o beczkę.

– Spójrz – powiedziała, gdy do niej dołączył. – Gdy rano przeszliśmy przez mur, ta ziemia nie była naruszona. Zacznij kopać. – Skierowała światło na ziemię, a McGorry zabrał się do pracy.

Po dłuższej chwili odkrył coś małego i brudnego, owiniętego w folię. Erika założyła nową parę lateksowych rękawiczek i przykucnęła obok dołka. Strzepnęła ziemię i delikatnie zaczęła odwijać kilka warstw plastikowych torebek, przekonana, że znajdzie haszysz. Ale ostatnia warstwa plastiku odsłoniła iPhone'a z różową, wysadzaną ozdobnymi kamieniami obudową. Z tyłu przezroczyste kryształki Swarovskiego układały się w napis „Marissa".

– O, cholera – powiedział McGorry.

– Właśnie. Bierzemy go na przesłuchanie – wtrąciła Erika.

Sprawdziła, czy iPhone jest wyłączony, i wsunęła go do przezroczystej torby na dowody.

Weszli do domu i ruszyli prosto do kuchni. David i Elspeth Pitkin właśnie wrócili.

– Dlaczego państwo ponownie wtargnęli na naszą posiadłość? – spytał David, wciąż ubrany w gruby zimowy płaszcz i szarą czapkę.

Elspeth podeszła do Josepha i zaczęła przyglądać się jego zalanej łzami twarzy.

– Co oni ci zrobili? – spytała.

Wpatrywał się w nią pustym wzrokiem.

– Państwo Pitkin. Mam nadzieję, że spędzili państwo miły wieczór? – spytała Erika i uroczo się uśmiechnęła.

David się do niej odwrócił.

– O co chodzi?

– Pański syn palił zdjęcia ofiary morderstwa w pańskim ogrodzie.

Elspeth spojrzała na męża, ale on ją zignorował.

– Robienie zdjęć nie jest nielegalne, już to przerabialiśmy, pani inspektor Foster.

– Kradzież telefonu komórkowego z miejsca przestępstwa, a następnie zakopanie go w ogrodzie, jest nielegalne. – Erika podniosła komórkę, która teraz znajdowała się w torbie z dowodami. – Nazywa się to ukrywaniem dowodów.

– Skąd mamy wiedzieć, że to nie pani go tam schowała! – wrzasnęła zdenerwowana Elspeth.

Erika skinęła na dwóch umundurowanych funkcjonariuszy.

– Josephie Pitkin, aresztuję cię pod zarzutem ukrywania dowodów…

– NIE, NIE, NIE MOJEGO SYNKA! – krzyczała Elspeth i rzuciła się na policjantów.

– …Ukrywania dowodów związanych z dochodzeniem w sprawie morderstwa. Masz prawo zachować milczenie, ale możesz utrudnić swoją obronę, jeśli podczas przesłuchania nie powiesz czegoś, o czym będziesz później chciał powiedzieć

w sądzie. Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane jako dowód.

– Całą wczorajszą noc był z nami! Nigdzie nie wychodził! – upierała się Elspeth i wyciągnęła rękę do syna.

Jeden z funkcjonariuszy przesunął ją na bok i skuł Josephowi ręce na plecach.

– Nie dotykaj mnie! Nie atakuj mnie! – krzyczała kobieta.

David przyglądał się temu wszystkiemu ze spokojem, jego twarz była popielata.

– Panowie, proszę, mój syn jest bardzo wrażliwy – powiedział.

– Weźcie jego telefon – nakazała Erika.

Jedna z funkcjonariuszek sięgnęła do płaszcza Josepha i wyciągnęła smartfon. Podała go Erice, która go wyłączyła i włożyła do przezroczystej torby na dowody.

– Ten dom ma zostać gruntownie przeszukany. A ponieważ doskonale zna pan prawo, panie Pitkin, zgodzi się pan co do tego, że pański syn dał mi wystarczający powód do przeszukania bez nakazu.

– Proszę! Nie zamykajcie go. Proszę! – wrzeszczała Elspeth.

Gdy wyprowadzano Josepha, David musiał ją trzymać.

Rozdział 10

Pomieszczenie aresztu na posterunku policji Lewisham Row znajdowało się w piwnicy, oddzielone od pozostałej części budynku grubymi stalowymi drzwiami. Erika pracowała w policji wystarczająco długo, by pamiętać, że kiedyś takie miejsce nazywało się celą. Jednak wymyślne określenie nie ukrywało faktu, że była to wilgotna i przygnębiająca część posterunku: wąski korytarz, w którym znajdowały się duże stalowe drzwi pomalowane na głęboki groszkowozielony kolor.

Służbę miał właśnie sierżant Ray Newton. Był niskim, pulchnym, łysiejącym policjantem z gęstym wąsem i już na nich czekał, gdy Joseph został doprowadzony do biurka przez dwóch umundurowanych funkcjonariuszy.

– Został już przeszukany – powiedziała Erika. – I czekamy na informacje o adwokacie.

– No dobrze, młody człowieku – powiedział Ray, wyciągnął podkładkę do notowania i podał mu długopis przymocowany do biurka grubym kawałkiem sznurka. – Musimy wypełnić kilka dokumentów, więc funkcjonariusze zdejmą ci kajdanki. Nie chcę tu żadnych problemów. Jeśli będziesz mnie dobrze traktować, odwzajemnię się.

Nastrój Josepha gwałtownie się zmienił, młody mężczyzna zaczął się rzucać, choć nadal miał ręce skute z tyłu.

– Wy! Wy jebane pizdy! – krzyknął, próbując odwrócić się i zobaczyć Erikę i McGorry'ego.

– Dość tego! – powiedział Ray.

– Oni mnie wrobili! Ja nic nie zrobiłem! NIC!

– Zostawimy go z tobą – powiedziała Erika i dała McGorry'emu znak do wyjścia.

Weszli po schodach, przeszli przez grube drzwi, i znaleźli się w głównej części posterunku. Zatrzymali się przy schodach, koło automatów.

– To pierwszy raz, kiedy zostałem nazwany słowem na „P" w Boże Narodzenie – zauważył McGorry.

– Człowiek od razu czuje doniosłą i świąteczną atmosferę, co? Jak przy kominku z kubkiem jakiegoś ciepłego napoju.

– Chcesz pozwolić mu pocić się w celi przez noc? – spytał McGorry.

– Chcę poczekać do rana, żeby go przesłuchać – poprawiła go Erika. – Kay pracuje na piętrze nad odblokowaniem telefonów.

Po chwili zadzwonił jej telefon i odbyła krótką rozmowę z jednym z funkcjonariuszy w domu Pitkinów.

– Znaleźli na piętrze improwizowaną ciemnię w małej szafce w pokoju Josepha, ale nie było tam żadnych zdjęć – powiedziała, gdy się rozłączyła.

– Spalił je, zanim go dorwaliśmy – zauważył McGorry.

– Kay jest przeszkolona w zakresie sprawdzania urządzeń elektronicznych pod kątem kryminalistycznym. Zanim go przesłuchamy, chcę wiedzieć, co znajduje się na jego telefonie i Marissy. Mam nadzieję, że coś się tam znajdzie.

– Trochę dziwna ta rodzina, prawda? Te wyższe sfery zawsze są specyficzne. Czy on naprawdę był na tyle głupi, by zakopać telefon, i to jeszcze ze spersonalizowanym etui Marissy?

– Nigdy nie przewidzi się stopnia czyjejś głupoty. Chcę również porównać odciski jego palców z tymi na plastikowym pojemniku na film do aparatu, który znaleźliśmy w alejce.

– A co z tymi wszystkimi zdjęciami Marissy Lewis? Myślisz, że wiedziała, że je robił? – spytał McGorry.

– Pewnie po prostu kupił bilet na jej występ.

– Więc po co zaczął je palić?

Zmęczona Erika pokręciła głową.

– Musimy potwierdzić, że telefon był zarejestrowany na Marissę, i sprawdzić, czy damy radę uzyskać więcej informacji na temat Josepha. Czy był notowany i tak dalej. – Wybrała kawę i milczeli, gdy kubek zaczął się napełniać. – Mandy Trent wyraziła się dość jasno na temat tego, z kim Marissa była związana. Nie wspomniała o Josephie. Poproszę Tanię, która pomaga rodzinie, żeby zapytała ją jeszcze raz – powiedziała i wzięła kubek z dystrybutora.

– Mamy za mało dowodów, by oskarżyć go o morderstwo. No i przecież ma alibi – zauważył McGorry.

– Zapewnione przez matkę.

– Nie mamy żadnych podstaw, by twierdzić, że zeszłej nocy był na miejscu zdarzenia.

– Jeszcze. Jeszcze nic nie mamy. Ale czeka nas sekcja zwłok i techniki śledcze, więc piłka wciąż jest w grze.

McGorry ziewnął, wrzucił monety do automatu i wybrał kawę. Gdy jego kubek się napełniał, Erika przyjrzała się zmęczonej twarzy swego współpracownika.

– Powinieneś jechać do domu i odpocząć. Chcę, żebyś przyjechał na przesłuchanie jutro rano.

Oboje napili się kawy, a potem wypluli ją z powrotem do kubków.

– Co to, u diabła, jest?

– Zupa ogonowa – skrzywił się McGorry.

– Na pewno wybrałeś kawę?

– Tak.

Wrzucili kubki do niewielkiego kosza przy automacie. Erika włożyła więcej drobnych i wybrała białą kawę. Po wyjęciu kubka

z napojem najpierw go powąchała.

– To też jakiś cholerny syf. Zamykają stołówkę i zostawiają nas tylko z czymś takim!

– Musieli źle napełnić maszynę – zauważył McGorry.

Erika przewróciła oczami i wrzuciła drugi kubek do kosza.

– Co jest z tym krajem? Kanapki z ziemniakami i cholerna zupa ogonowa zamiast kawy! Nigdy nie spotkałam nikogo, kto rzeczywiście jadłby zupę ogonową, a jednak w świecie drugorzędnych automatów do kawy jest to trzecia opcja po herbacie i kawie!

– Można to kupić w puszkach…

– Co?

– Zupę ogonową. Moja babcia ma szafkę pełną takich puszek. Uwielbia ją.

Erika spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

– No dalej, leć do domu, zjedz świąteczną kolację. Zobaczymy się jutro – powiedziała.

Erika udała się do swojego biura na czwartym piętrze. Było niewielkie, ledwo mieściły się w nim małe biurko, krzesło i regał z książkami. Kay pracowała przy laptopie, do którego podłączony był smartfon Josepha.

– Przepraszamy, ekspres do kawy się zepsuł, a w kuchni dla personelu nie ma żadnych zapasów – powiedziała Erika. – Jak ci idzie?

– iPhone jest chroniony hasłem. Będziesz musiała wysłać go do jednostki ds. cyberprzestępczości, ale możliwe, że nawet im nie uda się dostać do zawartości komórki. Włamanie się do iPhone’a jest praktycznie niemożliwe. Z numeru IMEI wynika również, że był to telefon na kartę.

– Co sprawi, że bilingi będą trudniejsze do odnalezienia. Cholera.

– Dobra wiadomość jest taka, że smartfon Josepha Pitkina nie jest chroniony hasłem. – Kay wskazała okno na ekranie ze wszystkimi pobranymi plikami. – Właśnie ściągnęłam mnóstwo plików wideo.

Nastrój Eriki natychmiast się poprawił. Przysunęła sobie krzesło do biurka. Kay zaczęła klikać w kolejne pliki graficzne i wideo. Niektóre były bardzo krótkie: pręgowany kot w letni dzień rozciągający się na parapecie przed sypialnią Josepha, inny przedstawiał Elspeth z czerwoną twarzą, wyjmującą z piekarnika ogromny, pleciony bochenek chleba na tacy, na kolejnym widać było pręgowanego kota w ogrodzie wśród doniczek z kwiatami, goniącego za rusałką admirałem w ten zabawny i jednocześnie zabójczy koci sposób.

– Cała zawartość jest bardzo urocza – zauważyła Erika.

Kiedy Kay włączyła następny film, z komputera wydobył się dźwięk, pod wpływem którego obie podskoczyły. Rozległy się hałaśliwe, fałszywe dźwięki, film najpierw był rozmazany, ale potem się wyostrzył. Marissa Lewis występowała na małej scenie w zatłoczonym klubie. Za nią znajdowała się czerwona aksamitna kurtyna. Wideo zostało nakręcone z miejsca nieco dalej na widowni, widoczne były głowy niektórych widzów. Marissa ułożyła swe ciemne włosy w loki, jej makijaż składał się z jaskrawoczerwonej szminki i doklejonych długich rzęs. Powoli rozpinała guziki długiego czarnego płaszcza, po czym pozwoliła mu opaść na podłogę. Pod spodem miała na sobie różowy gorset z jedwabnej satyny w stylu lat pięćdziesiątych, pończochy, pasy do pończoch i wysokie szpilki. Gdy wykonywała swój taniec, rozbierając się do majtek i frędzli na sutkach, film trochę drżał. Marissa ukłoniła się przy aplauzie i zeszła ze sceny.

– Kurczę, niezła była – zauważyła Kay.

– Myślałam, że jej występ będzie tandetny, ale to była profesjonalna burleska – dodała Erika.

Przejrzały zdjęcia z tego samego wieczoru, na których Joseph stał z Marissą pomiędzy stolikami w klubie. Pozowali do aparatu, czyli zdjęcie musiał robić ktoś inny.

– Myślisz, że Marissa go znała? – zapytała Erika, gdy Kay otwierała po kolei sześć niemal identycznych zdjęć: Joseph obejmował Marissę w talii.

– Wygląda jak przerażający fan, którego chciałabyś się pozbyć. Po co mu aż sześć zdjęć? Na szóstym ona wygląda, jakby chciała uciec – zauważyła Kay.

– Kiedy je zrobiono?

– Niemal rok temu. W styczniu ubiegłego roku.

Kay przejrzała więcej zdjęć z tego samego wieczoru, na których Marissa rozmawiała z innymi gośćmi i pozowała do zdjęć, a potem kilka rozmazanych, gdy szła do baru. Potem sceneria się zmieniła. Kilka następnych zdjęć było ciemnych, doświetlonych lampą błyskową.

– Kiedy to zrobiono? – zapytała Erika.

– Wygląda na to, że tego samego dnia.

– To chyba za kulisami.

Były tam zdjęcia z miejsca, które wyglądało jak garderoba. Była pusta, z dużym, otoczonym lampkami, lustrem. Zobaczyły zbliżenia na stojak z burleskowymi strojami, na podłodze leżała para koronkowych czarnych majtek. Jakaś ręka podniosła je i przytrzymała przed kamerą. Na materiale znajdował się symbol diamentu.

– Honey Diamond – powiedziała Erika. – Ten symbol diamentu był wyhaftowany na kostiumach burleski Marissy.

Nagle zobaczyły film z domu Marissy Lewis. Nagranie zostało zrobione wysoko, w nocy, ktoś nagrywał z miejsca nad sypialnią

Marissy. Na początku film trochę drżał, wiatr zniekształcał dźwięk. Marissa weszła do sypialni, miała na sobie ręcznik. Podeszła do toaletki, wzięła z niej szczotkę, zaczęła czesać mokre włosy. Wtedy dziewczyna zdjęła ręcznik i stała naga. Ktoś zrobił zbliżenie i film stracił ostrość. Kiedy znowu ją odzyskał, Marissa wyglądała przez okno, wprost na kamerę.

– Cholera – rozległ się głos Josepha, zagłuszający wiatr.

Cały czas kierował kamerę w stronę młodej kobiety. Stała w bezruchu, rozglądała się. Następnie objęła swoje piersi, zjechała dłońmi w dół. Zatrzymała je nad włosami łonowymi, pogroziła palcem i zasunęła zasłony. Kamera zatrzymała się na chwilę na zasłonach, za którymi świeciło światło, po czym film się skończył.

– Wiedziała, że Joseph ją obserwuje? – spytała Kay.

– Wiedziała, że ktoś ją obserwuje – odparła Erika.

Kay włączyła inny film, który pokazywał ten sam widok w nocy. Tym razem sypialnia Marissy była jasno oświetlona, a kobieta weszła do pokoju z wysokim, starszym mężczyzną. Marissa zaprowadziła go do okna i dopilnowała, by kamera uchwyciła jego twarz. Kay przewinęła film do przodu, gdy przenieśli się na łóżko, zaczęli się całować i rozbierać. To był najdłuższy film na telefonie, trwał w sumie dziesięć minut i ukazywał z przybliżenia parę uprawiającą seks na łóżku.

– Musimy uzyskać wyraźny obraz twarzy tego człowieka i dowiedzieć się, kim on jest. Kiedy to nagrano?

– Czternastego grudnia tego roku. Myślisz, że wiedziała, że są nagrywani?

– Albo poprosiła Josepha o filmowanie – powiedziała Erika. Przetarła zmęczone oczy i wyprostowała się na krześle. – Jakie masz o nim zdanie?

– Przez ten krótki czas, gdy tam byłam? Wydawał się przestraszony, ale bardzo mocno związany z matką.

– Jak dotąd odhaczają się wszystkie jego cechy. Miał obsesję na punkcie Marissy. Prześladował ją i szpiegował. Ukradł jej telefon, sfotografował jej martwe ciało. Ale potrzebuję więcej dowodów kryminalistycznych. Jeśli chcę go naprawdę złapać i aresztować, potrzebuję dowodów DNA.

*

W areszcie śledczym w piwnicy Lewisham Row panowała cisza. Długa kolejka drzwi do cel była otwarta, gotowa i czekająca na wszystkich przestępców, których czekała tu noc Bożego Narodzenia. Jedynie drzwi celi na drugim końcu korytarza były zamknięte. Ray, sierżant aresztu śledczego, wstał od biurka i poszedł przeprowadzić piętnastominutową kontrolę. Jego wypolerowane buty skrzypiały na podłodze. Otworzył metalową klapę na zamkniętych drzwiach i zaświecił latarką do środka. Joseph Pitkin leżał na łóżku w kącie.

– Wszystko w porządku, chłopcze? – spytał Ray.

Joseph odsunął się i odwrócił do ściany.

– Tak, świetnie – mruknął.

Wzdrygnął się, gdy metalowa klapa się zatrzasnęła. Przesunął się w ciemności, próbując ułożyć się wygodnie na nagim łóżku, po jego policzkach spływały łzy.

Rozdział 11

Pięć kilometrów dalej, w Sydenham, zimny wiatr hulał po Walpole Road, przyciskając śnieg w zaspach do ścian szeregowych domów. Diana Crow wyszła z domu swojej przyjaciółki Fiony tuż po jedenastej wieczorem i skuliła się pod wpływem zimna. Nie zamierzała tak długo siedzieć, ale Fiona koniecznie chciała obejrzeć z nią końcówkę świątecznego filmu.

Diana spuściła głowę i ruszyła ciemną, zaśnieżoną ulicą w kierunku głównej drogi. Pomimo chłodu jej twarz była gorąca po czterech kieliszkach słodkiej sherry. Poczekała, aż mały fiat przejedzie obok, następnie przeszła przez ulicę. Śnieg sypał przez cały dzień, chodnik i ulica zlewały się w jedno. Ostrożnie przeszła na drugą stronę i zwolniła, szukając w śniegu miejsca, gdzie rozpoczynał się krawężnik. Weszła na chodnik i zadrżała. Wokół panowała idealna cisza. Świeciło się w każdym oknie, ale zasłony były zasunięte. Do domu miała tylko kilka minut spacerem. Fiona kazała jej wezwać taksówkę, ale Diana uznała, że to zbyt duża ekstrawagancja, przecież nie będzie płacić ogromnej kasy za trzydziestosekundowy przejazd do miejsca trzy ulice dalej.

Latarnia przed stacją metra się nie paliła, krótkie podejście do stacji spowijała ciemność. Na drodze nie było teraz żadnych samochodów, Diana przyspieszyła, zbliżając się do przejścia podziemnego. W powietrzu panowała wilgoć, wyczuwała nieprzyjemny zapach moczu. Postawiła klapy płaszcza, by zasłonić usta. Chodnik w przejściu podziemnym był suchy, jej kroki odbijały się echem, zakłócając ciszę. Druga strona przejścia, oświetlona pomarańczową latarnią uliczną, wydawała się odległa.

Przyspieszyła kroku, i już prawie dotarła do światła, gdy jedna z ciemnych ścian nagle się wybrzuszyła. Wysoka postać wysunęła się z cienia i zastąpiła jej drogę.

Diana zatrzymała się, nie będąc w stanie się poruszyć. Później zadawała sobie pytanie, dlaczego nie odwróciła się i nie uciekła – znajdowała się jakieś sześćdziesiąt sekund od drzwi swojego domu – i dlaczego nie walczyła lub nie wzywała pomocy? Zamiast tego stała sparaliżowana strachem, gdy wysoka postać podeszła bliżej. Górowała nad nią. Poruszała się z cichym skrzypieniem, a gdy oczy Diany przyzwyczaiły się do ciemności, zobaczyła, że postać ma na sobie maskę przeciwgazową. Dwa duże otwory na oczy były puste, a gumowy materiał był naciągnięty na głowę niczym kaptur. Z dużego otworu na usta wydobywała się para. Wokół namalowano białe kwadraty, które wyglądały jak groteskowe, uśmiechnięte usta. Od napastnika czuć było słaby chemiczny zapach, jego oddech przyspieszył, a ona nagle zobaczyła, że agresor ma rozpięty płaszcz i masturbuje się dłonią w rękawiczce.

Diana otworzyła usta, by zawołać o pomoc, ale on złapał ją za gardło i przygniótł do zimnych cegieł, a jego wielka dłoń w skórzanej rękawicy zacisnęła się na jej szyi. Wokół panowała cisza, a ona dławiła się i krztusiła, czując, że traci przytomność. Gdy zrobiło jej się ciemno przed oczami, rozluźnił uścisk na tyle, by mogła nabrać powietrza, po czym ponownie zacisnął dłoń.

Na chodniku przed przejściem podziemnym nadal było pusto. Padał śnieg. Wokół panowały cisza i spokój.

Rozdział 12

Erika bardzo późno wróciła do swojego zimnego mieszkania. Mieszkała tu już od dwóch lat, ale nadal nie miała pojęcia, w jaki sposób działa wyłącznik czasowy bojlera. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła po wejściu, było włączenie ogrzewania. Zdjęła płaszcz dopiero gdy zrobiło się ciepło. Następnie wzięła gorącą kąpiel, tak gorącą, że ledwo ją zniosła. Wrzątek pomógł jej zapomnieć o pracy, ale mimo wszystko nie potrafiła zapomnieć widoku leżącego na śniegu ciała Marissy Lewis. Miejsce zbrodni zawsze opowiada jakąś historię, a mały ogródek przy Coniston Road opowiadał o brutalnej walce. Ogromna ilość krwi, która pokrywała ciało Marissy, i otaczający ją śnieg. Jej leżący nieopodal but, torebka, której zawartość wysypała się na śnieg, klucze dyndające w zamku w drzwiach wejściowych. Czy gdyby Marissa dotarła do drzwi kilka sekund wcześniej, byłaby w stanie przekręcić klucz i bezpiecznie wejść do środka?

Dla Eriki była to walka, równowaga między odczuwaniem smutku z powodu ofiary morderstwa, a próbami odcięcia się od tego. Aby zachować zdrowy rozsądek, łatwiej było odczłowieczyć martwe ciało i myśleć o osobie jak o przedmiocie: rzeczy lub dowodzie. Erika nigdy nie potrafiła tego zrobić, tak samo, jak nie umiała wrócić z pracy do domu i prowadzić normalnego życia. Nie miała do kogo wracać. Od śmierci Marka była zaangażowana w związek ze swoim kolegą, detektywem inspektorem Jamesem Petersonem, i przez pewien czas to do niego wracała – a dokładniej szła do niego do mieszkania, oglądali telewizję, jedli zamówione żarcie i się śmiali. Potem Peterson został ciężko ranny na służbie:

postrzelono go w brzuch na służbie Eriki w kulminacyjnym momencie sprawy uprowadzenia i morderstwa. Jego późniejsza walka o powrót do zdrowia i pracy wbiła między nich klin. To był nieudany koniec obiecującego związku. I znów została sama. Czekały ją niekończące się wieczory sam na sam z własnymi myślami.

W jej głowie pojawił się obraz zęba Marissy Lewis wbitego w ceglany słupek bramy. Zamknęła oczy, ale wciąż tam był: odłamany blisko dziąsła i umazany smugą czerwonej szminki. Erika otworzyła oczy i dolała gorącej wody do wanny. Jej zwykle blade nogi były wściekle czerwone od gorąca. Oczami wyobraźni widziała zakrwawione nogi Marissy na zdjęciu zrobionym z drzewa oraz fałdy jej długiego zimowego płaszcza, rozchylone na śniegu. A potem zobaczyła miejsce zbrodni i Isaaca kucającego obok ciała. Cienki materiał sukienki podciągnął się i odsłonił bieliznę Marissy. Była nieskazitelnie czysta. Nie było krwi, a przez materiał prześwitywał pasek schludnie przyciętych włosów łonowych.

Erika wyciągnęła korek z wanny, wyszła i owinęła się ręcznikiem. Pospiesznie przeszła do salonu, gdzie na stoliku leżał laptop i akta sprawy. Światła były zgaszone, zasłony wciąż rozsunięte. Znowu zaczął padać śnieg. Gdy uderzał w szybę, rozlegał się cichy szelest. Podeszła do komputera i przejrzała zdjęcia zrobione przez Josepha. Najpierw te wysoko z drzewa, potem zbliżenia.

– Ty chory gówniarzu – mruknęła, przełączając się między dwiema różnymi perspektywami i przybliżając obraz. – Gdy zszedłeś z drzewa, podciągnąłeś jej sukienkę…

Nagle zadzwonił jej telefon, aż podskoczyła. Spojrzała na zegar i zobaczyła, że jest tuż po dwudziestej trzeciej. To był Edward, chciał spytać, czy smakował jej obiad.

– Nie pojechałam wreszcie. Wezwano mnie na miejsce zbrodni – wyjaśniła. – Bardzo smutna sprawa. Młoda dziewczyna została zamordowana na progu swojego domu.

– Och. Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie bardzo. To zbyt mroczna i makabryczna historia jak na Boże Narodzenie. Miałeś miły dzień?

– Jak się okazało, wziąłem udział w niezłej imprezie – zaśmiał się. – Kelly z sąsiedniej ulicy wpadła ze swoją matką, Shirley. Przyniosły dużą lasagne i Monopoly. Manchester Monopoly. Zgadnij, jaka ulica jest tam najdroższa?

– Coronation Street?

– Nie. Też tak myślałem. To Lowry na Salford Quays. To ta sama cena co Park Lane w wersji londyńskiej. Nie wydaje mi się, by można było wygrać w Monopoly, jeśli nie wyda się fortuny na najlepszą nieruchomość.

– Słuchałeś samego siebie? Z twoich ust padają takie słowa jak „nieruchomości".

– Dlatego właśnie wygrałem. Byłem prawdziwym małym potentatem!

Brzmiał normalnie, w niczym nie przypominał zdezorientowanego staruszka, którym był jeszcze tego dnia rano. Erika usłyszała grający w tle telewizor.

– Cieszę się, że miałeś miły dzień – powiedziała.

– Właśnie wróciłem z mieszkania. Padał śnieg, ale na wzgórzach było jasno i świecił księżyc. Czy to dobrze, że pomyślałem, że jest piękny?

– Dobrze.

– Nie chciałem, żeby Mark był sam w Boże Narodzenie… – Jego głos zaczął drżeć i się łamać. – Tak trudno mi znieść fakt, że go tu nie ma.

– Wiem – odpowiedziała i otarła łzy.

– Ale nic nie możemy na to poradzić, prawda?

– Nie.

Zapadła długa cisza, w tle przerywana cichym śmiechem z telewizora Edwarda.

– Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie, i życzyć ci dobrej nocy.

– Dziękuję.

– Wesołych Świąt. Niedługo zadzwonię.

– Cześć, wesołych Świąt – powiedziała.

Śmiech w telewizorze ucichł, a Erika wróciła do ciszy swojego mieszkania. Śnieg nadal padał w okna. Zasunęła zasłony i zapaliła światła. Jej telefon zadzwonił raz jeszcze. Tym razem to była Kay.

– Przepraszam, że tak późno, proszę pani, ale znalazłam coś na telefonie Josepha Pitkina pośród innych plików.

– W porządku. Nadal pracujesz? – zapytała zdziwiona Erika.

– Właśnie przeglądałam pobrane pliki i ustaliłam, że kilka z nich wykasowano. Część udało mi się odzyskać. Są niepokojące.

– Pornografia?

– Nie. Zdjęcia i wideo Josepha. Właśnie je wysyłam.

Erika rozłączyła się i otworzyła maila. Było sześć zdjęć. Joseph był nagi, leżał na plecach i był przymocowany skórzanymi pasami do drewnianego stołu za szyję, ramiona i uda. Miał przekrwione oczy, otwarte szeroko z przerażenia. Dłoń nieznanego mężczyzny chwyciła go za gardło i sprawiła, że ścięgna na jego szyi się napięły. Erika włączyła film. Przedstawiał on tę samą scenę co zdjęcia i wyglądało na to, że został zrobiony telefonem komórkowym.

– Proszę, proszę! Puść mnie. Nic nie powiem. Nie powiem! – błagał Joseph, mrużąc oczy pod wpływem ostrego światła lampy w telefonie.

– Nie powiesz. Czy chcesz, aby ten film został wysłany do wszystkich twoich znajomych? – spytał jakiś głos.

Został zniekształcony. Ręka pojawiła się, chwyciła genitalia Josepha i zaczęła je wykręcać. Mężczyzna wrzeszczał z bólu.

– Mam twój adres – powiedział głos. – Mam twój telefon. Jeśli powiesz cokolwiek, wyślę to do wszystkich twoich kontaktów… Przyjaciół. Rodziny. Wszystkich.

Potem kamera się przesunęła i pokazała stół z rzędem zabawek erotycznych. Tajemnicza ręka podniosła największą z nich i wróciła do Josepha, który próbował zacisnąć uda, ale były one rozłożone i przywiązane do stołu.

– NIE! – wrzeszczał. – NIE!

Erika wyciszyła dźwięk i zmusiła się do obejrzenia reszty filmu.

Rozdział 13

Erika przybyła na posterunek policji Lewisham Row tuż po godzinie ósmej rano. Prace budowlane wokół centrum Lewisham, które rozpoczęły się, gdy została po raz pierwszy przydzielona do komisariatu z południowego Londynu, były prawie zakończone. Kilka wieżowców z luksusowymi apartamentami przyćmiło ośmiopiętrowy posterunek policji. W śnieżny poranek żurawie nadal stały, na jednym z nich znajdowała się świecąca kolorowo choinka.

Erika miała za sobą bezsenną noc. Cały czas prześladowały ją obrazy przedstawiające Josepha. Na zdjęciach wyglądał na ofiarę, ale i tak musiała przesłuchać go pod kątem jego roli w morderstwie Marissy Lewis, a przecież nadal brakowało jej tylu informacji: wyników sekcji zwłok, badań DNA. Nie znaleziono też jeszcze narzędzia zbrodni. Erika czuła się z tym podle, wiedziała jednak, że być może uda jej się wykorzystać zdjęcia Josepha.

O dziewiątej rano dwaj umundurowani funkcjonariusze wprowadzili Josepha do pokoju przesłuchań numer jeden. Nie założyli mu kajdanek. Był blady i miał podkrążone oczy. Razem z nim wszedł adwokat o zapuchniętych oczach ubrany w drogi garnitur w prążki. Nie wyglądał na szczęśliwego, że został wezwany do pracy w Boxing Day. Przedstawił się jako Henry Chevalier i usiadł obok Josepha.

Erika siedziała po przeciwnej stronie stołu z równie zmęczonym McGorrym, któremu Joseph przyglądał się z nienawiścią.

– Jest godzina dziewiąta cztery rano dwudziestego szóstego grudnia dwa tysiące siedemnastego roku – powiedziała Erika. – W przesłuchaniu uczestniczą główna inspektor Erika Foster, posterunkowy John McGorry, Joseph Pitkin i jego przedstawiciel prawny, Henry Chevalier.

Henry pochylił się i szepnął coś Josephowi do ucha. Młody mężczyzna kiwnął tylko głową. Erika otworzyła jedną z szarych tekturowych teczek, które miała ułożone na stole, i wyjęła papierowe kopie zdjęć wywołane z rolki filmu.

– Josephie. Czy możesz mi powiedzieć, czy to ty zrobiłeś te zdjęcia? – zapytała, rozkładając fotografie na stole.

Przez ułamek sekundy w oczach Josepha pojawił się szok, ale potem oparł się na krześle i splótł ręce na piersi.

– Mój klient postanowił nie odpowiadać na to pytanie – powiedział Henry.

Erika kontynuowała:

– To zdjęcia z rolki niewywołanego filmu z małej plastikowej osłonki, którą znaleźliśmy w alejce za ogrodem twoich rodziców. Myślę, że wypadł ci z kieszeni, gdy wspinałeś się po ogrodzeniu.

Joseph się skrzywił.

– Pobraliśmy z niego odciski palców. Kciuk i palec wskazujący pasują do twoich. Tak więc spytam raz jeszcze. Czy to ty zrobiłeś te zdjęcia?

Joseph spojrzał na Henry'ego, który skinął głową.

– Tak, ja.

– Zdjęcia martwego ciała – powiedziała Erika.

– Widzimy – wtrącił Henry.

Erika podniosła jedno z nich, zbliżenie zakrwawionej twarzy Marissy z szeroko otwartymi oczami. Zastygłej w grymasie przerażenia.

– To zdjęcie zostało zrobione z dużej wysokości, z drzewa naprzeciwko domu Marissy. – Erika podniosła je i podsunęła pod nos Josepha, który odwrócił wzrok. – Zobacz, jej sukienka zakrywa uda. – Podniosła kolejne zdjęcie. – Ale na tym zdjęciu, zrobionym z bliska, jej sukienka została podciągnięta tak, że odsłania bieliznę. Josephie, dotykałeś ciała? – Pokręcił głową. – Odzyskaliśmy również filmy z twojego telefonu komórkowego, które pokazują, że miałeś niezdrową obsesję na punkcie Marissy Lewis. Filmowałeś ją z ukrycia, gdy była w sypialni, a także gdy uprawiała seks z innym mężczyzną.

Joseph zaczął się trząść, z jego twarzy odpłynęła krew.

– Ja jej nie zabiłem.

– Co w takim razie zrobiłeś? – zapytał McGorry, który oparł się na krześle i skrzyżował ręce. – Zabawiałeś się z nią, gdy leżała martwa? Skorzystałeś z okazji, by wsadzić palce w jej majtki, gdy nie była w stanie się sprzeciwić?

– Proszę państwa, byłbym wdzięczny za zadawanie pytań z większym szacunkiem – wtrącił Henry.

Erika zebrała zdjęcia i odłożyła je na miejsce. Otworzyła kolejną tekturową teczkę.

– Mamy twoje dane z bazy PNC. Kiedy miałeś czternaście lat, spędziłeś sześć tygodni w ośrodku dla nieletnich. Zaatakowałeś rozbitą butelką jakiegoś chłopaka w szkole. Chirurgowi udało się uratować jego oko.

Erika wyjęła z teczki zdjęcie młodego, ciemnowłosego chłopca. Brzydka fioletowa linia szwów biegła od jego lewej brwi do powieki.

– To było w obronie własnej. Uderzył mnie – powiedział Joseph.

– To dlaczego mu nie oddałeś? Zamiast tego rozbiłeś szklaną butelkę i uderzyłeś go nią w twarz. Trochę jak jakiś psychol – zauważył McGorry.

– Czy mogę zapytać, czy zamierzają państwo oskarżyć mojego klienta? – spytał Henry. – A jeśli tak, to o co? Poniósł już karę za to, co kiedyś zrobił. Ma również alibi na czas, w którym Marissa Lewis została zabita.

– To alibi pochodzi od jego rodziców – zauważyła Erika.

– Ojciec mojego klienta jest byłym prawnikiem o nienagannej reputacji. Twierdzi, że Joseph był w domu przez całą noc i nie wychodził z niego aż do następnego ranka.

– Czy wszyscy spali w jednej sypialni?

– To absurdalne pytanie.

– Czyżby? Miejsce zbrodni znajdowało się niecałe dwie minuty od domu Josepha. Pokazał już, że lubi przeskakiwać przez ogrodzenie z tyłu budynku. Mógł dotrzeć tam i z powrotem w bardzo krótkim czasie.

– „Mógł" to słowo – klucz. Czy mają państwo jakieś konkretne dowody?

– Pobraliśmy próbki DNA z ciała ofiary. Funkcjonariusze przeszukują też dom Pitkinów. To tylko kwestia czasu – powiedziała Erika.

– Tak, jedenaście godzin, czas leci.

– Mam prawo przedłużyć areszt o kolejne dwa dni.

– Odradzałbym to – powiedział Henry cicho, ale z nutką ostrzeżenia w głosie.

Jego oczy wwiercały się w nią zza stołu.

– Czy to groźba?

– Oczywiście, że nie – odparł i uśmiechnął się sztucznie. – Myśli pani, że groziłbym pani w pomieszczeniu pełnym kamer, gdzie cała nasza rozmowa jest nagrywana? Główna inspektor Foster, czy jest pani przewrażliwiona?

– Nie. To prawdopodobnie tylko kwestia odstawienia kofeiny. – Uśmiechnęła się.

– Nasz ekspres do kawy nie działa – wtrącił McGorry. – Niezależnie od tego, jaki guzik się wciśnie, i tak wyleci zupa ogonowa.

Henry przewrócił oczami.

– Jakie ma to znaczenie w obecnej sytuacji?

Zignorowali go. McGorry spojrzał na Erikę. Wyciągnęła ze stosu trzecią i ostatnią tekturową teczkę i wyjęła zdjęcia Josepha, nagiego i przywiązanego do stołu, oraz nieruchomy obraz z pliku wideo. Położyła je na stole i oboje oparli się na krzesłach.

Nie byli przygotowani na taką reakcję. Z twarzy Josepha zniknęła resztka koloru, a jego ręce zaczęły się niekontrolowanie trząść.

– Chwileczkę. Dlaczego nie otrzymałem tych zdjęć? – spytał Henry.

– Odzyskaliśmy te zdjęcia i plik wideo z twojego telefonu komórkowego, Josephie – powiedziała Erika. – Kim jest osoba, która ci to zrobiła? Czy to on wysłał ci te pliki?

Joseph pokręcił głową i zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że jego krzesło upadło na podłogę. A potem spektakularnie zwymiotował na stół.

Erika ledwo zdążyła odsunąć teczki i oboje odskoczyli.

– Chryste! – krzyknął Henry, cofnął się, a potem upuścił pokryte wymiocinami dokumenty, które trzymał w ręce.

Joseph stał nieruchomo, pochylony do przodu, a z jego ust zwisała długa strużka śliny. Wszyscy stali, zapadła pełna szoku cisza. Nagle Joseph rzucił się na Erikę, odsłonił zęby i zaczął wrzeszczeć.

– Ty jebana suko! – wściekał się, gdy McGorry go złapał i przycisnął mu ręce do boków.

– Skąd je masz? Jak? Skąd? On nie ma z tym nic wspólnego! NIC! On mnie zabije!

– Kto? Kto cię zabije? – spytała Erika, robiąc unik, gdy Joseph próbował ją kopnąć. – Potrzebujemy tu pomocy! – krzyknęła do kamery zamontowanej w rogu pokoju przesłuchań.

Kilka sekund później do środka weszło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, którzy pomogli odciągnąć Josepha w stronę drzwi.

– Kto? Kto cię zabije? Podaj mi jego nazwisko, a wszystko się skończy.

Wrzeszczący i wierzgający Joseph został wyciągnięty z pokoju przesłuchań.

– Podaj mi jego nazwisko, mogę cię chronić!

Rozległo się trzaśnięcie drzwi.

– Szefowo – powiedział McGorry i położył dłoń na jej ramieniu. – To koniec przesłuchania.

Erika spojrzała na niego i adwokata oraz na bałagan po drugiej stronie stołu i natychmiast odzyskała zdolność zdroworozsądkowego myślenia.

– Tak.

– Jezu Chryste – jęknął Henry, który podniósł swoją stojącą w rogu pokoju torbę i zobaczył, że ma wymiociny na rękawie garnituru. – Kurwa jego mać! – I wyszedł.

Erika i McGorry wciąż stali w szoku.

– Jedno wiemy na pewno. Zjadł obfity świąteczny obiad – zauważył McGorry, marszcząc nos.

Rozdział 14

Na korytarzu przed pokojem przesłuchań do Eriki i McGorry'ego dołączyła Kay, która obserwowała ich z sali obok. Przyniosła rolkę ręczników papierowych.

– Co się tam, do cholery, stało? – zapytał McGorry, wziął jeden ręcznik i zaczął wycierać rękaw swojego garnituru. – Fuj, tylko tego mi dzisiaj trzeba.

Ostrożnie zdjął marynarkę.

– Udało mi się go poruszyć. Trafiłam w czuły punkt – powiedziała Erika.

Wzięła oferowane ręczniki papierowe, ale przekonała się, że nie została trafiona.

– Nie wiemy, czy te zdjęcia i wideo mają cokolwiek wspólnego ze sprawą Marissy Lewis. To wygląda jak film nagrany dla zemsty – zauważyła Kay.

– Muszę się pozbyć tej marynarki, zaraz wracam, szefowo – powiedział McGorry, złapał marynarkę między kciuk a palec wskazujący i szybko odszedł.

– W filmach erotycznych nagrywanych dla zemsty chodzi o wzgardzonych kochanków i demaskowanie. Nie. Ten, kto jest na tym nagraniu, szantażuje go, bo chce wymusić na nim milczenie – powiedziała Erika.

– Nie możemy wykorzystywać traumy z przeszłości jako sposobu na wyciągnięcie od niego prawdy.

– Byłam tak cholernie blisko.

– Jak? Jak możemy być blisko czegoś, co jest dla nas całkowicie mroczne, proszę pani?

Erika się do niej odwróciła.

– Dopilnuj, żeby pokój przesłuchań został porządnie wysprzątany – powiedziała, oddając jej rolkę z ręcznikami. – I nie mów do mnie „proszę pani”.

*

Erika wróciła do swojego biura. Zadzwoniła do Isaaca i kryminalistyków, ale dowiedziała się tylko, że jakiekolwiek informacje pojawią się dopiero następnego dnia. Potem zadzwoniła do oficera, który był odpowiedzialny za przepytywanie sąsiadów na Coniston Road. Powiedział jej, że nadal nie udało się skontaktować z dwoma mężczyznami, którzy mieli romans z Marissą, Donem Walpolem i Ivanem Stowalskim. Zdobył jednak dane kontaktowe przyjaciółki Marissy, Sharon-Louise Braithwaite, która pracowała w salonie fryzjerskim. Erika podziękowała mu i zapisała numer. Już miała do niej zadzwonić, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Słucham?

Do środka zajrzał McGorry.

– No dobrze, szefowo. Lekarz zbadał Pitkina. Fizycznie nic mu nie dolega. Ciśnienie krwi w porządku, temperatura w porządku, brak infekcji, ale zalecił sierżantowi, aby Pitkin dostał kilka godzin odpoczynku i szansę na uspokojenie się, zanim spróbujemy go ponownie przesłuchać. Nadal jest w kiepskim stanie.

Erika spojrzała na zegarek. Zbliżało się południe.

– Mam jeszcze pięć godzin, a potem będę musiała zdecydować, czy zatrzymać go w areszcie na kolejne dwa dni. Nadal nie mam możliwości postawienia mu zarzutów… Chyba wiesz, że możesz wejść do mojego biura i nie musisz kręcić się w drzwiach, prawda? – warknęła.

McGorry wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– No dobrze, pytam prosto z mostu. Myślisz, że to on to zrobił?

McGorry wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy byłby do tego zdolny. Osoba, która to zrobiła, wpadła w szał. Dźgała nożem na oślep. Z pewnością była cała pokryta krwią. A co ze śladami krwi, które prowadziły z miejsca zbrodni? On nie ma samochodu. Nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni.

– Jak myślisz, kto szantażuje go tymi zdjęciami?

– Może to być mężczyzna lub kobieta. Sądząc po jego reakcji, myślę, że to mężczyzna. Na zdjęciach widać, że nie jest chętnym uczestnikiem, a jeśli nawet był nim na początku, to uległo to zmianie, gdy nagi został przypięty pasami. Został obezwładniony fizycznie. Wygląda na przerażonego. I oczywiście, kiedy zobaczył, że mamy zdjęcia i wideo, zaczął szaleć w pokoju przesłuchań.

– Mógł pracować jako chłopiec do wynajęcia – powiedziała Erika.

– Nie, rodzina jest dobrze sytuowana.

– Zgłosił się do urzędu pracy.

– Wokół niego jest zbyt wiele pytań i masz rację, na filmie wyglądał na przestraszonego. Powinniśmy postępować ostrożnie. Kimkolwiek jest ta osoba, potrafi go przerazić.

Rozdział 15

Cztery piętra niżej, w areszcie śledczym, Joseph leżał na pojedynczej pryczy w ostrym świetle celi, wpatrując się w małe okno. Twarz miał popielatą, ze strachu wpadł niemal w katatoniczny stan. Został zbadany przez lekarza, umyty i zaprowadzony z powrotem do celi. Miał na sobie ciemne dżinsy z rozdarciami na kolanach i gruby ciemny sweter. Zabrano mu pasek i buty.

Słyszał głosy odbijające się echem na korytarzu. Aresztowano i przywieziono grupkę młodych chłopaków, robili hałas, krzyczeli i przeklinali sierżanta.

Skąd oni mają te zdjęcia? – pomyślał. – Przecież je skasowałem. Powiedział mi, że jeśli będę trzymać gębę na kłódkę, nikt ich nie zobaczy.

W wyobraźni Joseph zobaczył twarz mężczyzny, którego znał jako „T”: szeroka, pewna twarz z wysokim czołem, przeszywające oczy. Myślał, że są przyjaciółmi, a T zaufał mu na tyle, by pokazać, co trzyma w piwnicy.

– To tutaj się bawię – powiedział.

Piwnica była ciemna, z niskim sufitem i gołą, poplamioną betonową podłogą. Było tu gorąco, cuchnęło potem. Joseph zobaczył drewniane belki, klatkę i skórzane kajdanki. Na ścianie wisiały zdjęcia powycinane z czasopism pornograficznych. Joseph nie był zszokowany nagością ani seksem. Zmroziły go natomiast twarze zdominowanych kobiet i mężczyzn na zdjęciach. W ich oczach widać było prawdziwy strach, a niektórzy z nich krwawili.

– Czy to prawdziwe? – spytał.

T skinął głową, gładząc dłońmi swoje krocze, i podszedł do Josepha.

– Muszę iść – powiedział młody mężczyzna i rzucił się w stronę drzwi.

– Zostań na jeszcze jednego drinka – zaproponował T, wyciągnął rękę i mocno złapał tył koszuli Josepha.

Ten nie chciał wyglądać na przestraszonego i dla świętego spokoju się zgodził. Do ostatniego drinka coś mu dorzucono. Obudził się nagi i związany. Nie mógł się ruszyć. Nie wiedział, jak długo to trwało. Lęk, że umrze, był wystarczająco straszny, ale patrzenie w oczy osoby, która ignorowała jego krzyki, która wydawała się podniecona jego bólem, było chyba jeszcze bardziej przerażające. Ostatnim obrazem, który wypalił się w jego umyśle, była maska przeciwgazowa. Wciąż czuł jej zapach: brudu i potu zmieszanego z gumą i azotynem izoamylu.

Został kilkakrotnie podduszony, tracił przytomność, a gdy się budził, T reanimował go metodą usta-usta. Nie pamiętał robienia zdjęć, ale pamiętał film… Jasne światło z kamery telefonu. Dzień później otrzymał je w wiadomości mailowej z notką:

Mam te zdjęcia i plik wideo pod kluczem. I pozostaną tam, dopóki będziesz trzymać gębę na kłódkę.
T.

A teraz policja już wiedziała, a skoro wiedziała, to z pewnością się tym zajmie. Czy mieli też maila? Czy powiedzą o tym jego rodzicom? Kto jeszcze się dowie? Joseph włożył ręce między uda i zaczął szlochać, i się kołysać. Ponownie ogarnęło go ślepe przerażenie i zwymiotował, ale teraz wypłynęła już tylko żółć. Wyciągnął rękę, by wytrzeć usta, i zahaczył palcami o rozdarcie na lewym kolanie dżinsów.

Podskoczył, gdy klapka się otworzyła, a hałas na końcu korytarza stał się wyraźniejszy. Chłopaki nadal krzyczeli, ale teraz

już z wnętrza swoich cel.

– Wszystko w porządku, chłopcze? – rozległ się głos sierżanta.

Joseph obrócił się na łóżku, spojrzał na niego i pokiwał głową. Klapka ponownie się zatrzasnęła, hałasy nieco ucichły. Joseph zaczął pracować palcami, poszerzając rozdarcie w spodniach na kolanie i odrywając długi pas materiału.

*

Zamieszanie na korytarzu ucichło i wszyscy zatrzymani zostali już zamknięci, gdy piętnaście minut później sierżant ponownie sprawdził sytuację u Josepha Pitkina. Kiedy otworzył klapkę, nie widział chłopaka, bo łóżko było puste.

– Synu, wszystko w porządku? – zapytał, oświetlając latarką stalową toaletę i umywalkę w drugim kącie.

Klapka znajdowała się wysoko na drzwiach, więc kiedy zobaczył kawałek materiału zaczepiony o małe złącze, które tworzyło zawias klapki, spanikował. Włożył rękę do środka i wyczuł cienką linię napiętego materiału, a następnie czubek głowy Josepha Pitkina.

– Kurwa! Kurwa! – wrzasnął.

Pobiegł z powrotem korytarzem do biurka i włączył alarm. Syreny zaczęły wyć, a sierżant złapał klucze i pobiegł z powrotem do drzwi. Kiedy już je otworzył, musiał mocno pchać, by poradzić sobie z ciężarem ciała Josepha. Jego koleżanka, funkcjonariuszka po pięćdziesiątce, przybiegła mu pomóc. Otworzył drzwi, a następnie je cofnął. Joseph wisiał z tyłu drzwi, metr nad podłogą, na szyi miał pasek dżinsu. Jego twarz była jasnofioletowa, a oczy szeroko otwarte i przekrwione.

– Ściągnij go, szybko, ściągnij! – krzyczał sierżant.

Funkcjonariuszka pomyślała o wzięciu ze sobą nożyczek i przecięła zaimprowizowaną pętlę. Sierżant położył Josepha i poluzował pasek materiału. Jego koleżanka nic nie powiedziała,

gdy zaczął wykonywać resuscytację krążeniowo-oddechową. Przez kilka minut uciskał klatkę piersiową Josepha i dmuchał mu w usta.

Wiedziała, że ten chłopak nie żyje. Widziała to już wiele razy.

Rozdział 16

Nadinspektorka Melanie Hudson miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, krótkie blond włosy i łagodne szare oczy, które kryły w sobie stalową determinację.

Właśnie spędzała popołudnie z mężem i małym synem, oglądali telewizję i jedli czekoladki, kiedy zadzwonił telefon z informacją, że młody mężczyzna zmarł w areszcie na jej posterunku policji.

Pojechała prosto do Lewisham Row i zdążyła na moment, w którym wywożono ciało Josepha Pitkina. Wysłuchała zeznań dwóch funkcjonariuszy aresztu, a następnie poszła do swojego biura. Kiedy wyłoniła się zza rogu korytarza, zobaczyła siedzącą na krześle i czekającą na nią Erikę.

– Siedziałaś tu po ciemku? – spytała i zapaliła światło łokciem.

– To pomaga mi w myśleniu.

Odłożyła torbę i otworzyła drzwi do biura. Erika weszła za nią do środka.

– Zacznij od początku i opowiedz mi wszystko – poprosiła Melanie, wskazując miejsce naprzeciwko biurka.

Erika opisała wszystkie wydarzenia od momentu, gdy po raz pierwszy przyjechała na miejsce zdarzenia na Coniston Road i zobaczyła, że Joseph obserwuje miejsce zbrodni, aż do aresztowania, gdy znaleźli zdjęcia i film.

– Będę musiała przejrzeć wszystkie materiały wideo z formalnych przesłuchań. Muszę również otrzymać od ciebie pełny pisemny raport. I od McGorry'ego też. Chcesz powiedzieć mi coś jeszcze?

Erika patrzyła w podłogę.

– Ojciec Josepha jest emerytowanym adwokatem… Kiedy go goniliśmy, pod koniec pościgu McGorry wdał się z nim w bójkę. Próbował powstrzymać go przed ucieczką… Trzymał go za pasek od aparatu zawieszonego na szyi.

– Zdefiniuj „trzymał” – nakazała Melanie.

– Ojciec, David Pitkin, powiedział, że jego zdaniem to było duszenie.

– A było?

– To była bardzo trudna i emocjonująca sytuacja. Joseph zadawał ciosy, leżał na McGorrym. John działał w obronie własnej.

– Ale czy to było duszenie?

Erika podrapała się po głowie.

– Tak. Cholera, tak.

– Jak długo to trwało?

– Nie wiem. Kilka sekund, może dziesięć.

– Rozumiesz, że zostanie przeprowadzone pełne dochodzenie w sprawie tego, dlaczego Joseph Pitkin się powiesił. Znajdował się pod obserwacją w związku z możliwością popełnienia samobójstwa.

– Dlaczego kontrole takich osób odbywają się co piętnaście minut? Przecież przez piętnaście minut może się naprawdę dużo wydarzyć. Na litość boską, udało mu się rozerwać dżinsy! – Erika otarła łzy z policzków. Wyprostowała się i wzięła chusteczkę. – Chcę poinformować rodziców.

– Nie. To nie jest dobry pomysł.

– To przeze mnie trafił do aresztu.

– Trafił do aresztu, ponieważ miałaś przekonujące powody, aby go aresztować i przesłuchać. Miałaś również konflikt z rodziną. Do nich musi iść ktoś bezstronny. Pójdę ja wraz z łączniczką.

– Nie wiedziałam, że ma jakiekolwiek problemy ze zdrowiem psychicznym. Nie mam jego dokumentacji medycznej, ale został

zbadany przez lekarza po naszej pierwszej, pełnej emocji, rozmowie i lekarz stwierdził, że mamy dać mu chwilę odpocząć i możemy znowu go przesłuchać. Nie zdążyliśmy. Był kluczową częścią mojego śledztwa…

– Dobrze. Weź sobie wolne na resztę dnia – nakazała Melanie.

– Odsuwasz mnie od tej sprawy?

– Nie. Muszę przejrzeć nagranie z przesłuchania i porozmawiać z sierżantem z aresztu oraz funkcjonariuszami, którzy dokonali zatrzymania. Potrzebuję również od ciebie pisemnego oświadczenia ze wszystkimi szczegółami. No i muszę porozmawiać z McGorrym.

– Dobrze – powiedziała Erika i wstała.

– Poczekaj, usiądź.

Erika ponownie usiadła.

– Co?

– Powiem coś, co ci się nie spodoba, ale chcę, żebyś mnie wysłuchała.

– Tak?

– Eriko, w tym roku przeszłaś bardzo dużo. Minął zaledwie tydzień, odkąd zakończyłaś sprawę morderstwa i porwania.

– Dziesięć dni… – Erika zamknęła oczy.

Była to trudna sprawa z udziałem młodej pary, Niny Hargreaves i Maxa Kirkhama, którzy popełnili serię morderstw i rabunków w całym kraju. Prasa, co było nieuniknione, zrobiła z tego historię w stylu Bonnie i Clyde'a, a następnie komendant Marsh wydał fatalne oświadczenie dla prasy, potępiając dwoje zabójców.

Marsh myślał, że postąpił mądrze, stawiając im ultimatum, ale zamiast tego dał im swoją twarz i nazwisko. Nina i Max błyskawicznie zagłębili się w jego życie osobiste i odkryli, że żona Marsha pochodził z zamożnej rodziny i że mają dwie córki.

Zaatakowali Marcie, gdy była sama w domu, a Nina Hargreaves oszukała pracowników przedszkola i podała się za nową nianię dziewczynek. I doszło do porwania. Wbrew wszelkim radom Marsh i Marcie zapłacili okup w wysokości dwustu tysięcy funtów, ale sprawa znalazła swój finał dopiero wtedy, gdy Erika zdołała wyśledzić Ninę i Maxa aż do miejsca przetrzymywania bliźniaczek w odległym Dartmoor na południu Anglii.

Erika wciąż pamiętała krwawą łaźnię, która potem nastąpiła. To wtedy Max i Nina obrócili się przeciwko sobie. Uratowała bliźnięta, które nie ucierpiały pod względem fizycznym, ale było wiadomo, że ich blizny emocjonalne będą się bardzo długo goić.

– Eriko! Eriko!

Otworzyła oczy. Melanie patrzyła na nią z niepokojem.

– Co tam się stało?

– Przykro mi. Jestem zmęczona i wciąż nieco zszokowana. To nie tylko tragedia, bo ktoś tak młody odebrał sobie życie, on był moim kluczowym świadkiem.

Melanie wyciągnęła portfel, wyjęła z niego wizytówkę i podała ją Erice.

– Doktor G. Priestley. Psycholog kliniczny – przeczytała Erika i spojrzała na Melanie. – To dla mnie?

– Tak.

– Myślisz, że oszalałam? Albo jestem niezrównoważona?

Melanie podniosła rękę.

– Nie. Zanim przejdziemy dalej, chcę dodać, że doktor Priestley jest moim lekarzem. Widuję się z nim raz w tygodniu.

– Terapia?

– Tak.

Erika nie wiedziała, co powiedzieć, i ponownie spojrzała na wizytówkę.

– Co to ma być? Polecenie? Kończę kolejną udaną sprawę, zatrzymuję dwóch wielokrotnych morderców i ratuję córki komendanta, ale nie dostaję gratulacji, tylko trafiam na terapię?

– Eriko. Nie. Rozmawiam z tobą jako przyjaciółka lub koleżanka, prywatnie. Nie ma to nic wspólnego z policją metropolitarną, jakąkolwiek sprawą czy samobójstwem Josepha Pitkina. Jesteś jednym z moich najlepszych ludzi i jestem pewna, że wkrótce wrócisz i będziesz kontynuować pracę nad sprawą tego morderstwa, ale teraz właśnie tego od ciebie chcę. Moim obowiązkiem jest zgłoszenie tego, że któryś z funkcjonariuszy zmaga się z presją w tej pracy.

– Zamierzasz mnie zgłosić?

– Nie! Słuchaj, co do ciebie mówię, cholerna idiotko! – Erika podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

– Przepraszam… – zaczęła Melanie.

– Nie, w porządku. Wolę być nazywana idiotką, niż słuchać pieprzenia w korpomowie… – Podniosła wizytówkę. – To twój terapeuta?

– Tak.

– Czy mogę spytać, dlaczego ty…?

Melanie nabrała głęboko powietrza i oparła się na krześle.

– Moja pierwsza ciąża była bliźniacza. Urodziłam w terminie, miałam baby shower, podekscytowaną rodzinę i męża czekających na sali porodowej, by przytulić nasze dzieci… które urodziły się martwe. – Nabrała powietrza i otarła łzę z policzka. – Lekarze nie wiedzieli dlaczego. Nie mam w rodzinie przypadków urodzenia martwego dziecka. Ciąża przebiegała podręcznikowo. Fakt, że nie znałam powodów, dlaczego tak się stało, zniszczył mnie. Straciłam wiarę i prawie straciłam wszystko inne. Moje życie praktycznie legło w gruzach.

– Bardzo mi przykro. Kiedy to było?

– Dziesięć lat temu, ale powrót do normalności był długą podróżą. Oczywiście wiem, że już nigdy nie będzie tak jak kiedyś, ale teraz moje życie jest dobre. Mówię więc do ciebie jako przyjaciółka, bez osądzania. Wiodąc takie życie, szybko się spalisz, Eriko. Ta praca nie jest tego warta. Nie chcę ci mówić, jak masz żyć, ale nie jestem przeciwko tobie. Jak już wspomniałam, jesteś jednym z moich najlepszych ludzi i chcę, aby tak pozostało. Chcę, abyś kontynuowała i robiła to, co robisz, ale musisz mieć pewność, że dasz radę.

Erika ponownie spojrzała na wizytówkę.

– Mogę to przemyśleć?

– Jasne, tylko nie za długo. A na razie idź do domu i się prześpij. Zadzwonię do ciebie. I przyślij mi McGorry'ego.

Erika wyszła z biura i zamknęła za sobą drzwi. McGorry i sierżant z aresztu czekali na krzesłach na korytarzu. Obaj wyglądali na zszokowanych.

– Jak poszło? – zapytał McGorry, wydymając policzki.

– Dobrze. Po prostu mówcie prawdę i opisujcie wszystko, co się wydarzyło. Musiałam wspomnieć o duszeniu Josepha. Powiedziałam, że zrobiłeś to w samoobronie. Wspomnę o tym wszystkim w moim raporcie.

– Dżinsy, jego dżinsy – mruknął sierżant i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Wykonałeś swoją pracę – powiedziała Erika.

– Ale to nie wystarczyło – zauważył.

Na chwilę położyła dłoń na jego ramieniu, a potem skinęła im głową na pożegnanie i wyszła z komisariatu. Kiedy wsiadła do samochodu, zobaczyła, że prezenty świąteczne dla bliźniaczek wciąż leżą na tylnym siedzeniu. Włączyła silnik i ruszyła w stronę domu komendanta Marsha.

Rozdział 17

Marsh mieszkał przy eleganckiej ulicy z dużymi wolnostojącymi domami w pobliżu Hilly Fields, z której roztaczał się wspaniały widok na panoramę Londynu. Słońce wyszło zza chmur i nadało zaśnieżonym ulicom złocisty odcień w momencie, gdy Erika znalazła miejsce parkingowe. Miała nadzieję, że Marshów nie ma i będzie mogła po prostu zostawić prezenty na ganku. Nabrała głęboko powietrza i chwyciła dużą kołatkę. Uderzyła głośno w drewno.

Chwilę później Marsh otworzył drzwi. Był przystojnym mężczyzną po czterdziestce z krótko przyciętymi blond włosami. Był przygarbiony i wyglądał blado, jakby bardzo schudł.

– Erika – powiedział zaskoczony.

Podniosła prezenty.

– Wiem, że spóźniłam się o dzień, ale chciałam dać je dziewczynkom i przeprosić za to, że nie przyszłam.

Marsh chciał coś powiedzieć, jednak w tej chwili stanęła za nim Marcie.

– Dotarłaś. Wesołych Świąt – powiedziała i przytuliła Erikę. – Jak się masz?

Marcie była piękną kobietą, ale ona również straciła na wadze. Jej zwykle lśniące, czarne włosy były długie i proste, a ona sama miała na sobie mocny makijaż, który nie do końca maskował podbite oczy i opuchliznę po złamanym nosie, który wciąż goił się po ataku.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała Erika i poczuła się niezręcznie.

Ona i Marcie znały się od dawna. Ich relacja nigdy nie była łatwa, aż do momentu, gdy Erika ocaliła jej dwie małe córki.

– Chodź, do środka, tu jest zimno – zaprosiła ją Marcie, rozcierając jej ramiona. – Jesteś za cienko ubrana. W taką pogodę potrzeba czegoś więcej niż skórzanej kurtki!

Zaprowadzili ją do salonu, w którym było duszno i gorąco. W kominku trzaskał ogień, obok stała wielka choinka. Ojciec Marcie, Leonard, drzemał w jednym kącie w fotelu, a ojciec Marsha, Alan, spał w innym fotelu, przy drewnie.

– Usiądź – poprosiła Marcie. – Właśnie przygotowuję lunch. Mam wędliny i sery, a także zupę brokułową ze stiltonem.

– Cudownie – powiedziała Erika.

– Może masz ochotę się czegoś napić? Szampana? – spytał Marsh.

– Paul, ciszej. Oni śpią – skarciła go Marcie scenicznym szeptem.

– Mój głos jest na tym samym poziomie co twój – syknął.

– Nie, byłeś cholernie głośno… Chodź i pomóż mi z jedzeniem. Eriko, wybacz nam na chwilę.

I wyszli z pokoju. Erika spojrzała na dwóch zaczerwienionych, drzemiących starszych panów. Ojciec Marcie, Leonard, był opalony i dobrze ubrany w luźne niebieskie spodnie i kraciastą koszulę z krawatem. Alan wyglądał trochę bardziej niechlujnie, miał na sobie stare dżinsy i żółty wełniany sweter. Leonard poruszył się w fotelu, zakasłał i usiadł. Zorientowanie się w sytuacji zajęło mu dłuższą chwilę. Gdy zauważył Erikę, zaskoczony podskoczył, niemal tak jak w komediach.

– Witam.

– Witam.

– Znam panią, prawda? Pani jest tą policjantką – powiedział.

Jego głos był elegancki i pretensjonalny.

– Ulrika, prawda?

– Główna inspektor Erika Foster.

Leonard z trudem wstał i podszedł do niej, wyciągnął rękę i się uśmiechnął. Jego sztuczne zęby wyglądały nienaturalnie biało na tle opalonej skóry. Uścisnęli sobie dłonie, a wtedy on się pochylił i ucałował ją w oba policzki.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za to, co pani zrobiła dla Paula i Marcie oraz dla bliźniaczek. Dziękuję – powiedział, nadal ściskając jej dłoń.

– Po prostu wykonywałam swoją pracę.

– To było cholernie krwawe. Widziałem reportaż w wiadomościach. Musieli zamazać zdjęcia ciała Maxa Kirkhama.

– Tak…

Leonard wciąż ściskał jej dłoń.

– Paul powiedział mi, że ta dziewczyna wystrzeliła w niego flarę alarmową, rozwaliła mu łeb i mózg rozbryzgał się dookoła? Myśli pani, że bliźniaczki to widziały?

– Tak, myślę, że tak.

– Mój dziadek przeżył okopy podczas pierwszej wojny światowej. Oczywiście doznał szoku pourazowego. Pamiętał młodych chłopaków, którym odłamki pocisków rozwalały tył głowy… Oczywiście w dzisiejszych czasach wszyscy jesteśmy zachęcani do terapii, wtedy żołnierze cierpieli w milczeniu…

Alan się obudził. Przez chwilę dochodził do siebie, mlasnął, potarł oczy. Był starszą wersją Marsha, z pociągłą twarzą i gęstymi, krótko przystrzyżonymi siwymi włosami.

– Alanie, to jest Ulrika, policjantka, która złapała tych morderczych drani!

– Dzień dobry, jestem Erika – powiedziała i wyrwała wreszcie dłoń z uścisku Leonarda.

– Ulrika… To szwedzkie imię. Zajmowała się pani kiedyś pogodą? – zapytał Alan ze śmiertelną powagą.

– Pogodą?

– Biedny staruszek, traci zmysły – mruknął Leonard i sugestywnie postukał się w bok głowy.

– Słyszałem to! – powiedział Alan. – Czy to jest pielęgniarka rejonowa?

Na szczęście Marsh wrócił do pokoju z tacą, na której stały kieliszki z szampanem.

– Tato, to jest Erika. Erika Foster. Szkoliliśmy się razem w Manchesterze – powiedział. Alan pokiwał głową, ale chyba nic z tego nie zrozumiał.

– Była pani na obiedzie? Paul, czy ona była na obiedzie?

– Nie, tato, Erika dopiero co przyszła – odparł Marsh głośno i powoli.

Zapadła niezręczna cisza. Leonard podniósł pilota i włączył telewizor. Gdy na ekranie pojawił się film *Dźwięki muzyki*, rozległa się kakofonia hałasu. Dzieci von Trappów maszerowały po schodach.

– Przejdźmy do kuchni – zaproponował cicho Marsh.

Erika uśmiechnęła się do dwóch staruszków, pochłoniętych tym, co działo się na ekranie.

– Przepraszam za to. Tata traci trochę orientację. To były dość frustrujące święta. Ciągle muszę mu wszystko powtarzać – powiedział Marsh, gdy szli korytarzem do kuchni. – Leonard jest w porządku, po prostu nie słucha. Żyje w swoim świecie.

– Kto nie słucha? – zapytała Marcie, gdy weszli do kuchni.

Rozkładała piękny bufet na długim kuchennym stole.

– Twój ojciec.

– Ale przynajmniej wie, jaki mamy dzień.

– To było trochę ostre – warknął Marsh.

– To tylko obserwacja. Powinien mieszkać w domu opieki. Jego obecność tutaj jest bardzo stresująca. A z moim ojcem jest

wszystko w porządku. Nie wiem, czy pamiętasz, ale wczoraj wygrał z nami w *Trywialny pościg*.

Erika wpatrywała się w swój kieliszek szampana, żeby nie znaleźć się na linii ognia.

– Nie twierdzę, że jest w takim samym stanie jak mój. Mówię tylko, że jest uparty, a sposób, w jaki rozmawia z twoją matką…

– Moja matka potrafi dać w kość.

– A dlaczego sobie dzisiaj poszła? Ja też chciałbym sobie stąd pójść!

Marcie spojrzała na niego. Miała w oczach łzy.

– Może powinnam już iść – zaproponowała Erika.

– Nie, proszę, zostań – odparła Marcie i otarła łzy chusteczką.

Marsh stał obok niej i spróbował zapanować nad złością.

Nagle do kuchni weszły Sophie i Mia. Były to dwie małe, identyczne czterolatki ubrane w pasujące do siebie fioletowe aksamitne sukienki, grube kremowe rajstopy i różowe opaski na długich ciemnych włosach. Zauważyły Erikę, bez słowa do niej podeszły i się przytuliły. Erika odstawiła kieliszek i przykucnęła, by objąć dziewczynki. Czuła zapach ich włosów. W ciepłej, jasnej kuchni to, co się wydarzyło, wydawało się surrealistyczne i tak dawno temu.

– Tak się cieszymy, że przyjechałaś – powiedziała Sophie, przejmując inicjatywę.

– Też się cieszę, że was widzę – powiedziała Erika.

Wszyscy po sobie spojrzeli. Mia pokiwała uroczyście głową, jej duże brązowe oczy były bardzo wyraziste. Erika zaczęła mieć wyrzuty sumienia, że nie przyszła na obiad poprzedniego dnia.

– Przyniosłam wam prezenty. Trochę spóźnione, ale wesołych Świąt.

Podała dwie torby dziewczynkom, które wyciągnęły zapakowane prezenty i podekscytowane zdarły papier.

W pierwszym pudełku znajdował się zestaw do robienia naklejek, a w drugim zestaw do robienia własnych gumek do włosów, z kwiatami, brokatem i innymi ozdobami.

– Kupiłam dwie różne rzeczy, bo pamiętam, jak bardzo lubicie się ze sobą dzielić – zauważyła Erika.

Na twarzach obu dziewczynek malowało się szczere zdumienie i radość.

– Och. Dziewczynki, co powiecie Erice? – ponagliła je Marcie.

– Dziękujemy, Eriko! – powiedziały obie.

– Nie dostałyście tego jeszcze na święta? Moja siostrzenica i siostrzeniec są w waszym wieku i powiedzieli, że to naprawdę dobre prezenty.

– Nie, jeszcze tego nie mamy, no i to najlepsze prezenty EVER! – zawołała Mia i jeszcze raz ją przytuliła.

Potem dziewczynki spojrzały na Marcie.

– Mamo, weź to – rzekła Sophie.

Marcie podeszła do blatu kuchennego i wzięła z niego ozdobnie zapakowane pudełeczko. Podała je Sophie, Mia chwyciła za róg i obie wręczyły prezent Erice.

– My mamy dla ciebie to – powiedziała Mia.

Erika zdjęła papier i zobaczyła malutkie pudełko na biżuterię. W środku znajdował się naszyjnik z małym srebrnym krzyżykiem.

Marcie wzięła pudełko i rozpięła naszyjnik, a Mia podniosła krótkie włosy z karku głowy Eriki, aby mogły go zapiąć.

– To piękny prezent – powiedziała Erika do dziewczynek, po czym spojrzała na Marcie i Marsha.

Uśmiechnęli się.

Następnie bliźniaczki wyciągnęły dwa nowe iPhone'y z kieszeni swoich sukienek i z wprawą przeciągnęły malutkimi palcami po ekranach.

– To prezenty od mamusi i tatusia – wyjaśniła Sophie. – Przez to, co się stało, chcą, żebyśmy zawsze były z nimi w kontakcie.

Podniosły swoje telefony do Eriki i pokazały jej zdjęcia, które zrobiły jej w nowym naszyjniku. Wyglądała na wychudzoną i niemal przezroczystą, na tle białej lodówki była strasznie blada.

– Ładnie wyglądasz – zauważyła Sophie.

– Ale chyba przydałoby ci się coś do jedzenia – dodała Mia.

Na szczęście ta uwaga rozluźniła atmosferę i wszyscy się roześmiali.

– Dziewczyny, idźcie umyć ręce – powiedziała Marcie.

Erika poczekała, aż dzieci wyjdą z kuchni.

– Jak sobie radzą? – zapytała.

Marcie i Marsh spojrzeli po sobie.

– Jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, to zaskakująco dobrze – odparła Marcie. – Sophie jest znacznie silniejsza. To ona opiekowała się Mią.

– Ciągle chowają się po kątach i rozmawiają ze sobą w swoim własnym wymyślonym języku – dorzucił Marsh.

– Nie ma jednej uniwersalnej instrukcji odnośnie do tego, co należy zrobić w tej sytuacji. W nowym roku zabiorę je do terapeuty – powiedziała Marcie.

– A jak wy sobie radzicie? – zapytała Erika.

Spojrzeli po sobie, jakby po raz pierwszy zobaczyli, że są parą. Zawahali się.

– Bierzemy każdy dzień, jak leci – powiedział Marsh i poklepał Marcie po nodze. Odsunęła się od niego.

– Chodźmy coś zjeść – zmieniła temat.

*

Później tego wieczoru Erika jechała do domu. Prezent od dziewczynek przyniósł jej wielkie pocieszenie i wciąż dotykała

swojej szyi. Gdy tym razem wróciła do pustego mieszkania, odetchnęła z ulgą. U Marshów panowała bardzo wroga atmosfera i choć mieszkali w wielkim domu, przy tylu gościach wywoływał u Eriki klaustrofobię.

Właśnie nalewała sobie wódki z lodem, gdy zadzwonił telefon. To była Melanie.

– Przeanalizowałam wszystko, co miało związek z Josephem Pitkinem, i na tym etapie mogę tylko powiedzieć, że był to tragiczny wypadek.

– Dobrze. Powiedziałaś jego rodzicom?

– Tak. Jak można było się spodziewać, wpadli w rozpacz.

– Obwiniają mnie?

Melanie westchnęła.

– Nie odpowiem na to pytanie. Ale, co oczywista, postrzegają całą tę sytuację zupełnie inaczej.

– Zapytałaś ich o zdjęcia?

– Nie, Eriko. Nie spytałam… – Przez chwilę Melanie milczała. – Ale potrzebuję cię jutro z powrotem w pracy. Dam ci większy zespół do sprawy morderstwa Marissy Lewis. Dobrze się wyśpij.

Po zakończeniu rozmowy Erika podeszła do okna w salonie. Światła były zgaszone, wpatrywała się w ciemną, zaśnieżoną ulicę. Lis poruszył się w blasku pomarańczowej latarni ulicznej, zatrzymując się łapami w śniegu. Czekał, obserwował jej budynek, nie wiedział, czy może splądrować kosze na śmieci. Erika przyglądała się mu z ukrycia.

– No, dalej. Jest bezpiecznie, biegnij – powiedziała.

Mijając białe garby zaśnieżonych samochodów, lis skradał się powoli w stronę parkingu, w kierunku koszy na śmieci, które bez wątpienia były pełne resztek jedzenia.

– Właśnie.

Na górze rozległo się jakieś skrzypnięcie i w oknie zapaliło się światło, oświetlając duży kwadrat ciemnego parkingu. Lis odwrócił się, po czym rzucił się do ucieczki i zniknął w ciemności.

Rozdział 18

Ciemne zimowe noce na przedmieściach Londynu zawsze były ekscytujące dla mężczyzny, który lubił nazywać siebie „T". Wychodził z domu pod osłoną ciemności, ubrany na czarno, ze skórzaną maską przeciwgazową schowaną w jednej z dużych kieszeni długiego płaszcza.

Rozległe tereny południowego Londynu ciągnęły się kilometrami i za każdym razem czuł się jak szczęściarz, gdy znajdował obszar, którego nigdy wcześniej nie widział wśród rzędów szeregowych domów, ciemnych alejek, małych, ukrytych parków i zarośli. Obszary podmiejskie południowego Londynu były w większości wolne od kamer monitoringu. Stacje kolejowe miały je tylko w oświetlonych obszarach.

Wierzył, że jego twarz jest prawdziwą maską. To była zwyczajna twarz, może nie do końca facet z sąsiedztwa, ale wystarczająco akceptowalna. Robił to już tyle miesięcy, a do tej pory jedyne jego zdjęcie, jakie miała policja, to zdjęcie w masce przeciwgazowej.

Zawsze uderzało go, jak mało ludzie zauważają na pierwszy rzut oka. Osoby dojeżdżające do pracy były ekspertami w niezwracaniu na nic uwagi. Chciały tylko dostać się do pracy, a następnie z niecierpliwością czekały na powrót do domu. Rzadko w cokolwiek się angażowały. Mrużyły oczy. Prawie tak jakby się bały, że będą musiały zaangażować się w otaczający je świat. Musiał uważać na bezrobotnych, pijaków i bezdomnych. Byli inaczej dostrojeni do otoczenia, nie przechodzili tak po prostu z punktu A do punktu B. Utknęli na widoku, zmuszeni do

zorganizowania sobie narzędzi do przetrwania w tym jałowym krajobrazie. Oni byli ekspertami w dziedzinie obserwacji, od razu wiedzieli, od kogo mogą wycisnąć trochę drobnych lub papierosa, a kto chce narkotyki.

Dobrą wiadomością dla T było to, że nikt nie zwracał uwagi na bezdomnych. Nikt, kto by się liczył. Zlikwidowanie bezdomnego było o wiele łatwiejsze. Wystarczy zaoferować kilka funtów, aby poszedł z nim w ciemny kąt. Za piątaka bezdomni mogli zrobić prawie wszystko, w zależności od tego, jak bardzo byli zdesperowani.

Ale to żadna frajda. On lubił strach, wolał znaleźć kogoś czystego i pnącego się po szczeblach drabiny społecznej. Znaleźć miłego, dobrze ubranego, płacącego podatki filar społeczeństwa i wyrwanie go z jego małej, miłej bańki. Na ich twarzach zawsze malował się wyraz, jakby chcieli powiedzieć: Takie rzeczy mi się nie zdarzają. Takie rzeczy przytrafiają się innym. Złym. A ja jestem dobry.

Maska przeciwgazowa miała swój praktyczny cel, ale dodawała też sensorycznego efektu wow. Ucisk skórzanego kaptura, kozi zapach jego własnego zatęchłego potu zmieszany z zapachem zwierzęcej skóry. Sposób, w jaki grube szklane otwory na oczy zniekształcały widok i nieznacznie powiększały twarze ofiar.

Dziś wieczorem będzie tylko widzem. Śnieg stanowił dodatkową warstwę ochronną. Tłumienie dźwięków. Będzie obserwował i czekał. Nigdy nie znał ich imion, ale lubił łamać ich rutyny. To była kolejna podnieta. Ustalenie, kiedy wychodzą z domu. O której idą do pracy, o której z niej wracają. Ludzie tak poddańczo przestrzegają rutyny. Nawet w Boże Narodzenie.

Wystarczy poznać ich zwyczaje, a reszta była łatwa.

Rozdział 19

Następnego ranka Erika przybyła do Lewisham Row wcześniej i zeszła do małego aneksu kuchennego na parterze, znajdującego się obok szatni używanych przez mundurowych. Wpatrywała się w otwartą szafkę pełną kubków, gdy weszło dwóch młodych funkcjonariuszy, wciąż ubranych w kamizelki nożoodporne.

– Dzień dobry, proszę pani – powiedzieli jednocześnie.

Wyglądali na zaskoczonych jej widokiem.

– Dzień dobry. Jak wygląda sytuacja z tymi kubkami? Czy one do kogoś należą?

Młody, niższy od Eriki mężczyzna wyciągnął rękę, wyjął dwa kubki i jeden z nich podał kobiecie, która wydawała się zakłopotana nawiązaniem kontaktu wzrokowego.

– Tych kwiecistych nikt nie używa, proszę pani – powiedział.

Erika wyjęła jeden z szafki i zapadła niezręczna cisza, gdy w czajniku gotowała się woda. Kiedy się wyłączył, nikt się nie poruszył.

– No dalej, wy pierwsi, zasłużyliście sobie na to – zachęciła ich Erika.

Młody mężczyzna nasypał do kubków kawy z dużej puszki i nalał wody.

– Mieliście ciężką noc?

Pokiwał głową.

– Zwykły koszmar w porze zamknięcia pubów. W okresie świątecznym nastolatkowie zdają się częściej pijani i agresywni.

– Do tego zostaliśmy wezwani trzy razy przez ludzi, którym wydawało się, że widzieli napastnika w masce gazowej – dodała kobieta.

– Napastnika w masce gazowej? – spytała Erika.

– Tak. W ciągu ostatnich kilku tygodni było o nim głośno w lokalnych wiadomościach. Nie słyszała pani?

– Nie, byłam zajęta inną sprawą.

– Facet w masce gazowej napada na kobiety i mężczyzn. Lubi atakować stacje kolejowe i metra, wcześnie rano lub późnym wieczorem, po odjeździe ostatniego pociągu.

– Ile jest ofiar?

– Pięć, licząc od połowy listopada.

– Czy on je gwałci?

– Nie wszystkie. Pierwsze dwie ofiary dusił tak długo, aż zemdlały, a kiedy się obudziły, jego już nie było. Lokalne wiadomości opublikowały wczoraj rano apel o informacje po tym, jak jakaś kobieta została zaatakowana w Boże Narodzenie obok stacji Sydenham.

– Znajdowała się mniej niż minutę drogi od swojego domu – dorzucił mężczyzna.

– Tak więc przez całą noc wydzwaniali do nas ludzie, którym wydawało się, że coś widzieli lub słyszeli. Same fałszywe alarmy – zakończyła kobieta.

Wzięli kawę i wyszli.

Następnie do kuchni weszła inspektor Moss ubrana w ogromną zimową kurtkę. Była niską, masywną kobietą. Na jej ognistoczerwonych włosach leżał jeszcze topniejący śnieg, blada twarz była usiana piegami.

– Dzień dobry, szefowo. Jakie miałaś święta? – Moss rozpięła guziki kurtki i wyjęła kubek.

– Były…

– Pracowałaś, prawda?

Erika kiwnęła głową.

– Nad sprawą morderstwa, o której chcę ci opowiedzieć.

– Zjadłaś smaczny obiad?

Erika zaprzeczyła.

– Moim pierwszym i ostatnim „świątecznym daniem" była kanapka na kolację.

Moss się skrzywiła.

– Ja zjadłam swój pierwszy i ostatni świąteczny pudding smoothie. Mój brat Gary przyjechał z żoną i dziećmi.

– Ile?

– Ma tylko jedną żonę.

– Bardzo śmieszne.

– Troje dzieci.

– Dogadują się z Jacobem?

Moss przetarła oczy, nasypała kawy do kubka i napełniła go wrzątkiem.

– Tak, tylko ze sobą się nie dogadują, a mają siedem, osiem i dziewięć lat. To było pandemonium. Nasz dom jest za mały. Podczas świątecznego obiadu dzieci zapytały o słowo na „L".

– Laponia? – spytała Erika.

Moss wyszczerzyła zęby i dolała mleka do kawy.

– Ha–ha. Nie. Lesbijki. Chodziło im o mnie i Celię, dlaczego jesteśmy małżeństwem, jak się pobrałyśmy i jak udało nam się urodzić Jacoba. Oczywiście Celia sobie z tym poradziła, ale padło milion pytań. Nie zdążyliśmy nawet przeczytać dowcipów ze świątecznych ciastek. Wszystko wyszło dobrze, ale nie spodziewałam się takiej rozmowy.

Erika chciała powiedzieć coś więcej, gdy do kuchni wszedł wysoki, przystojny czarnoskóry policjant. Zatrzymał się na widok Eriki i Moss.

– No dobrze. Dzień dobry – powiedział, próbując nad sobą zapanować.

To był inspektor Peterson.

Moss patrzyła to na Erikę, to na Petersona, żeby spróbować zorientować się, co powiedzieć.

– Cholera jasna. Wreszcie wrócił do pracy!

Skinął głową, błysnął legitymacją i się uśmiechnął, co sprawiło, że jego poważna twarz zaczęła wyglądać na głupkowatą.

– Wyglądasz znacznie lepiej – powiedziała Erika. Nie spodziewała się go tutaj. Ale zdała sobie sprawę z tego, że była to bardzo miła niespodzianka. – Miałeś miłą przerwę świąteczną?

– Tak naprawdę nie była to przerwa, a raczej odliczanie do powrotu do pracy… Okazało się, że… Cóż, były to jedne z najlepszych Świąt Bożego Narodzenia w moim życiu.

– Możesz rozwinąć temat? – zapytała Erika, która zaczęła się zastanawiać, czy spotkał kogoś innego, a potem pożałowała tego pytania.

– To oficjalnie mój pierwszy dzień po powrocie do pracy – powiedział, zmieniając temat.

Zapadła niezręczna cisza.

– Wybrałeś dobry dzień. Za pięć minut mam odprawę w głównym centrum koordynacyjnym. Nie spóźnij się. – Erika wzięła swój kubek i wyszła.

*

Moss i Peterson przez chwilę stali w milczeniu. Moss podszedł do drzwi i sprawdził, czy Erika już sobie poszła.

– Widziałeś się z nią w święta? – zapytała.

– Nie.

– Czy między wami dwojgiem wszystko w porządku? Przecież nie mogę tkwić między dwojgiem moich ulubionych ludzi jak

między młotem a kowadłem.

– Czy jestem jednym z twoich ulubionych ludzi? – wyszczerzył zęby.

– Czasami. To zależy. Powinieneś zadzwonić do niej w święta. Wiem, że ze sobą zerwaliście, ale skończyło się na tym, że przepracowała święta. Miała wziąć dzień wolnego… Wiesz, że jest samotną starą wygą i mam to na myśli w najmilszym tego słowa znaczeniu. Zaprosiłam ją do siebie, ale nie chciała przeszkadzać.

– Zamierzałem do niej podejść i się z nią zobaczyć, a potem coś… się wydarzyło – powiedział Peterson. – Wciąż próbuję to przetworzyć. – Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Widzę po twojej twarzy, że to było coś dobrego? – powiedziała Moss.

Podszedł do drzwi i je zamknął.

– Zrób mi kubek kawy, a ci opowiem – odparł.

Rozdział 20

Spotkanie odbyło się w największym centrum koordynacyjnym na parterze komisariatu.

Erika stała przed ogromną mapą Londynu, która miała trzy metry kwadratowe powierzchni, labirynt dróg mieszających się pod North i South Circular i M25 tworzył coraz większe kręgi wokół centrum Londynu, a przez środek wiły się grube niebieskie linie Tamizy. Do pracy nad sprawą Marissy Lewis wezwano dwudziestu funkcjonariuszy i cywilny personel pomocniczy, i był to pierwszy raz od Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy mieli spotkać się w jednym miejscu.

W skład zespołu wchodzili funkcjonariusze, z którymi Erika pracowała już wcześniej: sierżant Crane, oficer o miłej twarzy i przerzedzonych, piaskowych włosach; Moss i Peterson, którzy, jak zauważyła, wciąż byli na kawie; McGorry i Kay, którzy porządkowali swoje biurka – oboje skinęli głowami i uśmiechnęli się do Eriki, gdy przechodziła obok. Detektywi Knight i Temple pracowali z posterunkową Singh, drobną i bardzo inteligentną funkcjonariuszką, która pomagała im zgromadzić na tablicy wszystkie informacje o sprawie.

Do pomieszczenia wślizgnęła się nadinspektor Hudson, zamknęła drzwi i zajęła miejsce na biurku z tyłu. Pokiwała głową i się uśmiechnęła.

– Dzień dobry wszystkim – zaczęła Erika. – Mam nadzieję, że wszyscy mieliście udane święta, które niestety zbyt szybko się skończyły… – Pokazała zdjęcie legitymacyjne Marissy Lewis, wyjęte z jej paszportu. – Dwudziestodwuletnia Marissa Lewis

została zamordowana na progu swojego domu przy Coniston Road w południowym Londynie. Wciąż czekam na szczegóły sekcji zwłok, ale czas zgonu oszacowano na późną Wigilię…

Drzwi otworzyły się, a Moss i Peterson weszli do środka, niosąc kubki z kawą. Moss wymamrotała przeprosiny do Eriki, to samo zrobił Peterson i zajęli miejsca obok kserokopiarki pod długim rzędem okien wychodzących na korytarz.

– Dziękuję, że się do nas przyłączyliście. Nie wiedziałam, że parzenie kawy rozpuszczalnej trwa aż tak długo.

– Przepraszam, szefowo – powiedział Moss, która wyglądała na zawstydzoną.

Peterson tylko wpatrywał się w swój kubek.

Erika kontynuowała:

– Marissa Lewis została wielokrotnie dźgnięta ostrym ząbkowanym ostrzem. – Wskazała przypięte do tablicy zdjęcia, zbliżenia obrażeń na martwym ciele. – Na razie nie mamy narzędzia zbrodni. Jednak z pierwszych raportów kryminalistycznych sporządzonych na podstawie śladów z wnętrza domu wiemy, że miejsce zbrodni znajdowało się wyłącznie w małym ogródku przed budynkiem. W domu nie ma żadnych śladów krwi ani krwi Marissy. Czekamy również na bardziej szczegółowe wyniki badań kryminalistycznych i sekcji zwłok…

– Czy to wyklucza udział matki Marissy? – zapytał McGorry.

– Nie. To po prostu oznacza, że jeśli to ona zabiła Marissę, to przed powrotem do domu umyła się i pozbyła się wszystkich swoich ubrań. Na tak wczesnym etapie dochodzenia nie wykluczamy nikogo. Wszyscy są podejrzani.

Następnie Erika wyjaśniła wszystko, co wydarzyło się poprzedniego dnia, gdy Joseph Pitkin trafił do więzienia. Na chwilę zapadła cisza. Samobójstwa w areszcie były strasznym przypomnieniem tego, jak bezbronni mogą być więźniowie.

– Na tym etapie nadal traktujemy Josepha Pitkina jako osobę bardzo ważną w tej sprawie. Czuję, że zanim poprosimy jego rodzinę o dodatkowe informacje, musimy uzbroić się w więcej dowodów. Mamy dowody w postaci nagrań wideo i zdjęć zrobionych jego telefonem komórkowym, wiemy, że miał on jakieś relacje z ofiarą. Kilkakrotnie, głównie w nocy, filmował ją z ukrycia, gdy była w domu, w swojej sypialni. Uważam, że w pewnym momencie zdała sobie sprawę z tego, że on ją filmuje. Musimy ustalić, czy go do tego zachęcała, czy może istniał jakiś powód, dla którego mu na to pozwalała. Istnieje nagranie wideo, na którym Marissa odbywa stosunek seksualny z mężczyzną pasującym do opisu sąsiada o nazwisku Don Walpole.

Erika wskazała kilka kadrów z filmu, które zostały przypięte do tablicy.

– Don Walpole jest żonaty, po pięćdziesiątce i uważa się, że był w związku z Marissą, gdy ta była nastolatką. On również mieszka przy Coniston Road. Kolejnym sąsiadem, znów z tej samej ulicy, jest Ivan Stowalski. On również miał kontakty seksualne z Marissą. Jest Polakiem po trzydziestce, mieszka w Wielkiej Brytanii z żoną. Marissa była tancerką burleski, która występowała w klubach w całym Londynie. Opiekowała się również starszą panią na Hilly Fields, tuż za rogiem…

Gdy Erika mówiła, detektywi Knight i Temple pracowali z posterunkową Singh nad umieszczeniem zdjęć z akt sprawy.

– Matce Marissy również chciałabym się bliżej przyjrzeć. Powiedziała nam, że śpi w sypialni na górze z tyłu domu, i że tam właśnie spała w Wigilię. Ale kiedy rozejrzeliśmy się po budynku, zauważyliśmy, że w tym pokoju nikt nie spał już od jakiegoś czasu. Łóżko było pokryte starymi ubraniami i warstwą kurzu. Znaleźliśmy pościel na sofie w salonie, która znajduje się po drugiej stronie jednoszybowego i słabo izolowanego okna, przy którym zadźgano Marissę. – Erika zatrzymała się i poczekała, aż

wszyscy przetrawią tę informację. Potem kontynuowała: – Boże Narodzenie i Boxing Day spowolniły pracę i utrudniły nam dokładne przepytanie sąsiadów. Dziękuję wszystkim, którzy z nimi rozmawiali, ale będziemy musieli wrócić i zrobić to wszystko jeszcze raz. Chciałabym uzyskać więcej informacji na temat Marissy Lewis i sąsiadów, o których wspomniałam, a także wszystkich innych osób będących częścią jej życia. Przyjaciele, rodzina, koledzy, kluby burleski. Nadal pracujemy nad uzyskaniem dostępu do jej iPhone'a, aby dotrzeć do e-maili i mediów społecznościowych. Poprosiliśmy o jej bilingi. Wczoraj złożyliśmy również wniosek o udostępnienie wszelkich nagrań z kamer przemysłowych obejmujących obszar wokół Coniston Road i stacji Brockley. Musimy wiedzieć, czy pojechała pociągiem do domu po występie w burlesce w Wigilię, bo normalnie korzystała właśnie z tego środka transportu. Od tej pory za delegowanie zadań odpowiedzialny będzie sierżant Crane. Musimy wrócić do początku i nadrobić zaległości po przerwie świątecznej.

Pokój ożył, a Erika podeszła do Moss i Petersona.

– Jeszcze raz przepraszamy, szefowo – powiedziała Moss.

– Witaj z powrotem, James – rzekła Erika.

Wydawało się, że go zaskoczyła.

– Dzięki – odparł i wstał.

Kilku innych funkcjonariuszy i członków personelu pomocniczego podeszło, poklepało go po plecach i powitało z powrotem, a potem wszyscy rozeszli się do swoich zadań.

– Nieźle wyglądasz. To znaczy sporo przytyłeś – poprawiła się szybko Erika. – Znów wyglądasz jak dawniej.

– Muszę jeszcze przybrać kilka kilogramów – powiedział, rozpiął marynarkę i podciągnął spodnie. – Ale czuję, że wracam do normalności. – Poklepał się po płaskim brzuchu.

– Daj spokój, zawstydzasz nas wszystkich! – uśmiechnął się Crane, klepiąc się po piwnym brzuchu.

– Mów za siebie! – powiedziała Moss i złapała się za swoje duże wałki na brzuchu. – Bo ja mam po prostu grube kości.

– Dobra, dobra, skupmy się. Pomyślałam, że skoro dopiero wróciłeś do pracy, będziesz chciał pozostać przy biurku i się wdrożyć?

Peterson pokiwał głową.

– Będę potrzebował nowego loginu do Holmesa. Powiedziano mi, że nie było mnie tak długo, że mój stał się nieaktywny.

– Dobrze. Niech Crane ci to załatwi. – Erika uśmiechnęła się do niego, on odwzajemnił uśmiech, ich oczy na chwilę się spotkały.

Potem Peterson odwrócił wzrok.

– Moss, chcę, żebyś była ze mną. James, masz pracować nad stworzeniem profilu Marissy Lewis i dowiedzeniem się o niej jak najwięcej.

James skinął głową i wyszedł, zostawiając Erikę z Moss, która uważnie się jej przyglądała.

– Co?

– Nic. Sprawy między wami wydają się w porządku, co jest… w porządku. Dokąd jedziemy?

– Chcę porozmawiać z najlepszą przyjaciółką Marissy.

Rozdział 21

Erika umówiła się z Sharon-Louise w pubie Brockley Jack, niedaleko salonu fryzjerskiego, w którym kobieta pracowała, a który dwudziestego siódmego grudnia był jeszcze zamknięty. Gdy przejeżdżały przez Crofton Park, znów padał śnieg, ale zrobiło się nieco cieplej, przez co śnieg zamienił się w zalegające na ulicy błoto pośniegowe. Minęły stację, spółdzielnię i kilka sklepów, zanim zobaczyły szyld salonu fryzjerskiego Złotowłosa.

– Dlaczego salony fryzjerskie zawsze mają dziwaczne nazwy? – zapytała Moss, przyglądając się jaskrawemu biało – złotemu wystrojowi wnętrza, gdy przechodziły obok. – Kiedy dorastałam, chodziłam do Herr Kutz, ale właściciel nie był Niemcem. A podczas mojego szkolenia w Hendon było: Zakręć i giń.

– To normalne?

– Nie macie tego na Słowacji? Dwuznacznych nazw salonów fryzjerskich?

– Nie.

– Klientela to często klasa robotnicza, oczywiście nie ma w tym nic złego, ale są to kobiety, które lubią o siebie dbać. Założę się, że ten salon ma wielu stałych bywalców, którzy lubią poplotkować, nie tak jak w centrum Londynu.

– Myślisz, że ta Sharon-Louise lubi plotki?

– Fryzjerzy słyszą wszystko – wyjaśniła Moss. – Ty nie gadasz, gdy siedzisz na fotelu? Bo ja czuję się wręcz zobowiązana do prowadzenia rozmowy.

– Kiedy jestem strzyżona, co nie zdarza się zbyt często, proszę fryzjera, aby ze mną nie rozmawiał – odpowiedziała Erika.

– Nie wątpię – mruknęła Moss z uśmiechem.

W ostatniej chwili Erika zauważyła starszą panią, która zeszła z chodnika, i z całych sił wcisnęła hamulec, przez co obie poleciały do przodu. Samochód zatrzymał się z piskiem niecałe pół metra od starszej pani, która, niezrażona, dalej ciągnęła przez ulicę swój stary poobijany wózek na zakupy. Miała długie siwe włosy i przez chwilę serce Eriki przyspieszyło, bo pomyślała, że to Elspeth Pitkin, ale kiedy staruszka się odwróciła, okazało się, że jest znacznie starsza i że brakuje jej kilku zębów.

– Jezu, było blisko – zauważyła Moss.

Staruszka dotarła do chodnika po drugiej stronie i weszła na niego. Przez chwilę Erika widziała Josepha wiszącego w celi, z pętlą zaciśniętą na szyi. Jego woskowatą i opuchniętą twarz. Nagle ktoś z tyłu na nie zatrąbił.

– Wszystko w porządku?

Erika kiwnęła głową. Wjechały na parking Brockley Jack. Tuż po dziesiątej rano stało tu tylko kilka samochodów.

W pubie było cicho i ciepło, przy barze siedział tylko jeden starszy mężczyzna, pił piwo i oglądał telewizję. Wysoka, młoda dziewczyna siedziała schowana w kącie. Pomachała do nich.

– Cześć. Jestem Sharon-Louise, ale możecie mi mówić Sharon – powiedziała, wstała i wyciągnęła rękę do każdej z nich.

Miała długie, gładkie miodowoblond włosy z różowymi pasemkami i kwiecistą sukienkę. Na szerokiej twarzy widniały małe okrągłe okulary. Na stole stał sok pomarańczowy.

– Napijesz się czegoś? – zapytała Moss.

– Tak. Zabiłabym za kilka chipsów… To znaczy… Cholera, nie chciałam tego powiedzieć…

– W porządku – powiedziała Moss.

– O jakim smaku?

– Sos pomidorowy lub koktajl z krewetek – powiedziała.

Erika poprosiła o sok i Moss odeszła.

– Po tym, jak usłyszałam o Marissie, nie spałam całą zeszłą noc. – Sharon wyjęła chusteczkę, podniosła okulary i delikatnie wytarła oczy.

Erika usiadła naprzeciwko niej. Kilka minut później wróciła Moss z sokiem pomarańczowym oraz chipsami i zajęła miejsce obok Sharon.

– Kto ci powiedział o Marissie? – zapytała Erika.

– Moja mama dostała telefon od kogoś, kogo zna na Coniston Road… Musiałam się z nią pożegnać i to było dostatecznie złe, ale myślałam, że jeszcze kiedyś ją zobaczę…

Załamała się, wyciągnęła zgniecioną chusteczkę, ponownie podniosła okulary i wytarła oczy.

– Przepraszam. Nie jestem w stanie w to uwierzyć… I spójrzcie, wszystko dzieje się jak zwykle. Świąteczne dekoracje wciąż wiszą, gra radosna muzyka… Mogłoby się wydawać, że nikogo to nie obeszło… Ale takie jest życie.

– Dlaczego musiałaś pożegnać się z Marissą?

Sharon wzięła do ręki chipsy, rozerwała opakowanie i położyła na środku, żeby wszystkie mogły się częstować.

– Wyjeżdżała do Ameryki.

Erika i Moss popatrzyły po sobie.

– Kiedy?

– Miała jechać jutro. – W oczach dziewczyny ponownie stanęły łzy, znowu wyjęła chusteczkę.

– Gdzie do Ameryki? – zapytała Moss.

– Nowy Jork.

– Po co?

– Miała już dość tego miejsca. Pogody. Tego, jak tu wszystko wygląda. „Tu zawsze będę szumowiną”, mawiała. Uważała, że fakt,

że nie miała porządnego wykształcenia ani pieniędzy, działał na jej niekorzyść. Marzyła o byciu następną Ditą von Teese, a scena burleski w Nowym Jorku jest ogromna. W Ameryce jest więcej możliwości. Dzięki ciężkiej pracy można naprawdę wiele osiągnąć. Chciała zacząć od nowa.

– Czy miała pozwolenie na pracę? – zapytała Erika.

– Nie, dostała sześciomiesięczną wizę turystyczną. Oczywiście planowała tam pracować, ale występy często wiążą się z gotówką do ręki. No i miała Ivana.

– Ivana Stowalskiego?

Sharon skinęła głową.

– Co on miał zrobić?

– Miał jechać z nią. Pracuje w branży farmaceutycznej i ma tam pracę.

– To ten sam Ivan Stowalski, który jest żonaty i mieszka przy Coniston Road? – zapytała Moss.

– Ich małżeństwo zakończyło się wiele lat temu. Ezra żyje osobno.

– Czy Ezra wiedziała o wszystkim?

– Marissa twierdziła, że wiele z tego udało mu się przed nią ukryć. On jest trochę strachliwy. Pozbawiony kręgosłupa. Nie wiem, jak udaje mu się utrzymać tak dobrze płatną pracę i zarządzać mnóstwem ludzi, ponieważ w życiu osobistym jest beznadziejny. Późno w Wigilię pojechali na północ, aby odwiedzić rodziców Ezry, którzy obecnie mieszkają w Wielkiej Brytanii. Marissa mówiła, że miał tam o wszystkim powiedzieć swojej żonie, a potem wrócić… cóż, dzisiaj.

Erika zmarszczyła czoło.

– Wiem. Pojebane to wszystko, prawda?

– Jak długo Marissa była związana z Ivanem?

– Rok. Płacił za wiele rzeczy dla niej: kostiumy, rekwizyty. To mnóstwo kasy. Miał na jej punkcie obsesję i pragnął jej uwagi.

– I jak to się przejawiało? – spytała Erika.

– Stał się bardzo zazdrosny o jej występy. Zawsze chciał wiedzieć, czy po występie jacyś faceci z nią rozmawiali, często się z nią spotykał i siadał w pierwszym rzędzie, jakby ją pilnował… Marissa chciała z nim zerwać, ale potem powiedział jej o Nowym Jorku, a ona uznała, że to świetna okazja. Zapłacił za wszystko.

– A co sądziła o tym jej matka? – spytała Erika.

– Mandy. Nie wiem, czy Marissa w ogóle jej powiedziała. Naprawdę się nie dogadują. Dogadywały. Mandy sobie nie radzi. Nigdy nie miała porządnej pracy, a kiedy Marissa była mała, matka spotykała się z przypadkowymi facetami, upijała się i brała narkotyki. Marissa miała okropne dzieciństwo. Dwa razy trafiła do placówki opiekuńczej, gdy miała dziesięć, a następnie dwanaście lat.

– To dlaczego Marissa mieszkała z nią, kiedy była już dorosła?

Sharon wzruszyła ramionami.

– To skomplikowane. Łączyła je pewna więź. No i obie miały z tego mnóstwo korzyści. Mandy pobierała zasiłek pielęgnacyjny, była niepełnosprawna. Marissa była opłacana jako jej opiekunka, podpisywała umowę i pobierała dodatek mieszkaniowy oraz komunalny…

Sharon zmarszczyła brwi.

– Kuźwa. Chyba właśnie wsypałam Mandy.

Erika machnęła ręką.

– Nie badamy oszustw związanych z zasiłkami. Ale jak im się to udawało? Mieszkać pod jednym dachem, matka i córka?

– Marissa nosi nazwisko swojego ojca. Jej mamą jest Mandy Trent.

– Tak. A gdzie jest ojciec Marissy?

– Zniknął dawno temu, gdy była mała. Był budowlańcem pracującym nad czymś w okolicy. – W oczach Sharon ponownie stanęły łzy, wyciągnęła kolejną chusteczkę. – Będę strasznie za nią tęsknić.

Zjadła wszystkie chipsy i teraz zaczęła zbierać okruchy. Moss poszła po kolejne napoje i chipsy, a Erika poczekała na jej powrót i na to, aż Sharon się uspokoi.

– Co wiesz o Josephie Pitkinie? – zapytała wreszcie.

Sharon pokręciła lekceważąco głową.

– Dostaje wszystko na talerzu, a on po prostu to wszystko marnuje.

– Dlaczego?

– Jego rodzice są nadziani. Wysyłali go do najlepszych szkół, ale go z nich wyrzucano. Mógł zostać, kim tylko chciał, ale został małym, dziwacznym nieudacznikiem. Miał obsesję na jej punkcie, przychodził na jej występy. – Sharon pokręciła głową z niesmakiem. – Mały, chudy kurdupel z dziwnym kompleksem matki. Jego mama od czasu do czasu przychodzi do fryzjera. Zawsze ma brudne i śmierdzące włosy. Nie lubimy takich klientek, ale daje wysokie napiwki.

– Czy Marissa kiedykolwiek poprosiła go o zrobienie jej zdjęć?

– Jakich zdjęć?

– Był fotografem amatorem.

– Tak? W takim razie rozumiem, że rodzice kupili mu cały sprzęt. Nigdy nie wspominała, że to robił… Chwila, co to znaczy „był”?

Erika pokrótce opowiedziała jej o tym, co wydarzyło się w areszcie.

– Cholera jasna – powiedziała Sharon, wpychając do ust kolejne chipsy. – Wcale mnie to nie dziwi. To była dziwna rodzina, a on zawsze wyglądał na popapranego dzieciaka. Plotka głosi, że

Elspeth karmiła go piersią do dziewiątego roku życia. Marissa zwykła żartować, że matka uważała się za jedyną godną osobę, z którą jej synalek mógłby stracić dziewictwo.

Moss zmarszczyła czoło.

– Ten chłopak popełnił samobójstwo.

– Wiem. Bardzo smutne, ale co? Mam kłamać i udawać, że mnie to poruszyło? Nie lubiłam go.

– A co takiego ci zrobił?

– Nic, ale nie chciał odczepić się od Marissy. Był dziwny i przerażający. Powiedziała mi, że kilka razy wracała późno z występu, a on czekał na nią na progu.

– Czy kiedykolwiek zgłosiła to na policję?

– Nie. Nie sądzę, żeby czuła się… zagrożona. Myślę, że ważył mniej niż ona, a ona przecież była szczupła.

Erika oparła się na krześle i przeczesała włosy palcami.

– Dobrze. Co wiesz o Donie Walpole'u?

Sharon westchnęła.

– Tylko o tym chcecie rozmawiać? O mężczyznach w jej życiu? Mamy rok dwa tysiące siedemnasty. Ludzie uprawiają seks. Lubiła go. Miała słabość do starszych facetów. Cały czas gadała o jego wielkim kutasie i o tym, że Don umie go używać… – Skrzywiła się z pogardą.

– Czy Marissa sypiała z innymi starszymi mężczyznami? Przypadkowymi?

– Tak. I bez skrupułów opowiadała wszystko ze szczegółami. Mówiła mi o facetach, których poznawała w pociągu w drodze do domu. Takich z klasą. Kilku z nich było z Fitzwilliam Estate. Don, Ivan. To był tylko seks. Wykorzystywała mężczyzn jedynie do seksu. Ale jej przyjaźnie sięgały znacznie głębiej. Ja byłam jej jedyną prawdziwą przyjaciółką. Znałam prawdziwą Marissę.

– A jaka była prawdziwa Marissa?

– Pod całą tą zbroją była miła. Poznałyśmy się w szkole. Znęcano się nade mną, a ona była jedyną osobą, która ze mną rozmawiała.

– Broniła cię? – zapytała Moss.

– Tak, dawała mi wskazówki, jak się odżywiać, i zaproponowała, że zrobi mi metamorfozę, żebym nie była prześladowana. Zachęciła mnie do szkolenia się na fryzjerkę. Powiedziała też, że pójdzie ze mną, jeśli poddam się laserowej korekcji wzroku. No wiecie, że będzie trzymać mnie za rękę, a po wszystkim odwiezie do domu.

– Planowałaś to zrobić?

– Tak… kiedyś. Chociaż… kto teraz będzie mnie trzymał za rękę?

Dały jej chwilę, by nad sobą zapanowała.

– Czy Ivan był jedynym mężczyzną, którego traktowała poważnie?

– Mówiłam już, że nie była w nim zakochana! Miał pieniądze. Mógł zabrać ją w różne miejsca.

– A co ze staruszką, którą opiekowała się Marissa? – zapytała Erika.

– Elsą Fryatt? To był kolejny przypadek, w którym Marissa spadła na cztery łapy. Syn pani Fryatt zaczynał się bać, że matka mieszka sama, któregoś dnia upadła i chciał oddać ją do domu opieki. Poszli na kompromis, zgodziła się na opiekunkę. Ale żaden z oficjalnych opiekunów, no wiecie, takich, którzy mają certyfikaty, jej się nie spodobał. Pani Fryatt wywiesiła kartkę w kawiarni przy Brockley High Road, tej artystycznej. Płaciła piętnaście funtów za godzinę! Moim zdaniem Marissa wydała jej się interesująca. A Marissa chciała wydoić z niej tyle, ile się dało. Dostawała obiad, wychodziły do centrów ogrodniczych. Pani Fryatt ubezpieczyła nawet Marissę pod swoje porsche. Marissa miała je pożyczyć na moją operację oczu.

– Ile godzin tygodniowo pracowała dla pani Fryatt?

– Dziesięć, piętnaście. To była świetna robota. Za rogiem. Staruszka płaciła gotówką.

– Wygląda na to, że Marissa była dość złożoną osobą – zauważyła Erika.

Sharon wpatrywała się w nią.

– Przepraszam, powinnam ująć to bardziej jako pytanie niż obserwację – dodała Erika.

– Nie, w porządku. Właśnie próbuję wymyślić, jak to skomentować. Nie sądzę, by była złożona. Miała wpływ na ludzi wokół siebie. Nie miała wyższego wykształcenia, ale była mądra i piękna.

Sharon ponownie zalała się łzami i wyciągnęła chusteczkę, którą przycisnęła do twarzy, by stłumić szloch.

– Ona… Miała świetne podejście do ludzi – powiedziała między szlochami. – Kto mógłby pragnąć jej śmierci? Zawsze mówiła szczerze, kim jest. I za to… bardzo ją lubiłam. Czy mogę zobaczyć jej ciało? Zapytam Mandy, czy to ja mogłabym ułożyć jej włosy. Nie chcę, żeby w domu pogrzebowym wyglądała jak staruszka…

– Cholera jasna. Co o tym sądzisz? – zapytała Erika, gdy ona i Moss wróciły do samochodu.

Patrzyły, jak Sharon odchodzi Crofton Park Road. Szła powoli i wciąż przyciskała chusteczkę do twarzy.

– Dużo nam powiedziała – zauważyła Erika. – Myślisz, że powiedziała wszystko?

– Nie wiem. Ale nie wyglądało na to, by się powstrzymywała. Chociaż, jeśli Marissa wykorzystywała ludzi, to do czego wykorzystywała Sharon?

– Darmowe strzyżenie?

Moss się skrzywiła.

– Naprawdę? Londyn jest pełen świetnych fryzjerów i z łatwością możesz znaleźć praktykanta, który będzie na tobie ćwiczył. Nie, to musi być coś innego.

I wtedy zadzwonił telefon Eriki.

– Och, to McGorry – powiedziała, zanim odebrała. – Tak? – Słuchała go przez chwilę, potem mu podziękowała i się rozłączyła. – Wczoraj późnym wieczorem Ivan Stowalski wrócił do Londynu. Sam. Poznajmy jego wersję wydarzeń.

Rozdział 22

Dom Ivana Stowalskiego znajdował się na końcu Coniston Road, blisko Crofton Park Road. Był wciśnięty w przestrzeń między domem po lewej, który został zakryty plandekami i znajdował się w remoncie, a rozpadającym się i wymagającym remontu budynkiem po prawej.

Nikt nie otwierał, ale zasłony były zasunięte. Erika zadzwoniła ponownie, a dźwięk dzwonka odbił się głośnym echem w całym domu.

– W Boże Narodzenie zasłony wcale nie były zasunięte. W wywiadzie napisano, że w pomieszczeniu z przodu znajduje się drzewko – zauważyła Erika.

Moss zajrzała przez skrzynkę na listy.

– Jezu – zaczęła kasłać. – Powąchaj.

Erika podeszła do skrzynki na listy, przyłożyła nos do szczeliny i również zaniosła się kaszlem.

– Kuźwa. To gaz.

Wróciły do bramy i spojrzały na dom. Wszystkie okna były zamknięte, a zasłony zaciągnięte. Wyglądało na to, że krawędzie okien w jednym pokoju były wypchane kocami. Erika wyciągnęła radio i wezwała wsparcie. Potem wróciła do drzwi, pochyliła się i krzyknęła przez skrzynkę na listy.

– Tu policja. Czy ktoś tam jest? – Zakasłała. – Zapach jest naprawdę silny.

– Skoro stężenie gazu wewnątrz jest tak duże, to wybuchnąć może cały rząd szeregówek. A w domach siedzi teraz mnóstwo osób – zauważyła Moss i wskazała na pozapalane światła.

Erika kiwnęła głową. Rzuciła się na drzwi, za pierwszym razem boleśnie się od nich odbiła. Przy drugiej próbie pękły i z hukiem odchyliły się do środka, a ona wylądowała na dywanie w korytarzu. Poczuła silny zapach gazu i zakryła nos rękawem.

– Musimy otworzyć okna i drzwi i znaleźć źródło – powiedziała i wróciła do drzwi, by zaczerpnąć powietrza.

Moss wzięła głęboki oddech, zakryła usta i nos, po czym wbiegły do domu. Wnętrze było elegancko urządzone, ale ciemne. Zasłony w salonie zostały zaciągnięte. Erika odsunęła je i zobaczyła, że okna z podwójnymi szybami wyglądają na solidne: wykonano je z grubego drewna i zaklejono taśmą. Szczeliny na dole przy parapecie zasłonięto kocami. Erika dała znak Moss, bo poczuła, że jej płuca znów zaczynają pękać. Znowu pobiegły do wyjścia. Z ich oczu lały się łzy, obie kasłały i się krztusiły.

– Musimy… otworzyć okna i drzwi w domu – wydusiła z siebie Erika.

Moss pokiwała głową. Znowu nabrały powietrza, wróciły do środka i pobiegły do salonu.

Erika podniosła ciężkie krzesło przy regale z książkami, a Moss rozejrzała się po pokoju i zobaczyła nożyczki leżące na biurku pod oknem. Oczy zaszły jej łzami, przetarła je rękawem, po czym trzymając nożyczki jak sztylet, wbiła je w róg jednej z podwójnych szyb. Musiała uderzyć kilka razy, ale w końcu przebiła szybę. Następnie zrobiła to samo z pozostałymi dwoma szybami. Cofnęła się i skinęła na Erikę, która ruszyła na okna z krzesłem. Wybiła wszystkie trzy. Szkło wypadło do ogrodu, a do środka zaczęło napływać świeże powietrze.

Znowu wybiegły na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Ej! Wy! Co wy robicie? – krzyknął jakiś starszy mężczyzna z naprzeciwka.

Na szyi miał okulary na łańcuszku i trzymał gazetę.

– Proszę wrócić do środka! – odkrzyknęła Moss.

– Nie, dopóki mi nie powiecie, co robicie!

– Jesteśmy z policji, proszę wracać do domu! – ryknęły obie.

– Kuchnia, z tyłu – powiedziała Erika.

Nabrały powietrza i wbiegły z powrotem do środka i pobiegły korytarzem w głąb budynku. Gdy mijały schody, zapach gazu się nasilił. Elegancka, nowoczesna kuchnia wychodziła na ogród. Drzwiczki piekarnika były otwarte, a płyty gazowe syczały. Moss wszystko powyłączała. W pomieszczeniu znajdowały się wielkie szklane przesuwne drzwi, ale bez klucza. Erika nie widziała żadnych nożyczek, ale zauważyła duży kamienny odbój. Wzięła go i cisnęła nim w szybę. Odbił się, a ona musiała odskoczyć.

Teraz obie kasłały i się krztusiły. Erika ponownie podniosła odbój i cisnęła nim w szybę. Pojawiła się siateczka pęknięć, ale szkło nadal było całe. Erika czuła, że jej płuca zaraz pękną, Moss padła na kolana. Przy trzeciej próbie odbój rozbił ogromną szybę. Zataczając się, wyszły do zaśnieżonego ogrodu i zaczęły głęboko oddychać i rozkoszować się zimnym, czystym powietrzem.

– Na górze, musimy sprawdzić na górze – zakasłała Erika.

Wzięły głęboki oddech i wróciły do środka, przez kuchnię, czując, że wreszcie zapach gazu słabnie.

Usłyszały ryk syreny, gdy wóz strażacki podjechał na zewnątrz. Dom na piętrze miał taki sam układ jak dom Marissy, z sypialnią z przodu i z tyłu oraz łazienką po przeciwnej stronie schodów. Drzwi do małej tylnej sypialni i łazienki były otwarte. Otworzyły okna, a następnie pobiegły do drzwi głównej sypialni, które były zamknięte. Czuły powiew wiatru, ponieważ powietrze było teraz zasysane z dołu i zapach stawał się coraz słabszy. Usłyszały kroki na schodach i jakieś głosy.

– Tutaj! – krzyknęła Erika.

Na półpiętrze pojawiło się trzech strażaków.

– Musimy otworzyć te drzwi.

Rzucili się na nie z siekierą, po chwili drzwi pękły i się otworzyły. Zapach gazu znowu stał się intensywniejszy, a strażacy szybko zaczęli odsuwać zasłony i otwierać okna.

Na starannie pościelonym łóżku leżał wysoki, szczupły mężczyzna. Był blady i miał rzadkie, piaskowe włosy. Erika rozpoznała w nim Ivana ze zdjęć, które mieli w centrum. Do sypialni weszło dwóch sanitariuszy ze sprzętem medycznym. Gdy zaczęli go badać, Erika i Moss się odsunęły.

– Ma słaby puls – stwierdziła sanitariuszka.

Wraz z ratownikiem przypięła go do noszy, które przynieśli ze sobą, a gdy już się na nich znalazł, przełożyli go na podłogę.

– Nazywa się Ivan Stowalski – powiedziała Erika.

– Ivanie, słyszysz mnie? – zapytała kobieta.

Uderzyła go w twarz, jęknął cicho, jego powieki zatrzepotały.

– W jego krwi jest mnóstwo tlenku węgla. Podłączmy kroplówkę i dotlenimy go. – Otworzyła apteczkę pierwszej pomocy.

I wtedy Erika zobaczyła, co leży na łóżku. Z początku myślała, że to narzuta w jasny wzór, teraz jednak zrozumiała, że była ona pokryta wydrukowanymi na papierze zdjęciami Marissy Lewis. Były tam zdjęcia, na których występowała w swoich burleskowych pokazach, kilka nagich w łóżku i pod prysznicem. Wiele zdjęć przedstawiało Marissę i Ivana w parkach i przy słynnych londyńskich zabytkach, uśmiechających się do aparatu. Wśród zdjęć znalazło się również kilka jej burleskowych strojów, czarny gorset i czerwony jedwabny biustonosz.

Erika spojrzała z powrotem na sanitariuszy, którzy podłączyli kroplówkę do ramienia Ivana i pompowali powietrze przez maskę.

– Co on ma w ręce? – zapytał jeden ze strażaków.

Erika delikatnie wyjęła to spomiędzy jego palców.

– Bieliznę – odparła i zobaczyła, że to para czerwonych fig ze złotym haftowanym diamentem w jednym rogu. – Należy do Marissy. To jej symbol.

Rozdział 23

Ivan Stowalski został ustabilizowany przez ratowników medycznych. Oddychał, ale nie odzyskał przytomności.

Erika i Moss patrzyły z chodnika, jak karetka odjeżdża do szpitala.

– Kolejny podejrzany nam umiera – zauważyła Moss.

– Jeszcze nie umarł – odpowiedziała Erika.

Następnie strażacy przeszukali dom, sprawdzili instalację gazową i poddasze. Kiedy wydali zgodę, przybył zespół kryminalistyczny, aby przejrzeć zawartość domu.

Erika schyliła się pod taśmą policyjną i dołączyła do Moss, która siedziała w samochodzie i popijała wodę z butelki.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak. Trochę boli mnie gardło.

– Mnie też, a przecież palę dwadzieścia dziennie.

– Zabrali Ivana Stowalskiego do University College Hospital. Zapowiedziałam, że jak tylko odzyska przytomność, chcemy z nim porozmawiać. Wyśledziliśmy jego samochód wyjeżdżający z korka i jadący na północ o dwudziestej trzeciej trzydzieści w Wigilię.

– To nie za późno na odwiedziny u krewnych?

– Skoro byli na północy, na pewno przyjechali późno.

– Czwarta lub piąta rano. Dlaczego tak późno wyjechali? Musimy dowiedzieć się, o której godzinie Marissa wróciła z występu burleski. Jeśli to było wcześniej, miałby czas. – Erika zakasłała, bo w jej płucach pozostało jeszcze trochę osadu, po czym zmrużyła oczy i spojrzała w niebo, na jasnoszarą chmurę.

Kilku sąsiadów wyglądało teraz przez okna lub podeszło do drzwi wejściowych, w tym mężczyzna w okularach, który wciąż trzymał w ręku gazetę.

Erika spojrzała na szkło leżące w ogrodzie domu Ivana. Potem na Moss, która znowu napiła się wody.

– Możesz kontynuować?

– Pewnie.

– Chcę porozmawiać z Donem Walpolem i matką Marissy.

Moss wysiadła z samochodu i ruszyły w górę ulicy. Dwie bramy dalej od domu Ivana, duży, starszy, czarnoskóry mężczyzna z siwiejącymi włosami palił papierosa.

– Czy Ivan próbował się zabić? – zapytał.

Mówił z ciepłym jamajskim akcentem, miał na sobie szerokie, powiewające na wietrze szare spodnie i gruby pomarańczowy polar usiany śladami po papierosach. Odchylił głowę do tyłu i spojrzał na Erikę i Moss, jakby miały zrobić coś nieoczekiwanego. Zatrzymały się przed jego bramą.

– Nie możemy rozmawiać o sprawie – powiedziała Erika.

– Kiepska sytuacja, ta z zamordowaną dziewczyną. Przez długi czas patrzyłem, jak Ivan robi z siebie przy niej głupka. Zawsze była poza jego ligą. Widziałem, jak wynoszono go na noszach. Próbował się zabić, prawda? – Zbliżył się i położył dłoń na ramieniu Eriki, końcówka jego papierosa ciągle się żarzyła. – Widzicie tamten samochód, naprzeciwko? – zapytał, wskazując na białą alfę romeo z ogromnym wgnieceniem w zderzaku.

Tylne światła po prawej stronie były zepsute, a plastik leżał w brudnym śniegu poniżej.

Erika poczuła, jak mężczyzna chwyta ją za ramię. Jego oddech pachniał mieszanką zapachu cukierków na kaszel i papierosów. Delikatnie odczepiła jego rękę i się odsunęła.

– Tak.

– To jego samochód. Wrócił wcześnie rano, wjechał prosto w samochód naprzeciwko i zmiażdżył przednie światła. Nie chodził po domach, nie pukał do drzwi, aby ustalić jakiekolwiek szczegóły ubezpieczenia. – Mężczyzna włożył papierosa z powrotem do ust i skrzyżował ręce na piersi.

– Która to była godzina? – zapytała Moss.

– Około siódmej rano.

– Dlaczego pan już nie spał?

– Jestem stary – zachichotał, wypuszczając dym z ust. – A moja żona nie pozwala mi palić w domu.

– I jest pan pewien, że to był Ivan Stowalski?

– Nie znam jego nazwiska, ale nie jestem ślepy! To był ten Polak.

Erika i Moss przez chwilę się nad tym zastanawiały.

Mężczyzna kontynuował:

– Musiał się dowiedzieć, że umarła, ta dziewczyna, z którą się spotykał.

– Skąd pan wie, że miał z nią romans? – zapytała Erika.

– I pani nazywa siebie detektywem? Wiem, bo spędzam tu większość dnia. Widzę wiele, chociaż ludzie nie zwracają uwagi na starszego mężczyznę… Często przychodziła i wychodziła z jego domu. Oczywiście po wyjściu jego żony do pracy.

– Kiedy?

– Latem. Odkąd zrobiło się zimno, przestała tak często bywać. Ostatni raz widziałem ją w Wigilię… – Nagle wrócił na ścieżkę i otworzył drzwi wejściowe.

– Ej! – zaczęła Erika, ale on tylko sięgnął po coś w domu i wrócił z popielniczką.

– Moja żona. Nigdy nie odstawia tutaj popielniczki po opróżnieniu – powiedział i ostrożnie umieścił popielniczkę na słupku ogrodzenia.

Zgasił papierosa i zapalił kolejnego.

– O której godzinie widział pan Marissę?

– W Wigilię widziałem ją dwa razy. Raz po południu. Właśnie robiło się ciemno, więc tuż przed czwartą. Wyszła z domu Ivana i wyglądała na wściekłą. Wyszedł za nią, błagając, by wróciła… Rany, wyglądał strasznie żałośnie, w samych dżinsach i koszulce, bez butów. Padł na kolana, płakał i błagał, a przecież na ziemi leżał śnieg. Naprawdę było widać, że ona miała nad nim władzę. Wiecie, że była striptizerką? Striptizerką z problemami tutaj – powiedział, stukając się w głowę. – To niezła kombinacja.

– Wie pan, o co się kłócili? – zapytała Moss.

– Nie. Krzyczała na niego, żeby sobie poszedł i zostawił ją w spokoju, strasznie bluźniła. Szedł za nią jak pies, ale kazała mu trzymać się od niej z daleka, bo wezwie policję.

– Dosłownie powiedziała, że „wezwie policję"? – spytała Erika.

– Kobieto, przecież nie jestem głuchy. To właśnie usłyszałem.

– Wrócił do swojego domu?

– Chwilę później, z podkulonym ogonem.

– Kiedy zobaczył ją pan po raz drugi?

– Około dziesiątej wieczorem, przechodziła obok w drodze do swojego domu.

– Była sama?

– Tak.

– Wie pan, czy Ivan był wtedy w domu?

Starzec przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Wydaje mi się, że światła były włączone.

Erika i Moss zaczęły to analizować.

– Czy ktoś chciał z panem rozmawiać? – zapytała Erika.

– Na przykład kto?

– Policja. W czasie świąt Bożego Narodzenia policjanci chodzili od drzwi do drzwi i spodziewałam się, że opowiedział pan już

o tym wszystkim jednemu z moich ludzi.

Mężczyzna podniósł rękę i wskazał palcem Erikę.

– Hola, hola, Juliet Bravo. W Boże Narodzenie mnie tu nie było. Pojechaliśmy do mojej córki i wnuków, mieszka w Brent Cross. Wyjechaliśmy raniutko w Boże Narodzenie.

– O której?

– Około siódmej. Drogi były okropne.

– Czy zauważył pan coś jeszcze w świąteczny poranek?

Pokręcił głową.

– Dobrze. Dziękuję. Czy mogę przysłać jednego z moich ludzi, aby oficjalnie spisał pańskie zeznania?

– Jeśli będę w domu, to chętnie pomogę. – Wyszczerzył swoje pożółkłe zęby.

Ruszyły dalej w górę ulicy.

– Czyli w dniu, w którym została zabita, pokłóciła się z Ivanem – powiedziała Moss. – Był w domu, gdy wróciła z występu o dziesiątej.

– Sytuacja zaczyna się zagęszczać – zauważyła Erika.

Rozdział 24

Dom Dona Walpole'a znajdował się kilka drzwi dalej, sześć budynków wyżej od domu Marissy. Był elegancki i nijaki. Erika nagle uświadomiła sobie, jak wiele szeregowych domów znajduje się w południowym Londynie i jak często wszystkie one zlewają się w jedno. W jej rodzinnej Słowacji było niewiele takich zabudowań – o ile w ogóle. Ich odpowiednik stanowiły wywołujące taką samą klaustrofobię prefabrykowane bloki mieszkalne. Frontowy ogród Walpolesów był otwarty, z niskim murkiem i bez żywopłotu. Ze śniegu wystawały czerwone czapki kilku krasnali ogrodowych, na budynku nie było numeru. Obok drzwi, na ceglanym murze, widniał czarny żelazny i zamaszysty napis „Summerdown". W salonie był włączony telewizor.

Erika zadzwoniła do drzwi i chwilę później otworzyła im tęga kobieta w grubym czerwonym polarze. Miała przekrwione oczy.

– Tak? – spytała i oparła dłoń o ścianę, by złapać równowagę.

– Czy pani Jeanette Walpole?

– A kto pyta? – spytała, chwiejąc się lekko na nogach.

Erika widziała, że jest pijana.

Przedstawiły się i pokazały swoje odznaki.

– Czy pani mąż jest w domu?

Kobieta odwróciła głowę do tyłu i krzyknęła:

– Don! Policja chce z tobą porozmawiać o twojej dziwce!

Na schodach rozległ się stukot i pojawił się Don, ubrany w dżinsy i sweter z golfem. Wyglądał o wiele młodziej i bardziej zdrowo niż żona. W jakiś dziwaczny sposób był przystojny.

Kobieta czerpała wyraźną przyjemność z zakłopotania męża.

– Sra pod siebie ze strachu, widzicie? – Rzuciła mu szydercze spojrzenie. – Nie ma jaj, by zabić tę małą dziwkę… On w ogóle nie ma jaj. – Wyciągnęła rękę, by chwycić go za krocze, ale Don mocno ją złapał.

– Wystarczy, Jeanette – powiedział.

– Ałć! On robi mi krzywdę – jęknęła.

Natychmiast ją puścił.

– Wcale nie zrobiłem jej krzywdy – powiedział przepraszająco.

– Panie Walpole, chciałybyśmy z panem porozmawiać – powiedziała Erika. – Może lepiej spotkać się gdzieś poza domem?

– W porządku. Idźcie do kuchni, za sekundę do was dołączę.

Policjantki przeszły przez nieskazitelnie czysty korytarz, minęły schody i weszły do kuchni z tyłu. Panowała w niej przyjemna atmosfera, choć stały tu starzejące się drewniane meble. Zamontowany na ścianie telewizor był włączony, leciał w nim jakiś stary czarno-biały film, na kuchennym stole stał kubek z kawą. Egzemplarz *Guardiana* leżał otwarty na dziale sportowym.

Na lodówce nie było żadnych zdjęć, tylko mały magnes z Barcelony. W jednym rogu stał komputer PC z płaskim ekranem. Erika podeszła do niego i poruszyła myszką. Pojawił się wygaszacz ekranu przedstawiający Dona i Jeanette w ogrodach jakiegoś okazałego domu. On niezręcznie obejmował ją ramieniem, ale ona stała możliwie jak najdalej od niego. Żadne z nich się nie uśmiechało.

Obok lodówki piętrzyły się skrzynki Pinot Grigio. Moss podeszła do okna wychodzącego na ogród.

– Kurczę, spójrz na te puste butelki – zauważyła.

Erika ruszyła, by do niej dołączyć i zobaczyła je ułożone w stos i wysypujące się z małego kosza na szkło.

– Myślisz, że to z jednego tygodnia? – zapytała Erika.

– Z nieco ponad tygodnia – odpowiedział jakiś głos.

Odwróciły się i zobaczyły stojącego w drzwiach Dona.

Cicho zamknął za sobą drzwi.

– Udało mi się ją położyć – powiedział to tonem kogoś, komu właśnie udało się położyć dziecko na popołudniową drzemkę. – Moja żona ma problemy z alkoholem od wielu lat… Rozumiem jednak, że to nie dlatego tu panie jesteście?

– Przyszłyśmy w sprawie pańskiej relacji z Marissą Lewis – powiedziała Erika.

Pokiwał głową. Był dużym, imponującym mężczyzną, bardzo szczupłym i wysportowanym, z szerokimi, muskularnymi ramionami.

– Mają panie ochotę na kawę?

– Nie, dziękujemy.

Usiedli przy stole, a on sprzątnął gazetę.

– Słyszałyśmy, że pan i Marissa byliście w związku? – zapytała Erika.

– Wiele osób o tym wiedziało. Jakieś sześć lat temu zapukała do naszych drzwi z pytaniem, czy nie potrzebujemy sprzątania. Chodziła po ulicy, próbując znaleźć pracę. Jej matce właśnie wstrzymano zasiłek i brakowało im pieniędzy. Dałem jej pracę, bo wiedziałem, że jej matka pije. Jeanette też piła coraz więcej. Myślałem, że ja przynajmniej jestem dorosły, i mam pracę, więc lepiej sobie z tym poradzę. Marissa miała wtedy dopiero szesnaście lat.

– Jak to się zaczęło? – zapytała Moss.

– Nie wiem, po prostu kręciła się w pobliżu. Zaczęła rzucać mi te swoje spojrzenia i pewnego dnia wylądowaliśmy w łóżku, gdy Jeanette już spała.

– Jak długo to trwało?

– Kilka lat. Pewnego dnia Marissa wzięła tu prysznic i Jeanette znalazła jej włosy na swojej szczotce.

– I co się wydarzyło?

– Wpadła w szał, zagroziła rozwodem. Uderzyła Marissę, poszła jej krew z nosa. Marissa wróciła do domu, a potem Mandy przyszła i bardzo pokłóciła się z Jeanette. Stały na ulicy i wrzeszczały. Kiedy próbowałem je rozdzielić, skończyłem ze złamanym nosem i wyłamanym zębem…

– I wtedy wasz romans się skończył?

– Tak – powiedział, oparł się na krześle i skrzyżował ręce na piersi.

– I już się pan z nią nie widywał?

– Nie. Cóż, widywałem ją, mieszkała kilka domów dalej, ale nie miałem z nią nic wspólnego.

– Nie spotkał pan się z nią ani nie uprawiał z nią seksu? – zapytała Moss.

– Przecież już mówiłem. Nie.

Nastąpiła chwila ciszy. Erika wyjęła telefon. Przewinęła i znalazła wideo, a następnie położyła telefon między nimi na stole. Na ekranie zaczęło odtwarzać się nagranie z telefonu Josepha Pitkina. Marissa w swojej sypialni, mężczyzna wyglądający jak Don wchodzący do pokoju i rozglądający się niepewnie. Całowali się przy oknie. Marissa zaczęła rozpinać jego spodnie.

– Dość tego, nie muszę tego dalej oglądać – powiedział.

Wstał, podszedł do okna i spojrzał na ogród.

Erika zatrzymała film i schowała telefon z powrotem do kieszeni.

– Czy kiedykolwiek miałyście wrażenie, że Jeeezu, jakim cudem coś takiego mnie spotkało?

Erika i Moss milczały.

– Miałem tyle planów. Trenowałem piłkę w drużynie do czternastu lat w Millwall. Mówili, że mógłbym przejść na zawodowstwo, i myślałem, że tak zrobię, ale złamałem nogę w wypadku samochodowym.

– Co to ma wspólnego z tym, że okłamał nas pan w sprawie spotkania z Marissą? – zapytała Erika.

– Była podniecająca. Była… seksowna i… przy niej czułem, że żyję.

– Schlebiała panu?

Skinął głową i otarł łzy z oczu.

– Kilka miesięcy temu znów chciała się ze mną spotkać.

– To wideo pochodzi z września ubiegłego roku.

Kiwnął głową.

– Jak pewnie widziałyście, uprawialiśmy seks. Było rewelacyjnie.

– Czy to ona to zainicjowała, czy pan?

– Ona. Pewnej nocy niespodziewanie wysłała mi wiadomość. Jeanette leżała już nieprzytomna. Jej stan się pogarsza, pije cały dzień, robi się agresywna, a potem wymiotuje po całym domu. Jest coraz bardziej chora. To jak posiadanie dziecka. Kilka miesięcy temu zdałem sobie sprawę, że jestem w dużej mierze jej opiekunem i kiedy nie pracuję, to głównie się nią zajmuję. Biorę wszystko na siebie, gotuję i sprzątam, karmię ją, wycieram rzygi. Więc kiedy przyszła wiadomość od pięknej, młodej kobiety, która chciała mnie przelecieć, poszedłem do niej. I się tego nie wstydzę.

– Dlaczego to był tylko jeden raz? – zapytała Erika.

– Po wszystkim powiedziała mi, że kiedy pierwszy raz się ze sobą przespaliśmy, miała piętnaście lat… – Schował głowę w dłoniach.

– I niech no zgadnę, chciała na pana donieść?

Kiwnął głową.

– Powiedziała mi, że takie przypadki wykorzystywania cieszą się dużym zainteresowaniem prasy i że na pewno jej uwierzą.

– A wykorzystał ją pan?

– NIE! To było za obopólną zgodą, musicie mi uwierzyć, myślałem, że ona ma szesnaście lat. Była kobietą. Miała ciało kobiety. Nie poleciałbym na… Nigdy bym nie… – Zaczął szlochać. Po jego policzkach spływały wielkie łzy.

Erika wyjęła paczkę chusteczek i podała mu jedną.

Wziął ją i zawstydzony wytarł twarz.

– Powiedziała mi, że chce pięć tysięcy albo pójdzie na policję i mnie zgłosi.

– Uwierzył jej pan? – Tak.

– Jak pan zareagował? – spytała Moss.

– Sprytnie to rozegrała. Poprosiła mnie o spotkanie w centrum Londynu, w kawiarni. Wokół było dużo ludzi, powiedziała mi, co ma zamiar zrobić.

– Dał jej pan pieniądze? – spytała Erika.

Pokiwał głową i przetarł twarz.

– Myślałem, że to będzie jednorazowa sprawa, ale potem znowu zaczęła mnie szantażować i chciała kolejnych pięciu tysięcy.

– W jaki sposób jej pan je przekazał?

– Przelewem bankowym.

– Czy kiedy po raz pierwszy uprawiał pan z nią seks, miała piętnaście lat?

– Czy nasza rozmowa jest rejestrowana…

– Czy miała piętnaście lat? – spytała ponownie Erika, podnosząc głos.

– Tak! W porządku. TAK! To było na dwa dni przed jej szesnastymi urodzinami. Wtedy nie miałem o tym pojęcia, powiedziała mi we wrześniu, ale to były tylko dwa dni! – Uniósł dwa palce. – Gdyby wydarzyło się to po weekendzie, wszystko

byłoby zgodnie z prawem. Jak to działa? W piątek jestem pedofilem, ale w następny poniedziałek już nie? Wiecie, co się stanie, jeśli zostanę skazany za przestępstwo seksualne? Stracę pracę. Mamy kredyt hipoteczny. Moja żona nie potrafi o siebie zadbać. Widzicie, jak wygląda sytuacja. Ta sprawa trafi na pierwsze strony gazet.

Erika potarła twarz, a Moss pokręciła głową.

– Kiedy ostatnio widział pan Marissę? – zapytała Erika.

– W Wigilię. Na stacji kolejowej.

– O której?

– Jakoś za kwadrans dziesiąta wieczorem. Jeanette zobaczyła ją przy biletomatach i powiedziała jej kilka słów.

– Co takiego?

– Nic nowego, coś w stylu „ty dziwko, ty kurwo".

– Czy Jeanette wie o szantażu?

– Nie.

– A gdzie spędził pan resztę Wigilii? – zapytała Erika.

– Byłem tutaj – odpowiedział i spojrzał jej prosto w oczy. – Pracowałem.

– A czym się pan zajmuje?

– Jestem grafikiem. Pracuję z domu.

– Czy ma pan domowe biuro? – zapytała Moss.

– Pracuję przy kuchennym stole.

– Nie korzysta pan z pokoju gościnnego?

Westchnął.

– Nie. Tam śpię.

– A Jeanette?

– Ona śpi w pokoju od frontu. Naprawdę musicie zadawać mi te pytania? Nie wiem, co to ma z tym wszystkim wspólnego?

– Pańska żona jest pańskim alibi na Wigilię, ale śpicie w osobnych sypialniach, poza tym wieczorami ona często jest

pijana – odparła Erika.

– Nie zabiłem Marissy – powiedział, a jego ręce zaczęły się trząść.

– Dlaczego nie było pana tutaj, gdy policjanci chodzili od domu do domu i przepytywali sąsiadów?

– W bożonarodzeniowy poranek pojechaliśmy na obiad do siostry Jeanette, która mieszka w Greenwich. To jest do potwierdzenia.

– O której wyjechaliście?

– Około ósmej. Chcieliśmy być przy otwieraniu prezentów. Ona ma dzieci i wnuki.

– A wy? Macie dzieci?

– Nie. Próbowaliśmy, ale Jeanette nie mogła. Urodziła dwoje dzieci w terminie, ale nie przeżyły… Chciałbym, żeby wszyscy o tym wiedzieli, gdy na nią patrzą. To dlatego pije. Przypuszczam, że zamierzacie mnie aresztować?

– Nie. Ale przyślę tu oficera, który weźmie od pana oficjalne zeznania. Chcę również, aby dostarczył nam pan próbkę DNA. Jest to oczywiście dobrowolne, ale odmowa zostanie odnotowana.

– Mogę to przemyśleć?

Erika i Moss popatrzyły po sobie.

– Ma pan dwadzieścia cztery godziny. Chciałabym również przeszukać pański dom, w razie potrzeby wystąpię o nakaz.

– Proszę przeszukiwać. I tak nie mam już godności. Byłem z wami szczery. Nie mam nic do ukrycia.

Rozdział 25

– Jezu, Marissa miała jaja, żeby tak go naciągać na kasę – zauważyła Moss, gdy wychodziły z domu Dona Walpole'a.

– Policja z pewnością potraktowałaby jej oskarżenie poważnie – powiedziała Erika. – Martwi mnie również to, że on nie chce oddać nam próbki DNA.

– I co z tym zrobisz?

– Musimy mu się przyjrzeć. Nie sądzę, by komukolwiek przysłużyło się ściganie go za uprawianie seksu z nieletnią Marissą, skoro ona już nie żyje, ale moglibyśmy mu tym zagrozić, jeśli nie zgodzi się oddać nam próbki DNA w związku z naszym dochodzeniem w sprawie morderstwa. Chcę również porozmawiać z matką Marissy i sprawdzić, czy wie coś na temat Ameryki.

Erika szybko zadzwoniła do Tani, która opiekowała się rodziną.

– Mandy wciąż jest u sąsiadów – powiedziała po skończeniu rozmowy.

Przeszły przez ulicę na ukos i ruszyły w stronę domu Joan. Drzwi otworzyła ubrana w kolejny aksamitny dres, tym razem w kolorze królewskiego błękitu. Wyglądała na zmęczoną i znękaną.

– Przyszłyśmy porozmawiać z Mandy – powiedziała Erika.

Joan kazała im zdjąć buty, po czym zaprowadziła je do salonu. Mandy usiadła na jednym z foteli z wysokim oparciem, a Tania usiadła obok na sofie. Ściszyła telewizor, w którym leciała telewizja śniadaniowa. Na ogromnym, wypolerowanym stoliku

stały filiżanki i na wpół zjedzona paczka pianek w czekoladzie. Mandy spojrzała na policjantki spod pomarszczonych powiek.

– Jakieś wieści? – zapytała z nadzieją.

– Wciąż pracujemy nad tą sprawą – odpowiedziała Erika. – Możemy z panią usiąść?

– Tak – padła odpowiedź.

– Mandy chciała, żebym zapytała, kiedy może zorganizować pogrzeb? – zapytała Tania.

– Odpowiem pani na to w ciągu najbliższego dnia – odrzekła Erika, zajmując miejsce przy oknie.

Moss usiadła na sofie obok Tani.

– Musimy zrobić jeszcze kilka rzeczy dla Marissy.

– Co na przykład?

– Musimy upewnić się, że mamy wszystkie informacje dotyczące przyczyny śmierci – chodzi o sekcję zwłok. Szczątki pani córki znajdują się pod najlepszą opieką.

Zapadła długa cisza. Zdenerwowana Joan stanęła w drzwiach.

– Skończyłyście już pić z tych filiżanek? – spytała.

– Tak, dziękujemy – odparła Tania.

Joan zaczęła układać naczynia na tacy i zauważyła ślad na stole.

– Co to jest? – spytała oskarżycielskim tonem.

Wszystkie spojrzały na małą kroplę herbaty, która spadła na wypolerowany blat. Joan wytarła ją palcem, a potem wyciągnęła chusteczkę i jęknęła:

– To plama z herbaty! A ten stół został dopiero co wypolerowany!

Mandy spojrzała na Joan.

– To nie ja. Używałam podstawki!

– Przepraszam, to musiałam być ja – powiedziała Tania.

Joan wzięła tacę i wyszła do kuchni, głośno tupiąc. Chwilę później rozległy się trzaski, gdy ładowała wszystko do zmywarki.

– Chyba ma mnie już dość – zauważyła cicho Mandy. – Ale nie wyobrażam sobie powrotu do domu. Ciągle widzę ją leżącą na plecach. Z szeroko otwartymi oczami.

– Taniu. Pomogłabyś Joan w kuchni? – zapytała Erika, kiwając głową.

– Oczywiście – odparła kobieta i rzuciła Erice rozbawione spojrzenie.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Gdy dźwięki gniewnie poruszającej się po kuchni Joan ucichły, Mandy trochę się odprężyła.

– Ta Tania to miła dziewczyna – zauważyła.

Wyjęła telefon z kieszeni bluzy z kapturem.

– Ciągle patrzę na zdjęcia Marissy, które mam. Boję się, że zapomnę, jak wygląda. – Po chwili znalazła zdjęcie Marissy ubranej w pełny strój burleski, ale stojącej w kuchni, przed koszem na śmieci i drzwiczkami szafki, o którą była oparta szczotka do podłogi.

– Była bardzo piękna – stwierdziła Moss.

– Tak. Nie mam pojęcia po kim. Spójrzcie na mnie. Nie jestem zbyt oględna, nie mówiąc już o jej ojcu. – Zaśmiała się, ale potem jej śmiech zamienił się w płacz. – Już nigdy nie będziemy rodziną. Ale przecież i tak zbyt często nią nie byliśmy.

– Mandy, potrzebujemy pewnych kluczowych dla naszego śledztwa informacji. Chodzi o czas, kiedy Marissa została zaatakowana w ogrodzie przed domem. Mówiła pani, że o której poszła pani spać?

– Nie pamiętam już, co powiedziałam? Tuż przed dziesiątą?

– No dobrze, mamy dwóch świadków, którzy widzieli Marissę wysiadającą z pociągu na Brockley około kwadransa przed

dziesiątą, i jeszcze jednego, który widział ją przechodzącą obok jego domu na Coniston Road około dziesiątej.

– Kogo?

– Don Walpole i jego żona Jeanette jechali tym samym pociągiem. Widzieli ją przy automatach biletowych na stacji około kwadrans przed dziesiątą, a mężczyzna spod trzydziestki siódemki był na zewnątrz i palił papierosa, gdy przechodziła około dziesiątej.

Mandy na wpół zamknęła oczy.

– On ma kiepski wzrok.

– Ta godzina pasowała do Marissy wysiadającej z pociągu, stacja jest oddalona od domu o mniej niż dziesięć minut spacerem. Czy jeśli około dziesiątej nadal pani nie spała lub szykowała się pani do łóżka, to mogła pani coś usłyszeć?

Mandy chciała coś powiedzieć, ale przerwała jej Joan, która wpadła ze szmatką i pastą, a za nią Tania.

– Proszę, próbuję porozmawiać z Mandy – warknęła Erika.

– Trzeba jak najszybciej zetrzeć ślady, bo inaczej zostaną już na zawsze!

– Pani Joan, proszę zrobić to później – powiedziała Tania.

– To mój dom! Mogę w nim robić, co mi się, do cholery, podoba! – krzyknęła Joan. Ze złości odsłoniła zęby i zaczęła przypominać Erice małego, wściekłego psa.

– Przepraszam, Joan – powiedziała Mandy. – I chyba spróbuję spędzić tę noc u siebie. Panie policjantki chcą porozmawiać ze mną tylko przez kilka minut, a potem może mogłabyś mi pomóc?

Nastrój Joan natychmiast się zmienił i nagle stała się nadmiernie współczująca.

– Och, kochanie, jesteś pewna? Możesz zostać tu tak długo, jak zechcesz, to naprawdę żaden kłopot…

– Nie. Lepiej wrócę do domu.

– Może tak będzie najlepiej. Spakuję twoją torbę – powiedziała Joan, która była już prawie na schodach.

Tania wyszła razem z nią i zamknęła za sobą drzwi.

– Mandy, pytałam panią o Wigilię. Czy kiedy Marissa wróciła do domu, słyszała pani jakieś hałasy?

– Musicie panie wiedzieć, że mam problem z alkoholem – powiedziała Mandy i złożyła ręce na kolanach. – Wcześniej wstydziłam się do tego przyznać, ale zwyczajnie mnie odcięło. W Wigilię wypiłam więcej niż zwykle. To ta pora roku, kiedy jest zimno, ciemno i… Pamiętam, jak wczesnym wieczorem robiłam sobie grzankę z serem, ale potem urwał mi się film, i obudziłam się następnego ranka.

– O której?

– Wcześnie. Musiałam do toalety.

– I spała pani na kanapie na dole?

– Tak.

– Wcześniej powiedziała pani, że nie…

– Byłam nieprzytomna. Wydaje mi się, że spałam na dole. Pamiętam tylko, że siedziałam na kiblu, a potem usłyszałam kota.

– Macie kota?

– Pucharka. Kiedyś był bezpański i chodził po domach, szukając jedzenia. Siedziałam na kiblu, kiedy zaczął drapać w drzwi, więc zeszłam na dół i wtedy ją znalazłam. – Mandy zasłoniła twarz dużą, pulchną dłonią i zaczęła płakać. – Przepraszam, ja naprawdę nic nie pamiętam. Naprawdę nie mogę…

– Wiedziała pani, że Marissa planowała wyjechać i zamieszkać w Nowym Jorku?

– Sama?

– Nie, z Ivanem. Został tam przeniesiony służbowo i chciał zabrać ze sobą Marissę.

– Zamiast swojej żony? – zapytała Mandy.

– Tak.

Erika i Moss patrzyły, jak jej twarz wykrzywia się w zakłopotaniu.

– Wiedziała, że potrzebuję jej pieniędzy… – Przejechała grubym palcem po stole, w jej oczach stanęły łzy. – Ale to dla niej typowe. Zamierzała się zmyć i mi o tym nie powiedzieć. Wierzchem dłoni wytarła nos i twarz. – Wiem, że o zmarłych nie powinno się źle mówić, ale ona była samolubną suką.

– Przykro mi, że muszę pani to powiedzieć, ale chcemy, żeby była pani na bieżąco ze wszystkimi informacjami – powiedziała Erika.

– Nadal chcę, żebyście złapali tego, kto to zrobił. Marissa może i była suką, ale to krew z mojej krwi – powiedziała Mandy i spojrzała Erice prosto w oczy.

Rozdział 26

Erika i Moss udały się do domu pani Fryatt.

– Jasna cholera. Rozmawialiśmy już z trzema różnymi osobami, z których każda postrzegała Marissę w zupełnie odmienny sposób – powiedziała Erika. – Czy dla każdej osoby, z którą coś ją łączyło, była kimś zupełnie innym? Była miłą dziewczyną czy wredną suką? Była uczciwa czy kłamała? Dała ludziom mnóstwo powodów, aby chcieli ją zabić.

– Myślisz, że to sprawka Mandy?

– Myślę, że każdy jest podejrzany. Tyle że nie mamy dowodów na kogokolwiek. W domu nie znaleziono ani śladu krwi Marissy. Gdyby zrobiła to Mandy, musiałaby wrócić do środka cała uwalana krwią, po czym umyć się i wyczyścić ubranie, nie pozostawiając po tym żadnych śladów. Dom jest w takim stanie, że widać, iż nie sprzątała w nim choćby pobieżnie. Pewnie od tygodni nic tam nie zrobiła.

– No i jaki miałaby mieć motyw? Cotygodniowe sprzątanie dla Marissy stanowiło dla niej spory dochód. Marissa nie żyje i pieniądze się skończyły – powiedziała Moss.

Pani Fryatt mieszkała naprzeciw rozległego cmentarza Crofton Park przy Newton Avenue w Hilly Fields – niedaleko miejsca, gdzie mieszkała również Marsh. Domy stojące przy tej alei były olbrzymie, bogato zdobione i oddzielone od drogi olbrzymimi ogrodami. Aleja znajdowała się w pobliżu Coniston Road, ale można było odnieść wrażenie, że człowiek znajdował się w innym

świecie. Nie było tu ani śladu po brudnych, ciasno upchniętych szeregowcach.

– Musi być bardzo szykowna. Ma nawet skrobaczkę do butów – powiedziała Moss, gdy podeszły do drzwi frontowych i wskazała na zdobioną żelazną skrobaczkę do butów, osadzoną w białym marmurowym stopniu obok drzwi.

Erika pociągnęła żelazną rączkę i z głębi domu popłynął dźwięk dzwonka. Po kilku minutach drzwi otworzył wysoki, szeroki, starszy mężczyzna z przerzedzonymi, czarnymi włosami. Przyglądał im się uważnie. Pokazały identyfikatory i się przedstawiły.

– Jeśli dobrze rozumiemy, Marissa Lewis zajmowała się mieszkającą tutaj Elsą Fryatt? – zapytała Erika.

– Słyszeliśmy nowiny – odparł, przebiegając uważnie wzrokiem od Eriki do Moss. Na szczycie jego głowy wystąpił pot. – Jestem Charles Fryatt, syn Elsy Fryatt.

– Skąd dowiedzieli się państwo o tym, co się stało? – zapytała Moss.

– Zadzwoniła do nas jej matka. Powiedziała, że jej córka została brutalnie zamordowana, nie będzie mogła więc u nas więcej pracować.

Ich rozmówca wydawał się stary, mocno po sześćdziesiątce.

– Czy możemy porozmawiać z pańską matką?

Odsunął się na bok i gestem zaprosił je do środka. Korytarz wejściowy prowadził wprost do olbrzymich schodów, nad którymi, dwa piętra wyżej, znajdował się sufit.

– Siedzi w salonie – powiedział mężczyzna.

Minęły wielki zegar stojący koło schodów pod masywnym kryształowym żyrandolem. Charles Fryatt miał dziwny chód i nieco się garbił. Przeszły przez pokój od frontu, który zastawiony był regałami z książkami. Stała w nim również wielka świąteczna

choinka, gustownie przyozdobiona białymi światełkami. Z tyłu domu znajdował się duży salon, z którego rozpościerał się widok na pokryty śniegiem ogród. Był o wiele bardziej żywy od poprzedniego – stał tu wielki telewizor, mnóstwo foteli oraz stolik kawowy, na którym leżał stos czasopism i książek. Na największej kanapie w pokoju siedziała starsza pani. Erika oczekiwała, że spotka pomarszczoną inwalidkę, ale zamiast tego stalowym spojrzeniem mierzyła ich drobna kobieta o silnie zarysowanej szczęce. Ubrana była w wełnianą spódnicę i tweedową marynarkę, a jedyną ochroną przed zimnem była para kapci z owczej skóry na nogach. Siwe włosy miała krótko i modnie przycięte. Jej poorana zmarszczkami twarz zdradzała jednak prawdziwy wiek.

– Dzień dobry, paniom. Jestem Elsa Fryatt – przywitała się, wstając i ściskając im dłonie. – Aparat słuchowy wyłapie wszystko – dodała, wskazując na dwa urządzenia w swoich uszach.

Poruszała się bardzo sprawnie, znacznie lepiej od swojego syna. Mówiła z lekkim, jakby metalicznym akcentem, którego Erika nie potrafiła do niczego przypisać.

Erika i Moss przedstawiły się raz jeszcze i pokazały odznaki.

– Czy napiją się panie kawy i przy okazji skosztują pasztetu? – zapytała Elsa. – Charles, wiesz, jak działa ekspres do kawy?

– Tak, oczywiście.

– Podgrzej przy okazji pasztety Marks and Spencer… I wywal te, które kupiliśmy na kiermaszu świątecznym.

Charles skinął głową. Erika obserwowała go, jak wychodzi z pokoju, i zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem chory. Potwornie się pocił.

– Osobiście wolę kupne pasztety niż te domowej roboty – stwierdziła Elsa.

– Mnie tam nie robi to żadnej różnicy – odparła Moss.

W kominku palił się mocny ogień. Usiadły na kanapie naprzeciw starszej pani, która złożyła dłonie na kolanach i utkwiła

w nich spojrzenie przenikliwych błękitnych oczu.

– Jak rozumiem, chcą panie porozmawiać z nami na temat Marissy? – spytała i pokręciła głową. – Potworna sprawa. Kto mógł zrobić coś takiego i to jeszcze tak młodej dziewczynie? – Zakryła sękatą dłonią usta, znowu pokręciła głową, ale powstrzymała się przed wybuchnięciem płaczem.

– Czy potwierdza pani, że Marissa była pani opiekunką? – zapytała Erika.

Pani Fryatt zrobiła przeczący gest ręką.

– Bardziej towarzyszką. Robiła mi zakupy, prowadziła mój dziennik. Powierzałam jej obowiązki, o które nie prosi się normalnej służby.

– Pozwoli pani, że zapytam… Czy ma pani dużą służbę?

Kobieta wybuchła śmiechem.

– Nie, tak tylko mówię, starając się uchodzić za kogoś więcej, niż faktycznie jestem. Mam osobę do sprzątania, która przychodzi codziennie na kilka godzin, przy okazji przygotowuje mi posiłki. Oraz ogrodnika, który robi jednocześnie za złotą rączkę. Wiele rzeczy robi Charles. Marissa prała mi ubrania, pomagała z zakupami oraz innymi prywatnymi sprawami.

– Jak długo dla pani pracowała?

– Trochę ponad rok. Wywiesiłam ogłoszenie w pobliskiej kawiarni oraz w internecie… A raczej: Charles to zrobił. Chciałam kogoś, kto mieszka w pobliżu.

– Wiedziała pani, że Marissa była tancerką burleski? – zapytała Erika.

– Oczywiście. Byłam na kilku jej występach.

– W klubach ze striptizem? – zapytała Moss.

Pani Fryatt spojrzała na Moss, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

– Klubach ze striptizem?! Nigdy w życiu nie byłam w klubie ze striptizem. Oglądałam Marissę w czasie jej występów w Café De Paris przy Leicester Square, miała także regularne pokazy w Soho, nie pamiętam nazwy tamtego klubu, ale był mniejszy, a atmosfera w nim była znacznie bardziej wesoła… Z całą pewnością nie był to striptiz. Burleska to forma sztuki, a ona była w tym bardzo dobra… – Przygryzła wargę.

Wyglądała, jakby miała się za moment znowu rozkleić.

– Przepraszam. Zawsze była taka żywa. Dzięki niej było tu znacznie weselej.

– Czy mogę zapytać, ile Marissa u pani zarabiała?

– Nie rozmawiam o pieniądzach – odparła, oburzona pytaniem. – Płaciłam jej bardzo dobrze. Pracowała w tygodniu po trzy, cztery godziny dziennie.

– Pani Fryatt, nie potrafię rozpoznać pani akcentu – powiedziała Erika.

– Doprawdy…

Erika urwała na moment, ale widząc, że pani Fryatt nie zamierza powiedzieć nic więcej, zdecydowała się zadać pytanie.

– Czy mogę zapytać, skąd pani pochodzi?

– Z Austrii. Ale nie wiem, co to ma wspólnego ze sprawą.

Erika wyglądała na zaskoczoną.

– Nic. Po prostu jest w pani głosie coś charakterystycznego. Pochodzę ze Słowacji.

– Tak, też nad tym się zastanawiałam, bardzo skraca pani głoski.

– Nauczyłam się angielskiego w Manchesterze, gdzie mieszkałam początkowo po przeprowadzce do Wielkiej Brytanii.

– Moje ty biedactwo… – skwitowała pani Fryatt.

Pochyliła nieco głowę i obdarzyła Erikę chłodnym uśmiechem.

– A pani gdzie nauczyła się swojego… czarującego… angielskiego? – zapytała lodowatym głosem Erika.

– Rodzina przybyła do Anglii zaraz po wybuchu wojny. Ojciec był dyplomatą.

Charles wrócił do pokoju z wielką tacą zastawioną elegancką chińską porcelaną. Stały na niej filiżanki, spodki, dzbanek z mlekiem, cukierniczka i talerz z ciepłą pieczenią. Pani Fryatt łypała na niego, gdy męczył się z postawieniem tacy, balansującej na jego kolanie. Nie wykonała nawet najdrobniejszego ruchu, aby pomóc mu uprzątnąć stos książek i czasopism na stoliku. Nagle filiżanki i kafeteria zaczęły się ześlizgiwać. Na szczęście Moss zdążyła do niego przyskoczyć i wziąć tacę.

– Chryste! Najpierw odkładaj tacę, a później zabieraj się za przekładanie rzeczy – zganiła syna pani Fryatt. – Naprawdę, mężczyźni nie są w stanie myśleć dalej niż jeden krok naprzód…

Charles obrzucił ją morderczym spojrzeniem i zgarnął stos książek i czasopism, żeby zrobić miejsce na tacę.

– Charles to znakomity jubiler, ma naprawdę encyklopedyczną wiedzę na temat kamieni szlachetnych, cennych metali i dawnej biżuterii, ale jeśli chodzi o wypełnianie codziennych obowiązków, to po prostu jest beznadziejny.

Charles postawił tacę na stoliku.

– Proszę, matko – powiedział, po czym wyszedł z pokoju.

Pani Fryatt pochyliła się, aby nalać im kawy.

– Nie wie, co ze sobą począć, gdy sklep jest zamknięty.

– Sklep? – zapytała Erika.

– Pracuje jako jubiler w Hatton Garden – odpowiedziała z dumą. – Ożenił się z uroczą Żydówką, wraz z którą odziedziczył sklep. Oczywiście, bardzo szybko stał się niezastąpiony. Ma olbrzymią wiedzę. Towarzystwo zaakceptowało go, a nie jest to łatwe, jeśli rozumieją panie, o co mi chodzi.

Ponownie usiadły i napiły się kawy.

– Czy mają państwo jakichś podejrzanych? – zapytała pani Fryatt.

– Dowiedzieliśmy się, że Marissa prowadziła bardzo barwne życie. Czy opowiadała pani o swoich prywatnych sprawach?

– Niewiele. Zawsze odnosiłam wrażenie, że jest profesjonalistką. Jej występy cieszyły się wielkim uznaniem i pragnęła jeździć po świecie. Poznałam kilka dziewczyn, z którymi tańczyła. Wydawały się dobrymi koleżankami. Nie podobała mi się tylko… jak jej było? Taka niemiła, brzydka dziewczyna w grubych okularach… Występowała pod jakimś komediowym imieniem…

– Sharon – podpowiedziała Moss.

– Tak, właśnie ona. Marissa twierdziła, że strasznie ją męczyła, zawsze chciała z nią wszędzie chodzić. Podobno Sharon nieustannie domagała się, żeby Marissa była twarzą jej zakładu fryzjerskiego, który miała przy głównej ulicy… – Pani Fryatt się skrzywiła.

– Domyślam się, że nie jest pani jedną z klientek? – zapytała Erika.

– Zgadza się, nie jestem. Chodzę do salonu Charles and Charles w Chelsea. Proszę mi wierzyć, mimo odległości, ich usługi warte są każdego wydanego pensa.

– Czy odnotowała może pani, żeby Marissa miała jakichś wrogów? – zapytała Moss.

– Na tyle, na ile ją znałam, nie. Niech panie jednak nie zapominają, że… hmm… nie wiem, jak to zgrabnie ująć w dzisiejszym języku, ale Marissa była moją pomocniczką. Zawsze uważałam, że była uroczą dziewczyną, ale przepaść pokoleniowa i społeczna między nami sprawiały, że nie do końca byłyśmy na prywatnej stopie. No cóż, przynajmniej ja nie byłam. Ona nie miała żadnych oporów, aby opowiadać o swojej okropnej matce. Alkoholiczka z nadwagą o paskudnym charakterze.

Pani Fryatt pochyliła się i ponownie zaoferowała im kawę, co Erika uprzejmie przyjęła.

– Marissa opowiedziała mi jednak pewnego razu o czymś niepokojącym… Było to kilka tygodni temu. Wracała do domu z występu, wysiadła z pociągu na stacji Crofton Park. Było już późno i raczej ciemno. Gdy przechodziła koło cmentarza, podszedł do niej bardzo wysoki mężczyzna w masce przeciwgazowej.

Erika odstawiła filiżankę.

– Słucham?

– Tak, było już późno, a ona wracała samotnie ze stacji… Gdy to usłyszałam, od razu wydało mi się to wariactwem… I nagle w bramie cmentarza stanął on, łapiąc ją i starając się pociągnąć ją z dala od światła. Na szczęście zdołała mu się wyrwać.

Erika i Moss wymieniły spojrzenia.

– Zgłosiła to na policję?

– Nie wiem. Opowiadała o tym bardzo swobodnie, zupełnie jakby to było jedno z wielu podobnych zdarzeń. Moim zdaniem jest w tym jednak coś więcej. Widziałam wiadomości: mężczyzna w masce przeciwgazowej napada na ludzi wracających późnym wieczorem ze stacji kolejowych do domów. Kilka tygodni temu zaatakował kobietę i młodego mężczyznę, a później tę nieszczęsną kobietę w Boże Narodzenie. Czy mają państwo jakieś podejrzenia, kim on może być?

Erika zignorowała pytanie. Wróciła myślami do porannej rozmowy na komendzie z dwójką funkcjonariuszy. Sprawa, o której mówili, nagle stanęła jej przed oczami, pochłaniając przez chwilę całą jej uwagę.

– Czy wie pani kiedy, i gdzie dokładnie, do tego doszło? – zapytała Erika.

– Nie pamiętam dokładnej daty, prawdopodobnie na początku listopada. Marissa twierdziła, że wracała do domu ostatnim pociągiem, na stacji nie było zbyt wielu ludzi. Było już po północy.

Szła ze stacji Crofton Park. Gdy mijała wejście na cmentarz od strony Brockley Road, znikąd pojawiła się wysoka, ciemno ubrana postać. Mężczyzna miał na sobie długi czarny płaszcz i rękawice, a twarz zasłaniała mu maska przeciwgazowa. Marissa mówiła, że wyglądał naprawdę upiornie. Próbował zaciągnąć ją na cmentarz.

– Zaatakował ją? – zapytała Moss.

– Tak. A raczej próbował, a ona uciekła. Na ulicy pojawił się samochód, światła go spłoszyły. Resztę drogi do domu Marissa pokonała biegiem. Miała wiele, naprawdę wiele szczęścia. Zawsze powtarzałam, że czuwa nad nią anioł stróż – powiedziała pani Fryatt. – No cóż – dodała, a jej twarz posmutniała – przynajmniej do teraz…

Rozdział 27

Po drodze na komendę Erika i Moss zjadły lunch. Poranek obfitował w nowe ustalenia: Sharon powiedziała im, że Marissa planowała wyjechać z kraju, Ivan próbował popełnić samobójstwo, dowiedziały się, że Marissa szantażowała Dona, a na koniec pani Fryatt ujawniła, że kilka tygodni wcześniej Marissę napadł mężczyzna w masce przeciwgazowej.

W głowie Eriki kotłowało się mnóstwo myśli i pytań. Czuła jak na granicy świadomości czai się do ataku potężny ból głowy. Gdy wróciły na Lewisham Row, od razu udały się do centrum koordynacyjnego. Na tablicy wisiał wielki plakat Marissy Lewis ubranej jak do występu, McGorry, Peterson i paru innych funkcjonariuszy zebrało się naprzeciw niego, koło biurka.

– Naprawdę je lubię – powiedział Peterson.

– Co tu się wyprawia? – warknęła Erika, czując narastającą wściekłość.

Peterson chciał coś powiedzieć, ale natychmiast mu przerwała.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że Marissa była seksowną tancerką burleski, ale teraz to ofiara morderstwa. Czy musicie tak tłoczyć się przed jej zdjęciem w samej bieliźnie?

W pomieszczeniu zapadła niezręczna cisza.

– Ten plakat wisi tu tylko dlatego, że na stroju widoczny jest jej pseudonim sceniczny i wyhaftowane jest jej logo – powiedział Peterson. – Widzisz ten różowy gorset z wyhaftowanym diamentem?

– Tak, jestem tego jak najbardziej świadoma. Jej pseudonim artystyczny brzmiał Honey Diamond – odparła Erika.

Jasne światło centrum koordynacyjnego tylko zaostrzyło tępy ból z tyłu głowy.

– Skontaktowaliśmy się ze sklepem, w którym ofiara kupiła ten kostium. To Stand Up and Tease w Soho. Ustaliłem, że w swojej ofercie mają szycie i przeróbki strojów oraz wykonywanie ozdobnych haftów. Dali nam nazwisko faceta, który wykonywał hafty na jej kostiumach…

– No dobra, to czego tu tak stoicie i gadacie?

– Stoimy tu, bo właśnie przyjechał lunch – powiedział McGorry, wskazując na leżące na biurku przed tablicą pudełko z kanapkami.

– A ja mówiłem, że lubię te kanapki z serem i piklami – powiedział Peterson.

Wbił w nią spojrzenie. Pozostali funkcjonariusze odwrócili wzrok. Moss poczuła się niekomfortowo.

– W porządku. Świetna robota. Chcę wydrukowaną listę wszystkich występów, które Marissa dawała na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy. I wyślijcie mi kontakt do faceta, który pracował przy jej kostiumach.

– Jasne – odparł Peterson.

– Moss, przekażesz wszystkim, czego się dzisiaj dowiedziałyśmy, i zaktualizujesz tablicę?

– Jasna sprawa, szefowo.

Erika wyszła z centrum koordynacyjnego.

Moss sięgnęła po kanapkę.

– Co ją ugryzło? – zapytał McGorry.

– Dużo się dzisiaj działo – odpowiedziała.

– Ale to nie powód, żeby się na nas wyżywać – powiedział Peterson.

Moss spojrzała na niego i zaczęła opowiadać, co się wydarzyło rano.

Erika wyszła z centrum, czując się potwornie głupio. Zauważyła, jak inni funkcjonariusze patrzyli na nią, gdy naskoczyła na Petersona. Czy wiedzieli, że między nimi coś kiedyś było?

Zatrzymała się przy naprawionym już automacie do kawy i kupiła espresso. Myślała o powrocie Petersona do pracy i o tym, jak miałyby wyglądać ich wspólne kontakty. Był dobrym policjantem i nieocenionym członkiem zespołu, ale jeśli będzie się to ciągnęło dalej, to zostanie zmuszona do wystąpienia o zmianę przydziału dla niego.

– Nie sra się we własne gniazdo, ty idiotko – powiedziała do siebie, czekając, aż napełni się kubek.

Poszła schodami do swojego gabinetu na piętrze. Usiadła przy biurku, odpaliła komputer i zalogowała się do Holmesa. Wpisała frazę „maska przeciwgazowa atak" i na ekranie wyskoczyła lista wyników.

W czasie ostatnich trzech miesięcy były cztery takie sprawy: dwie kobiety i dwóch mężczyzn zostało napadniętych przez rosłego człowieka w masce przeciwgazowej. Wszystkie ataki miały miejsce w pobliżu stacji kolejowych i doszło do nich albo późną nocą, albo bardzo wczesnym rankiem. Pierwszą ofiarą była dwudziestoletnia Rachel Elder, która szła na stację Gipsy Hill, aby pojechać do szpitala Lewisham, gdzie pracowała jako pielęgniarka. Napastnik wciągnął ją w alejkę, gdzie obnażył się przed nią, po czym złapał za gardło. Atak trwał długo, w końcu straciła przytomność z niedotlenienia. Puścił ją, pozwolił złapać oddech, po czym ponownie złapał za gardło. Znów straciła przytomność. Gdy wróciła do siebie, napastnika już nie było.

Do drugiego ataku doszło w pobliżu stacji East Dulwich. Tym razem ofiarą był dwudziestotrzyletni Kelvin Price – aktor, który występował na West Endzie. Po pracy wyszedł się napić i wracał do domu ostatnim pociągiem. Tuż po północy mężczyzna w powiewającym czarnym płaszczu i masce przeciwgazowej ze

szklanymi wizjerami wciągnął go do alejki w pobliżu stacji kolejowej. Był duszony, kilkukrotnie stracił przytomność. Twierdził, że napastnik obnażył się przed nim i masturbował.

– O Boże – powiedziała Erika, czytając wyświetlone na ekranie wyrazy.

Trzecią ofiarą była Jenny Thorndike, którą napadnięto w pobliżu stacji Penge East. Szła na pociąg wczesnym rankiem, gdy nagle „znikąd" pojawił się przed nią mężczyzna w czerni, z maską przeciwgazową na twarzy. Próbowała mu się opierać, ale uderzył ją pięścią w twarz i zaciągnął do parku przy stacji, gdzie brutalnie ją pobił i podduszał.

Do ostatniej zgłoszonej napaści doszło w Boże Narodzenie w Sydenham. Kobieta po pięćdziesiątce, Diana Crow, wracała do domu od przyjaciół, gdy nagle ktoś złapał ją, gdy przechodziła tunelem pod torami. Tak jak pozostałe ofiary była duszona. Napastnik uderzył ją w twarz, łamiąc kość policzkową. Napaść zgłosiła jednak dopiero kolejnego dnia.

– Marisso, miałaś szczęście, udało ci się uciec, ale dlaczego nie zgłosiłaś tego na policję? – powiedziała Erika, biorąc łyk espresso.

Znalazła informacje o funkcjonariuszu, który prowadził sprawę mężczyzny w masce przeciwgazowej (był to detektyw Peter Farley), i wysłała mu maila z prośbą o akta oraz z informacją, że prowadzone przez nią śledztwo ma prawdopodobnie związek z jego sprawą. W tym samym momencie usłyszała sygnał, że otrzymała nową wiadomość.

Cześć, Eriko, jednostka ds. cyberprzestępczości zdołała odzyskać jedno ze zdjęć skasowanych z telefonu Josepha Pitkina.
KAY

Erika otworzyła załącznik.

Trzymam twoje zdjęcia i filmy w bezpiecznym miejscu. Jak długo będziesz milczał, nikt ich nie zobaczy.

T.

– Jezu – powiedziała, opierając się na krześle.

Był to niepokojący rysunek, wykonany chyba czarnym długopisem na pożółkłym papierze.

Pukanie do drzwi sprawiło, że aż podskoczyła.

– Czego?

Był to Peterson. Wsadził głowę do środka.

– Masz chwilę?

– A co?

– Właśnie rozmawiałem z Isaakiem Strongiem. Skończył oględziny ciała Marissy Lewis. Chciałby wiedzieć, czy znajdziesz czas, żeby do niego wpaść?

– Dobra, dzięki. Oddzwonię do niego – powiedziała, masując skronie.

Peterson wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Co to, u diabła, jest? – zapytał.

– Kolejne zdjęcie odzyskane z telefonu Josepha Pitkina. Skasował je, tak samo jak zdjęcia i filmy pornograficzne.

– Maska przeciwgazowa? Myślisz, że to motyw rozpoznawczy tego gościa? Że wysyła wiadomości z rysunkami?

– Nie wiem. Dopiero co dostałam to cholerstwo. Zapoznaj z tym ludzi na dole, przywieś zdjęcie na tablicy. Sprawdź też, czy pozostałe ofiary także dostały podobne wiadomości pocztą lub na maila. I spróbuj się zorientować, czy ta maska przeciwgazowa pasuje do tego, co widziała reszta napadniętych.

– Dobrze… – Peterson wyglądał jakby czuł się nieco niezręcznie. – Możemy chwilę pogadać?

– Mam dosłownie minutę – odpowiedziała, sięgając po wiszący na stojaku płaszcz. – O co chodzi?

– Muszę o czymś z tobą porozmawiać.

– Czy to ma związek z pracą?

– Mmm… właściwie to…

– Czy to nie może zaczekać? Porozmawiamy, gdy wrócę, w porządku?

Skinął głową.

Erika złapała telefon i kluczyki do samochodu i wyszła.

Schodząc na dół, Peterson spotkał Moss przy automacie z kawą.

– Szybko ci poszło. Jak to przyjęła?

Pokręcił bezradnie głową.

– Poszła do kostnicy. Nie miałem okazji nic jej powiedzieć.

– James! Musisz to w końcu zrobić.

– Wiem. Ale w środku sprawy jest to cholernie trudne.

– Po prostu zbierz się na odwagę i znajdź na to czas – powiedziała Moss, po czym upiła nieco kawy i wróciła do centrum koordynacyjnego.

Rozdział 28

Gdy Erika dotarła do szpitala, wszystkie miejsca parkingowe były zajęte i musiała zaczekać na pobranie biletu i podniesienie szlabanu. Pobłądziła, dwukrotnie źle skręciła i w końcu musiała zapytać portiera, gdzie znajduje się parking kostnicy. Wreszcie udało jej się ją znaleźć i zaparkowała koło niskiego, przysadzistego budynku z wielkim kominem wyrzucającym w stronę szarego nieba kłęby czarnego dymu.

Musiała wpisać się na recepcji i przejść obok wejścia prowadzącego do szpitalnej spalarni. Wreszcie na końcu długiego korytarza znalazła kostnicę, w której uwijał się Izaak.

– Udało ci się nas znaleźć – powiedział.

– Tak, ale nie było to tak łatwe jak w Penge…

– A do tego musimy jeszcze płacić za przywilej przychodzenia do pracy.

Izaak zabrał ją do dużego pomieszczenia z ciałami po sekcji. Erika zamrugała, oślepiona jasnymi światłami. W rzędzie stało tam sześć stołów sekcyjnych, wzdłuż których biegła stalowa rynna.

– Na twoim miejscu nie ściągałbym kurtki – przestrzegł ją Izaak. – Pod fartuchem mam wełniany sweter… Przepraszam, że zajęło to tyle czasu.

Ciało Marissy spoczywało na pierwszym stole, po szyję zakryte białym płótnem. Izaak je ściągnął. Jej szyja była ziemistożółta. Od pępka, między piersiami i przez mostek biegła długa linia szwów, rozchodząca się na końcu w kształt litery Y. Ciało było obmyte z krwi, a ślady po ciosach nożem w gardło przypominały Erice rybie skrzela. Jej wzrok zjechał niżej.

– Tuż nad linią majtek ma wytatuowany diament – powiedziała, wskazując na lekko zarysowane włosy łonowe. – Jest on wyszyty na wszystkich jej ubraniach scenicznych.

Izaak przytaknął.

– Miała we krwi niewielkie stężenie alkoholu, co nie powinno dziwić, jeśli wracała z imprezy świątecznej. Nie znalazłem śladów żadnych leków ani narkotyków.

Erika ponownie spojrzała na bliznę biegnącą przez mostek Marissy, po czym przesunęła wzrok na jej twarz, która po zmyciu makijażu wyglądała tak młodzieńczo. Wyglądała niemal jak dziecko. Erika wzięła głęboki wdech, czując narastający ból głowy. Czuła się dziwnie, zupełnie jakby jakaś siła przygniatała ją do ziemi i zarazem unosiła w górę.

– Była zdrowa. Wszystkie narządy są w dobrym stanie. – Izaak podszedł do głowy Marissy. – Ostrze miało około ośmiu cali długości. Przez gardło biegną trzy długie cięcia, jedno z nich przecięło główne arterie. Wykrwawiła się bardzo szybko. Nóż miał ząbkowane ostrze, takie jak starsze noże do krojenia owoców.

– Możliwe więc, że nóż należał do sprawcy od dłuższego czasu?

Izaak skinął twierdząco głową.

– Nie zdołaliśmy pobrać z ciała ofiary próbek DNA.

– Niczego?

– Nie. Żadnych płynów ustrojowych, fragmentów włosów. Nie była wykorzystana seksualnie.

Jedna z koleżanek Izaaka weszła do pomieszczenia i zbliżyła się do rzędu drzwi ze stali nierdzewnej po przeciwnej stronie. Otworzyła je przyciskiem i z wnętrza wysunęły się nosze. Erika przyjrzała się im uważnie. Znajdowało się na nich ciało Josepha Pitkina.

– Jakiś problem? – zapytał Izaak.

– Ten chłopak popełnił samobójstwo w areszcie w Boxing Day… Mogę?

Koleżanka Izaaka skinęła głową i Erika z Izaakiem podeszli do ciała. Po śmierci Joseph wydawał się jakby mniejszy, a jego ciało bardzo chude. Wokół szyi znajdowały się wściekle czerwone okręgi, a ciemnofioletowa linia wskazywała na miejsce, w którym pętla przecięła skórę pod podbródkiem, miażdżąc jabłko Adama.

– Chciałabym raz jeszcze przebadać jego ciało – powiedziała koleżanka Izaaka, drobna kobieta o delikatnych szarych oczach. – Chciałabym coś z tobą skonsultować, Izaaku.

Stanął po drugiej stronie noszy, a ona uniosła ręce Josepha.

– W tym miejscu ma przebarwienia skóry, bardzo jasne plamy ciągnące się od grzbietu dłoni w górę, wzdłuż nadgarstków. Przejrzałam jego dokumentację medyczną i nie ma w nich żadnej wzmianki o występowaniu w rodzinie problemów skórnych, takich jak na przykład bielactwo.

Izaak przyjrzał się uważnie wskazanym miejscom.

– Tak. Nie wydaje mi się, żeby miało to związek z jakąkolwiek chorobą. Bardziej mi to wygląda na wybielacz chemiczny niż naturalne przebarwienia.

– Był fotografem amatorem, miał własną ciemnię – powiedziała Erika.

– W porządku, czyli mamy odpowiedź na moje pytanie – odparła kobieta.

– Gdy nie używa się rękawic ochronnych, chemikalia wykorzystywane w ciemniach do wywoływania fotografii potrafią zostawiać przebarwienia skóry. Czy w płucach widoczne były blizny?

– Nie – odpowiedziała kobieta. – Były zdrowe tak jak pozostałe narządy.

Słowa kobiety zaczęły odbijać się echem w głowie Eriki: „Były zdrowe tak jak pozostałe narządy”. Przed oczami przewinął jej się rysunek maski przeciwgazowej i wideo, na którym ktoś stojący poza kadrem dusi Josepha. Jego twarz robi się czerwona, następnie fioletowa. Ścięgna na jego szyi napinają się coraz bardziej… Erika jeszcze raz zobaczyła w głowie notatkę. Oczami wyobraźni ujrzała ciemne wizjery maski przeciwgazowej.

Tępy ból nasilił się, rozsadzając od środka czaszkę. Pomieszczenie zawirowało i Erika musiała przytrzymać się stołu sekcyjnego.

– Eriko? – zapytał Izaak, a ona poczuła, że zaczyna tracić przytomność.

Przed oczami pojawiły się jej gwiazdy, po czym zapadła kompletna ciemność.

Rozdział 29

Gdy Erika otworzyła oczy, leżała na niedużej sofie w gabinecie. Panowało w nim ciepło. Całe pomieszczenie zastawione było kartonami. Izaak przyklęknął koło niej, a na jego twarzy malowało się zaniepokojenie.

– Proszę, napij się wody – powiedział.

Wzięła od niego kubek i się napiła. Woda była cudownie chłodna i zmyła okropny posmak suchości w ustach.

– Mogę ci zmierzyć ciśnienie?

Erika skinęła głową. Izaak podciągnął jej rękaw za łokieć.

– Co jest w tych kartonach? – zapytała.

– Książki.

Patrzyła, jak pompuje opaskę, która zaciskała się coraz mocniej na jej ramieniu.

– Jadłaś coś dzisiaj?

– Lunch.

Odpiął ją od ciśnieniomierza i przyłożył do jej nadgarstka stetoskop, i zaczął odliczać, wpatrując się w zegarek i nasłuchując jej pulsu. Zwolnił ucisk.

– Ciśnienie nieco niskie: sto na sześćdziesiąt pięć – wyciągnął malutką latarkę i poświecił jej w oczy.

Skrzywiła się.

– Od kiedy masz tę latarkę? Swoim pacjentom raczej nie badasz reakcji źrenic na światło?

– Prezent świąteczny. Przehandlowałem za niego różową spinkę do włosów.

Erika uśmiechnęła się. W głowie nadal jej huczało, ale ból nieco zelżał.

– Byłaś nieprzytomna przez kilka minut. Mogę pobrać ci krew?

– Skoro musisz – odparła. Izaak wyszedł z pokoju i wrócił po chwili ze strzykawką oraz probówką w sterylnym plastiku. Naciągnął nową parę gumowych rękawiczek. Erika odwróciła głowę, gdy pobierał jej krew, i skrzywiła się przy ukłuciu.

– Dobra, mamy próbkę – powiedział, odsuwając jedną probówkę i podsuwając pod końcówkę strzykawki drugą. – Czy miałaś ostatnio epizody omdlenia?

– Nie.

– Byłaś u lekarza?

– Nie… Byłam dzisiaj rano u podejrzanego w domu… Próbował popełnić samobójstwo: odkręcił gaz i uszczelnił wszystkie drzwi i okna. – Erika wyjaśniła, co się stało.

– Nawet nie zostałaś na miejscu na tyle długo, żeby przebadali cię ratownicy z karetki?

– Nie.

– Jezu, Eriko. Byłaś wystawiona na wysokie stężenie gazu naturalnego. Co dzisiaj piłaś?

– Espresso.

– Musisz wypłukać toksyny z organizmu. Powinnaś pić czystą wodę. I to litrami.

– Okej, okej…

Odszedł i wrócił z wielką szklanką wody i batonem Mars. Patrzył na nią, jak pije, przegryzając czekoladą.

– Dokończ to, co miałeś mi powiedzieć na temat sekcji.

– Powiedziałem ci już wszystko… Chociaż nie, jest jeszcze jedna sprawa. W ustach miała resztki parafiny. Nie jestem w stanie wymyślić, jak się tam znalazły. Widziałem coś takiego tylko

u samobójców i zdesperowanych alkoholików, którzy próbowali nawalić się w najdziwniejszych miejscach.

– W czasie występów na scenie połykała ogień – powiedziała Erika.

– Aaa – odparł Izaak. – Zagadka rozwiązana.

– Wieczorem idę do klubu Matrix, gdzie pracowała Marissa. Chcę porozmawiać z dziewczynami, z którymi występowała. Nie przejdziesz się ze mną?

– Bardzo popaprana randka – odpowiedział z uśmiechem. – Niestety, mam pracę.

– Trudno, w porządku.

– Nie powinnaś się przemęczać.

– Odpocznę z godzinę w domu i przy okazji coś zjem – odparła.

Dopiła wodę i wstała.

– Zrobię ci standardowe badania krwi. Nie będziesz musiała iść do lekarza – powiedział.

– Dzięki.

– Przykro mi z powodu tego chłopaka, który zabił się w areszcie.

– Mnie też – odparła.

Erika wyszła z kostnicy, na zewnątrz było już ciemno. Na parkingu panował duży ruch, a przed szlabanem ustawiła się długa kolejka samochodów. Wygrzebała w odmętach płaszcza portfel i poszła odbić bilet. Jak zwykle odepchnęła od siebie wszystkie emocje względem Josepha, Marissy i reszty zamordowanych, z którymi zetknęła się w czasie swojej długiej kariery, zamiatając je pod dywan. Dokładnie tak, jak robiła to przez wszystkie poprzednie lata.

Rozdział 30

Erika wróciła do mieszkania, wzięła prysznic i siedząc przed laptopem, zjadła ogromną porcję ryby z frytkami, którą kupiła po drodze do domu. Peterson wysłał jej maila z informacjami o krawcu, który zajmował się kostiumami Marissy, dodając, że tego wieczoru będzie pracował w klubie Matrix przy Wardour Street w Soho.

Erika kończyła się właśnie szykować przed lustrem na wieczór burleski, zastanawiając się, czy nie ubrała się zbyt poważnie, gdy nagle usłyszała dzwonek do drzwi.

– Dobry wieczór – powiedział Peterson, gdy otworzyła drzwi.

Miał na sobie nowy czarny garnitur z niebieskim krawatem i długi, czarny płaszcz zimowy.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– Idę z tobą do klubu Matrix – odpowiedział z uśmiechem.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? Albo nie napisałeś o tym w mailu?

– Bo wtedy kazałabyś mi pewnie spierdalać.

– Na pewno użyłabym bardziej profesjonalnych określeń. To w końcu sprawa służbowa.

Oboje się uśmiechnęli.

– Świetnie wyglądasz – powiedział.

– Nie wyglądam jak glina w przebraniu, który za wszelką siłę stara się wtopić w otoczenie? – zapytała, patrząc na niebieskie spodnie garniturowe i białą bluzkę bez rękawów. Dotknęła włosów, które były twarde jak skała. Wysuszyła je dokładnie, po

czym potraktowała sprejem do włosów, starając się osiągnąć taki sam efekt jak fryzjerka, u której ostatnio była, ale wynik był daleki od oczekiań.

– Nie, ani trochę – odparł.

– Świetnie. Ty też świetnie wyglądasz… Znaczy: stylowo.

– Dzięki. Nie masz nic przeciwko, żebym poszedł z tobą? To w końcu policyjna sprawa, a to ja znalazłem dla ciebie namiary na krawca, który pracował dla Marissy.

– W porządku, przyda mi się jeszcze jedna para oczu.

Mimo śniegu Soho tętniło życiem: ludzie krążyli po Old Compton Street, korzystając z wolnego między Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem. Prószył lekki śnieżek, a białe chodniki mieniły się najróżniejszymi kolorami, rzucanymi przez światła z okolicznych barów. Erika i Peterson weszli w tłum ludzi idących środkiem drogi. Cały czas w trakcie podróży pociągiem z Forest Hill do Charing Cross rozmawiali o sprawie. Erika opowiedziała mu o wizycie w kostnicy, gdzie miała okazję zobaczyć ciało Josepha Pitkina, zdecydowała się jednak pominąć fragment ze swoim omdleniem. Peterson zdał jej raport na temat Ivana Stowalskiego, który wciąż przebywał w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności. Późnym popołudniem przyszła posiedzieć z nim jego żona.

– Nadal nie mają pewności, czy brak tlenu nie doprowadził do uszkodzenia mózgu – powiedział Peterson. – Sprawdziliśmy też Dona Walpole'a. Jesienią wziął dodatkową pożyczkę pod dom na jedenaście tysięcy, dziesięć wpłacił na konto Marissy… Biedaczysko nie ma jednak żadnego potwierdzenia, nawet biletu parkingowego.

– Nie znaczy to, że jej nie zabił – powiedziała Erika.

Gdy wysiedli z pociągu i przebijali się do Soho przez tłum ludzi na Leicester Square, nie mieli zbyt wiele czasu, aby porozmawiać o czymkolwiek, co nie miałoby związku z pracą. Świąteczne dekoracje wyglądały naprawdę magicznie i Erice zrobiło się smutno, że nie poukładało jej się z Petersonem. Miała cień nadziei, że może uda im się odbudować ich związek, ale na razie odsunęła od siebie tę myśl.

Klub Matrix znajdował się na rogu Wardour i Old Compton Street. Do środka prowadziły nieduże czarne drzwi, nad którymi wisiał neon. Wąski pasek chodnika przed wejściem był odgrodzony, a przed drzwiami, za stolikiem, stał wysoki, szczupły, czarnoskóry mężczyzna. Miał na sobie długi, gruby płaszcz zimowy, pod oczami jasnoniebieski cień do powiek, a do łysej głowy przyczepiony niewielki różowy kapelusik.

– Poproszę dwa bilety – powiedziała Erika, podchodząc do mężczyzny.

– Nazwiska? – zapytał, rzucając na nich spojrzenie.

– Erika i James – odpowiedziała Erika, zerkając na Petersona.

Gdy wymówiła oba imiona, poczuła się trochę, jakby byli na randce.

– Powiedziałem: nazwiska. Nie płacą mi za dyskutowanie z ludźmi – powiedział mężczyzna, przewracając oczami i wskazując na podkładkę z doczepioną listą.

Jego paznokcie płonęły wściekłym różem.

– Nie zrobiłam rezerwacji – wyznała Erika, czując się strasznie głupio.

– W takim razie bardzo mi przykro. Są państwo najsłabszym ogniwem, żegnam – odgonił ich ruchem ręki i zajął się obsługiwaniem kolejnej pary, która stała za nimi w kolejce.

– Bezczelny dupek – powiedział Peterson, wyciągając odznakę.

– Kurwa… Chciałam, żebyśmy weszli jak zwykli ludzie z ulicy, nie afiszując się dookoła, że jesteśmy gliniarzami.

Wyciągnęła swoją odznakę, czując się trochę głupio. Popełnianie błędów nie było w jej stylu. Para, która czekała za nimi, była na liście gości. Bramkarz odpiął linę i wpuścił ich z uśmiechem do środka.

Wrócili do jego stolika. Mężczyzna zmierzył Petersona wzrokiem.

– Nie masz w sobie nieco z Karaiba?

– Nie.

– A nie chcesz?

Erika powstrzymała się, żeby się nie uśmiechnąć.

– Nie potrzebuję – wymamrotał Peterson.

– A czego potrzebujesz? – zapytał bramkarz, wymownie pochylając się do przodu i komicznie udając pożądanie.

Erika zrobiła krok do przodu.

– Główna inspektor Erika Foster, a to mój kolega, inspektor James Peterson. To nieoficjalna wizyta, ale byłabym wdzięczna, gdyby pan z nami współpracował. Jedna z kobiet, która tu pracowała, zmarła kilka dni temu. Pracowała jako…

– Honey Diamond – dokończył bramkarz. Jego wredne nastawienie zniknęło bez śladu. – Potworna tragedia. Szykujemy się do pokazu charytatywnego. Podejrzewacie, że mógł to zrobić ktoś od nas?

– Nie, ale chcielibyśmy porozmawiać z ludźmi, którzy z nią pracowali. Jeśli dobrze rozumiem, to pracuje tutaj Martin Fisher?

– Tak. Jest krawcem.

– Pracował dla Honey Diamond, Marissy. Chcielibyśmy z nim porozmawiać, żeby dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– Jasne, chodźcie za mną.

Odpiął linę i zaprosił do środka. Klub w środku wyglądał przepięknie: czarne wypolerowane stoliki i krzesła, ustawione wokół niewielkiej sceny z czerwoną kurtyną. Mężczyzna zaprowadził ich do stolika przy wejściu.

– Jak masz na imię? – zapytała Erika.

– Pani Ebony. Za dnia: Dwayne Morris – odpowiedział, wyciągając krzesło dla Eriki i zapalając niewielką świeczkę na stoliku. – To stolik dla obsługi, możecie palić, jeśli chcecie.

Odszedł, a po chwili podeszła do nich kelnerka, aby przyjąć zamówienie. Wzięli sok pomarańczowy i colę.

Klub szybko się zapełnił i zaczął się występ. Chociaż w jego trakcie nie było ani razu całkowitej nagości, to Erika czuła się głupio, siedząc tam z Petersonem. Przez scenę przewijały się kobiety i mężczyźni najróżniejszych kształtów i wzrostu. Część z nich wykonywała tradycyjny striptiz, ale był też rozbierający się Adolf Hitler, szturmowiec z Gwiezdnych Wojen i kobieta, która przebrana była za zamachowca z bombą. Powoli ściągała z siebie ubranie, w trakcie czego coraz głośniej słychać było tykanie, aż wreszcie została tylko w plątaninie kabli i lasek dynamitu zakrywających jej miejsca intymne. Światła nagle zgasły i rozległ się huk eksplozji, a gdy znów je włączono, kobieta na scenie miała na sobie tylko rajstopy, przyozdobione czerwonymi i złotymi wzorami, mającymi symbolizować płomienie i ogień.

Na tym przedstawienie się skończyło.

– Jasna cholera – powiedział Peterson. – Ostatnie przedstawienie, na którym byłem, to *Riverdance*, poszedłem na nie przed świętami z mamą.

– No, to na pewno było bardziej szokujące niż irlandzkie tańce folkowe – powiedziała Erika.

Dwayne przecisnął się przez widownię, która tłoczyła się teraz przy barze.

– Martin chce z wami porozmawiać – oznajmił.

Wzięli płaszcze, przeszli z nim przez scenę i weszli za aksamitną kurtynę. Znaleźli się pośrodku zagraconego backstage'u – wszędzie walały się krzesła wykorzystywane w czasie występów, wieszaki na kostiumy i stare kartony. Zobaczyli otwarte drzwi prowadzące do małego pomieszczenia, w którym pracował przy maszynie do szycia potężny łysiejący facet w średnim wieku i okularach. Na ścianie za nim wisiał ogromny plakat reklamujący broadwayowskie przedstawienie pod nazwą *Mame*. Resztę ściany zajmowało wielkie lustro.

– To główna inspektor Erika Foster i jej kolega, inspektor James Peterson – powiedział Dwayne i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Widzieli państwo przedstawienie? – zapytał Martin, naciskając pedał maszyny do szycia i wpychając pod igłę duży fragment niebieskiego materiału.

– Tak – odpowiedziała Erika.

– Jak oceniają państwo fragment z zamachowcem?

– Bardzo pomysłowy.

Uśmiechnął się i poprawił okulary. Wyciągnął igłę z materiału i obejrzał uważnie szew.

– Chcą państwo dowiedzieć się czegoś o Honey Diamond, tak? O Marissie Lewis?

– To pan wprowadzał poprawki do jej kostiumów i wyszył diament na wszystkich jej strojach? – zapytał Peterson.

– Tak, chociaż nigdy nie płaciła na czas… Nie mam zamiaru słodzić. Była wredną suką. Przykro mi, że nie żyje, ale niewiele to dla mnie zmienia.

– Dlaczego jej pan nie lubił?

Martin odłożył materiał i całą uwagę skupił wyłącznie na nich.

– Była pozbawiona jakiegokolwiek wdzięku czy ciepła, a kierowały nią najgorsze instynkty i chora ambicja. Była gotowa iść po trupach do celu.

– A co nim było? – zapytała Erika.

– Nie pragnęła niczego poza sławą. Chciała być drugą Ditą von Teese. Nie rozumiała jednak, że musi także pracować nad swoim rzemiosłem. Każdy głupi może zostać nową Kardashianką, a przynajmniej może tego próbować. Mieliśmy tu takiego jednego amerykańskiego futbolistę, nie pytajcie kogo, przyjechał latem. W ogóle się nie kryła z tym, że chce go zaciągnąć do łóżka. Mówiła nawet, że spróbuje nagrać z nim sekstaśmę.

– Zrobiła to? – zapytała Erika.

– Nie. Chodził z jedną z naszych blondynek, Jenną Minx, która miała nieco więcej klasy od Marissy. Nie żeby wymagało to wiele wysiłku.

– Jak długo Marissa tu występowała? – zapytała Erika.

– Od stycznia – odpowiedział. Wziął nożyczki i zaczął ciąć żółty materiał. – Szczerze mówiąc, mimo wszystkich wad, miała prawdziwą osobowość sceniczną, dzięki temu stała się jedną z najpopularniejszych tancerek. Krążyły jednak plotki, że niektórym fanom oferowała coś więcej niż taniec.

– Prostytuowała się?

Skinął głową.

– Kilka razy jakieś bogate typki zabierały ją po występie, a ona wcale nie wstydziła się mówić o tym, co robiła czy ile za to brała.

– Wspominała panu o tym?

– Tak: mnie, każdemu, kto akurat był w pokoju, przechwalała się nawet przed zmywakiem kuchennym.

– Mówiła kiedykolwiek o sąsiadach, znajomych, jakichś bliskich relacjach?

– Był taki jeden biedny Polak, Ivan, którego wysysała z oszczędności od dłuższego czasu. Straszny pechowiec. Przychodził często na jej przedstawienia. Siedział w pierwszym rzędzie, zawsze w kurtce z kapturem. Pożerał ją wzrokiem

i krzyżował nogi, starając się ukryć erekcję. Pracowała też u nas dziewczyna, której chłopak pracował w telewizji, prowadził programy reality show. Marissa uganiała się za nim, ale on nie był zainteresowany. Któregoś razu, tuż przed podniesieniem kurtyny, strasznie się ze sobą pożarły. Uwijałem się jak w ukropie, żeby tylko naprawić ich stroje przed występem.

– Czy Marissa opowiadała o szczegółach swojego związku z Ivanem?

– Żartowała sobie, że trzyma go w schowku na miotły… Chodziło o jego cerę, był strasznie blady. Często dzwoniła do niego, prosząc o pieniądze albo nową kieckę, i dawała go na głośnomówiący, żebyśmy wszyscy mogli się pośmiać. Biedny facet.

– Czy Marissa wspominała kiedykolwiek, że ją bije lub że się go boi? – zapytał Peterson.

– Nie, to Marissa nosiła spodnie w tym związku. To ona kontrolowała jego i jego portfel.

– A czy mówiła coś o swojej drugiej pracy? – zapytała Erika.

Martin poprawił okulary i parsknął.

– Tak. Najwyraźniej była kobietą wielu talentów. Pracowała jako opiekunka. Jak dla mnie to tak, jakby król Herod dostał robotę na porodówce… Okradła tamtą staruszkę. Początkowo zabierała tylko jedzenie i produkty toaletowe. Ta kobieta…

– Pani Fryatt – podpowiedziała Erika.

– Tak, przyszła tu któreś nocy popatrzeć na Marissę jako Honey Diamond. W tych futrach i diamentach wyglądała jak Joan Collins. Wtedy właśnie zrozumieliśmy, dlaczego Marissa była jej opiekunką…

– Co miał pan na myśli, mówiąc „początkowo”?

– Marissa ukradła jej parę diamentowych kolczyków.

– Kiedy to miało miejsce? – zapytał Peterson.

Martin odłożył trzymany w rękach materiał.

– Parę tygodni przed świętami. Myślałem, że to zwykła ściema i że wymyśliła to sobie, żeby wszyscy myśleli, że kolczyki, które nosiła w czasie występów, były warte więcej niż w rzeczywistości… Byłoby to bardzo w jej stylu, Marissa uwielbiała kłamać… Ale poszła z jedną z dziewczyn do jubilera i ten ocenił przy nich ich wartość. Były prawdziwe, można byłoby za nie dostać z dziesięć tysięcy.

– Czy Marissa wspominała coś o napaści? – zapytał Peterson.

Martin wyglądał na zaskoczonego.

– Marissa kogoś zaatakowała?

– Nie, to ona została zaatakowana. Około miesiąc temu, gdy wracała ze stacji kolejowej do domu. Zaatakował ją jakiś mężczyzna.

Martin pokręcił głową.

– Nic o tym nie słyszałem. A słyszałem o życiu tej dziewczyny w zasadzie wszystko, czy tego chciałem, czy nie.

– Jest pan świadomy, że prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, a pan mówi o Marissie Lewis w bardzo nieprzychylnych słowach? – zapytał Peterson.

– A co, mam kłamać?

– Nie – odpowiedziała Erika.

– Wiem, że o martwych nie powinno się mówić źle i że nikt nie zasługuje na to, żeby zadźgali go na progu własnego domu. Coś potwornego – powiedział, ściągnął okulary i się przeżegnał.

Nie założył z powrotem okularów, leżały na jego wielkim brzuchu, przewieszone przez jego szyję na złotym łańcuszku.

– Wiedział pan, że planowała przenieść się do Nowego Jorku?

– Tak. Mówiła o tym.

– Żadnych szczegółów?

– Nie, ale zapytałem ją, skąd weźmie na to pieniądze. To nie jest tania zabawa, a do tego dochodzą koszty wizy i w ogóle.

Powiedziała mi wtedy coś, co utkwiło mi w pamięci. Powiedziała, że diament przyniesie jej szczęście i nowy start w życiu.

– Diament na kostiumie?

– Nie, zamierzała się go pozbyć i zmienić pseudonim sceniczny.

– Może zamierzała sprzedać diamentowe kolczyki? – zapytał Peterson.

– Może nie była najbystrzejsza, ale znała różnicę między liczbą pojedynczą a mnogą – odparł Martin. – Albo chciała brzmieć tajemniczo, albo pieprzyła bzdury. Niestety, w przypadku Marissy zwykle chodziło o to drugie.

– Był pan tu w czasie jej ostatniego występu w Wigilię?

– Tak. Miała tamtego dnia te diamentowe kolczyki.

– Jest pan pewien? – zapytał Peterson.

– Tak, bo przyszła tu kompletnie naga, prosząc o poprawienie paska. Trzymałem wzrok powyżej jej szyi. Nie bardzo pociąga mnie kobieca anatomia – powiedział i zacisnął usta. – Szczególnie gdy narzuca mi się ją znienacka, bez żadnego ostrzeżenia.

– Kim jest kobieta, z którą Marissa poszła do jubilera w Hatton Garden? – zapytał Peterson.

– Występowała dzisiaj, zaraz dam jej znać – wyciągnął telefon i odpiął od ucha jeden z klipsów, żeby zadzwonić.

– Wench! Jesteś jeszcze? Policja chciałaby z tobą porozmawiać… Nic się nie stało, tylko parę pytań.

Drzwi skrzypnęły i w wejściu pojawiła się drobna kobieta w dżinsach i fioletowym wełnianym swetrze.

Erika rozpoznała ją – występowała jako szturmowiec.

– Chcieli państwo ze mną porozmawiać?

– Właź do środka, nie stój tak w drzwiach – powiedział Martin, zakładając z powrotem kolczyk. – To Ella Barlett.

Uśmiechnęła się do Eriki i otaksowała Petersona wzrokiem.

– To ty poszłaś z Marissą do jubilera, żeby wycenił jej kolczyki? – zapytała Erika.

– Tak. Ocenił ich wartość na dziesięć i pół tysiąca. Zaoferował się, że je odkupi, miały cechować się rzekomo wyjątkową czystością.

– Ale Marissa ich nie sprzedała?

– Nie, gdy byłam tam z nią. Zdaje się, że czuła się strasznie ważna, że ma takie zajebiste kolczyki. Nie odniosłam wrażenia, żeby chciała się z nimi rozstawać.

– Kiedy to było?

– Jakiś tydzień temu.

– Przyjaźniła się pani z Marissą?

– Nieszczególnie. Po prostu byłam ciekawa, tak jak cała reszta, czy są prawdziwe, a akurat chodzę tamtędy na siłownię, więc uznałam, że się z nią przejdę.

– Pamięta pani, u którego jubilera byłyście?

– Nie, ale było to blisko siłowni Gym Box, gdzie ćwiczę, tej w Farringdon, ze dwie ulice od niej…

Erika popatrzyła na Petersona. Opis zawężał wybór do marnych kilkuset sklepów jubilerskich w Hatton Garden.

– Mogę dać pani swój numer na wypadek, gdyby coś sobie pani przypomniała? To bardzo ważne – powiedziała Erika, podając jej wizytówkę.

Dziewczyna skinęła głową i wyglądała, jakby miała już wyjść.

– A, Ello, coś sobie przypomniałem. Dostałem odświeżacz powietrza do twojego hełmu szturmowca. Wiem, że potrafi w nim być strasznie gorąco – powiedział Martin, podając jej butelkę.

Ella zerknęła zawstydzona na Petersona i wzięła ją.

– Wisisz mi za nią pięć dziewięćdziesiąt dziewięć! – krzyknął za nią. – Pani władzo, czy ma pani jeszcze jakieś pytania? Muszę od

zera przygotować sześć par stringów, a nie mogę przegapić ostatniego pociągu do domu.

– Dziękujemy, to wszystko – powiedziała Erika.

Rozdział 31

– Boże, co za sprawa – powiedziała Erika, gdy szła z Petersonem na stację Charing Cross. Wybrali spokojniejsze, boczne uliczki, żeby omówić, co udało im się ustalić.

– O co chodzi z tym całym diamentem? – zapytał Peterson.

– To znak rozpoznawczy Marissy. Pewnie myślała, że jako Honey Diamond zbije fortunę. Dita von Teese zarobiła na swojej pracy miliony, a ona chciała być drugą von Teese.

– Z każdą chwilą odkrywamy kolejne warstwy…

– Tajemnic? Oszustw? – zapytała Erika.

– Gówna. Chciałem powiedzieć: gówna. Cała ta sprawa to jedno wielkie bagno. Wszyscy jej nienawidzili.

Erika przytaknęła.

– Marissa była wygadana i nie potrafiła dochować tajemnicy, a mimo to, z tego, co wiemy, o tym, że została zaatakowana przez faceta w masce przeciwgazowej, powiedziała jedynie pani Fryatt.

– To, że Marissa lubiła fantazjować i nie była lubiana przez innych, nie znaczy jeszcze, że nie miała własnych lęków czy sekretów. Wiele osób jest zbyt straumatyzowanych po ataku lub napaści, aby to później gdzieś zgłosić. Nie mówiąc już o tym, że przecież najbardziej prawdomówni ludzie też często zmyślają i udają pewność siebie – powiedział Peterson.

Erika skinęła głową. Tak bardzo pogrążyli się w rozmowie, że nie zauważyli nawet, gdzie idą, niespodziewanie wychodząc z jednej z bocznych uliczek na Regent Street. Z nieba zaczynał siąpić deszcz ze śniegiem.

– Wejdziemy na kawę? – zapytał Peterson na widok otwartego jeszcze Starbucksa. – Na chwilę, przynajmniej dopóki nie przestanie padać.

– W porządku.

Zaczekali, aż ulicą przejedzie kilka czerwonych autobusów, przeszli na drugą stronę i przedzierając się przez śnieg, szybkim krokiem ruszyli do rozświetlonej kawiarni. Erika znalazła miejsce pod oknem, a Peterson przyniósł im dwie kawy. Z miejsca, gdzie siedziała, Erika widziała świąteczne wystawy sklepowe po przeciwnej stronie ulicy i tysiące lampek świątecznych rozwieszonych wzdłuż Regent Street. Wzięli po łyku gorącej kawy i zapatrzyli się na ruchliwą ulicę.

– Dobra, no to mamy Josepha Pitkina, który stalkował i kilkukrotnie fotografował Marissę oraz z nią nagrał film, być może na jej własną prośbę, w celu zaszantażowania Dona Walpole'a, tak? – zaczęła Erika.

– Mamy też Ivana Stowalskiego, który miał obsesję na punkcie Marissy i był gotów porzucić swoją żonę w Boże Narodzenie, aby wyjechać z nią do Nowego Jorku, i ostatecznie próbował popełnić samobójstwo – powiedział Peterson.

– No i jest w końcu Don Walpole, z którym Marissa spała już jako piętnastolatka i którego szantażowała, twierdząc, że oskarży go o wykorzystanie seksualne, gdyby tylko powiedział o tym komukolwiek… Wiemy też, że Marissa prawdopodobnie ukradła pani Fryatt diamentowe kolczyki, ale ta nic o tym nie wspomniała, chociaż w czasie rozmowy wydawało się, że ma doskonałą pamięć.

– Myślisz, że jej syn o tym wiedział? Jest w końcu jubilerem w Hatton Garden? – zapytał Peterson.

– Być może… Ale pani Fryatt była jedyną osobą, której Marissa opowiedziała o ataku – powiedziała Erika.

– O ataku dokonanym przez mężczyznę w masce przeciwgazowej, który w jakiś sposób był też powiązany

z Josephem Pitkinem. Zabił się z powodu zdjęć, które pokazałaś mu w czasie przesłuchania… Był naprawdę przerażony.

– Za mocno na niego nacisnęłam – powiedziała zmęczonym głosem. – Gdybyśmy tylko zdołali nieco wcześniej odzyskać zdjęcie notatki z narysowaną maską… Może zdołałabym wyciągnąć z niego nieco więcej przed śmiercią… Albo zdołała go powstrzymać przed samobójstwem… Sama nie wiem.

– Nie mogłaś wiedzieć – powiedział Peterson, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Uśmiechnęła się do niego blado.

– Mamy jeszcze Mandy, która bardzo kluczy w opowieściach o nocy, kiedy zginęła Marissa. Przecież musiała coś słyszeć.

– No tak, ale zdaje się, że to alkoholiczka.

– Prawda. Równie dobrze mogła leżeć na kanapie zalana w sztok, podczas gdy napastnik szlachtował Marissę za oknem. Jutro musimy prześledzić całą sytuację od nowa i ustalić kto ma, a kto nie ma alibi na tamtą noc. Chciałabym też złożyć pani Fryatt jeszcze jedną wizytę i zapytać o kolczyki.

Wzięli po kolejnym łyku kawy i przez moment siedzieli w ciszy. Peterson wiercił się w fotelu.

– Eriko, muszę o czymś z tobą porozmawiać… – zaczął.

Wyciągnęła telefon z torby. Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że było już prawie wpół do dwunastej.

– Cholera. Ucieknie mi ostatni pociąg, a muszę dzisiaj skończyć pisanie raportu.

Erika dopiła resztę kawy i ponownie sięgnęła po telefon.

– Pojadę Uberem – powiedziała, odblokowując ekran. – O, jest w pobliżu jakiś samochód, będzie tu za minutę. Świetnie. Jedziesz ze mną?

– Nie, przejdę się na pociąg – odpowiedział.

– Zdążysz?

– Tak. A spacer dobrze mi zrobi. Lampki świąteczne ładnie wyglądają.

Erika popatrzyła na niego przez moment.

– Wszystko w porządku? Co chciałeś mi powiedzieć?

– Nie wiem, czy mamy na to czas.

Jej telefon piknął i pod kawiarnię zajechał samochód.

– Nie. To mój samochód. Był niedaleko.

– To nic takiego, biegnij.

– Dobra. Dzięki za kawę. Widzimy się jutro z samego rana.

Złapała płaszcz i przerzuciła go sobie przez ramię. Powiewał za nią, gdy wybiegła z kawiarni, żeby przez zimny deszcz dobiec do samochodu.

Peterson popatrzył, jak Erika wsiada do samochodu i odjeżdża. Wziął kolejny łyk kawy. W tym momencie dostał SMS. Odczytał i zadzwonił pośpiesznie do nadawcy.

– Wiem, przepraszam. Myślałem, że uda mi się to do tej pory załatwić… Tak, widziałem się z nią, ale skończyło się na tym, że siedzimy wspólnie nad sprawą morderstwa… Tak, to praca całodobowa… Nie, nie powiedziałem jej jeszcze, ale zrobię to. Obiecuję… Też cię kocham.

Rozłączył się i popatrzył przez moment na ulicę za oknem. Buzowały w nim poczucie winy i żal. Winy, że był szczęśliwy, i żal, że Erika nie będzie jego częścią. Dopił kawę, wyszedł i ruszył w stronę stacji Charing Cross. Przechodząc pod łańcuchami świątecznych lampek, rozmyślał, jak nieobliczalne potrafi być życie. Ale w dobrym znaczeniu tego słowa.

Rozdział 32

W Uberze, którym Erika jechała przez Piccadilly Circus, było gorąco. Kierowca zerknął na jej odbicie w tylnym lusterku.

– Chce pani „Evening Standard”? – zapytał. Erika odparła, że tak, i kierowca podał jej gazetę.

Rozsiadła się wygodniej i zaczęła czytać, starając się skoncentrować raczej na artykułach plotkarskich. Akurat przejeżdżali nad rzeką na Vauxhall, gdy Erika przewróciła stronę i z jej gardła wydobyło się głośne: „Kurwa”.

– Wszystko w porządku? – zapytał kierowca.

– Przepraszam, zapomniałam o czymś – skłamała.

W gazecie był jednostronicowy artykuł poświęcony poprzedniej sprawie, którą prowadziła: sprawie morderstw oraz porwania przez Max Kirkhama i Ninę Hargreaves bliźniaczek Marsha. Gazeta wypuściła kilka sensacyjnych artykułów na temat całej sprawy, przedstawiając Ninę i Maxa jako współczesnych Bonnie i Clyde’a albo Myrę Hindley i Iana Brady’ego. Artykuł stwierdzał, że nikt nigdy nie odebrał ciała Iana Brady’ego. „Evening Standard” skontaktował się z jego matką, która odparła, że nie chce mieć z nim nic wspólnego: „Wywieźcie go na wysypisko, to nie jest mój syn”. Była to zarazem ta sama kobieta, która przebywała aktualnie na zwolnieniu za kaucją, ośmieszając system sprawiedliwości.

Pod artykułem było zdjęcie Eriki. Przyzwyczaiła się już, że gazety przedstawiały ją jako problematyczną, ale drobiazgową starszą policjantkę. Wkurwiło ją jednak, że na zdjęciu pokazali ją, jak wychodzi z uliczki, przy której stał jej blok. Wyraźnie widoczny był znak drogowy z napisem „Manor Mount SE23”, a grafik nie

zadał sobie nawet trudu, żeby zamazać tablicę rejestracyjną jej samochodu.

Wyciągnęła telefon i przeleciała listę numerów. Wybrała jeden z nich. Po kilku sygnałach usłyszała zaspany głos.

– Halo? – zapytała Colleen Scanlan, rzeczniczka prasowa policji.

– Collenn, tu Erika Foster.

– Eriko, jest bardzo późno.

– Mam właśnie w rękach „Evening Standard" otwarty na artykule poświęconym sprawie Maxa Kirkhama i Niny Hargreaves. Wydrukowali moje zdjęcie tuż koło domu, widać na nim nazwę ulicy i tablice rejestracyjne mojego samochodu.

Długa cisza.

– Nie mam kontroli nad tym, co drukują gazety.

Erika odłożyła na moment telefon i wzięła kilka głębokich oddechów. Całym sercem nienawidziła Colleen, która była, przynajmniej w jej opinii, potwornie leniwa i w pracy robiła absolutne minimum potrzebne, żeby jej nie wywalili, i nic więcej.

– Wiem, że nic nie poradzisz na wydanie drukowane, ale proszę cię, zrób, co się da – jeśli w wydaniu internetowym jest to samo zdjęcie, to niech je zdejmą. I TO JUŻ!

Colleen westchnęła.

– Wątpię, żeby o tej godzinie był ktoś w redakcji, ale zadzwonię. Tyle mogę dla ciebie zrobić – powiedziała sztywno.

– Dziękuję – powiedziała Erika i się rozłączyła.

Resztę drogi pokonali w ciszy. Erika sprawdzała parę razy telefon, żeby zobaczyć, czy Colleen nie wysłała jej SMS-a lub maila, ale nie. Tuż przed północą zajechali na Forest Hill i Uber zatrzymał się pod jej blokiem.

Gdy Erika weszła do mieszkania, włączyła ogrzewanie, wzięła prysznic i wróciła do salonu w piżamie. Nalała sobie sporą szklankę wódki, rozsiadła na kanapie z laptopem i otworzyła

raport, który zaczęła pisać dla Melanie. Deski podłogowe zatrzeszczały, gdy jej sąsiadka z góry, Allison, zaczęła kręcić się po mieszkaniu. Erika włączyła Internet Explorera i otworzyła stronę „Evening Standard". W sieci wisiał ten sam artykuł, z dokładnie tym samym zdjęciem, które było w gazecie.

– Kurwa – warknęła.

Wstała, zasłoniła okna i nagle wpadała w panikę, że informacje o tym, gdzie mieszka, są powszechnie dostępne w internecie. Upomniała samą siebie, żeby się nie wygłupiała. Nie opublikowali przecież jej dokładnego adresu. Sprawdziła maila, ale nie było żadnej wiadomości od Colleen. Spróbowała się do niej dodzwonić, ale usłyszała jedynie automatyczną sekretarkę. Wzięła solidny łyk wódki i zaczęła pisać raport.

Erika od razu się obudziła. Laptop spadł jej z kolan i leżał obok niej na kanapie, dzwonił telefon. Spojrzała na zegar w kuchni. Było parę minut po drugiej w nocy. Usiadła, telefon nadal dzwonił. Odstawiła laptopa na stolik kawowy i podniosła się. Jej pierwszą myślą było, że na pewno dzwoni Colleen. W tym momencie włączyła się automatyczna sekretarka. Po tekście z prośbą o nagranie rozległ się zdyszany, urywany głos.

– *Eriko…*

– *Eriko…*

– *Erikooooo…*

Zatrzymała się w pół kroku, stając w drzwiach na korytarz. Jej imię przechodziło w głośny wydech, któremu towarzyszył dziwny, skrzypiący odgłos. Wiadomość trwała, nadal z nieharmonijnym, szarpanym oddechem.

– *Eirkooooo… Erikooooo…*

Głos był chrapliwy i niski, wyraźnie pobrzmiewały w nim nieprzyjemne nuty. Dźwięk był zniekształcony – dało się w nim

słyszeć nieprzyjemne świsty i niemal nieludzkie odgłosy, które sprawiły, że Erika aż krzyknęła ze strachu.

Chwyciła za kabel od automatycznej sekretarki i wyrwała go ze ściany. To samo zrobiła z telefonem. Pobiegła do drzwi wejściowych i upewniła się, że są zamknięte, po czym włączyła wszystkie światła w mieszkaniu i upewniła się, że okna są zamknięte. Cała roztrzęsiona usiadła na kanapie, starając się zapanować nad oddechem.

Po raz pierwszy w swojej długiej policyjnej karierze żałowała, że nie ma ze sobą pistoletu.

Rozdział 33

Alarm obudził Jasona Batesa o szóstej. Chwilę wcześniej dało się słyszeć ciche stukanie do drzwi. Była to jedna z opiekunek, która przyjechała, aby go zmienić, żeby mógł iść do pracy.

– Jak się miewa? – zapytała miła kobieta o ładnej twarzy.

Wciąż zaspany potrzebował dłuższej chwili, żeby przypomnieć sobie, jak miała na imię… Dawn… Tak, na pewno Dawn.

– Ma za sobą dobrą noc – odparł.

Dobra noc dla jego matki oznaczała to, że musiał wstawać do niej tylko trzy razy. Dawn zdjęła płaszcz i podeszła do grzejnika, aby rozgrzać ręce, a Jason uwijał się, żeby przygotować sobie śniadanie i uszykować się do pracy.

Do fabryki plastiku miał tylko piętnaście minut pociągiem. Gdy wychodził z domu, było jeszcze ciemno. Obejrzał się na siedzącą na wózku matkę, która z pomocą opiekunki podjechała do okna, aby popatrzeć za nim, jak wychodzi. Pomachał jej, a ona uniosła rękę. Gniew i frustracja, którą odczuwał względem niej, natychmiast się ulotniły. Zastanawiał się, czy jej opiekunki robiły tak co rano po to właśnie, aby przypomnieć mu, że jego matka była prawdziwą osobą. Był w stanie dostrzec to tylko z zewnątrz.

Ulice były mroczne, zasłonięte mroźną mgłą, która sprawiała, że czuł się, jakby był zawinięty w mokrą pościel. Mała kawiarnia przy stacji Gipsy Hill była jeszcze zamknięta. Przebiegł przez otwarte barierki, w ostatniej chwili wskakując do pociągu. Praca poza Londynem miała ten plus, że poranne pociągi jadące od centrum były z reguły mniej zatłoczone, szczególnie zaś między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Wagon był niemal pusty.

Usiadł przy oknie, grzejnik koło jego nóg pompował gorące powietrze. Założył słuchawki i włączył audiobooka, którego planował przez resztę drogi przesłuchać – w uchu miał tylko jedną słuchawkę, drugie ucho, na wszelki wypadek, miał wolne.

Wysiadł na stacji West Norwood. Tu też był jedyną osobą na peronie. Do magazynu miał kolejne piętnaście minut pieszo. Ze stacji do pracy prowadziła długa, śliska droga, wzdłuż której wznosiły się opuszczone budynki i nieprzycinane krzewy. Naciągnął kaptur i przebijał się przez śnieg. W ciszy panującej na ulicy słychać było śnieg trzaskający pod jego butami. Lampy uliczne nie były w stanie przebić się przez mgłę, tworząc wąski tunel światła. Niebo w oddali zaczynało zmieniać kolor z czarnego na granatowe. Gdy minął bramę prowadzącą do starego biurowca, z cienia wynurzyła się mroczna postać, wysoka postać. Miała na sobie długi, czarny płaszcz, a na twarzy ciemną maskę przeciwgazową. Wydychane przez niego powietrze wydobywało się przez długą, ciągnącą się do piersi rurę, na której wyrysowane były białe kwadraty przypominające wyszczerzone w szerokim uśmiechu zęby.

Jason zatrzymał się. W pierwszej chwili nie poczuł strachu. Widok był zbyt nieoczekiwany. Usłyszał odgłos pociągu pędzącego po torach. Postać przyglądała mu się przez moment, po czym podeszła do niego.

– Hej! Hej! – zawołał do zbliżającej się postaci, która niespodziewanie rzuciła się na niego i uderzyła go pięścią w twarz.

Jason odzyskał przytomność dopiero po dłuższej chwili. Czuł śnieg pod plecami. Widział niebo nad sobą, teraz jasnoniebieskie. Ręce miał związane na plecach, więzy raniły boleśnie nadgarstki. Było mu zimno w nogi i nagle uświadomił sobie, że jest nagi od pasa w dół. Miał coś w ustach, chyba kawałek materiału. Rozejrzał się wokół, zajęczał, jego uszy zaczęły rejestrować dźwięki. Za

wysokim murem, po jego lewej, przemknął pociąg, po prawej było szerokie, rozpadające się wejście do starego biurowca. Gapiły się na niego rzędy powybijanych szyb. Ptaki zatrzepotały skrzydłami. Zrobiło mu się słabo, gdy zobaczył, że obserwuje go postać w masce przeciwgazowej stojąca w wejściu do budynku, jakieś pięć metrów od niego. Mężczyzna miał rozchylony płaszcz, masturbował się. Odziana w rękawicę dłoń szybko poruszała się do przodu i do tyłu, spod maski wydobywały się obłoki pary.

Cała ta sytuacja była przerażająca i szalona. Jason dostrzegł jakieś kształty wystające spod stopionego śniegu: spalony samochód i kilka niezużytych butli z gazem. Nagle usłyszał głosy zbliżające się drogą od strony stacji. Starał się spojrzeć ponad wysokimi krzewami, nie zdołał jednak dostrzec przez nie drogi.

To jacyś ludzie! Przechodnie! – pomyślał. Spróbował krzyknąć, ale z jego ust wydobył się jedynie stłumiony jęk. Głosy powoli ich mijały. Mężczyzna w płaszczu nagle przestał się masturbować, zapiął spodnie i podszedł do niego. Złapał Jasona za stopę i pociągnął przez topniejący śnieg. Jason starał się go kopnąć, ale nagle poczuł kamienie i ostry ból, gdy mężczyzna wciągnął go po trzech stopniach prowadzących do budynku. Na ostatnim stopniu nie było zbyt wiele miejsca, mężczyzna po prostu stał, wpatrując się prosto w niego przez wizjery w masce. W końcu uklęknął.

Jason zdołał wyprowadzić cios nogą, stopa trafiła w maskę przeciwgazową, przekrzywiając ją. Mężczyzna wydał zduszony okrzyk i przeleciał przez rozbite, szklane drzwi. Odłamki szkła zraniły go w kark. Wskutek nagłego uderzenia wylądował na plecach po drugiej stronie drzwi. Maska zsunęła się niemal całkowicie, odsłaniając jego usta i nos.

Jason, w kompletnej panice, wpatrywał się w mężczyznę. Fakt, że postać w płaszczu straciła na moment kontrolę nad sytuacją, był w jakimś sensie jeszcze bardziej przerażający. Jason zdołał wstać, ale spodnie miał opuszczone do kostek i zaplątała mu się stopa.

Postać w płaszczu powoli usiadła, zdjęła rękawicę i dotknęła krwawiącej rany na szyi. Mężczyzna obrócił się i uniósł maskę, aby obejrzeć dłoń. Zadowolony najwyraźniej, że rana nie była głęboka, ponownie naciągnął maskę i obrócił się, zakładając rękawicę.

Podszedł do Jasona i ponownie zaciągnął go na szczyt schodów.

Rozdział 34

Po bezsennej nocy na kanapie o szóstej rano Erika włączyła telewizję śniadaniową. Była dumna ze swojej stoickiej postawy i mimo tego, że telefon ją przeraził, nie pozwoliła, aby strach wziął górę. Odgłosy kręcących się po mieszkaniu sąsiadów i płynącej w rurach wody przywróciły ją do normalności. O siódmej trzydzieści zrobiła sobie kawę, wzięła prysznic i odsłoniła okna. Jasny poranek sprawił, że jej lęki się ulotniły.

Tuż przed wyjściem z domu podłączyła z powrotem telefon i odsłuchała wiadomość z nocy. Dzwoniący nie zastrzegł numeru. Dzwonił z komórki. Nie kojarzyła numeru, ale pośpiesznie go zanotowała. Zwinęła kabel i zabrała ze sobą automatyczną sekretarkę.

Gdy siedziała już w samochodzie, przebijając się przez poranny korek, poczuła, że rzeczywistość wróciła. Nadal nie miała żadnej wiadomości od Colleen Scanlan – ani telefonu, ani SMS-a.

W czasie bezsennej nocy wiele rozmyślała o sprawie i raz po raz wracała do niej kwestia diamentowych kolczyków. Dlaczego pani Fryatt o nich nie wspomniała? Sprawdziła godzinę, było już po ósmej. Zrezygnowała ze zwykłej trasy, przejechała przez Honor Oak Park i zajechała na Hilly Fields. Gdy zbliżyła się do domu pani Fryatt, wyjrzała przez okno i zobaczyła, że staruszka stoi przed domem, na mrozie, wsparta o laskę. Gdy Erika zatrzymała się na miejscu parkingowym, tuż przy krawężniku, pani Fryatt zaczęła wymachiwać laską w powietrzu i krzyczeć.

– Wynocha mi stąd, tu nie wolno parkować! To moje miejsce!

Erika opuściła szybę.

– Dzień dobry. Mogę panią gdzieś podrzucić? – zapytała.

– Czekam na syna, ma mnie zawieść na operację do lekarza. Powiedział, że przyjedzie… – Popatrzyła ponad Eriką na pustą ulicę, wspierając się na lasce z widocznym bólem.

– Wszystko w porządku?

– Boli mnie noga. Od czterech dni czekam, aż ktoś to obejrzy. Sama pani zresztą wie, jak to jest próbować się umówić na wizytę do lekarza… Gdzie on się podziewa? Spóźnię się na wizytę! Proszę, niech pani stąd odjedzie.

Z zimna ciekło jej z nosa. Balansując na lasce, wyciągnęła chusteczkę, żeby go wytrzeć.

– Mam kilka dodatkowych pytań – powiedziała Erika.

– Kolejne? Przepytała mnie już pani wczoraj dokładnie.

– Czy Marissa ukradła pani parę diamentowych kolczyków?

– Nie.

Erika utkwiła spojrzenie w pani Fryatt, która patrzyła na nią rozkojarzonym wzrokiem.

– Jest pani pewna?

– Oczywiście, że tak. Cieszę się doskonałym zdrowiem zarówno fizycznym, jak i psychicznym.

– Tak, mówiła to pani wczoraj, a dzisiaj jedzie pani do lekarza.

– O co pani chodzi? Nie zrobiłam nic złego. Współpracuję z policją, ale nie podoba mi się pani ton.

Na drodze pojawił się samochód. Pani Fryatt popatrzyła na niego z nadzieją, ale okazało się, że to nie jej syn. Samochód przemknął obok nich.

– Rozmawiałam z kolegą Marissy, który wprowadzał poprawki do jej kostiumów. Twierdził, że Marissa chwaliła się parą diamentowych kolczyków i przechwalała się, że zabrała je pani.

Pani Fryatt spojrzała na Erikę. Jej nastawienie nie zmieniło się ani na jotę.

– Naprawdę? Dziwne. To nieprawda.

– Nie wiem, dlaczego miałby to zmyślać – powiedziała Erika, wpatrując się w twarz rozmówczyni, którą co chwila rozpraszały przejeżdżające samochody.

– Skoro pani nie wie, to skąd ja mam to wiedzieć? Czy znaleźli państwo diamentowe kolczyki przy ciele Marissy lub u niej w domu?

– Nie mogę tego ujawnić.

– Zatem: „nie" – stwierdziła lekceważąco pani Fryatt.

– Marissa poszła z jedną z dziewczyn do jubilera w Hatton Garden, aby ten wycenił im te kolczyki.

– O, jest wreszcie! Najwyższy czas! – powiedziała, wymachując nad głową laską.

Obok Eriki zatrzymał się lśniąco biały samochód.

– To wszystko, pani władzo? Nie mam pojęcia, o czym Marissa mogła mówić. Prawdopodobnie po prostu wkręcała tego faceta. Tak już miała.

Syn pani Fryatt, Charles, wysiadł z samochodu i stanął obok niej na chodniku.

– Spóźniłeś się! – wykrzyczała.

Wyglądał na zdenerwowanego i wytrzeszczał oczy na Erikę.

– Był potworny korek – odparł. – Dzień dobry, pani. Wszystko w porządku?

– Marissa nigdy nie wspominała panu o kradzieży kolczyków pana matki? – zapytała Erika.

Pani Fryatt przewróciła oczami i ruszyła w stronę samochodu syna.

– On nic nie wie. Tylko ja wiem, jak otworzyć sejf i tylko ja sprawdzam jego zwartość. A teraz jedziemy już! Nie mogę się spóźnić na wizytę!

Charles posłał Erice niepewny uśmiech. Zauważyła, że z boku szyi ma przyklejony wielki plaster, przez który delikatnie przesiąkała krew.

– Co pan sobie zrobił?

– Goliłem się, brzytwa wyślizgnęła mi się z ręki… Symptom tego, że nie chciałem się spóźnić po mamę – odpowiedział i posłał jej kolejny uśmiech.

Był to dziwny uśmiech: szeroki, odsłaniający krzywe zęby, ale niesięgający oczu. Pobiegł pomóc swojej matce, która stała przy drzwiach dla pasażera. Za nimi zatrzymał się kolejny samochód, kierowca zatrąbił. Pani Fryatt ponownie zaczęła wygrażać swoją laską.

– MINUTY NAWET NIE MOGĄ ZACZEKAĆ! – wykrzyczała.

Charles pomógł jej usiąść w fotelu i zapiął jej pas. Z poważną miną skinął Erice głową, po czym odjechał.

Coś tu nie pasowało, ale Erika nie była w stanie powiedzieć co.

– No cóż, jakby nie patrzeć, to w zasadzie na nią napadłam – powiedziała do samej siebie. Wyciągnęła telefon i zadzwoniła do McGorry'ego.

– Dobrze, szefowo – powiedział. – Zaraz tam będę, właśnie wysiadam na stacji w Lewisham.

– W porządku. Mam tylko jedno pytanie. To ty sprawdzałeś dom Marissy Lewis i przeglądałeś wszystkie jej rzeczy, prawda? Czy były wśród nich diamentowe kolczyki?

– Hmm… Na pewno była jakaś biżuteria… Ale nie umiem odpowiedzieć. Nie wiem, czy potrafiłbym odróżnić prawdziwy diament od podrabianego, wykorzystywanego na scenie. Jeśli trzeba, to mogę przejrzeć ponownie zdjęcia, które zrobili technicy. A ty nie pamiętasz nic takiego z oględzin jej sypialni?

– Nie. Możesz to dla mnie sprawdzić?

– Jasne.

Erika rozłączyła się. Pomyślała o wszystkich ludziach, którzy mogli zabrać kolczyki. Joseph Pitkin dotykał ciała Marissy przed przyjazdem policji… Mandy znalazła jej ciało. Czy Ivan mógł je zabrać? Kiedy Dan Walpole widział Marissę po raz ostatni?

– W Boże Narodzenie, na stacji! – wykrzyknęła triumfalnie.

Włączyła silnik, wrzuciła wsteczny i ruszyła na Coniston Road.

Rozdział 35

Don Walpole otworzył drzwi frontowe. Widok Eriki nie ucieszył go.

– Jestem nie w porę? – zapytała.

Mężczyzna miał na sobie fartuszek, a do Eriki dobiegł zapach smażonego bekonu, który sprawił, że zaburczało jej w brzuchu.

– A czy ma to jakieś znaczenie? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Zajmę tylko kilka minut.

Odsunął się na bok i wpuścił ją do środka. Poprowadził ją do kuchni. Po drodze zobaczyła schodzącą po schodach Jeanette. Miała na sobie olbrzymi fioletowy szlafrok, mokre włosy zawinęła w ręcznik. Wyglądała potwornie.

– Kto to? – zapytała Jeanette przez przymknięte oczy.

Erika przedstawiła się, ale Jeanette najwyraźniej nie pamiętała spotkania z nią dzień wcześniej. Przeszli do kuchni.

– Chciałabym zadać panu kilka pytań na temat Marissy – powiedziała cicho Erika.

Don podbiegł do kuchenki i szybko przewrócił jajka na patelni. Miał na sobie ciemne dżinsy i gruby brązowy golf. Jeanette weszła do kuchni, w ogóle nie zwracając uwagi na Erikę i wyciągnęła z lodówki dużą butelkę soku pomarańczowego.

– Potrzebujecie mnie do czegoś? – zapytała.

– Nie, ja tylko… – zaczęła Erika, ale Jeanette już wychodziła z pomieszczenia.

– Chcesz jajka? – zapytał Don.

– Nie! – odpowiedziała.

Erika patrzyła za nią, jak idzie korytarzem i wchodzi do salonu. Zamknęła za sobą drzwi i chwilę później usłyszała włączony telewizor. Don westchnął, nadal stojąc nad jajkami i przewracając je na oleju. Chleb wyskoczył z tostera. Wyciągnął go i położył na talerzach.

– Chce pani jej jajka? Świeżo usmażone – zapytał.

Erika zawahała się. Nagle poczuła, jak bardzo była głodna, ale się powstrzymała.

– Nie, dziękuję. Chciałam tylko zadać panu parę pytań…

– Próbuję zmusić ją do jedzenia, ale większość kalorii przyswaja z alkoholem. To przez niego ma taki wielki brzuch i nogi jak patyki.

– Moja matka była alkoholiczką – powiedziała Erika.

– Jest nadal?

– Nie. Zmarła dawno temu. Nigdy nie była agresywna, ale lubiła się awanturować. Nie było łatwo z nią żyć.

Don skinął głową. Jego oczy były smutne i ciemne, wokół nich dało się dostrzec ciemne obwódki. Zaczął smarować tost masłem.

– O co chciała mnie pani zapytać?

– Wspomniał pan, że widział Marissę w Wigilię na stacji Brockley?

– Tak. Jeanette… Powiedzmy, że zaliczyły małą wymianę zdań.

– Pamięta pan może, czy Marissa miała wówczas kolczyki? Jeśli tak, to musiały się wyróżniać, były wykonane z prawdziwych diamentów.

Don zeskrobał jajka z patelni i położył na tostach.

– Prawdziwych diamentów? Niby skąd miałaby mieć prawdziwe diamentowe kolczyki?

– Nie mogę wdawać się w szczegóły. Czy miała je na sobie w Wigilię?

– Nie brakowało jej adoratorów. Na pewno była w stanie przekonać jakiegoś biedaka, żeby kupił jej drogą biżuterię.

– Don, proszę, niech pan się zastanowi. Co miała na sobie, gdy widzieliście ją na stacji? Niech pan opisze, proszę.

– Pamiętam tylko, że była ubrana w długi czarny płaszcz.

– A co z włosami? Makijażem?

– Była zrobiona. Miała takie sztuczne rzęsy… Ale nie pamiętam kolczyków.

– Mogę zapytać Jeanette?

– Wątpię, żeby pamiętała.

– To ważne dla sprawy.

Don odłożył patelnię na stół. Erika poszła za nim do salonu. Jeanette leżała na kanapie. Mokre włosy zwisały byle jak, zakrywając jej pół twarzy. Oglądała głośno włączoną poranną telewizję.

– Jeanette. Ta pani chciałaby z tobą porozmawiać – powiedział Don, podnosząc głos. Wrócił do kuchni i zostawił je same.

Jeanette wybałuszyła oczy na Erikę zza mokrych włosów.

– Czego?

– Mogę zadać pani pytanie?

– No to pytaj.

– Mogłaby pani ściszyć telewizor? – Jeanette wyciszyła program, który oglądała. – Dziękuję. W Wigilię natknęła się pani wraz z Donem na Marissę Lewis.

– Dziwka – warknęła.

– Pamięta może pani, czy Marissa miała wtedy na sobie jakąś biżuterię?

– Nie widziałam jej cycków, chociaż ten jeden raz miała na sobie zapięty pod szyję płaszcz. Ale miała kolczyki.

– Jak wyglądały?

Wzruszyła ramionami.

– Jakieś małe kamyczki w kształcie sopelków.

– Jest pani pewna?

– Absolutnie – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od telewizora.

– Jak może pani być tego taka pewna? – zapytała Erika.

Jeanette odwróciła się do niej.

– Bo myślałam o tym, jak by to było wyrwać je jej i jak bardzo by ją to bolało – odpowiedziała.

Erika żałowała, że nie miała zdjęcia diamentowych kolczyków, które mogłaby jej pokazać.

– Myśli pani, że były to prawdziwe diamenty?

– Wątpię.

– A byłaby pani w stanie poznać prawdziwe diamenty?

– Czy ja ci wyglądam na kobietę, która wie, jak wyglądają prawdziwe diamenty? – zapytała gorzko.

Erika nie musiała na to odpowiadać. Rozejrzała się po pokoju i zobaczyła długi czarny płaszcz rozwieszony na suszarce do ubrań. Wisiał przed grzejnikiem gazowym i lekko parował.

– To płaszcz Dona?

– A kogo innego niby?

– Wychodził dzisiaj?

– Nie wiem. Pewnie poszedł po mleko. To już koniec pytań?

– Tak, dziękuję.

Jeanette włączyła dźwięk i telewizor ryknął ponownie.

Gdy Erika wyszła z domu, usiadła na kilka minut w samochodzie, aby poukładać sobie fakty na temat sprawy, po czym ruszyła i zatrzymała się pod domem Marissy. Ogród przed domem pokryty był świeżą warstwą topniejącego śniegu. Znajdowały się tu dwie alejki: jedna biegła wzdłuż domu, druga po przeciwnej stronie

ulicy. Na końcu ulicy, tuż za szkołą, było skrzyżowanie, które prowadziło do mostu kolejowego i osiedla.

Wierząc badaniom krwi, morderca korzystał z samochodu. Musiał być cały pokryty krwią i nieść ze sobą ociekające krwią narzędzie zbrodni, które wytyczyło krwawy ślad do chodnika. Tam jednak plamy się urywały. Erika podjechała samochodem do alejki, obróciła się powoli i przyjrzała się jej spod czapki. Alejka była za wąska, żeby samochód przez nią się przecisnął.

Zadzwonił jej telefon. Drgnęła zaskoczona. Dzwonił McGorry.

– Szefowo, musisz jak najszybciej wracać na komisariat, mamy coś ważnego – powiedział.

Rozdział 36

Erika zaparkowała przed komisariatem, chwyciła torbę oraz automatyczną sekretarkę i pobiegła do pokoju odpraw. Moss, Peterson, Kay i reszta zespołu zebrali się wokół biurka McGorry'ego.

– Co macie? – zapytała Erika na widok podekscytowanych twarzy swoich koleżanek i kolegów.

– Uporządkowałem wszystkie zeznania dotyczące śmierci Marissy Lewis i odtworzyłem chronologię wydarzeń z Wigilii – powiedział McGorry. – Pracowała w klubie Matrix do dwudziestej trzydzieści. Mieli tam wcześniejszy niż zwykle występ z okazji Wigilii. Została potem na szybkiego drinka i wyszła do domu. O dwudziestej pierwszej dziesięć wsiadła do pociągu na stacji Charing Cross… – Powiększył obraz na monitorze. – Oto ona, biegnie na pociąg, wskakuje do niego w ostatniej chwili przed zamknięciem drzwi. – Odtworzył krótkie nagranie, na którym Marissa Lewis biegła przed siebie w butach na szpilkach, długi płaszcz powiewał za nią. – Do pociągu wsiadła sama.

– W porządku – stwierdziła Erika. – Ale czy to nam cokolwiek daje?

– O, tak – odparł z uśmiech McGorry.

Peterson też się uśmiechnął i skinął głową.

– No to mówcie!

– Mam też nagranie z pociągu, jak przesiada się na London Bridge. To jeden z nowszych wagonów, mają tam kamery. – Ich oczom ukazał się widok z kamery zawieszonej nad drzwiami wagonu, tuż pod sufitem, przedstawiający tłum ludzi. – Oto ona,

ściśnięta między dwoma facetami. Podejrzewam, że geje, bo nie zwracają na nią najmniejszej uwagi.

– Dobra, dobra, daruj sobie osobiste komentarze.

– Mówię tylko, że nie ma tu żadnych creepów, którzy byliby nią zainteresowani – wyjaśnił, przelatując przez nagranie pokazujące dziesięciominutową podróż pociągiem. – Dobra, tutaj mamy dwudziestą pierwszą czterdzieści dwie i wagon opróżnia się na stacji Brockley.

– Zarząd komunikacji ma jakieś nagrania z tej stacji? – zapytała Erika.

– Nie. Jedynie widok peronu, z którego Marissa schodzi wraz z resztą tłumu – odpowiedział i przełączył na kolejne nagranie.

– No dobra, co jeszcze dla mnie macie?

– To będzie najlepsze. Szkoła naprzeciwko domu Marissy Lewis przy Coniston Road ma monitoring po obu stronach placu zabaw. Jedna z nich łapie widok z furtki wejściowej przed domem Marissy Lewis.

Na ostatnim nagraniu widoczna była połowa domu Marissy od furtki do alejki i kawałek ulicy prowadzący do skrzyżowania.

– Z której jest to nagranie? – zapytała Erika.

– Z dwudziestej pierwszej czterdzieści.

Przewinął czarno-biały film, na którym widoczna była jedynie pusta, zaśnieżona ulica i furtka.

– Co to? – zapytała Erika, gdy na nagraniu o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt jeden pojawiła się czarna plama.

– Kot wyskakujący przez furtkę – odpowiedział McGorry.

– Marissa miała kota – powiedziała Kay. – Ma na imię Beaker.

– Przesłuchałaś go? – zapytał jeden z nieumundurowanych policjantów.

– Odwal się – warknęła Kay.

– Cisza! – krzyknęła Erika.

– No i mamy go – powiedział McGorry.

Postać w czerni, z maską przeciwgazową na twarzy, weszła w kadr na wysokości furtki. Poruszała się powoli, specjalnie idąc po śniegu, ledwo utrzymując równowagę na śliskim chodniku. Podeszła do furtki i popatrzyła na dom. Po chwili minęła go i zniknęła w cieniu alejki.

– Jezu – wyszeptała Erika.

– Dobra, teraz przeskoczymy o siedem minut – powiedział McGorry i przewinął nagranie. – O, proszę. Tutaj widzimy wracającą do domu Marissę Lewis.

Marissa podeszła do furtki. W pokoju panowała kompletna cisza. Większość z zebranych widziała już nagranie, ale wrażenie, jakie na nich robiło za drugim razem, było równie wielkie. Marissa otworzyła furtkę, przeszła przez nią i zniknęła w ciemności ogrodu. Dziesięć sekund później postać w masce przeciwgazowej wyszła z cienia i podeszła do furtki, trzymając w ręce długi nóż. Przeszła przez nią szybko i również rozpłynęła się w ciemności.

– Kamera nie łapie ogrodu – wyjaśnił McGorry. – Cztery minuty później facet wychodzi.

– Jesteście pewni, że nie widać absolutnie nic? – zapytała Erika.

– Oglądałem to nagranie kilka razy w zwolnionym tempie. Nic. Kamera nic nie zarejestrowała.

Przewinął film do momentu, gdy postać w płaszczu pojawiła się ponownie, trzymając w ręku ociekający krwią nóż. Zatrzymała się przy furtce i spojrzała za siebie, w ciemność.

– Nóż wyciera w materiał, który miał w kieszeni. Zawinięty nóż wciska do kieszeni, natychmiast skręca w prawo i wychodzi z kadru.

Zespół wokół Eriki milczał.

– Po tym fragmencie zgubiłem go. W okolicy nie ma więcej kamer monitoringu. Mógł wsiąść do samochodu gdzieś poza

kadrem lub wejść do któregoś z domów. Nie wiadomo.

– Cofnij – poprosiła Erika.

Zatrzymała nagranie w momencie, gdy postać w masce wychodziła przez furtkę i przez krótki moment maska przeciwgazowa była bardzo dobrze widoczna. Erika wstała i podeszła do swojego biurka, gdzie trzymała kopię wiadomości wysłanej do Josepha Pitkina. Przyłożyła ją do ekranu, przyglądając się odręcznie narysowanej masce przeciwgazowej.

– Czy waszym zdaniem ta maska jest podobna do tej na nagraniu? – zapytała.

– Nie wiem, to pewnie jakaś zwykła stara wojskowa maska przeciwgazowa – odpowiedział McGorry.

– Musimy cofnąć się i sprawdzić wszystkie rysopisy sporządzone na podstawie zeznań napadniętych osób. Jeśli ich nie ma, to musimy skontaktować się z ofiarami i umówić na spotkanie z grafikiem. Dzięki temu, że mamy to nagranie i wiemy, kiedy dokładnie doszło do ataku, możemy skoncentrować się na przesłuchaniu mieszkańców okolicznych domów, może ktoś coś widział. Zrobiłeś świetną robotę.

– Pracowałem z Kay – powiedział, posyłając jej szeroki uśmiech.

W oddali rozległ się dźwięk telefonu, Moss pobiegła odebrać.

– Oboje świetnie się spisaliście.

– Szefowo – powiedziała Moss, podając jej telefon. – Facet w masce gazowej zaatakował ponownie, tym razem w West Norwood. Do ataku doszło dziś rano. Ofiarą jest młody chłopak, który szedł do pracy.

Rozdział 37

Jason Bates został zabrany przez policję do Centrum Pomocy Ofiarom Gwałtów w Camberwell. Erika pojechała tam sama, docierając na miejsce późnym popołudniem. Był to mały niczym niewyróżniający się budynek przy głównej drodze. Przy nieoznakowanych drzwiach z boku budynku Erika natknęła się na tęgiego policjanta o bujnej brodzie.

– Zdołaliście pozyskać jakiś materiał dowodowy? – zapytała Erika.

– Tak, przebadaliśmy już go. Pobraliśmy wymazy i próbki.

– Coś, co da się jakoś sensownie wykorzystać?

– Krew.

Erika skinęła głową. Nie chciała pokazywać nadmiernego entuzjazmu.

– Mogę z nim porozmawiać?

– Jest z nim teraz funkcjonariusz, który prowadzi tę sprawę. Facet przeszedł piekło, jest potwornie straumatyzowany.

– Wiem, ale sprawa morderstwa, nad którą pracuję, jest z tym powiązana.

Skinął głową.

– Proszę chwilę zaczekać.

Erika usiadła na małej ławeczce ustawionej w długim korytarzu. Policjant przeszedł przez drzwi z napisem „Sala przyjęć" – było to odpowiednio zabezpieczone pomieszczenie do pobierania próbek biologicznych, sterylne pomieszczenie

z lśniącymi plastikowymi powierzchniami mającymi zabezpieczyć dowody rzeczowe przed skażeniem.

Erika rozejrzała się po korytarzu. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające słoneczną łąkę, a gdzieniegdzie wisiały worki z jasną i kolorową przyprawą orientalną, które miały zniwelować poczucie, że jest się w szpitalu. Drzwi otworzyły się i z pomieszczenia wyszedł brodaty policjant, prowadząc ze sobą detektywa Petera Farleya, faceta w średnim wieku o siwiejących włosach.

– Cześć, Eriko, miło cię widzieć – powiedział.

Weszła z nim do małego pokoiku, który również bez wielkiego sukcesu przyozdobiony był plakatami i doniczkami z kwiatami.

Pielęgniarka siedziała z młodym mężczyzną, który na ramiona miał narzucony koc. Spod długiej płachty papieru wystawały mu gołe stopy. Obok stał nietknięty kubek herbaty. Był szczupły, miał blond włosy o rudawym odcieniu i jasne brwi. W miejscu, w którym pękło naczynie krwionośne, lewe oko było czerwone. Usta były pocięte, a na nosie widniała zakrzepła krew. Wokół oczu miał czarne siniaki. Wiercił się, co wyraźnie sprawiało mu ból.

– To Erika, moja koleżanka – powiedział Peter.

Jason popatrzył przed siebie i skinął głową.

– Co może mi pan powiedzieć o człowieku, który panu to zrobił? – zapytała Erika.

Jason przełknął z trudem ślinę i zamrugał.

– Był wysoki. Mam metr osiemdziesiąt, chyba był wyższy ode mnie. Na twarzy miał maskę przeciwgazową.

– Jest pan w stanie ją opisać?

Zrobił to, po czym opisał, co zaszło, jak napastnikowi prawie całkowicie spadła maska z głowy, i jak zranił się o szklane drzwi.

– To stąd właśnie mamy próbki DNA jego krwi – wtrącił Peter.

Jason kontynuował.

– Później on… On zmusił… On…

Z zakrwawionego oka popłynęła po policzku łza. Erika podeszła, aby ująć go za rękę, ale cofnął ją.

– …zbliżył maskę do mojej twarzy. Widziałem jego oczy: ciemne i drobne… I białka… Widziałem białka jego oczu. A później on… On mnie zgwałcił.

Mężczyzna zaczął się krztusić i wymiotować. Zgiął się w pół, chwytając się za brzuch. Pielęgniarka wyciągnęła chusteczkę i podała mu, żeby wytarł sobie usta.

– Powinniśmy już skończyć – powiedziała do Eriki.

– Nie – powiedział Jason, wycierając usta i zwijając chusteczkę w kulkę. – Chcę z nią porozmawiać.

Pielęgniarka skinęła głową.

– Dziękuję, Jason. Rozumiem, jakie to dla ciebie trudne – powiedziała Erika.

– Nie rozumiesz. Ten drań nawet założył prezerwatywę. – Wytarł oczy. – Był dobrze zbudowany, silny. – Popatrzył w sufit, po czym pokręcił głową, nie wierząc w to, co się stało.

Erika popatrzyła na Petera. Chciała wiedzieć, czy zdołali pobrać jakieś próbki nasienia, ale ten pokręcił przecząco głową.

– Coś jeszcze? Cokolwiek? Choćby najmniejszy szczegół? – zapytała Erika.

– Cały był ubrany na czarno. Miał na sobie długi zimowy płaszcz, czarne buty, maskę. I grube skórzane rękawice… Zdjął jedną, żeby mnie dotknąć.

– Gdzie?

– Gardło. Dotknął mojej szyi, aby wyczuć puls.

– A co z maską przeciwgazową? Jak wyglądała? – zapytała Erika.

– Zwykła maska. Nie wiem, pewnie taka, jaką ludzie nosili w czasie wojny. Na filtrach były namalowane białe kwadraciki,

w tym miejscu, przez które wylatuje powietrze. – Jason pokręcił głową i zmrużył oczy. – Dopiero robiło się jasno. Ale poczułem taki specyficzny zapach, gdy się do mnie zbliżył. To był jakiś taki chemiczny zapach, może coś wykorzystywanego w przemyśle albo lakier do paznokci. Nie wiem.

– W porządku. Dziękuję, Jason.

Gdy Erika wyszła na zewnątrz, zadzwoniła do Moss w pokoju odpraw. Przekazała jej wszystkie informacje i że udało się pobrać próbkę DNA z krwi na kawałku rozbitego szkła.

– Chcę próbkę DNA Dona Walpole'a. Wyślij do niego funkcjonariusza, żeby zrobił mu wymaz z gardła.

– Byłaś wczoraj z Petersonem w klubie Matrix. Jak wam tam poszło? – zapytała Moss.

Erika pośpiesznie zrelacjonowała jej wszystko i powiedziała, że pojechała do pani Fryatt oraz Dona, aby wypytać ich o kolczyki.

– Przejrzałam całą dokumentację od techników i listę tego, co policja znalazła w domu Marissy Lewis – ani śladu kolczyków. Wysłałam też Tanię, żeby zapytała o nie Mandy Trent, ale ona też nigdy nie widziała, żeby Marissa miała bardzo drogie diamentowe kolczyki – powiedziała Moss.

– W porządku. Aha, na biurku masz moją automatyczną sekretarkę.

– Jasne, tylko nie bardzo rozumiem: po co przyniosłaś ją do pracy?

Erika nakreśliła jej sprawę z „Evening Standard" i opowiedziała o dziwnej wiadomości z ubiegłej nocy.

– Po świecie krąży od cholery dziwaków, którzy znają mój numer telefonu i chcieliby mnie nastraszyć. Możesz sprawdzić, kto do mnie dzwonił? To była komórka. Numer zostawiłam ci na biurku.

– Jasne. Jeszcze jedno, szefowo. Dzwonili z University College Hospital. Ivan Stowalski nadal nie odzyskał przytomności. Rano przyjechała jego żona, Ezra, jest teraz przy nim.

– Dobra, jestem niedaleko. Wpadnę po drodze do szpitala i sprawdzę, co dam radę z niej wyciągnąć. Ciekawie będzie usłyszeć jej wersję historii. Dawaj mi na bieżąco znać, gdyby coś się działo.

Rozdział 38

Ezra Stowalski była drobną kobietą o ładnych, krótkich włosach i miłej, zatroskanej twarzy. Ivan leżał w sali na ostatnim piętrze szpitala. Gdy Erika przyjechała na miejsce, pielęgniarka pobierała mu akurat krew z ramienia. Policjantka zaczekała, aż skończy, po czym pokazała odznakę i się przedstawiła.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – powiedziała Erika.

– Dlaczego nie zostawiliście go w spokoju? – zapytała ze złością Ezra. – Dlaczego wyważyliście drzwi i ratowaliście go? – Mówiła z lekkim akcentem, ale każde słowo wypowiadała poprawnie.

– Szkolono mnie do ratowania życia.

Ezra popatrzyła z góry na Ivana. Jego skóra była szara, a on sam podłączony był do niezliczonej liczby maszyn, rurek i przewodów. Klatka piersiowa Ivana podnosiła się i opadała z cichym sykiem respiratora. Ezra odwróciła od niego wzrok i zamknęła oczy. Na jej twarzy malował się ból.

– Nie miałam o niczym pojęcia. Nie wiedziałam, że chce z nią wyjechać. Jaką trzeba być idiotką, żeby tego nie widzieć?

– Nie jest pani głupia.

– Do poprawiania humoru ludziom też panią szkolono?

– Zwykle nie bardzo mi to wychodzi. Musi być dzisiaj ze mną coś bardzo nie tak.

Ezra uśmiechnęła się.

– Wiedziała pani, że Ivan miał romans?

– Tak.

– Jak się to wszystko zaczęło?

– Zostawiła ulotkę w skrzynce na listy z ofertą sprzątania i prasowania. Jej matka nigdy się nią nie zajmowała. Zrobiło mi się jej żal. Sądziłam, że to godne podziwu, że chce pracować, aby zmienić swoją sytuację. Zapytałam ją, czy nie przyszłaby do nas i nie wyprasowała paru rzeczy… – Popatrzyła na Ivana. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że odbije mu na punkcie takiej młodej dziewczyny.

– Kiedy to było?

– Rok temu, może trochę więcej.

– Rozmawiała pani z nimi?

– Nie. Bałam się i cieszyłam, że on… że niczego ode mnie nie chciał. Od jakiegoś czasu spaliśmy w osobnych sypialniach. Wsadziłam głowę w piasek. Nigdy nie myślałam jednak, że może mnie zostawić, czy planować, że opuści mnie w tak bezduszny sposób. Zdradę mogłam mu wybaczyć, ale kłamstwo bolało, tak samo jak brak szacunku dla naszego wspólnego życia.

– Dlaczego pani wróciła?

– Przysięga ślubna – odpowiedziała, zerkając na męża.

Nie brzmiała jednak zbyt przekonująco.

– Co pani mąż robił po dwudziestej w Wigilię?

– Był w swoim biurze, na piętrze, wykonywał jakąś robotę papierkową. Ja się pakowałam.

– Dlaczego zdecydowała się pani pojechać do rodziców na północ tak późno? Było już koło dwudziestej trzeciej.

– Skąd wiecie, o której wyjechałam?

– Widzieliśmy na kamerach monitoringu, jak o dwudziestej trzeciej trzydzieści pani samochód wyjechał ze strefy płatnego parkowania i skierował się na północ.

– Myślicie, że to on ją zabił? – zapytała Ezra, otwierając szeroko oczy.

Erika nie odpowiedziała.

– Gdzie był Ivan między dwudziestą a dwudziestą drugą trzydzieści?

– Powiedział mi, że ma pracę do wykonania.

– W Wigilię?

– Jego praca nigdy się nie kończy. Zawsze musiał pracować wieczorami i w weekendy.

– Gdzie się pani pakowała?

– Na górze, w naszej sypialni.

– A gdzie Ivan zwykle pracuje, gdy jest w domu?

– W kuchni.

– Chodziła pani po schodach, gdy się pakowała? – zapytała Erika.

– Nie. Skończyłam wszystko przed dwudziestą pierwszą. Siedziałam na górze i oglądałam telewizję w naszej sypialni.

– Czy widziała pani, że Ivan siedział i pracował w kuchni między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą trzydzieści?

– Nie. Czekałam na niego na górze… Możliwe, że się chwilę zdrzemnęłam, byłam zmęczona. To mniej więcej wtedy doszło do morderstwa, tak?

– Tak, tak sądzimy. Czy Ivan zachowywał się tamtego wieczoru w jakiś nietypowy sposób? Czy chciałaby mi pani powiedzieć coś jeszcze? Czy był typem zazdrośnika? Czy miał obsesję na punkcie tego, z kim się pani przyjaźni i rozmawia?

– Nie. A przynajmniej nie w moim przypadku… Myślałam, że to zwykły romans. Nie miałam pojęcia, że traktuje to aż tak serio, że planuje z nią wspólną przyszłość. Że ją kocha. Mógł ją zabić. Jak się okazuje, człowiek może dzielić z kimś życie i w ogóle go nie znać. – Wyciągnęła rękę, złapała za koce i podciągnęła je pod szyję Ivana. – Nie zasługuje na to, żeby się obudzić. Czy to źle, że tak myślę? – zapytała.

Erika po raz kolejny nie odpowiedziała na jej pytanie.

Rozdział 39

McGorry zadzwonił do drzwi domu Dona Walpole'a krótko po siedemnastej. Było z nim dwóch umundurowanych policjantów – jeden z nich miał ze sobą zestaw do pobierania próbek DNA. Na ulicy było cicho, a topniejący śnieg zostawiał na drodze szarą breję. McGorry zadzwonił jeszcze raz, słysząc odgłos dzwonka z głębi domu. Cofnął się, podszedł do okna i zerknął do środka przez zasłony.

– Nikogo – stwierdził.

Zmarznięci policjanci przestępowali z nogi na nogę. McGorry wyciągnął komórkę i wybrał numer Dona. Natychmiast przekierowało go na automatyczną sekretarkę. Rozglądając się, zauważył starszego mężczyznę stojącego parę domów dalej, starającego się utrzymać popielniczkę na furtce. McGorry wyszedł z ogrodu Dona Walpole'a i podszedł do niego.

– Zna pan ludzi, którzy tu mieszkają? – zapytał.

Starszy mężczyzna zaciągnął się papierosem, wypuścił dym, układając usta w małe „o", po czym skinął twierdząco.

– To dom Dona i Jeanette.

– Widział ich pan dzisiaj?

– Wyjechali po południu, jakąś godzinę temu. Śpieszyło im się.

– Po czym pan poznał, że im się śpieszyło? Co ma pan na myśli?

– Uwijali się… Widział pan kiedyś Jeanette? To potężna kobieta. Zwykle nie rusza się zbyt szybko.

– Mówili, kiedy wrócą?

– Co pan sobie wyobraża? Ludzie ze sobą nie rozmawiają. Po prostu widziałem, że wychodzą z domu.

– Odjechali samochodem?

Mężczyzna przytaknął.

– Mieli ze sobą jakieś bagaże?

– Nie.

– Kurwa – zaklął McGorry. – Dziękuję za pomoc.

Gdy funkcjonariusze odchodzili, starszy mężczyzna wziął kolejnego papierosa i McGorry usłyszał jeszcze jego marudzenie: „Cholerna policja, do niczego się nie nadają. Trzech ich trzeba, żeby zapukać do drzwi”.

Rozdział 40

Było już po osiemnastej, gdy Erika wyszła ze szpitala. Uświadomiła sobie, że znowu niczego nie jadła ani nie piła przez cały dzień. Wstąpiła do Starbucksa po drugiej stronie ulicy i stanęła w długiej kolejce do kasy, żeby kupić sobie kanapkę i cappuccino. Było bardzo tłoczno i zastanawiała się nawet nad tym, żeby wrócić do samochodu, ale czuła się okropnie zmęczona, a na zewnątrz było zimno. Potrzebowała usiąść na dziesięć minut i pomyśleć nad sprawą i nowymi ustaleniami. Czy Ivan miał motyw, aby zamordować Marissę? Cóż, na pewno miał w sobie wystarczające poczucie winy, aby spróbować popełnić samobójstwo.

Wszystkie miejsca były zajęte, w większości przez dzieciaki po dwudziestce siedzące i piszące ze znajomymi na swoich telefonach lub pracujące przy komputerach. Z tyłu był jednak mały stolik z trzema dużymi, wygodnymi fotelami. Dwa zajmowała jakaś para nastolatków, którzy trzymali się za ręce, tulili i całowali. Na trzecim fotelu leżały ich torby.

– Przepraszam – zwróciła się do nich Erika. – Mogę się dosiąść?

Para się całowała. Chłopak otworzył jedno oko i zerknął na Erikę, ale nie oderwał ust od dziewczyny.

– Hej! Mówię do was! Możecie przestawić torby? – powiedziała Erika, pokazując, że ma zajęte obie ręce.

Para oderwała się od siebie. Dziewczyna zwróciła się do Eriki potwornie ironicznym głosem.

– Przepraszamy, ale trzymamy miejsce dla naszego znajomego. – Odwróciła się z powrotem do chłopaka.

– A kiedy ma się zjawić?

– Nie wiem. Niedługo.

– Dobra, a mogę tu posiedzieć, dopóki go nie ma?

Dziewczyna ponownie na nią spojrzała. Jej spojrzenie wyrażało szok.

– Niech pani posłucha: czekamy na znajomego, jasne? Przez panią zaczynam czuć się niekomfortowo.

Jej protekcjonalny ton sprawił, że Erika straciła panowanie nad sobą. Z hukiem postawiła kubek z kawą i kanapkę na stoliku. Wzięła ich torby z zakupami i rzuciła na podłogę.

– Hej! Tak nie wolno! Poza tym w tych torbach są drogie rzeczy! Nie widzi pani logo Apple'a? – zawołał chłopak.

Erika usiadła, odpakowała kanapkę i wzięła gryz.

– Przepraszam! – powiedziała dziewczyna, zwracając na siebie uwagę baristy, który przechodził obok z plastikową tubą pełną zużytych kubków po kawie. – Ta pani zachowuje się bardzo nieuprzejmie, jest zaborcza i uszkodziła moje zakupy. Zrzuciła moje torby na podłogę!

Młody barista był najwyraźniej oczarowany spojrzeniem sarnich oczu młodej dziewczyny i obrócił się do rozczochranej Eriki siedzącej w płaszczu i w brudnych butach i pochłaniającej kanapkę.

– Przepraszam, ale jeśli tak było, to muszę prosić panią o opuszczenie lokalu.

Erika przeżuła gryz i zerknęła na młodego baristę, który patrzył na nią z góry z mocnym, protekcjonalnym uśmieszkiem. Przeżuła ostatni kawałek i przełknęła.

– Nie.

– Słucham?

– Nie. Nie wyjdę.

– Przecież kazał ci wyjść – powiedziała pogardliwie dziewczyna.

– Zdaje sobie pani sprawę, że w kawiarniach można przebywać tylko, dopóki obsługa pani nie wyprosi? Takie jest prawo.

Jej chłopak przytakiwał gorliwie.

Erika wzięła kolejny kęs kanapki i popiła kawą.

– Czy mam pójść po kierownika? – zapytał barista.

Erika sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła odznakę.

– Główna inspektor Erika Foster. Sugerowałabym panu zabrać się za czyszczenie kubków. Widział pan, jaki macie tu bajzel? A ty? Mogłabyś nauczyć się trochę dobrych manier.

– Że co? Nie ma pani prawa tak do mnie mówić! – krzyknęła dziewczyna.

– Możemy mówić do siebie, jak się komu podoba. Mamy demokrację. Rzecz jasna, jako funkcjonariuszka policji mam prawo was zatrzymać i przeszukać. Jeśli mi się tak spodoba, to mogę nawet wsadzić was do aresztu. Mogliście po prostu pozwolić mi się dosiąść, ale nie. Całe to wasze pokolenie myśli, że wszystko wam wolno. Macie to, o co się prosiliście. Byliście dla mnie nieuprzejmi, a ja w zamian mogę uczynić wasze życie bardzo trudnym. Możecie też się po prostu ode mnie odpierdolić i pozwolić mi posiedzieć tu dziesięć minut, żebym zjadła w spokoju kanapkę.

Dziewczyna i chłopak wstali i zabrali swoje torby z zakupami, obserwowani przez ludzi przy pobliskich stolikach. Barista łypał na nią okiem, ale nie był pewien, czy jako policjantka faktycznie nie ma prawa zrobić tego, co właśnie oznajmiła. Poszedł stanąć za kasą.

Erika dokończyła pośpiesznie kanapkę, uważnie obserwowana przez innych gości kawiarni, po czym złapała kubek z kawą i wyszła, nim ktokolwiek z kierownictwa kawiarni zjawił się, żeby z nią porozmawiać.

Rozdział 41

Erika wróciła na szpitalny parking, gdzie zostawiła samochód. Czuła, jak po sprzeczce w kawiarni buzuje jej krew. Wsiadła do auta, włączyła ogrzewanie i rozmasowała dłonie, żeby nieco je rozgrzać. Na zewnątrz wirował śnieg. Ciepłe powietrze i wygodne siedzenie sprawiły, że jeszcze bardziej poczuła zmęczenie. Rozsiadła się i zamknęła oczy.

Wydawało jej się, że minęło tylko kilka sekund i zadzwonił telefon. W rzeczywistości zasnęła i siedziała teraz cała przepocona, zawinięta w swój płaszcz. Dochodziła dwudziesta. Wyciągnęła telefon i odebrała na wpół przytomna.

– Wszystko w porządku, szefowo? – zapytała Moss.

– Tak – odpowiedziała Erika, odchrząkując.

– Właśnie dzwonili ze szpitala. Ivan Stowalski zmarł pół godziny temu.

– Kurwa… Dopiero co od niego wyszłam.

– Sądzisz, że mógł być istotnym świadkiem w sprawie? Z tego co wiemy, to był spokojnym facetem, kompletnie zdominowanym przez Marissę.

– Miał obsesję na jej punkcie – powiedziała Erika. – A tym cichym i spokojnym nerwy potrafią puścić tak samo jak tym najbardziej wybuchowym.

Na dłuższy moment zapadła cisza.

– Jesteś tam? – zapytała Moss.

– Tak. Mam po prostu za sobą długi dzień i fakt, że jeden ze świadków właśnie kopnął w kalendarz, nie jest zbyt dobrą wiadomością.

– Tak, człowiek czuje mniejszą satysfakcję, jak udowodni, że mordercą był ktoś, kto już nie żyje – stwierdziła Moss.

Erika opuściła szybę i wpuściła do środka trochę świeżego powietrza.

– Okej, dzięki za informacje. Pogadamy jutro.

Erika rozłączyła się i wciąż jeszcze gapiła się w trzymany w ręku telefon, gdy ten rozdzwonił się ponownie.

– Halo, czy rozmawiam z Eriką Foster? – zapytał kobiecy głos.

– Tak. Kto mówi?

– Dzwonię z centrum zdrowia w St. Thomas Hospital. Czy ze względu na ochronę danych poufnych mogę prosić o podanie przez panią daty urodzenia?

Erice wciąż szumiało w głowie po wiadomości o śmierci Ivana.

– Moment, w jakiej sprawie pani do mnie dzwoni?

– Nim udzielę jakichkolwiek dalszych informacji medycznych, potrzebuję pani daty urodzenia.

– Czternasty sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku.

– A pani kod pocztowy?

– SE23 3PZ.

– Dziękuję. Dzwonię z wynikami badań krwi. Doktor Izaak Strong przysłał nam wczoraj próbki i poprosił, abyśmy w sprawie wyników skontaktowali się bezpośrednio z panią…

Ton głosu pielęgniarki wzbudził w Erice lekką panikę. Zaczęła się zastanawiać, kiedy po raz ostatni miała robione testy krwi. W czasie pracy nad sprawą morderstwa Andrei Douglas-Brown miała wypadek, ugryzł ją młody chłopak. Trzy miesiące później zrobiła badania krwi, które na szczęście nic nie wykazały, ale później już się nie badała. Wyłączyła ogrzewanie.

– Jest tam pani?

– Tak.

– Na pewno ucieszy panią informacja, że mimo ekspozycji na wysokie stężenie tlenku węgla nie wykryliśmy niczego niepokojącego. Wyniki są dobre. Poziom estrogenów jest jednak bardzo niski. Jeśli mogę zapytać: czy nadal ma pani regularny okres?

Erika wyłączyła silnik i zmusiła mózg do zastanowienia się, kiedy po raz ostatni miała okres.

– Ostatni miałam jakieś sześć, może osiem tygodni temu.

– Rozumiem. Czy w przeciągu ostatniego miesiąca uprawiała pani seks?

– Nie.

– W porządku. Zalecałabym skontaktowanie się z lekarzem. Jest pani jeszcze w wieku przedmenopauzalnym, ale wszystko wskazuje na to, że zaczęła się u pani menopauza.

– Menopauza?

– Tak – odpowiedziała pielęgniarka milszym głosem. – Łapie się pani w średniej wieku, kiedy zaczynają się u kobiet zmiany menopauzalne. Po czterdziestce poziom estrogenów stopniowo się zmniejsza. Czy ma pani jakieś inne objawy? Rzednięcie włosów, suchość skóry i waginy, napady gorąca, nocne poty, nieregularne zmiany nastroju…? Wspominała pani o nieregularnych okresach?

Erika dotknęła ręką czoła i uchyliła drzwi samochodu. Do środka wpadło zimne powietrze.

– Przepraszam, jestem w pracy. Mogę oddzwonić później?

– Nie ma pani żadnych powodów do obaw. Chciałam tylko panią o tym poinformować. Wyniki badań krwi pokazują, że jest pani zupełnie zdrowa. Poziom żelaza w normie. Niestety, menopauza dopadnie w końcu każdą z nas.

Erika podziękowała i się rozłączyła. Szok wywołany tym, co usłyszała, uderzył w nią mocno. Mnóstwo pracowała, skupiając się na karierze, nie zwracając uwagi na mijający czas, i teraz nagle jej

ciało wcisnęło hamulec. Koniec. Ślepa uliczka. Nie będzie w stanie urodzić już dzieci.

Włączyła silnik i ruszyła z powrotem na południe Londynu. Dużo myślała nad swoim życiem i wieczorem, który spędziła z Petersonem. Nie chciała mieć z nim dziecka, ale była przy nim szczęśliwa. Nawet mimo faktu, że ostatnią noc spędzili wyłącznie na pracy. Chciała do niego zadzwonić, ale odezwała się tylko skrzynka głosowa. Wybrała numer komisariatu i zdołała złapać Crane'a, który powiedział jej, że Peterson wrócił na noc do domu. Nagle Erika poczuła, że musi uporządkować wszystkie sprawy między nimi, wyjść z tego limbo… Może nawet odbudować ich związek.

Przed dwudziestą pierwszą zapukała do drzwi domu Petersona. Mieszkał na niewielkim osiedlu w Ladywell, niedaleko jej mieszkania na Forest Hill. Po chwili otworzył drzwi. Ubrany był w dżinsy i t-shirt, a na rękach trzymał małego chłopca o mieszanym kolorze skóry. Mógł mieć najwyżej sześć–siedem lat.

– Cześć – powiedziała Erika, nieco zmieszana widokiem chłopczyka, który posłał jej promienny uśmiech. Był uroczy i miał na sobie piżamę ze Spidermanem.

– Cześć, Eriko – powiedział Peterson.

Na jego twarzy malowało się pewne zaskoczenie, ale gdy zobaczył, jaka jest blada i zmartwiona, jego oczy zwęziły się zatroskane.

– Tatusiu, woda w wannie się przeleje – powiedział chłopczyk.

Za nimi pojawiła się blondynka po trzydziestce.

– James, kto to? – zapytała kobieta, zerkając podejrzliwie na Erikę.

– Dlaczego to dziecko mówi do ciebie „tatusiu"? – zapytała Erika, łapiąc się framugi.

– Bo to mój tatuś – powiedział chłopczyk.

Zapadła okropna cisza.

– Fran, weźmiesz Kyle'a i zakręcisz wodę w łazience? – powiedział Peterson.

Fran zerknęła na niego nerwowo, po czym wzięła chłopca na ręce.

– Czy to…? – zapytała.

– „To"? Co masz na myśli przez „to"? – zaczęła Erika.

– Dobrze już, dobrze, porozmawiajmy o tym na zewnątrz – powiedział Peterson.

Wyszli na korytarz. Erika wbiła w niego spojrzenie.

– Masz syna?

Skinął głową.

– Ile ma lat?

– Pięć.

– Jak? Co? – odebrało jej mowę.

– Eriko… Dowiedziałem się ledwo dwa tygodnie temu.

– A ta kobieta? Kto to? To jego matka?

– Fran to moja była dziewczyna. Zerwaliśmy ze sobą w dwa tysiące dwunastym roku, parę miesięcy przed olimpiadą.

– A co ma do tego jakaś pieprzona olimpiada? – wykrzyczała Erika.

– Chodzi mi o to, że było to po prostu cholernie dawno temu! Zerwaliśmy, a ona wyjechała do Niemiec. Pracuje jako graficzka, o ciąży dowiedziała się bardzo późno.

– Nie powiedziała ci?

– Nie.

– A teraz jest w twoim mieszkaniu, a ty przygotowujesz kąpiel dla jej dzieciaka? A mnie wygoniłeś, kurwa, na korytarz, żeby o tym powiedzieć!

– Eriko, nie miałem pojęcia, jak zareagujesz.

– To nie polepsza sytuacji! – krzyknęła.

Wpatrywała się w niego, a oczy zaszły jej łzami.

– Próbowałem ci o tym powiedzieć. Najpierw w pracy, później wieczorem, gdy do ciebie przyszedłem, i w klubie, do którego poszliśmy przesłuchać świadków, i w końcu w kawiarni… skąd po prostu uciekłaś.

– Powinieneś się bardziej postarać, skurwielu! Wiesz, jak się czuję, dowiadując się o tym, gdy po prostu wpadam w odwiedziny do ciebie do mieszkania?

– Kto w ogóle jeszcze dzisiaj tak robi? Czego się niby spodziewałaś?

– Dzwoniłam do ciebie, James.

– Na stacjonarny?

– Nie mam twojego numeru stacjonarnego.

– Skoro nie chciało ci się nawet odnotować, że mam telefon stacjonarny, to już nie mój problem.

Erika strzeliła go w twarz. Oboje zamarli. Kawałek dalej uchyliły się zamknięte na łańcuszek drzwi i wyjrzała zza nich twarz starszej kobiety.

– James, wszystko w porządku?

Odwrócił się do niej.

– Tak, przepraszam, Doris, wszystko w porządku. My tylko…

Usłyszał, jak trzaskają drzwi od klatki i zobaczył, jak Erika maszeruje do samochodu. Wybiegł za nią.

– Eriko!

Ale ona tylko odpaliła silnik i odjechała, skręcając niebezpiecznie na śniegu. Patrzył, jak jej samochód znika za wzgórzem.

– Kurwa – powiedział do siebie, patrząc na swoje nagie stopy, którymi brodził w śniegu.

Rozdział 42

Izaak Strong uwielbiał piec chleb. Było coś niesamowicie odprężającego w podwijaniu rękawów i ugniataniu ciasta. Kochał swoją kuchnię, udekorowaną ze smakiem na biało: białe szafki, podłoga, ściany i wszystkie powierzchnie. Absolutnym szałem był wielki, biały zlew marki Butler, który kosztował go fortunę. Stal nierdzewna nie wchodziła w grę – za dużo jej miał na co dzień w pracy. Ugniatając ciasto, słuchał w tle *Gardeners' Question Time* i bardzo poważnie brzmiącej kobiety, która miała okropne kłopoty z kwiatami domowymi cierpiącymi z powodu wełnowców. Słuchał radia przez aplikację BBC iPlayer na swoim telefonie. Audycja urwała się niespodziewanie i telefon zaczął dzwonić. Widząc, że to Erika, odebrał, naciskając przycisk łokciem, nie przerywając ugniatania.

– Jesteś w domu? – zapytała.

Jej głos brzmiał dziwnie smutno.

– Tak, oczywiście.

– Stoję na zewnątrz.

Gdy otworzył drzwi, zobaczył Erikę, jakiej nie widział nigdy wcześniej. Oczy miała zaczerwienione, po policzkach płynęły łzy. Wyglądała na kompletnie rozbitą. Nie odezwał się do niej ani jednym słowem, zamiast tego podszedł do niej i uścisnął. Weszła do środka i poszli do kuchni.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, sięgając po butelkę whisky.

– Tak, poproszę.

Usiadła przy stole.

– Chodzi o Jamesa Petersona. Ma syna…

– Co?

Wyrzuciła z siebie całą historię. Izaak wysłuchał jej, nalał kolejną szklankę whisky i słuchał dalej.

– Nigdy nie przyszłoby mi nawet do głowy, że mogłabym mieć z nim dzieci – skończyła. – A wiedziałam od niego i jego matki, że zawsze chciał mieć dzieci… Ale jakaś samolubna część mnie myślała, że możemy być parą bez dzieci… Sam rozumiesz: szczęśliwi i spełnieni.

Izaak uniósł w zaskoczeniu brwi.

– Wiesz co, Eriko, jesteś niesamowicie inteligentna, ale to, co właśnie powiedziałaś, to największy idiotyzm, jaki w życiu słyszałem.

Wybuchła śmiechem i wytarła oczy.

– Gdy otworzył drzwi, wyglądał na tak bardzo szczęśliwego… Był ojcem. Pasowało to do niego. No i ten mały chłopczyk ma wreszcie tatę. Nie mogłabym mu tego odebrać.

– I nie powinnaś.

Erika skinęła głową i wzięła kolejny łyk whisky. Skrzywiła się z niesmakiem.

– Co za paskudztwo.

– Dwie pierwsze szklanki jakoś ci smakowały. To dwudziestojednoletnia Chivas Regal.

– Smakuje jak Benadryl.

– Wolisz piwo?

– Tak.

Podszedł do lodówki, wyciągnął jedno i otworzył.

– Dzięki – powiedziała, gdy postawił przed nią butelkę.

Wzięła głęboki łyk i wytarła usta.

– Boże, co za masakra. Przecież muszę dalej z nim pracować. Musiał powiedzieć coś Moss, bo dopytywała się wczoraj, czy mieliśmy czas „pogadać”. Boże, od jak dawna ona o tym wie? A co

z resztą ekipy? Nie wiedzą czy tylko może ja żyłam w błogiej nieświadomości?

– Daj spokój, przecież mówimy o Moss. Jestem pewien, że nie trzymała tego w tajemnicy przed tobą z zawiści. To lojalna dziewczyna. Porządna do szpiku kości… Jak ma na imię syn Petersona?

– Kyle. Jest słodki.

– A jego dziewczyna? Matka Kyle'a?

– Nie pamiętam… – Erika wzięła kolejny duży łyk piwa. – Jest ładna i posegregowana.

– Jak w ogóle człowiek może być „posegregowany"?

– Sweter jak z katalogu, zwisający z jednego ramienia, włosy lśniące i proste.

– A może to modelka pozująca dla katalogów mody?

Erika popatrzyła na niego.

– A może stara się o pracę?

– Suka z katalogu – warknęła Erika, walcząc z etykietą na butelce.

– Nie idź tą drogą, Eriko. Jesteś na to za dobra. Jeszcze to określenie utkwi ci w pamięci i wypowiesz je w złym momencie.

Erika popatrzyła przed siebie ponurym wzrokiem i potarła oczy.

– Masz rację.

Izaak wrócił do ugniatania ciasta, wrzucił je do foremki i wytarł blat.

– Jak idzie sprawa?

– Żadnych postępów – odpowiedziała, dopijając piwo.

Izaak podszedł do lodówki i wyciągnął jeszcze jedno.

– Nie napijesz się ze mną? – zapytała.

– Jestem na antybiotykach. Infekcja układu oddechowego.

– Dwie sprawy połączyły się w jedno. Najpierw morderstwo, a teraz sprawa gościa w masce przeciwgazowej, który późno w nocy lub wczesnym rankiem atakuje swoje ofiary w pobliżu przystanków komunikacji miejskiej. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie wiem, w którą stronę iść. – W tym momencie zadzwonił jej telefon i zobaczyła, że to Crane. – Przepraszam, muszę odebrać. Halo?

– Szefowo, przepraszam, że dzwonię tak późno. Mam informację na temat numeru, który dzwonił do ciebie dzisiaj w nocy. To komórka na kartę, zarejestrowana na Edwarda Fostera. Czy znasz kogoś takiego?

Erika poczuła, jak krew tężeje jej w żyłach.

– Mój Boże, tak. To mój teść.

Rozdział 43

Erika wykonała kilka telefonów i dowiedziała się, że Edward został przyjęty poprzedniej nocy w późnych godzinach do szpitala Manchester Royal Infirmary. Upadł i potrzebował pilnej operacji biodra. Wystąpiły komplikacje, umieszczono go więc na oddziale intensywnej terapii.

Było już późno, ale Izaak zaoferował się, że podrzuci ją z Londynu do Manchesteru, przypominając jej, że nie jest w stanie prowadzić samodzielnie. Wrzucił do torby podróżnej parę swoich rzeczy. Erika nie chciała wracać po nic do swojego mieszkania, pojechali więc prosto do szpitala.

Śnieg delikatnie prószył. Erika siedziała cicho w samochodzie. Gdy dotarli do szczytu autostrady M25, ich oczom ukazał się wielki znak z napisem „PÓŁNOC". Gdy przejeżdżali pod nim, Erika poczuła strach, a jej ciało przeszły dreszcze. Jechała do Manchesteru po raz pierwszy od śmierci Marka.

– Co zrobimy, jak dotrzemy do szpitala? – zapytał Izaak, zerkając przy okazji na GPS na tablicy rozdzielczej.

– Pytam się, czy mogę zobaczyć Edwarda. To oczywiste.

– GPS pokazuje, że będziemy na miejscu po trzeciej w nocy. Nie wpuszczą cię do niego.

– To co powinniśmy zrobić?

– Gdzie mieszka Edward? – zapytał Izaak, włączając wycieraczki.

– Slaithwaite. To małe miasteczko w Yorkshire, jakąś godzinę od Manchesteru.

Izaak wbił namiary i zaczekał, aż GPS ustawi trasę na nowo.

– Do Slaithwaite dojedziemy trochę wcześniej niż do Manchesteru…

– Ale to blisko Dales, a Edward mówił mi, że strasznie tam sypie – powiedziała Erika, patrząc przez okno na światła oświetlające wirujące płatki śniegu.

– Czyli rozumiem, że wolisz się zatrzymać w hotelu bliżej szpitala?

Erika pomyślała o tym, jak blisko Manchester Royal Infirmary znajduje się jej dawny dom – dom, w którym mieszkała z Markiem, a który teraz wynajmowała. Mniej niż trzy mile. Nie była tam od śmierci Marka. W pobliżu nadal mieszkali ich znajomi, ale nie widziała się z nimi od tamtego czasu. Wycieraczki tańczyły rytmicznie na przedniej szybie, a skórzane podgrzewane fotele w należącym do Izaaka dżipie Cherokee sprawiły, że zrobiła się senna.

– Nie, w porządku, jedźmy do Slaithwaite – stwierdziła.

Izaak włączył cicho radio, prezenter czytał właśnie wiadomości. Erika myślała o domu. Wyszła z niego po raz ostatni w dniu, w którym przeprowadzili nalot na fabrykę narkotyków w Manchesterze. Wywiązała się strzelanina, zginęli Mark i czterej inni policjanci – funkcjonariusze, którzy byli jej przyjaciółmi. Znała ich żony. Jedna z nich pracowała w ich zespole jako dzielnicowa.

Prezenter przeszedł do tematu walk na Bliskim Wschodzie, a z radia popłynęły ciche odgłosy strzałów. Izaak zmienił stację na taką, która akurat puszczała muzykę.

W czasie nalotu Erika również została postrzelona – pocisk trafił ją w szyję, o włos mijając tętnice. Helikopterem przetransportowano ją do szpitala, gdzie spędziła dwa tygodnie na OIOM-ie. Wyszła akurat na pogrzeb Marka. Nigdy więcej nie wróciła już do ich domu. Wynajęła firmę przeprowadzkową, która spakowała wszystkie rzeczy i wrzuciła do magazynu.

Erika była w szoku, jak łatwo przyszło jej spakować swoje poprzednie życie. Parę telefonów i sporo gotówki sprawiły, że nie musiała patrzeć za siebie. Swój stary dom wynajmowała teraz ludziom, których nigdy w życiu nie widziała na oczy.

Samochód brnął przez śnieg, a kompletnie wyczerpana Erika pogrążała się powoli we śnie.

W dniu nalotu wychodziła z domu wcześnie, jeszcze przed siódmą, ale było lato i promienie słońca wpadały przez okno do kuchni. Złapała telefon leżący na stole. W misce leżały dwa owoce, jabłko i banan, a na blacie w kuchni dwa bilety na Magię w blasku księżyca. *Wieczorem mieli iść do kina.*

Erika miała możliwość przekazania sprawy innemu zespołowi, ale to ona ją prowadziła – trzymała się jej jak pies kości. Od dwóch lat tropiła dilera Jerome'a Goodmana i chciała go wreszcie przyszpilić.

I gdzie ją to zaprowadziło? Zaryzykowała i straciła przez to męża, czterech przyjaciół i prawie sama zginęła. O tym, co jej zostało, nie było co pisać. Co gorsza, Jerome Goodman po prostu rozpłynął się w powietrzu. Nadal był na wolności. Nadal się gdzieś tam czaił.

W czasie tego urywanego snu jej myśli powędrowały do Edwarda. Dlaczego nie była bardziej czujna? Dlaczego nie spędzała z nim więcej czasu, nie zadawała sobie trudu, aby go odwiedzić? Dlaczego nie miała numeru jego komórki? Umysł podsunął jej widok jego ciała, leżącego na podłodze, obok schodów. Z nogi sterczy mu kość, która przebiła piżamę, w którą jest ubrany… W jej śnie jednak w domu pada śnieg… A za schodami nie ma ściany… Podchodzi do Edwarda, aby mu pomóc, ale ten znika. Teraz to ciało Marissy. Ale nie ma schodów, leży na ścieżce przed swoim domem, na wpół przysypana śniegiem, a wokół niej zamarza krew… Erika kuca przy

niej, a Marissa otwiera oczy: z jej ust zaczyna cieknąć krew, a ona wyciąga ręce, aby złapać Erikę…

– Eriko? Eriko?

Otworzyła oczy i natychmiast wróciła ciemność wnętrza samochodu. Było ciepło, a z radia płynęły dźwięki *Do They Know It's Christmas?* Izaak wpatrywał się w nią uważnie.

– Wszystko w porządku?

– Długo spałam?

– Parę minut… Krzyczałaś przez sen imiona: Edwarda, Marka i Marissy.

Erika potarła oczy.

– To tylko sen – powiedziała.

– Na pewno chcesz się zatrzymać u Edwarda? Prześpimy się u niego i pojedziemy do szpitala, tak?

– Tak. Wszystko w porządku, możesz dalej prowadzić? – Zerknęła przez okno, ale widziała tylko ciemność. Jedyne, co była w stanie dostrzec, to śnieg na autostradzie.

Izaak skinął głową.

– Mamy przed sobą jeszcze co najmniej parę godzin jazdy. Prześpij się, jeśli chcesz.

– Nie. Porozmawiajmy o czymś. O czymkolwiek, byle nie o pracy.

Rozdział 44

Moss i jej żona, Celia, jadły rano następnego dnia śniadanie w kuchni, gdy zadzwonił telefon Moss. Była to Erika, która wyjaśniła jej, że Edward miał wypadek i musi wziąć kilka dni wolnego.

– Jestem w Manchesterze – powiedziała Erika. – W Slaithwaite, wiosce, gdzie mieszka Edward. Jest ze mną Izaak.

– Izaak Strong? – zapytała Moss, przełykając potężną porcję płatków śniadaniowych.

– Tak… – Erika ewidentnie nie chciała zagłębiać się w temat, Moss więc nie naciskała.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, jak najbardziej.

– A jak Edward?

– Upadł i złamał biodro. Operowali go, leży na intensywnej terapii.

Do kuchni wpadł z udającą gitarę elektryczną zabawką syn Moss i Celii, Jacob. Na kolanach zrobił ślizg po podłodze, gitara wydała cichy pisk. Moss zamachała do Celii wolną ręką, a ta natychmiast zerwała się od stołu i złapała Jacoba, zabierając mu gitarę.

– Mamusia rozmawia przez telefon – wyszeptała.

Jacob zatrzymał się i patrzył, jak jego druga mama słucha, jak ktoś coś mówi do niej przez telefon, a jej mina robi się coraz smutniejsza.

– Jak tam u was ze śniegiem? – zapytała Moss.

– Wysoki na jakąś stopę – odparła Erika. – Na szczęście drogi są odśnieżone, a samochód Izaaka ma napęd na cztery koła. Będę tu co najmniej parę dni. Dzwoniłam już do nadinspektor Hudson i powiadomiłam ją o całej sytuacji.

– W porządku, wprowadzę w sprawę osobę, która będzie cię zastępowała…

– Chcę, żebyś ty mnie zastąpiła. Omówiłam już to z Melanie, zgodziła się, żebyś pełniła obowiązki głównej inspektor i poprowadziła tę sprawę.

Na moment Moss odebrało mowę.

– Ale… Przecież to skomplikowana sprawa… Mamy tyle znaków zapytania, a teraz jeszcze doszły do tego ataki tego gościa w masce przeciwgazowej…

– Czyli nie chcesz się tego podjąć?

– Nie! Oczywiście, że to wezmę! – odpowiedziała szybko.

Celia przyglądała jej się, umierając z niecierpliwości, kiedy dowie się, co tak podekscytowało Moss.

– Chodzi o parę dni, tak?

– Być może dłużej. Muszę upewnić się, że z Edwardem wszystko w porządku. Moje życie od jakiegoś czasu jest nieco nieuporządkowane.

– Rozumiem – odparła Moss.

Powoli zaczął docierać do niej ciężar sprawy, który na nią spadł.

– To teraz twoje śledztwo. Nikomu innemu nie odważyłabym się go powierzyć. Jeśli będziesz potrzebowała mojej pomocy, to zawsze możesz dzwonić. Melanie już przygotowuje ci papiery z uprawnieniami głównej inspektor. Ale musisz zdawać sobie sprawę, że przy tym stopniu nie ma już czegoś takiego jak nadgodziny. Cały czas jesteśmy na służbie.

– Jasne – odparła Moss, zerkając na Celię i Jacoba.

– Dzwoń, gdybyś czegokolwiek potrzebowała – powiedziała Erika, po czym się rozłączyła.

– Co się stało? Wyglądasz, jakby ktoś umarł! – powiedziała Celia. Gdy zobaczyła jednak poważną minę Moss, zapytała niepewnie: – Ktoś umarł…?

– Nie. Erika ma problemy rodzinne, jej teść jest chory. Awansowała mnie na czas obecnej sprawy do rangi głównej inspektor. – Moss usiadła ciężko.

Odsunęła od siebie miskę z płatkami. Nagle przestała być głodna.

– Ale kochanie, przecież to wspaniale… To znaczy poza tą częścią z chorym teściem… To znaczy, że Erika ci ufa – powiedziała Celia.

– Tak, przecież to wspaniale, kochanie – powiedział Jacob, naśladując jej głos.

Moss złapała go za stopę i połaskotała. Krzyknął i wykręcił się jej.

– Nie łaskocz mnie. Wiesz, że łaskotki są dla mnie odpychające.

– Łaskotki są dla niego odpychające. Niezły słownik, jak na pięciolatka – powiedziała Celia, uśmiechając się wymownie. – Mam nadzieję, że dostaniesz też podwyżkę? – zapytała, odstawiając Jacoba.

– Oczywiście… Ale jest tyle rzeczy do zrobienia. Muszę poprowadzić dzisiaj odprawę. Może powinnam wszystkim postawić kawę.

– Dasz sobie radę. Wszyscy cię lubią – powiedziała Celia, łapiąc Moss za rękę i całując. – Tylko nie wpadnij w taką obsesję jak Erika.

– Ona nie ma obsesji. Jest po prostu diabelnie dobra w tym, co robi. A poza tym, w tej pracy nie chodzi o to, żeby ludzie mnie lubili. Mam nimi dowodzić.

– Wydaje mi się, że jedno z drugim idzie w parze. Bądź sobą. Jak Peterson? Podejrzewam, że nie chciała oddać mu tej sprawy ze względu na to, co było między nimi. Powiedział jej już o synu?

Moss wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Poradziłam mu, żeby zrobił to jak najszybciej, ale stchórzył.

– Nie wydaje ci się dziwne, że ta kobieta dzwoni do niego nagle przed Bożym Narodzeniem i oznajmia mu, że ma syna?

– Tak.

– Jak myślisz, o co jej chodzi? – zapytała Celia.

– Chciała, żeby Peterson był częścią życia Kyle'a… Może chciała trochę bezpieczeństwa. Mówił, że przeprowadziła się do Niemiec i miała poczucie, że jest kompletnie zbędna.

– A mimo to przez sześć lat celowo zatajała przed nim tę informację.

– Niewiele brakowało, żeby zginął w tym roku. I od tak dawna pragnął mieć dzieci.

– Myślisz, że ona też? Erika? – zapytała Celia, odrzucając za ucho kosmyk włosów i biorąc się za sprzątanie po śniadaniu.

– Pewnie nadal chce.

– Nie chcę być niemiła, ale czy nie jest już dla niej nieco za późno?

– Nie wiem. Nie chcę o tym rozmawiać.

– Dlaczego? Nie ma jej tu przecież.

– Czuję się, jakbym była nielojalna. Znam ją prywatnie, to dobra przyjaciółka.

– Wiem, ale przecież możesz ze mną po prostu porozmawiać. Nie wyjdzie to poza nas dwie.

Moss przysunęła się i pocałowała ją. Kątem oka zobaczyła, że Jacob uważnie je obserwuje.

– No nie wiem. Zdaje się, że mamy tu małego szpiega – powiedziała. – Chyba trzeba będzie go jeszcze raz połaskotać.

Jacob krzyknął z zachwytu i zaczął uciekać, a Moss i Celia goniły za nim dookoła kuchennego stołu i pobiegły za nim do salonu, gdzie całą trójką rzucili się na kanapę i zaczęły go łaskotać, aż znowu krzyknął.

Gdy Erika skończyła rozmawiać z Moss, rozejrzała się po ciemnej jeszcze sypialni Edwarda. Na zewnątrz zaczynało robić się jasno i za oknem pierwsze promienie słońca rozjaśniały zaśnieżone Yorkshire Dales. W pokoju panował potworny bajzel, a na łóżku leżała stara, brudna pościel. Przez pękniętą szybę do środka wpadało zimne powietrze. Podłoga aż się kleiła od brudu, a na dywanie przy łóżku leżały rozsypane tabletki. Nie było prądu. Wróciła na półpiętro, gdzie Izaak wychodził akurat z łazienki.

– Kompletna nora. – powiedział. – Mokre ściany i grzyb. Od dawna nikt tu nie sprzątał. – Pokazał jej czystą plastikową torebkę pełną pigułek. – Ma całą szafkę zawaloną starymi antybiotykami, tabletkami na serce, lekami rozrzedzającymi krew i na cholesterol, nawet antydepresanty. Albo nie skończył żadnego leczenia, albo nie przyjmował ich regularnie, bo kilka butelek jest tylko w połowie pustych. Wszystko ponawiane recepty.

Erika zakryła płaszczem twarz, starając się nie wdychać zapachu stęchlizny. Ten domek zawsze był taki ciepły i przytulny. Co tu się stało?

Przyjechali późno, było kompletnie ciemno. Musieli podpalić drewno w piecu i znaleźć dla siebie po kanapie do spania.

– Ogrzewanie jest na gaz – powiedziała Erika. – Muszę się dowiedzieć, czy nie zapłacił rachunków, czy zepsuł się piec.

Zeszli po schodach do salonu. Tutaj było nieco czyściej, ale stolik kawowy też był zawalony brudnymi talerzami. W pokoju

stała niewielka choinka bożonarodzeniowa, ale tylko połowicznie przystrojona. Z salonu przeszli do kuchni, gdzie w zlewie przelewały się brudne naczynia, a na blacie pełno było okruchów i resztek jedzenia. Lodówka była niemal pusta, w środku zobaczyli tylko pół nadgniłego bochenka chleba i poczerniałe marchewki na półce na warzywa. Aż podskoczyli, gdy spod rondelka leżącego na suszarce wypełzł karaluch i przebiegł po blacie.

– Jezu Chryste! – wykrzyknęła Erika, łapiąc starą gazetę i zabijając karalucha.

Oboje stali i patrzyli na nieruchome ciało.

– Jak był jeden, to pewnie jest ich tu więcej – powiedział cicho Izaak.

Zaniepokojony, ściągnął brwi. Erika rzuciła gazetę na ziemię, podeszła do wiszącego na ścianie telefonu i podniosła słuchawkę.

– Odłączony – powiedziała, patrząc na wtyczkę. Spuściła głowę i wytarła oczy. – Dzwonił do mnie w Boże Narodzenie, mówił, że jest z sąsiadami, i założyłam, że przyszli tutaj. Nie miałam pojęcia, że ma komórkę. Po prostu nie wiedziałam. Gdy rozmawiałam z nim w pierwszy dzień świąt, parę rzeczy mu się pomyliło, ale poza tym wydawało się, że wszystko z nim w porządku. Powinnam zapytać, czy daje sobie sam radę.

Izaak wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

– Ale teraz już jesteś. Oboje jesteśmy. Skup się na tym.

Skinęła głową.

– Też jest ci tak zimno jak mnie?

– Bardziej – odpowiedział. – Zjedzmy jakieś śniadanie i napijmy się gorącej herbaty. Jak już będziemy mieli w sobie jakieś ciepłe jedzenie, to będziemy myśleć co dalej. – Zerknął na zegarek. – Ósma, wizyty zaczynają się dopiero za parę godzin. Możemy się zastanowić, co robić.

– Musimy tu posprzątać i sprawdzić jego rachunki… i…

– Jedzenie i gorąca herbata – przerwał jej Izaak. – A potem będziemy myśleć.

Rozdział 45

Już przez szybę Moss widziała, że centrum interwencyjne było pełne ludzi. Wzięła głęboki wdech i weszła do środka. Była z nią nadkomisarz Hudson. Gdy funkcjonariusze zobaczyli, że do pomieszczenia wchodzą Hudson i Moss, zapadła cisza.

– Dzień dobry wszystkim – powiedziała Melanie.

– Dzień dobry pani – odparli policjanci niemal chórem.

– Erika… główna inspektor Foster… będzie chwilowo nieobecna z powodów rodzinnych. Jej teść jest chory, musiała pojechać do Manchesteru, aby z nim pobyć. Sprawę przejmuje detektyw Moss, która tymczasowo awansowana zostaje do stopnia głównej inspektor. Bardzo proszę, aby okazywali jej państwo ten sam poziom szacunku oraz uprzejmości co w przypadku Eriki. Sprawa jest w zasadzie jasna, ale czy ktoś ma jakieś pytania?

Wszyscy funkcjonariusze utkwili spojrzenie w stojącej obok Hudson Moss, która wyglądała na nieco skrępowaną. Nikt się nie odezwał.

– Świetnie. Moss, przejmuje pani dowództwo.

Gdy tylko Melanie wyszła z pomieszczenia i znalazła się poza zasięgiem słuchu, wszyscy zaczęli wypytywać Moss o Erikę i o to, kiedy wróci.

– Wiem tyle, ile pani nadkomisarz – powiedziała, unosząc ręce, aby ich uciszyć. – Od wczoraj nic się nie zmieniło. Nadal ścigamy tego drania. – Podeszła do tablicy i wskazała na rysunek maski sporządzony na podstawie zeznań świadków, po czym przejechała palcem wzdłuż linii łączącej go z rysunkiem maski przeciwgazowej, który dołączony był do wiadomości wysłanej

Josephowi Pitkinowi. – Musimy wreszcie zacząć znajdować powiązania między informacjami i wgryzać się w informacje. Nie mamy już luksusu przesłuchania Josepha Pitkina, ale chciałabym porozmawiać z jego rodzicami i sprawdzić, czy nie dowiemy się od nich czegoś więcej na temat wiadomości, którą do niego wysłano. Musimy też odblokować iPhone'a Marissy. Nie miała laptopa ani komputera stacjonarnego, więc cała jej aktywność internetowa na iPhonie może być kluczowa dla sprawy.

Przeszła wzdłuż tablicy i zatrzymała się przed zdjęciami innych ofiar zaatakowanych przez człowieka w masce przeciwgazowej.

– Jeśli ofiary są w jakikolwiek sposób powiązane, to musimy ustalić, co je łączy. Na czym skupia się napastnik. Łącznikiem między nimi na pewno musi być coś więcej niż wygląd. Różniły się wiekiem i płcią: ofiary miały między dwadzieścia kilka a pięćdziesiąt kilka lat i byli to zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Z dwóch zaatakowanych mężczyzn jeden był hetero, drugi gejem. Mamy tylko jedną ofiarę śmiertelną: Marissę Lewis. Wszyscy zostali napadnięci albo w okolicy swoich domów, albo w pobliżu miejsca pracy i stacji kolejowych. Marissa wracała do domu późnym pociągiem i została zaatakowana w największym oddaleniu od stacji kolejowej spośród wszystkich ofiar. Czy napastnik popełnił błąd? W ostatnim ataku ofiara zdołała go kopnąć i przesunąć maskę na jego twarzy. Czy Marissa zginęła, ponieważ odkryła tożsamość napastnika? A może wręcz go znała?

Moss podeszła do zdjęć Marissy wykonanych na miejscu zbrodni.

– W trakcie autopsji Izaak Strong ustalił, że ofiara została zamordowana przy pomocy noża z ząbkowanym ostrzem. Nadal nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni, a czas ucieka. Prawdopodobnie nadeszła pora na środki wyjątkowe. Powinniśmy zapukać do każdego domu przy Coniston Road i sprawdzić, jakie noże można w nich znaleźć.

Parę osób uśmiechnęło się, a cały zespół wybuchł śmiechem. Moss uniosła rękę.

– Dobra, dobra. Lubię sobie pożartować, ale teraz mówię serio. Co zawsze mówi szefowa? Nie ma głupich pytań. To ja dodam jeszcze: „nie ma głupich sposobów prowadzenia śledztwa".

– Ale przecież ty jesteś teraz szefową – powiedziała Kay.

– Zgadza się.

Moss kontynuowała, przechodząc przez kolejne zdjęcia podejrzanych i osób związanych ze sprawą.

– Lista podejrzanych kurczy się coraz bardziej. Joseph Pitkin nie żyje, ale do kolejnego ataku przeprowadzonego przez człowieka w masce doszło wczoraj, co znaczy, że powinniśmy go skreślić. To samo tyczy się Ivana Stowalskiego, zmarł wczoraj wieczorem w szpitalu po tym, jak doświadczył dużej ekspozycji na gaz ziemny w swoim domu. Sam doprowadził do wycieku, traktujemy to jako próbę samobójczą. Mamy jednak Dona Walpole'a: ma czystą kartotekę i zajmuje się żoną alkoholiczką, ale zdradzał ją z Marissą, gdy ta była jeszcze nieletnia. Marissa próbowała go szantażować, grożąc, że zgłosi na policję, że współżył z małoletnią. Wysłaliśmy wczoraj funkcjonariusza z zestawem do wymazu, aby poprosić go o dobrowolne poddanie się badaniu, ale nie było go w domu i nie odbierał telefonu. Spróbujemy dzisiaj jeszcze raz. Ponadto wiemy, że Marissa miała rzekomo ukraść pani Fryatt parę diamentowych kolczyków. Jedna z tancerek z klubu Matrix zeznała, że była z Marissą u jubilera w Hatton Garden, który wycenił kolczyki, ale pani Fryatt zaprzecza temu, jakoby skradziono jej jakąkolwiek biżuterię, kolczyków nie znaleźliśmy też przy ofierze. Mamy tu jeden wielki znak zapytania.

– Czy Marissa mogła dostać kolczyki od adoratora? – zapytał McGorry. – Raport szefowej… To znaczy: raport poprzedniej szefowej stwierdza, że dziewczyny z klubu miały mnóstwo

adoratorów: bogatych facetów, którzy kręcili się wokół nich po występach w nadziei, że załapią się na coś więcej niż taniec.

– Tak, ale musimy to jeszcze zweryfikować. Chciałabym, aby jedno z was skontaktowało się z dziewczyną, która poszła z Marissą do jubilera i jeśli będzie trzeba, aby przejechało się z nią do Hatton Garden. Może przypomni sobie, w którym sklepie były.

Moss przerwała na moment i popatrzyła po przygnębionych twarzach. W środku czuła się tak samo, ale była zdeterminowana, żeby tego nie okazywać.

– W porządku. Bierzemy się do roboty i widzimy się tu z powrotem o szesnastej.

Gdy ludzie rozeszli się do swoich zadań, Peterson podszedł do Moss i poprosił ją, czy mogliby porozmawiać prywatnie.

– Byle szybko.

– Świetnie ci poszło.

– Dzięki. Ale wydaje mi się, że równie dobrze mogła poprosić o zastępstwo ciebie.

Pokręcił głową i pociągnął ją na tył centrum koordynacyjnego, w stronę maszyn ksero.

– Odkryła wczoraj Kyle'a i Fran – powiedział cicho.

– Odkryła?

– Wpadła do mnie wczoraj późnym wieczorem, w porze kąpieli. W porze kąpieli Kyle'a znaczy…

– Oczywiście…

– Otworzyłem drzwi z Kylem na rękach. Powiedział do mnie „tato". Fran też przy tym była.

– Kurwa.

– Próbowałem z nią porozmawiać, ale wskoczyła do samochodu i odjechała z piskiem opon. Nie wiedziałem, czy jechać za nią, czy nie, ale zdecydowałem się zostać w domu, a teraz nagle wzięła urlop zdrowotny.

Moss widziała, jak bardzo był zatroskany.

– James, to nie ma z tobą nic wspólnego. To prawda, tata Marka miał wypadek i jest w szpitalu. Musiał przejść pilną operację wymiany biodra i wyniknęły komplikacje. Dlatego jej nie ma.

– Kurwa… Nie mówiła nic o mnie? – zapytał.

– Myślami była gdzie indziej… Ja też.

Skinął głową.

– W porządku. I jeszcze raz: dobra robota. Będę cię wspierał w nowych obowiązkach.

– Dzięki. Potrzebuję, żebyście razem z Cranem pilnowali tu, na miejscu, żeby wszystko działało, jak należy.

– Jasna sprawa.

Moss podeszła do Kay, która siedziała przed komputerem.

– Dzisiaj pracujesz ze mną. Pojedziemy do Pitkinów i zadamy im parę pytań na temat Josepha.

Rozdział 46

Gdy Moss i Kay zajechały na Coniston Road i zapukały do drzwi domu Dona Walpole'a, śnieg już topniał. Kay miała ze sobą zestaw do pobierania próbek DNA, ale na miejscu nikogo nie zastały.

– Kurwa – warknęła Moss. Wyciągnęła radio i skontaktowała się z centralą. – Crane, chciałabym, abyś spróbował namierzyć Dona Walpole'a… – Moss uniosła głowę i zobaczyła starszego mężczyznę z papierosem, stojącego w tym samym miejscu, co zwykle. – Zaczekaj chwilę, oddzwonię do ciebie.

Wyszły przez furtkę i podeszły do mężczyzny.

– Szukacie Dona?

– Tak, zgadza się – odpowiedziała Moss, pokazując mu odznakę. – Kolega twierdzi, że widział pan go wczoraj po południu, jak wychodził z domu ze swoją żoną. Widział go pan może dzisiaj?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Dużo czasu tu spędzam, żona nie pozwala mi palić w domu. Stałem tu jakoś przed szóstą, później o siódmej trzydzieści i o ósmej… I jeszcze raz o dziewiątej.

– Nałogowy palacz? – zapytała Kay.

– Zrobi pani karierę jako detektyw – stwierdził, wskazując na nią papierosem i uśmiechając się, prezentując przy tym żółte zęby.

– Nie widział pan, żeby w domu były włączone światła albo ktoś po nim chodził? – zapytała Moss.

– Nie.

Wrócili do samochodu i Moss zadzwoniła ponownie do Crane'a, aby poprosić go, żeby spróbował zadzwonić do Dona i sprawdził

tablice rejestracyjnego jego samochodu w krajowej bazie danych. Następnie zrobiły sobie krótką wycieczkę za róg do domu Davida i Elspeth Pitkinów.

Drzwi otworzył im David Pitkin. Był ubrany na czarno, a pod oczami miał ciemne kręgi. Pokazały im swoje odznaki i zapytały, czy mogą wejść do środka porozmawiać.

– Jeszcze wam mało? – zapytał władczym głosem.

– Mamy kilka dodatkowych pytań dotyczących Josepha i jego znajomości z Marissą Lewis – powiedziała Moss, starając się zachowywać taktownie.

– Przepraszam, nie wpuszczę was. Żona jest w okropnym stanie. Nie może podnieść się z łóżka od czasu…

– Przykro nam z powodu tego, co stało się pańskiemu synowi – powiedziała Kay. – Ale nie chcemy, aby jego śmierć poszła na marne. Sądzimy, że mógł mieć informacje, które w jakiś sposób wiążą się ze sprawą. Gdyby żył, mógłby pomóc nam w śledztwie.

David popatrzył na nie z góry, nie ruszając się ze schodów, przetrawiając to, co właśnie powiedziały.

– Gdzie ona jest?

– Kto? – zapytała Moss.

– Ta pieprzona detektyw, blondynka.

– Jest na zwolnieniu. Przejęłam jej sprawę – wyjaśniła Moss.

– Z powodu oficjalnej skargi? Napisałem do zastępcy komisarza, wnioskując o wszczęcie śledztwa w jej sprawie i zawieszenie jej w obowiązkach.

– Tak, postępowanie jest w trakcie. To dlatego ja przejęłam śledztwo – powiedziała Moss. Była pewna, że Erika na jej miejscu też okłamałaby Davida Pitkina.

Zaprowadził je do kuchni.

– Napiją się panie herbaty?

Kay popatrzyła na Moss, czekając na jej reakcję.

– Nie, nie chcemy się narzucać – odparła Moss. – Zadamy panu tylko kilka pytań.

– Napijcie się tej cholernej herbaty! – wybuchnął. – Muszę mieć jakieś zajęcie w międzyczasie.

Skinęły głowami i usiadły przy długim stole. Moss zauważyła, że wszystkie zegary (a na ścianie wisiało ich naprawdę dużo) były zatrzymane na godzinie trzynastej dwadzieścia pięć. W kuchni panowała kompletna cisza.

– To ja to zrobiłem – powiedział, widząc jej spojrzenie. – To godzina, kiedy lekarz stwierdził… – Nie dokończył zdania. W ciszy czekały, aż zrobi trzy kubki herbaty i dołączy do nich.

– Jak długo Joseph interesował się fotografią? – zapytała Moss.

David Pitkin zdawał się nieco zaskoczony pytaniem.

– Nie wiem. Od czterech, może pięciu lat.

– To pan kupował mu potrzebne rzeczy?

– Nauczyciel sztuki z jego szkoły zorganizował projekt, w ramach którego uczniowie zbudowali aparat otworkowy z rolek po papierze toaletowym, folii aluminiowej i papieru fotograficznego. Zafascynowało go to i męczył mnie, żebym kupił mu rzeczy potrzebne do stworzenia jego własnego aparatu.

– Do wywoływania zdjęć potrzebował ciemni?

– Tak.

– Gdzie kupował pan odczynniki chemiczne?

– W okolicy, w sklepie z aparatami w Greenwich. Drogie panie, nie rozumiem, do czego mają prowadzić te pytania, chyba że planują panie zająć się hobbystycznie fotografią?

– Staramy się ustalić, w jaki sposób Joseph zajął się swoim hobby.

– To nie było hobby. Planował w ten sposób pracować zarobkowo.

– Kiedy Joseph dorobił się własnego aparatu i sam zaczął kupować potrzebne materiały?

– Nie pamiętam. Tak jak powiedziałem: parę lat temu. Pracowałem wtedy jeszcze jako adwokat i raczej zaniedbywałem życie rodzinne. Czasami całymi dniami nie widziałem rodziny… – David popatrzył zamyślony przez okno i wziął łyk herbaty. – Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy było to wszystko cokolwiek warte. Prawo… to jedna wielka partia szachów.

Moss nie naciskała na niego.

– Czy Joseph był może członkiem jakiegoś klubu fotograficznego?

– Ponownie: nie wiem.

– Czy mogłybyśmy porozmawiać z pana żoną? – zapytała Kay.

– Nie, nie mogą panie. Lekarz przyszedł dzisiaj z samego rana, żeby dać jej coś na sen.

– Czy Joseph otrzymał kiedykolwiek zapłatę za jakieś zdjęcie?

David uśmiechnął się nieco zaskoczony.

– Nie. Długo był bezrobotny. Z pewnością to panie wiedzą.

– Czy Marissa Lewis była kiedykolwiek w pana domu? – zapytała Moss. – Pytam szczególnie o ostatni rok.

– Nie. Z tego, co wiem, to nie. Szczerze mówiąc, zawsze trochę martwiliśmy się o naszego syna. Nigdy nie przejawiał szczególnego zainteresowania którąkolwiek z płci.

– Panie Pitkin. Muszę pokazać panu kilka zdjęć, które znaleźliśmy w komórce Josepha. Nie są one przyjemne, ale proszę pana o obejrzenie ich wyłącznie dlatego, że są kluczowe dla prowadzonego przez nas śledztwa.

David zmrużył oczy, gdy Moss wyciągnęła teczkę. Otworzyła ją na stole i wyciągnęła zdjęcia skrępowanego Josepha. Pokazała mu także zdjęcie wiadomości oraz rysunek maski przeciwgazowej.

David przejrzał zdjęcia, starając się nie okazywać na zewnątrz swoich emocji. Podniósł wreszcie wzrok, a w jego oczach była prawdziwa wściekłość.

– Za kogo wy się, do cholery, macie, żeby przychodzić do mojego domu i pokazywać mi takie rzeczy?

– Panie Pitkin, czy Joseph wspominał kiedyś o jakimś znajomym albo o tym, że jest śmiertelnie przerażony?

– A czy wy widzieliście, że Joseph był w takim stresie, że był gotów odebrać sobie życie? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie.

– Ale musieliście widzieć, jak bardzo był zestresowany w czasie przesłuchania? Czy nikomu na komisariacie nie przyszło na myśl, aby wezwać lekarza albo że nie powinien SAM przebywać w celi? – David zrzucił zdjęcia na podłogę. – WYNOŚCIE SIĘ Z MOJEGO DOMU!

Kay pośpiesznie zebrała zdjęcia i wepchnęła je z powrotem do teczki.

– Panie Pitkin, błagam, czy nie ma pan pomysłu, kto mógł wysłać Josephowi tę wiadomość?

– NIE SŁYSZYCIE, CO SIĘ DO WAS MÓWI?! – ryknął.

Złapał Moss za połę płaszcza, podniósł z krzesła i pociągnął na korytarz.

– Proszę pana! Proszę przestać! – zawołała Kay, biegnąc za Davidem ciągnącym Moss do drzwi wejściowych.

David puścił Moss, nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Gdy próbował złapać ją ponownie, uniosła ręce do góry w geście poddania się.

– Wystarczy – powiedziała, wychodząc na zewnątrz.

Gdy tylko Kay znalazła się za progiem, drzwi zatrzasnęły się za nimi. Zeszły na chodnik.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

– Tak. I proszę, nie mów do mnie „proszę pani”. Nie jestem z rodziny królewskiej – powiedziała Moss. Poprawiła sweter, który miała pod płaszczem. – Ale czego innego mogłyśmy się spodziewać? Myślałam, że mimo wszystko warto było spróbować, tak na wypadek, gdyby coś wiedział.

– I co? Myślisz, że faktycznie coś wiedział? – zapytała Kay.

– Nie. Ale kiepsko u mnie z instynktem detektywa. To specjalność Eriki.

Rozdział 47

McGorry miał spotkać się z Ellą Barlett, tancerką burleski, która poszła do jubilera wraz z Marissą. Rano rozmawiał z potwornie kampowym gościem imieniem Martin, który dał mu numer Elli. Zgodziła się spotkać z nim po siłowni, ale się spóźniała. Czekał na nią przed budynkiem Gym Box w Farringdon od dwudziestu minut. Śnieg przestał padać, ale powietrze było wilgotne i powoli przestawał czuć nogi. Siłownia znajdowała się przy głośnej ulicy, na skraju dzielnicy jubilerskiej Hatton Garden w centralnym Londynie. Stał pod staromodną, czerwoną budką telefoniczną – przez ten czas zdążył naliczyć sześć przejeżdżających koło niego policyjnych furgonetek.

– Cześć, to ty jesteś John? – Usłyszał głos.

Obrócił się i zobaczył drobną blondynkę po dwudziestce. Była oszałamiająco piękna, co dodatkowo podkreślały jej długie miodowe włosy i wielkie błękitne oczy.

– Tak, detektyw konstabl John McGorry. Zakładam, że rozmawiam z panią Barlett? – zapytał i uświadomił sobie, jak śmiesznie poważnie brzmi.

– Mów mi po prostu Ella. Mogę mówić ci John? – zapytała. – Aha, i czy mogę zobaczyć legitymację policyjną? Sam pan wie, nikomu nie można dzisiaj ufać.

Wyciągnął legitymację i podał jej.

– W rzeczywistości jest pan znacznie przystojniejszy niż na zdjęciu – stwierdziła, oddając mu legitymację.

– Zaczynajmy – powiedział McGorry.

– Ma pan broń?

– Nie. Detektywi nie noszą broni.

– Kajdanki? Gaz pieprzowy? – dopytywała się.

Niewinne oczy miała szeroko otwarte.

– Czasami. W samochodzie.

– Jak pan tu dojechał? – zapytała, rozglądając się.

– Metrem. Przyjechałem metrem… – McGorry poczuł się nagle zawstydzony i głupi.

– Czyli jest pan nieuzbrojony? Można pana bez problemu napaść? Przepraszam, żartuję sobie tylko.

– Musisz pomóc mi znaleźć sklep jubilerski, w którym byłyście. To bardzo ważne dla naszego śledztwa. To nie żarty.

– Przepraszam… Myślałam, że z Marissą wszystko w porządku. Tyle się przechwalała wyjazdem do Los Angeles albo Nowego Jorku… Ja nie miałam na to nigdy odwagi. To ona była tą odważną.

Przeszli kawałek wzdłuż drogi i skręcili w Hatton Garden w miejscu, w którym znajdowała się witryna pierwszego na tej ulicy jubilera. Okna lśniły złotem i srebrem na tle szarego, zimnego dnia. Szli obok siebie przez kilka minut. Ella zatrzymywała się co jakiś czas, zerkała przez okna do wnętrza sklepów i rozglądała się po ulicy.

– Dużo rozmawiałyśmy i szłyśmy od drugiej strony, nie przywiązywałam aż tak dużej uwagi do tego, dokąd idziemy – powiedziała. – Po dłuższej chwili wszystkie te sklepy wydają się takie same.

Przeszli jeszcze kawałek i Ella zatrzymała się przy czerwonej skrzynce na listy.

– To chyba tutaj – powiedziała, wskazując na drzwi naprzeciwko.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytał McGorry.

– Skrzynka na listy. Jest bardzo stara.

McGorry spojrzał na szyld. Widniał na nim napis: „R.D. LITMAN I SYNOWIE NAJLEPSI JUBILERZY ZAŁ. 1884”.

Weszli do środka. Nad głowami rozbrzmiał im zawieszony nad drzwiami dzwonek. Wewnątrz panowała niewymuszona elegancja, a długa szklana wystawka lśniła. Przez drzwi z tyłu sklepu wszedł starszy, nieco przygarbiony, łysiejący mężczyzna. Obrzucił ich wprawnym, zawodowym okiem, ale czekał cierpliwie, aż odezwą się pierwsi.

McGorry pokazał swoją legitymację i wyjaśnił, co tu robią. Wydawało się, że Ella nie kojarzyła mężczyzny, ale on ją pamiętał.

– Tak. Przyszła pani z jeszcze jedną młodą damą o ciemnych włosach. Diamentowe kolczyki, princess cut, wyjątkowo czyste, 1.62 karata, osadzone w 24-karatowym złocie.

– Potrafi pan to powiedzieć z pamięci? – zapytał McGorry.

– To moja praca – odparł mężczyzna, pociągając nosem. – No i zawsze pamiętam parę tak pięknych dam. Czy pani przyjaciółka zmieniła zdanie i jest gotowa sprzedać kolczyki? Moment, jak ona miała na imię?

– Marissa? Nie. Nie żyje – powiedziała Ella.

– Rozumiem. Przykro mi – stwierdził. – Może w takim razie państwo przyszli, aby je sprzedać?

– Nie, nie chcemy ich sprzedawać – odpowiedział McGorry. – Muszę zweryfikować, że te kolczyki w ogóle istniały. Czy jest możliwość, że błędnie określił pan ich wartość?

Sam wyraz twarzy mężczyzny powiedział McGorry’emu, że nie.

– Wyceniłem je… Teraz nie pamiętam dokładnej kwoty… Na dziesięć…

– Dziesięć i pół tysiąca – dokończyła Ella.

– Tak.

– Jak ma pan na imię? – zapytał McGorry.

– Peter Litman.

– Czy utrzymuje pan bliższe kontakty z innymi sklepami jubilerskimi w okolicy?

– Kontakty?

– Tak.

– Jesteśmy blisko związaną ze sobą społecznością jubilerów o długich tradycjach. Rodzinne biznesy… Ale jesteśmy dla siebie po prostu biznesmenami. I nasze kontakty również są wyłącznie biznesowe.

– Czy mogę zostawić panu swój numer na wypadek, gdyby przypomniał pan sobie coś więcej?

– Tak. – Mężczyzna wziął podaną mu wizytówkę.

McGorry podziękował i wyszli.

Peter Litman stał ze splecionymi za plecami rękoma i obserwował McGorry'ego i Ellę przez okno. Gdy zniknęli mu z oczu, wrócił do swojego gabinetu, gdzie znajdował się olbrzymi sejf.

– Charles, właśnie odwiedził mnie funkcjonariusz policji, detektyw konstabl McGorry. Wypytywał o kolczyki princess cut, które należały do tamtej zmarłej dziewczyny.

Charles Fryatt uniósł głowę i spojrzał na niego zza biurka zawalonego papierami i komputera, przy którym pracował.

– Słyszałem rozmowę.

– Słyszałeś zatem również, że powiedziałem im prawdę. Nie będę kłamał policji. Pytam jeszcze raz: czy masz cokolwiek wspólnego ze śmiercią tej młodej kobiety?

– Nie – odpowiedział Charles, przesuwając się na krześle. – Chodzi wyłącznie o kolczyki. Nic więcej.

– To były kolczyki twojej matki?

– Tak. – Charles wrócił do pracy przy komputerze, nie patrząc na mężczyznę.

– Charles, jestem twoim teściem i będę wobec ciebie lojalny, ale tylko do pewnego momentu. Jeśli dojdą do mnie jakieś plotki, które będą kompromitujące dla mnie lub mojej córki…

– To nic takiego! – odpowiedział Charles, podnosząc głos. – I nie było powodu, żebyś kłamał, wszystko jest w porządku.

Peter popatrzył przez dłuższą chwilę na swojego zięcia, po czym wrócił do głównej części sklepu, aby przearanżować wystawę. W głębi serca czuł niepokój.

Rozdział 48

Mężczyzna, który sam o sobie mówił „T", wyszedł z pracy wczesnym popołudniem. Do sklepu, w którym pracował przez cały dzień, nie przyszedł żaden klient, nie licząc mężczyzny i kobiety, którzy pojawili się, żeby zadać parę pytań.

Miał szczęście, że pracował w firmie rodzinnej: gdy ruch był mały, mógł wychodzić z pracy, kiedy tylko chciał. Zrobił sobie krótką wycieczkę pociągiem do centrum Londynu.

Gdy przeszedł Rupert Street i skręcił w Soho, wyrosła przed nim fasada Raymond Revue Bar. Serce zaczęło walić mu jak młotem i poczuł, jak jego penis twardnieje. Zawsze czuł dreszcz podniecenia, gdy wchodził w dzielnicę seksu, pełną jaskrawo rozświetlonych barów i sex shopów. Było to miejsce, gdzie człowiek mógł czuć anonimowość. W tym malutkim kwadracie ulic wszystkie hamulce, które regulowały życie dobrze wychowanej klasy wyższej w Anglii, przestawały się liczyć. Geje mieli poczucie, że mogą swobodnie trzymać się za ręce. Ludzie czuli, że można tu wyrazić siebie. Gdy przechodził obok sklepu Prowlera, z budynku wyszło dwóch chłopaków i uważnie mu się przyjrzeli. Podziwiali jego wzrost. Zatrzymał się, aby zaczekać, aż ulicą przejedzie maszyna do sprzątania dróg. Szczotki uparcie czyściły ohydną powierzchnię. Przeszedł na drugą stronę, minął sex shop i Walker's Court. Znajdował się na wąskim deptaku, z obu stron otoczonym wysokimi budynkami. Było tu pełno sex shopów i klubów erotycznych, a mrok rozświetlały krzykliwe neony.

Roztopiony śnieg spływał z dachów popękaną rynną i rozpryskiwał się na ziemi tuż przed sex shopem z zaciemnionymi

oknami. Neonowa trzcinka z napisem „KLAPSY", mieniąca się błyskającymi kolorami, reklamowała oferowane przez sklep specjalistyczne gadżety erotyczne i filmy porno. T poczuł, jak rośnie w nim ekscytacja i niemal bezwiednie powiódł ręką do krocza, czując skórę przez cienki materiał czarnych spodni. Zawsze wyobrażał sobie, że ulica wygląda tak samo jak dwieście lat temu – chociaż wtedy, oczywiście, nie było jaskrawych świateł i zacienionych okien. Młodzi mężczyźni i kobiety mogli znikać bez śladu i niewiele się o tym mówiło. Życie miało niewielką wartość.

Drobna dziewczyna w grubej srebrnej puchowej kurtce kręciła się przed niewielkim klubem erotycznym, z którego dobiegało dudnienie muzyki. T poczuł, jak dudniący bas syczy mu między zębami i rezonuje w piersi. Zwolnił, gdy dziewczyna nawiązała z nim kontakt wzrokowy i rozchyliła płaszcz. Pod spodem miała obcisłą miniówkę i wcięty top, który uwydatniał jej wychudzony tułów. Głęboko zielone oczy były martwe, a pulchne usta usiane opryszczką.

– Chcesz się zabawić? – zapytała cicho, aby było słychać ją tylko z bardzo bliska.

– Potrzebuję modelki – powiedział T, przysuwając się do niej.

Jego usta były tuż przy jej uchu. Cofnęła się i zerknęła na boki, zielonymi oczami skanując wąską uliczkę w poszukiwaniu policji. Niski, ciemnoskóry mężczyzna z gęstym zarostem patrzył na nich ze swojego miejsca pod sex shopem na końcu ulicy.

– Tak? Ile płacisz? – zapytała.

– Prywatne zlecenie. Bardzo prywatne.

– Stówa za godzinę. Masz hotel? – powiedziała dziewczyna.

Jej oczy nadal wyglądały jak martwe. Była jak żywy trup. Głośna muzyka ucichła, a po chwili z wnętrza dobiegł odgłos kolejnego utworu. Tym razem był to trance, zaczynający się od niskich uderzeń. Niski mężczyzna odwracał już głowę w stronę dziewczyny. T czuł narastającą w żołądku nerwowość. Dziewczyna

na pewno zgodziłaby się, ale on chciał odejść daleko stąd i nie chciał, aby zbyt wiele osób widziało ją z nim. Był pewien, że niski facecik na końcu ulicy to jej alfons.

– Idę na zakupy – powiedział T, wskazując głową sex shop w głębi ulicy. – Potrzebuję dziewczyny, która nie boi się stracić paru kropel krwi, ale możesz mi wierzyć, że odpowiednio ci za to zapłacę. No i będziesz musiała kawałek dojechać. Moje mieszkanie jest trochę daleko.

– Jeśli liczymy dojazd to sto pięćdziesiąt za godzinę, minimum za trzy godziny z góry…

Dziewczyna zachowywała się nonszalancko. Ani śladu strachu. Wyglądała, jakby była mocno uzależniona od narkotyków. Albo wciągnął ją diler, albo ten niski alfons.

Nagle wyrwała do przodu i pobiegła w stronę Rupert Street. T rozejrzał się za alfonsem, ale jego też nie było. Od drugiej strony Walker's Court szło paru policjantów. Byli głęboko pogrążeni w rozmowie, jak chyba wszyscy policjanci, ale ich oczy uważnie skanowały nagle zupełnie opustoszałą ulicę. Cienie ludzi rozpływały się w wejściach do budynków.

T poczuł ulgę i zachowując się jak zwykły przechodzień, ruszył przed siebie szybkim krokiem. Błyskawicznie wyminął dwóch funkcjonariuszy i wyszedł na świeże powietrze po drugiej stronie ulicy, natykając się na sklep z owocami. Z każdym krokiem oddalał się od obiektu pożądania i ekscytacji.

Rozdział 49

Erika i Izaak zdołali zobaczyć się z Edwardem dopiero wczesnym popołudniem. Izaak stwierdził, że zaczeka na nią, gdy pierwsza pójdzie odwiedzić go na sali. Poszedł do kawiarni na dole, żeby kupić sobie kubek kawy.

Oddział był na piątym piętrze. Erika przeszła przez parę podwójnych drzwi i skierowała się do rzędu łóżek na końcu sali. Gdy podeszła bliżej, nie była w stanie ustalić, który z pacjentów to Edward. Wielu spało obróconych na bok, plecami do niej, a wszyscy mieli identyczne siwe włosy.

Znalazła go wreszcie na końcu oddziału, pod oknem wychodzącym na parking. Był owinięty w koce. Gdy ją zobaczył, jego twarz rozjaśniała.

– Erika, kochanie – powiedział i podniósł rękę z doczepioną kroplówką.

Stolik obok jego łóżka był pusty. Widziała, że na wielu leżą kartki i owoce. Żałowała, że nic nie przyniosła.

– Cześć – powiedziała i sięgnęła po jego dłoń. Była strasznie wysuszona.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła przy łóżku.

– Co się stało?

– Upadłem. Wstałem w nocy, nie pamiętam wiele więcej. Listonosz usłyszał rano, jak wołam o pomoc.

– Próbowałeś się do mnie dodzwonić, prawda?

– Nie pamiętam.

– Nie wiedziałam, że masz komórkę.

– Zwykle z niej nie korzystam, ale telefon stacjonarny odcięli mi parę dni po świętach, nie wiem dlaczego. Zawsze płacę rachunki… – Podniósł się, wyraźnie pobudzony.

– Wiem.

– A później wysiadło ogrzewanie. Próbowałem dogrzewać drewnem. A na koniec odcięli prąd. Eriko, zawsze płacę rachunki. Wiesz o tym, prawda?

Skinęła głową.

– Teraz jestem przy tobie i upewnię się, że wszystko będzie, jak należy – powiedziała.

– Dobra z ciebie dziewczyna.

Pokręciła głową.

– Miałeś operację biodra?

– Tak. Lekarz powiedział, że wstawili mi tam też parę śrub… – Przełknął ślinę i się rozkaszlał.

Erika wzięła kubek z szafki przy łóżku i nalała do niego wodę z dzbanka.

– Dziękuję, kochanie. – Wypił całą zawartość i oddał jej kubek. – Wyzdrowieję, nim się obejrzysz. Chociaż nie wiem, czy nie będę miał później problemów w sklepach.

– Dlaczego?

– Bramki nie będą piszczeć, gdy będę przez nie przechodził? No wiesz, bo śruby. To dopiero byłby wstyd, gdyby coś takiego przytrafiło mi się w Tesco.

– Nie, spokojnie, w sklepach nie mają wykrywaczy metalu, są tylko na lotniskach.

– Och – zachichotał. – Nie planuję się nigdzie wybierać, więc to nie problem. Cudownie cię widzieć. Długo zostajesz?

– Tak długo, jak będzie trzeba.

Pomachał komuś w oddali. Na końcu oddziału pojawił się Izaak. Erika skinęła mu głową i przywołała go.

– To mój przyjaciel… Znaczy kolega z pracy… To Izaak Strong – powiedziała Erika. Edward przyjrzał się Izaakowi i podał mu rękę na powitanie.

– Miło mi pana poznać, panie Foster. Erika wiele o panu opowiadała.

– Pewnie myśli pan, że skończony ze mnie idiota.

Izaak potrząsnął głową i się uśmiechnął.

– Nie. Myślę, że wielki z pana facet… Wysoki.

– Eee, no tak. Kiepski jednak ze mnie sportowiec.

Edward zmrużył oczy, nie odrywając od niego spojrzenia.

– Szkoda. Byłby pan świetnym skoczkiem wzwyż.

– Izaak jest lekarzem, patologiem sądowym.

– Pracuje pan z trupami?

Izaak uśmiechnął się.

– Tak.

Edward zachichotał.

– Niewiele brakowało, a potrzebowałbym pana usług. Dzięki Bogu, że znalazł mnie listonosz.

– Proszę tak nie mówić! – odparł Izaak, unosząc w zaniepokojeniu brwi.

– Spokojnie, chłopcze, tylko żartuję. Miło cię poznać. Przyjaciele Eriki są moimi przyjaciółmi.

Na oddział wszedł lekarz, który poprosił Erikę o rozmowę. Zostawiła Edwarda z Izaakiem i poszła za lekarzem do dyżurki pielęgniarek.

– To była raczej prosta operacja – powiedział. – Postawiliśmy go już z powrotem na nogi. Szybko dochodzi do siebie.

– To dobrze.

Twarz lekarza spochmurniała.

– Jesteśmy jednak poważnie zaniepokojeni sytuacją w jego domu. Edward ma zaawansowaną niedowagę i awitaminozę. Poza

tym trafił do nas z paskudną infekcją układu moczowego. Normalnie nie ryzykowalibyśmy w takim wypadku operacji, ale złamanie było naprawdę paskudne. Na szczęście jego organizm zaczął reagować na antybiotyki i infekcja ustępuje. Nie możemy go jednak wypuścić, dopóki nie upewnimy się, że będzie miał się kto nim zająć. Mieszka pani w okolicy?

Erika wyjaśniła, że mieszka w Londynie. Opowiedziała lekarzowi o rozmowie z Edwardem w Boże Narodzenie i o tym, że myliły mu się rzeczy. Doktor przytaknął, słuchając jej uważnie.

– Często jednym z objawów infekcji układu moczowego jest dezorientacja, czasami nawet halucynacje – powiedział, patrząc poważnym wzrokiem na Erikę. – To nie rozwiązuje naszego problemu z tym, że mieszka sam i kiepsko sobie radzi. Doradzałbym wizytę u niego w domu pracownika pomocy społecznej, który sprawdziłby, jak wygląda jego sytuacja.

Powiedziawszy to, poszedł na obchód, zostawiając Erikę, która stała przez moment sama na korytarzu. Próbowała poukładać sobie w głowie, jak mogło do tego wszystkiego dojść. Czas płynął zdecydowanie zbyt szybko. Było zdecydowanie za wcześnie, żeby musiała mierzyć się z problemami wieku średniego i opieką nad starym teściem.

Dlatego właśnie rzucała się w wir pracy. Dzięki temu czuła, że żyje. Czuła się młoda. Praca nie miała końca. Zawsze był jakiś bandzior do złapania. Zło nie uznawało za kryterium wieku. Potrząsnęła głową, odganiając myśli.

– Pojebane to wszystko – powiedziała do siebie.

Przejechała ręką po włosach i wróciła na oddział.

Rozdział 50

Moss czuła, że sprawa morderstwa Marissy Lewis, dodatkowo skomplikowana przez sprawę ataków człowieka w masce przeciwgazowej, zaczyna wyrywać się spod kontroli – a jako oficer prowadząca, to ona musiała popchnąć ją na właściwe tory. Była przyzwyczajona do bycia jednym z wielu trybików. W gruncie rzeczy była dumna z tego, że jest jednym z trybików w wielkiej maszynie – pilnowała, żeby wszystko było naoliwione, zapewniała wsparcie i poczucie humoru rozładowujące zbyt napiętą czasami atmosferę.

Teraz była jednak szefową i czuła presję, by pilnować wszystkiego. Chociaż pełniła tę funkcję tylko tymczasowo, to czuła wyraźną zmianę w zachowaniu zespołu i tym, w jaki sposób ją traktowano. Teraz wszyscy mówili do niej „proszę pani". Gdy po raz pierwszy sierżant Crane zwróciła się do niej per „pani główna inspektor", myślała, że to tylko żart. Że rzuciła to ot tak, do rymu. Szybko uświadomiła sobie jednak, że było to powiedziane serio i że ona też musi być poważna.

Inną sprawą, która utrudniała jej pracę, było to, w jaki sposób Erika działała jako oficer prowadząca sprawy. Niewiele rzeczy notowała, wolała wszystko analizować w głowie, więc Moss spędziła większość dnia, starając się nadgonić ustalenia Eriki. Nadkomisarz zapytała ją, czy ktokolwiek rozmawiał ponownie z matką Marissy, Mandy, o tym, jak szykowała się do spania. Moss nie miała pojęcia, zmusiła mózg do pracy na podwyższonych obrotach, starając się przypomnieć sobie raporty, które czytała. Czy nadkomisarz chodziło o to, czy Mandy spała z kimś, czy po

prostu o to, gdzie spała? Moss przypomniała sobie w końcu, że Mandy spała w sypialni na dole, gdy Marissa została zamordowana, ale ta pustka w głowie przeraziła ją. Nie chciała zostać zdegradowana do rangi inspektora przed zakończeniem śledztwa, ale w tej chwili nie miała w ogóle pojęcia, jak zabrać się za rozwiązanie sprawy ani czy w ogóle była w stanie temu podołać. To Erika rozwiązywała sprawy i zawsze była gotowa wydawać rozkazy. Moss uświadomiła sobie, jak dobrze czuła się po prostu robiąc to, co jej kazano.

Po rozmowie z nadkomisarz Moss poszła do rzadko używanej toalety na piętrze, koło pokojów konferencyjnych, zamknęła się w kabinie i zadzwoniła do Celii, starając się powstrzymać łzy.

– To pierwszy raz, kiedy powierzono ci samodzielne prowadzenie sprawy – powiedziała Celia. – Musisz być dla siebie bardziej wyrozumiała… Poza tym zostałaś wrzucona w sam środek skomplikowanej sprawy. Jesteś popularna w waszym zespole. Powinnaś rzucić paroma żartami, żeby poprawić wszystkim humor. Czy macie tam kogoś nowego, kto nie wie jeszcze, że masz na imię Kate?

Moss roześmiała się i wytarła policzki w papierowy ręcznik.

– Teraz to ja jestem szefową. Nie mogę rzucać żartami jak Kate Moss. Ludzie patrzą na mnie i oczekują wsparcia, mądrości i strategii. A ja muszę rozwiązać tę sprawę, żonglując aktami i… – głos nagle jej się urwał.

– …listami – podpowiedziała Celia. – A ty jesteś cholernie dobra w robieniu list. Zawsze przywieszasz stos karteczek na lodówce i zawsze jakoś rozwiązujemy problemy krok po kroku, kierując się twoimi wytycznymi. Powinnaś podzielić to sobie na listę mniejszych problemów i zadań do wykonania, a nie zabierać się za to wszystko naraz.

– Masz rację – powiedziała Moss. – To nie jest sprawa morderstwa. To seria zadań do wykonania.

Było już późne popołudnie, gdy Moss znalazła się z powrotem w centrum koordynacyjnym, porządkując zagracone biurko w kącie. Zaoferowano jej własny gabinet, ale nie było czasu, żeby przenieść jej komputer i zalegający u niej stos dokumentacji. Poszła za radą Celii i miała do zrobienia potwornie długą listę zadań do wykonania, ale czuła się lepiej. Jedyną dobrą rzeczą w byciu szefową jest to, że można delegować zadania na innych ludzi.

– Mamy jakieś wieści na temat miejsca pobytu Dona Walpole'a? – krzyknęła.

– Ciągle czekamy na wyniki z krajowej bazy numerów rejestracyjnych – odpowiedział Crane. – Jeśli wjechał gdzieś w strefę płatnego parkowania, to go namierzymy.

– Pogoń ich i powiedz, że to nie jest prośba, tylko polecenie – powiedziała Moss, przeglądając listę. – Powinniśmy też sprawdzić jego paszport i karty kredytowe. To w tej chwili najbardziej podejrzana osoba.

Crane skinął głową i złapał za telefon.

– A co z tymi diamentowymi kolczykami? Gdzie się podziewa McGorry?

Gdy tylko Moss zadała to pytanie, McGorry wszedł do centrum koordynacyjnego.

– Byłeś dzisiaj rano w Hatton Garden, szukałeś jubilera, zgadza się?

– Tak, Moss. To znaczy: tak, szefowo.

– Wystarczy Moss.

– W porządku. Facet ze sklepu jubilerskiego, pan Litman, pamiętał, że Ella przyszła do niego z Marissą, aby wycenił im kolczyki. Ocenił, że były prawdziwe, i oszacował ich wartość na dziesięć i pół tysiąca. Później poszedłem jeszcze do pani Fryatt i ją też wypytałem o kolczyki… Dostałem nawet szczegółowy opis. Diamentowe kolczyki princess cut osadzone

w dwudziestoczterokaratowym złocie. – Wydął policzki. – Wredna stara krowa, oskarżyła mnie o to, że nie mam racji. Twierdzi, że sprawdziła całą biżuterię i wszystko spoczywa bezpiecznie w jej sejfie.

– Prosiłeś ją, żeby pokazała ci jego zawartość?

– Tak, ale odpowiedziała, że stoi w jej sypialni i bez nakazu nie wpuści tam żadnego młodego mężczyzny.

Peterson i Crane wybuchli śmiechem, ale Moss zachowała powagę. Na końcu języka miała żart, że nikt nigdy nie potrzebował nakazu, żeby dobrać się do jej majtek i że zwykle wystarczyło kupić jej coś do zjedzenia u Nandy, ale się powstrzymała. Była w końcu oficerem prowadzącym.

– Myślisz, że pani Fryatt kłamie?

– Naprawdę nie wiem, bo poprosiłem ją o potwierdzenie nazwy sklepu jubilerskiego, w którym pracuje jej syn – odpowiedział McGorry. – To ten sam sklep: R.D. Litman i Synowie. Charles Fryatt jest mężem Lary, córki pana Litmana… To była nauczycielka, mają trójkę dorosłych dzieci. Duża rodzinna firma. Dwóch synów pana Litmana też pracuje w sklepie. – Przerwał na moment, żeby wszyscy ułożyli sobie w głowie informacje. – Gdy przyszedłem do sklepu, Charles Fryatt był nieobecny. Widziałem tylko pana Litmana. Zapytałem Ellę, czy w sklepie był ktoś jeszcze, gdy przyszły tam z Marissą, ale odpowiedziała, że widziała tylko pana Litmana.

– Czy jest szansa, że Charles Fryatt nie wiedział o całej sprawie? – zapytał Crane.

– Naciągana teoria… Ale mówisz, że pani Fryatt sama podała informacje o tym, gdzie pracuje Charles? – zapytała Moss.

– Tak, żadnych wymówek, nic. W ogóle nie wydawała się zaniepokojona. Raczej dumna, że jej syn ma tak dobrą pracę – powiedział McGorry.

– Rozmawiałeś z Charlesem Fryattem?

– Nie. Nie byłem w stanie się z nim skontaktować. Gdy zadzwoniłem do sklepu, pan Litman powiedział, że Charlesa nie ma w pracy. Nie odbierał też swojego telefonu, a jego żona nie miała pojęcia, gdzie się podziewa.

– A co jeśli Marissa kłamała na temat tego, skąd ma kolczyki? – zapytał Peterson.

– Po co niby ktoś miałby kłamać, że coś komuś ukradł? Nie łatwiej byłoby powiedzieć, że dostała je od jakiegoś adoratora, który widział, jak tańczy w klubie? – zapytała Moss.

– Może chciała, żeby brzmiało to bardziej złowieszczo? – rzucił McGorry. – Luźna myśl. Marissa Lewis miała tysiące sekretów.

– Tego tylko potrzeba w całej tej sprawie: żeby była jeszcze bardziej złowieszcza – powiedziała Moss, zerknęła na swoją listę i znów poczuła się przytłoczona.

Rozdział 51

Erika i Izaak wyszli ze szpitala dopiero późnym popołudniem.

– Ma bardzo stoickie podejście do życia – powiedział Izaak, gdy wracali do Slaithwaite.

– Ci z północy już tak mają. Ludzie tam są o wiele milsi niż w Londynie i mają znacznie rozsądniejsze spojrzenie na życie.

– Co powiedział lekarz?

– Nie wypuszczą Edwarda do domu, dopóki nie będzie w stanie zająć się sobą sam albo nie zrobi tego dom opieki.

– Cholera.

– Muszę wysprzątać jego dom i spróbować przywrócić wszystko do stanu używalności. Nie mogę pozwolić, żeby wrócił do takiego domu. Co powiedziałaby opieka społeczna?

Po drodze do domu wstąpili do supermarketu, gdzie kupili jedzenie i środki czyszczące. Gdy dojechali na miejsce było już ciemno. Wioska wyglądała bardzo przytulnie, światła padające z okien domów migały na śniegu.

– Zobaczę, czy dam radę rozpalić ogień – powiedział Izaak, gdy weszli do środka. – Już chyba na zewnątrz jest cieplej.

Podszedł do pieca, opróżnił jego zawartość i zaczął czyścić ruszt.

– Zagadka braku gazu rozwiązana – powiedziała Erika, przeglądając i otwierając stos listów. – Najwyraźniej Edward zmienił dostawcę i nowa firma nie miała właściwych danych bankowych…

Izaak trzymał zapałkę przy stosie papierów i drewna, ale bez efektu.

– To samo z telefonem. Jedna z firm konsultingowych przekonała go do zmiany wszystkich operatorów, z usług których korzystał, ale podali zły adres, złe dane bankowe… Dranie – powiedziała, sięgając po komórkę.

Izaak patrzył zadziwiony, jak Erika masakruje przez telefon kolejnych przedstawicieli firm zajmujących się dostarczaniem gazu, prądu i usług telefonicznych, składając oficjalne skargi i doprowadzając ostatecznie do wznowienia świadczenia usług.

Resztę wieczoru spędzili, szorując i sprzątając dom Edwarda. Inżynier przyjechał na miejsce bardzo szybko, koło dwudziestej gaz był już z powrotem podłączony, więc mogli włączyć centralne ogrzewanie, ale co jeszcze ważniejsze: wreszcie byli w stanie się umyć. Izaak poszedł pod prysznic, a Erika wzięła w tym czasie kąpiel w świeżo wyszorowanej łazience. Gdy zanurzyła się w gorącej wodzie, poczuła, jak jej ciało się rozluźnia, a zimno, które odczuwała przez kilka ostatnich dni, powoli znika. Zapaliła kilka świeczek i pomieszczenie przybrało przyjemniejszy wygląd, trochę jak ciepło oświetlona jaskinia. Łazienka Edwarda przez lata się nie zmieniła: te same kafelki w kolorze lawendy. Nad toaletką wisiało kilka półeczek, na których leżał stos zapakowanych mydełek Pears, zawieszka na papier toaletowy z dzierganym wizerunkiem hiszpańskiej señority, kilka opakowań talku do rąk i farba do włosów w kolorze „conker”, odcieniu, który stosowała matka Marka. Erika nie ważyła się usunąć w czasie sprzątania czegokolwiek z półek. Rzeczy znajdujące się na nich były niemalże święte – pamiątki po dawnym życiu Edwarda z matką Marka, Kath. Erika pomyślała przez moment o matce Marka, o tym, jak niewinną i kochaną osobą była. Żyła w swoim własnym małym świecie w niewielkiej wiosce w Dales, otoczona opieką przez Edwarda i Marka.

Erika poruszyła się lekko w wannie, przypatrując się półce. Było w niej coś szczególnego, z tyłu głowy miała jakieś wspomnienie z nią związane, ale nie była w stanie go uchwycić. Para uniosła się pod sufit, płomienie świec zadrżały i zaczęły syczeć. Oparła głowę o chłodne kafelki, a jej oczy zaczęły się powoli zamykać.

Erika ponownie znalazła się na Foxberry Road w Forest Hill. Była późna noc, droga, zwykle gęsto uczęszczana i pełna zaparkowanych po bokach samochodów, świeciła pustkami. Padał śnieg, ale jej było gorąco, jakby znajdowała się w saunie. Przykucnęła i rozgarnęła śnieg – nie znalazła pod nim jednak asfaltu, ale kafelki. Lawendowe kafelki łazienkowe z białymi fugami. Odgarnęła jeszcze trochę śniegu i jej oczom ukazała się ciągnąca się po horyzont wybrukowana kafelkami droga. Ciszę przerwały odgłosy skrzypiących na śniegu kroków. Obróciła się. W jej kierunku szedł wysoki, ubrany na czarno mężczyzna. Na twarzy miał maskę przeciwgazową. Na gładkiej, błyszczącej skórze naciągniętego na głowę kaptura odbijały się uliczne światła. Zwolnił i zatrzymał się kilka kroków przed nią. Uniósł głowę i zaczął węszyć. Długa rura odchodząca od maski przypominała jej psi pysk. Patrzył wszędzie wokół niej, ale nie na nią, zupełnie jakby była niewidzialna. Przysunęła się bliżej, na tyle blisko, że słyszała jego oddech i widziała odbicia świateł ulicznych na kapturze, gdy poruszał głową. Zapatrzyła się w wizjery maski, ale nie mogła dostrzec czającej się za nią twarzy – widziała tylko ciemność. Gdy z rury wydechowej wydobył się strumień gazów, wyłapała silny chemiczny zapach, trujący i jakby metaliczny…

Erika zerwała się nagle, gdy do jej ust i nosa dostała się zimna woda. Para już dawno uleciała, a palce zaczęły jej drętwieć. Wyszła z wanny i owinęła się w cienki ręcznik. Stojąc na macie, popatrzyła

na półkę nad toaletką. Mydło Pears i farba do włosów… Tuż po ślubie przyjechała z Markiem w odwiedziny do Edwarda i Kath, Mark poszedł do łazienki na piętrze. Pili akurat herbatę w salonie, gdy Mark wbiegł do salonu z małą czarną buteleczką z czerwonym napisem „RELAKS-ZABAWA".

– Mamo, dlaczego trzymasz w łazience poppersy? – zapytał.

Kath popatrzyła na niego znad najlepszej tacy, jaką miała, na której układała ciastka francuskie.

– O co ci chodzi, kochanie?

– W łazience macie otwartą butelkę poppersów. Byłem się tylko wysikać, a prawie się nimi naćpałem.

– To odświeżacz do łazienek – powiedziała Kath. – Kupiłam go w sklepie. Dzięki niemu w łazience jest czysto. Kosztuje tylko jeden funt. W sklepie było paru młodych ludzi. Jeden z nich mówił coś o imprezie… Pewnie chciał, żeby dom pachniał ładnie na przyjście gości. Chociaż osobiście nie jestem przekonana co do zapachu.

Erika zakrztusiła się herbatą ze śmiechu.

– Mamo, to nie jest odświeżacz. To azotan amylu – powiedział Mark.

– Co? – powiedziała, zakładając okulary do czytania i podchodząc do niego. – Nie, patrz. Na okładce jest napisane, że to odświeżacz powietrza.

Mark wyjaśnił matce, że ludzie wdychają poppersy, żeby poczuć, że są na haju.

– To prawda, Eriko? Kochanie? – zapytała Kath, obracając się w jej stronę.

Erika starała się zachować powagę.

– Tak. Klasyfikujemy to jako narkotyk, chociaż jego sprzedaż nie jest nielegalna… Niektórzy ludzie go ćpają. Jest bardzo popularny wśród gejów, bo rozluźnia…

Mark rzucił jej ostre spojrzenie, nakazując milcząco, żeby skończyła mówić.

– O rany, co oni musieli sobie o mnie pomyśleć? – wykrzyknęła Kath, trzymając się za pierś.

– Nie wiedziałaś – powiedziała Erika.

– Ale powiedziałam, że kupuję to mężowi, żeby mógł sobie powąchać, gdy chodzi do łazienki – odpowiedziała przerażona.

Erika uśmiechnęła się na to wspomnienie, ale w tym momencie do niej coś dotarło. Nadal zawinięta tylko w ręcznik zbiegła na dół i złapała za telefon. Wybrała numer Moss, ale odezwała się automatyczna sekretarka.

– Moss, to ja. Kazałam zespołowi skupić się na facecie w masce przeciwgazowej i szukać kogoś, kto może kolekcjonować tego typu rzeczy z czasów wojny. Przejrzyj ponownie wszystkie zeznania ofiar. Jason twierdził, że wyczuł jakiś dziwny, metaliczny zapach, sprawdźcie, czy inne ofiary o tym wspominały. Kimkolwiek jest sprawca, możliwe, że filtry w masce ma wypchane chusteczkami albo watą nasączoną azotanem amylu, który zwiększa pobudzenie seksualne. Sprawdźcie produkty sado-maso. Gdy ustalicie już, o jaką dokładnie maskę chodzi, zacznijcie szukać, kto może go zaopatrywać… Nie wiem, jak to się wiąże z Marissą Lewis, ale może pomóc ustalić tożsamość sprawcy… Poza tym… Mam nadzieję, że idzie ci dobrze.

Erika rozłączyła się, momentalnie czując, że znów znalazła się bardzo daleko od prowadzenia śledztwa.

Rozdział 52

Następnego poranka Moss usiadła przy kuchennym stole z podkrążonymi oczami i zabrała się za jedzenie płatków. Jacob wpadł z gitarą i zaczął grać nową piosenkę, którą wymyślił. Gdy zaczął szarpać struny i śpiewać, Moss wydarła się na niego, żeby przestał. Jacob popatrzył na nią z szokiem malującym się na twarzy. Spojrzenie miał rozbiegane. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby krzyczała.

– Mamusię boli dzisiaj głowa. Odłóż gitarę i ubierz się, a ja zrobię ci gorącej czekolady – powiedziała Celia.

– Myślałem, że chciałyście, żeby ułożyć dla was piosenkę… Tak wczoraj mówiłyście… Miałem ułożyć piosenkę i ułożyłem…

– Po prostu potrzebuję trochę ciszy i spokoju – zdenerwowała się Moss.

Celia wyszła z Jacobem z kuchni i wróciła sama po paru minutach.

– Tylko nie wpędź go w nałóg picia co rano gorącej czekolady – dodała Moss.

– Przecież to tylko tak na święta – powiedziała Celia.

– Tak, a jutro jest już sylwester! Od dziesięciu dni pije ją co rano!

– Naprawdę chodzi ci teraz o Jacoba i czekoladę? A może wyładowujesz na nas swoje frustracje, bo nie układa ci się w pracy?

– Właśnie, że się układa! – warknęła Moss, wstając i wrzucając do zlewu niedokończoną miskę płatków śniadaniowych. – Po

prostu potrzebuję czasu, żeby pomyśleć! Nie masz pojęcia, jak bardzo skomplikowana jest ta sprawa… A tu jest tak głośno.

– Tak to jest, jak się ma w domu pięciolatka. Wczoraj wieczorem zrobiłaś wielkie halo, żeby ułożył dla ciebie piosenkę, a w rzeczywistości chciałaś się go po prostu pozbyć!

Telefon Moss rozdzwonił się, wyciągnęła go. Dzwonił Peterson.

– Namierzyliśmy Dona Walpole'a. Jego żona zachorowała, czuwa przy jej łóżku w szpitalu University College London. Dostaliśmy potwierdzenie, że wjechał w strefę płatnego parkowania.

– Świetna robota. Podrzucisz mnie tam?

Rozłączyła się i wyszła z kuchni. Parę sekund później Celia usłyszała odgłos zatrzaskiwanych drzwi.

– Uroczo. Nagle została głównym inspektorem, a ja zwykłą pomocą domową… Żadnego pożegnania czy buzi na do widzenia.

– Ja cię pocałuję, mamusiu – powiedział Jacob, który stanął w drzwiach, nadal ze swoją maleńką gitarą w ręce.

Moss i Peterson dotarli do szpitala parę minut po dziewiątej. Jeanette Walpole została przyjęta na nefrologię. Na recepcji dowiedzieli się, jak tam trafić.

– Skoro nefrologia, to coś z nerkami, nie? – zapytał Peterson w windzie.

Moss skinęła głową.

– Przygotuj wszystko. Masz niezbędne papiery? Zestaw do wymazu?

Skinął głową i pokazał jej grubą teczkę. „Zestaw do wymazu" było potoczną, skróconą nazwą na Zestaw Kryminalistyczny do Pobierania Próbek DNA.

– Wszystko w porządku? – zapytał, widząc, jaka jest spięta.

– Ścięłam się rano z Celią i nawrzeszczałam na Jacoba, że jest za głośno.

– Ja tam lubię hałas, jaki robią dzieci… – Peterson wyciągnął telefon, przeleciał parę plików i podsunął Moss ekran pod nos. Był to filmik z Kylem bawiącym się garnkami i patelniami. Kucał na kuchennej podłodze z prześcieradłem zarzuconym na ramiona niczym peleryna superbohatera i bębnił drewnianą łyżką w odwrócone garnki.

– Ładna melodia – powiedziała Moss ze wzrokiem utkwionym w ekranie.

Winda zatrzymała się i do środka wszedł pielęgniarz, popychając przed sobą nosze na kółkach z długą, metalową skrzynią. Oboje z Petersonem wiedzieli, że w środku jest zmarły.

– Jak się wam układa?

– Dobrze, naprawdę dobrze. Mieszkają u mnie tylko tymczasowo, dopóki nie ustalimy, co dalej – odpowiedział.

– Ale widzę, że chciałbyś, żeby zostali.

– Tak.

– Rozmawiałeś z Eriką?

– Uznałem, że ma teraz za dużo problemów z teściem, a wolałbym z nią porozmawiać twarzą w twarz, gdy już wróci.

– Nie pozwól, żeby rana rozjątrzyła się za bardzo. Chociaż, jak znam Erikę, to będzie się jątrzyć do upadłego.

– O, patrz, jeszcze jeden filmik z Kylem, jak śpiewa – powiedział Peterson, przeglądając szybko pliki.

Na jego twarzy malowała się duma.

– James, później. Teraz musimy się skupić.

Drzwi windy otworzyły się i przecisnęli się obok długiej skrzyni, która zjeżdżała do kostnicy. Podeszli do podwójnych drzwi oddziału nefrologicznego, były jednak zamknięte. Moss zerknęła do środka przez szklane okna.

– Nikogo nie widzę. Nie ma też dzwonka. – Zabębniła parę razy otwartą dłonią w szklaną szybę. – Hej… Hej!

– Jezu, Moss, uspokój się trochę – powiedział Peterson.

– Będziemy tu sterczeć całymi godzinami.

Na końcu korytarza pojawiła się pielęgniarka. Podeszła do nich.

– Albo po prostu się wyluzujemy i wszystko będzie dobrze – odpowiedział.

Wzięła głęboki wdech i skinęła głową.

– Będę szczęśliwszą kobietą, jeśli wyniki badań DNA okażą się do siebie pasować. Jeśli Don Walpole to sprawca. Będę mogła zamknąć sprawę i wrócić do dobrych czasów swojej starej wypłaty.

Pielęgniarka otworzyła drzwi, pokazali jej legitymacje. Zaprowadziła ich do jednej z sal na końcu korytarza.

– Pani Walpole jest tutaj – powiedziała, otwierając drzwi.

Jeanette siedziała na łóżku, podłączona do maszyny wykonującej dializę. Jej skóra była jasnożółta, ciężko oddychała. Don, siedzący przy jej łóżku, zerknął na Moss i Petersona.

– Tak?

– Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? Najlepiej na zewnątrz – powiedziała Moss. Don pocałował Jeanette w dłoń i wyszedł z nimi. Moss i Peterson pokazali mu swoje legitymacje.

– Próbowaliśmy się z panem skontaktować, panie Walpole – oznajmiła Moss.

– Widzą przecież państwo: moja żona jest bardzo chora.

– Musimy pobrać od pana próbkę DNA – powiedział Peterson.

Don zmierzył go wzrokiem.

– Chcecie mnie aresztować?

– Nie.

– Zatem musiałbym dobrowolnie oddać wam próbkę. Nie jestem na to gotów.

– Panie Walpole, z prawnego punktu widzenia, mając podejrzenia, że jest pan zamieszany w zbrodnię, możemy siłą pobrać panu próbkę DNA do badań. Możemy znaleźć tutaj jakieś ustronne miejsce i zrobić to od razu, albo możemy pojechać na komisariat – oświadczyła Moss.

Spojrzenie Dona było utkwione gdzieś między stojącymi przed nim policjantami.

– Mam tutaj dokument wyjaśniający przysługujące panu prawa – powiedział Peterson. – Damy panu czas, aby się pan z nim zapoznał.

Don patrzył przez okno na Jeanette, która leżała na łóżku z zamkniętymi oczami.

– W porządku – zgodził się.

Peterson zobaczył, że obok sali, gdzie leżała Jeanette, była niewielka kuchnia. Weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Don usiadł przy maleńkim stoliku. Peterson założył rękawiczki i wyciągnął plastikową probówkę, w której znajdował się długi patyczek z wacikiem.

– Potrzebuję wymazu z komórek z głębi gardła – powiedział.

Don otworzył usta i Peterson przejechał patyczkiem po wnętrzu gardła i wewnętrznej stronie policzków Dona. Po wszystkim schował go z powrotem do probówki i zabezpieczył.

– Dziękujemy – powiedziała Moss, podając do podpisu formularz.

Don przejrzał jego treść i złożył podpis.

– Jest umierająca – powiedział. – Jej ciało nie daje już rady.

– Przykro nam – odparła Moss. – Wyniki badania będą w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Gdy wychodzili ze szpitala, słońce walczyło, żeby przebić się przez chmury.

– Jadę do Vauxhall zawieźć próbkę do laboratorium – powiedział Peterson.

– Dobrze. Ja porozmawiam z panią Fryatt. Muszę rozwikłać zagadkę kolczyków. Chcę też wziąć próbkę DNA od Charlesa Fryatta.

– Mam wpaść po drodze na Hatton Garden? Mam w zapasie jeszcze jeden zestaw.

– Nie. Odwieź do laboratorium to, co mamy. Muszę najpierw zadać parę pytań pani Fryatt. Chcę mieć coś więcej niż tylko podejrzany zbieg okoliczności, zanim zabierzemy się za jej syna.

Rozdział 53

Stała pod drzwiami domu pani Fryatt, ale nikt nie otwierał. Moss zadzwoniła parę razy do drzwi i zerknęła do środka przez okno. Odeszła kawałek, stanęła na chodniku i popatrzyła na ten wielki dom. Wypolerowane szyby odbijały szare niebo i patrzyły obojętnie na przechodniów.

Moss oparła się o barierkę i poczuła nagle, jak przepływa przez nią fala strachu i niepokoju. Nie były to typowe dla niej emocje. Pomyślała o tym, jak wybiegła rano z domu, zapominając w ogóle pożegnać się z Celią i Jacobem. Gdy wyciągnęła telefon, żeby się z nimi skontaktować, aparat zaczął sam dzwonić. Nie znała tego numeru.

– Cześć, tu Lisa Hawthorne. Jestem konsultantką z urzędu pracy w Forest Hill. Jeden z pani podwładnych prosił, żebym oddzwoniła do pani z informacjami na temat szczegółów zatrudnienia Josepha Pitkina.

– Ach, no tak, ale…

– Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale jesteśmy zawaleni robotą. Joseph Pitkin pobierał zasiłek przez ostatnie cztery lata. Raz po raz wracał na zasiłek dla bezrobotnych szukających pracy. W tym czasie miał cztery okresy zatrudnienia. Trzykrotnie pracował w pubie w Honor Oak Park – praca sezonowa w grudniu dwa tysiące czternastego, dwa tysiące piętnastego i dwa tysiące szesnastego roku.

– Przepraszam, ale czy mogłaby pani zadzwonić do któregoś z moich kolegów w… – wtrąciła Moss, starając się uciąć rozmowę, ale kobieta po drugiej stronie ciągnęła temat.

– Czwarta praca to studio fotograficzne Camera Obscura w New Cross. Pracował tam przez sześć tygodni na początku dwa tysiące szesnastego roku… – Coś w tej ostatniej informacji sprawiło, że Moss zaczęła słuchać uważniej.

Przytrzymała telefon podbródkiem i wyciągnęła notatnik oraz długopis.

– Studio prowadzi niejaki Taro Williams – kontynuowała Lisa. – To studio fotograficzne w starym stylu.

– Wie pani, dlaczego stracił tę pracę?

– Nie. W aktach Josepha jest zapisane, że była to praca na pełen etat jako asystenta fotografa, ale po sześciu tygodniach niespodziewanie z niej zrezygnował. Dziwne, bo bardzo namęczyliśmy się, żeby mu ją znaleźć, i podchodził do niej bardzo entuzjastycznie.

– Nic więcej? Żadnej skargi na niego od pracodawcy?

– Nie. Wielka szkoda, że Joseph nie miał szansy rozwijać swojej pasji do fotografii.

– Dobrze znała pani Josepha?

– Prowadziłam jego przypadek, spotykałam się z nim dwa razy w tygodniu, gdy szukał pracy.

– Obawiam się, że muszę panią powiadomić, że Joseph odebrał sobie życie.

– Przykro mi to słyszeć – odpowiedziała ostrożnie.

Zupełnie jakby często zdarzało jej się słyszeć coś podobnego o swoich podopiecznych. Moss podziękowała jej i się rozłączyła. Raz jeszcze popatrzyła na dom pani Fryatt, zastanawiając się nad swoimi możliwościami działania. New Cross nie było wcale tak daleko.

Rozdział 54

Taro Williams był wysokim, tęgim mężczyzną pod czterdziestkę o wysokim czole i ostrych rysach twarzy. Odziedziczył Camerę Obscurę i mieszkanie nad studio po swoim ojcu, który założył je w latach 60. Studio mieściło się przy Amersham Road, ulicy mieszkalnej, gęsto zabudowanej szeregowcami, zaledwie kilka minut piechotą od stacji New Cross. W dawnych czasach te wspaniałe czteropiętrowe budynki zostały pobudowane przez bogatych kupców, którzy zbili fortuny w czasie rewolucji przemysłowej i chcieli pochwalić się zamożnością swoich rodzin i tym, że stać ich na domy z kwaterami dla służby. Poza trzema piętrami wznoszącymi się nad ulicą każdy dom posiadał także olbrzymią piwnicę. Budynek Camery Obscury, pobudowany w pewnej odległości od drogi, miał szklaną szybę wystawową, częściowo zasłoniętą przez olbrzymi głóg rosnący pod frontową ścianą.

Sklep fotograficzny przez wiele dziesięcioleci funkcjonował jako studio, ale na przestrzeni kilku ostatnich lat, wraz z rozwojem aparatów cyfrowych i smartfonów, biznes nieco podupadł. Taro się tym nie przejmował. Był dobrze sytuowany i lubił mieć czas dla siebie. Od czasu do czasu, gdy miał na to ochotę, pracował jako fotograf ślubny. Sklep otwierał tylko parę razy w tygodniu na potrzeby wykonywania zdjęć portretowych – głównie par młodych, które dopiero co się zaręczyły, i rodziców z małymi dziećmi, którzy chcieli fotografie swoich maleństw w bardziej oficjalnej scenerii.

Przygnębiało go, że większość rodziców z małymi dziećmi bezceremonialnie rezygnowała z porządnych posrebrzanych ramek, które im oferował, zamiast tego prosząc go o wydrukowanie ich zdjęć na poduszkach, puzzlach i co gorsza: na czapkach z daszkiem i kubkach.

Taro właśnie zwijał lampy i tło, które przygotował na poranną sesję zdjęciową. Para młodych Japończyków chciała kilka zdjęć na zaproszenia ślubne. Zawsze szokowało go, jak drobni byli Japończycy. Początkowo zdawali się przytłoczeni jego olbrzymią posturą i poważną twarzą, ale rozluźnił atmosferę żartem i szerokim uśmiechem, który momentalnie zamienił go w ich oczach w dobrotliwego olbrzyma. Chichotali przez całą sesję i w ogóle nie zwrócili uwagi, że uśmiech ich fotografa w ogóle nie obejmował oczu.

Akurat pakował ostatnią lampę, gdy przed drzwiami zjawiła się niska, rudowłosa kobieta. Spróbowała je otworzyć, zobaczyła, że są zamknięte i zapukała w szybę.

Podszedł do drzwi i wskazał palcem napis na dole szyby: „PROSZĘ DZWONIĆ". Przewróciła oczami i zadzwoniła. Uśmiechnął się, uniósł kciuki w górę i otworzył drzwi.

– Dzień dobry, główna inspektor Moss – powiedziała, pokazując mu legitymację. – Czy mogę zająć panu kilka minut?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się.

Odsunął się na bok i Moss weszła do środka.

Rozdział 55

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał Taro i wskazał Moss miejsce na jednym z ogromnych foteli, w których fotografował klientów.

Przed fotelem stał aparat na trójnogu, za nim na ścianie rozwieszona była płachta białego papieru odblaskowego, a wokół stało kilka lamp na statywach. Moss usiadła w fotelu i wyciągnęła z torby teczkę.

– Jestem tu, aby zadać panu parę pytań na temat dawnego pracownika, Josepha Pitkina. Pracował u pana przez sześć tygodni w dwa tysiące szesnastym roku.

– Tak, zgadza się.

– Mogę zapytać, dlaczego zrezygnował?

Taro skinął z żalem głową.

– Obawiam się, że musiałem go zwolnić.

– Dlaczego?

– Był… nieuczciwy. Okradł mnie…

Moss skinęła głową.

– Jak dużo ukradł?

– Niewiele. Pewnie z pięćdziesiąt funtów.

Moss zapatrzyła się w kasę, która stała pod ścianą, dokładnie naprzeciw witryny wystawowej.

– Poinformował pan o tym policję?

– Nie.

– A urząd pracy?

– Szczerze mówiąc: nie pamiętam. To już prawie dwa lata.

– Był zarejestrowany jako bezrobotny, konsultantka pomogła znaleźć mu pracę u pana. Czy po fakcie ktoś kontaktował się z panem, żeby zapytać, dlaczego wasza współpraca tak szybko dobiegła końca?

– Tak, ktoś chyba dzwonił… – Zawiesił głos.

Uśmiechnął się raz jeszcze i podszedł bliżej, przysiadając na oparciu stojącego naprzeciw niej fotela. Miał na sobie szyty na miarę trzyczęściowy, czekoladowobrązowy garnitur. Z jednej z kieszeni zwisał złoty zegarek na łańcuszku.

– Czy mogę zapytać jaki rodzaj fotografii pan wykonuje?

– Głównie portrety. Młode pary i ich małe radości życia, niemogące usiedzieć na miejscu. – Wskazał na wiszące na tylnej ścianie portrety. – W dziewięciu przypadkach na dziesięć człowiek sadza dziecko przed aparatem, a to zaczyna wydzierać się wniebogłosy. Chociaż czasami się zdarza, że dzieci się mnie boją.

– Wykonuje pan też inne rodzaje zdjęć?

– Ślubne, ale zwykle tylko za dnia.

– Erotyczne?

– To pytanie osobiste? – odpowiedział pytaniem na pytanie, ponownie uśmiechając się szeroko.

– Nie – odparła.

Był przystojnym mężczyzną, ale było w nim coś, co sprawiało, że Moss czuła się niekomfortowo.

– Przepraszam, kiepski żart.

Machnęła ręką.

– Jak oceniłby pan Josepha jako fotografa?

– Nie miałem zbyt wiele okazji, aby go poobserwować. Pracował tu bardzo krótko.

– Wykonywał dla pana zdjęcia?

– Tak.

– Jakiego rodzaju?

– Raz pozwoliłem mu poprowadzić sesję młodej pary, która dopiero co się zaręczyła.

– Czy przejawiał jakieś szczególne zainteresowanie do wykonywania nagich zdjęć, czy czegoś więcej… Przepraszam, nie wiem jak to ująć.

– Wprost? Nie. Mój zakład nie prowadzi takiej działalności… Miałem długi poranek, zupełnie zaschło mi w ustach… Mogę zaoferować pani coś do picia? Przy okazji przejrzę dokumenty i sprawdzę, czy mam coś więcej na temat Josepha i czy kontaktowałem się w jego sprawie z urzędem pracy.

– Dziękuję, będę wdzięczna – odparła Moss.

Taro wstał i wyszedł tylnymi drzwiami, zamykając je za sobą.

Moss rozejrzała się po studio. Z tyłu stała wielka maszyna do wywoływania zdjęć. Była zakurzona i leżały na niej jakieś śmieci – z przodu przyklejona była naklejka „zdjęcie w godzinę". Nad nią wisiała szafka, w której zaprezentowane były wszystkie opcje wydruku zdjęć oferowane przez studio: kubki, puzzle, magnesy na lodówkę, czapki i poduszki. Na każdym produkcje widniało stockowe zdjęcie dziewczynki z żółtym balonikiem. Na sąsiedniej ścianie były przykładowe zdjęcia, o których wspominał Taro: głównie fotografie dzieci.

Moss podeszła do kontuaru, na którym stała kasa. Za ladą znajdowała się półeczka, na której prezentowane były nagrody dla firmy, w tym kilka wycinków z gazet z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, gdy Camera Obscura zdobyła tytuł Najlepiej Prosperującej Londyńskiej Firmy Roku. Na zdjęciu widoczna była stojąca przed sklepem starsza wersja Taro, prawdopodobnie jego ojciec, wraz z żoną i dziećmi.

– Widzę, że znalazła pani najbardziej kompromitujące zdjęcia mojej rodziny.

Moss aż podskoczyła. Tuż za nią stał Taro. Zmusiła się, żeby się uśmiechnąć.

– Woda już się gotuje – powiedział.

Moss widziała, że nadchodzi burza: chmury na niebie za oknem były ciężkie i ciemne. Wnętrze pracowni oświetlały lampy wystawowe.

– Znalazłem dokumenty na temat Josepha.

Moss wróciła na swój fotel, Taro usiadł naprzeciw niej. Wyciągnął z górnej kieszeni marynarki okulary, założył je i otworzył teczkę.

– Zbyt wiele osób nie zgłasza się do mnie do pracy, ale na przestrzeni ostatnich paru lat miałem kilku asystentów. Czy to Joseph? Ja znałem go jako Joego – powiedział, pokazując zdjęcie paszportowe Josepha wykonane w budce fotograficznej.

– Tak, to on – powiedziała Moss.

Joseph patrzył przed siebie pustym wzrokiem, jak większość ludzi, gdy robi im się zdjęcia dowodowe.

– Chciałam zapytać pana o doświadczenia w czasie pracy z nim. Czy przynosił własny sprzęt? Czy spotkał pan kiedykolwiek jakichś jego przyjaciół lub znajomych?

– Prowadzicie w jego sprawie śledztwo? – zapytał Taro, unosząc wzrok znad materiałów.

Jego twarz była łagodna i przyjazna.

– Niestety, Joseph nie żyje.

– Och, to straszne. Jak zmarł?

– Samobójstwo.

Taro zdjął okulary i zacisnął dłoń na oparciu fotela.

– To straszne. Kiedy?

– W pierwszy dzień świąt.

– Dosłownie przed chwilą… W dodatku w Boże Narodzenie.

Taro zaczął przeglądać zawartość teczki. Znalazł jeszcze jedno zdjęcie, tym razem w formacie 10 × 8 centymetrów.

– Zrobiłem mu parę zdjęć.

– Myślałam, że u pana pracował.

– Pracował. Joseph pozował mi, gdy postanowiłem przejść na fotografię cyfrową i musiałem przetestować kilka nowych aparatów. Za długo trzymałem się starej technologii i starych metod wywoływania zdjęć.

Na fotografii widoczna była cała postać Josepha. Stał na bladym tle, miał na sobie tylko dżinsy. Wyglądał na nieco skrępowanego.

– Dlaczego jest nagi od pasa w górę?

– Chciał parę takich zdjęć, aby dać je dziewczynie, która mu się podobała – zachichotał Taro. – Proszę, tutaj mam jeszcze jedno.

Podał jej zdjęcie Josepha w pogniecionych majtkach. Prężył muskuły, chcąc wyglądać jak macho, ale pustka w jego spojrzeniu zaniepokoiła Moss. Widziała już takie spojrzenia – dawno temu, zaraz po szkole policyjnej, gdy pracowała przy sprawach molestowań seksualnych. Pamiętała to nieobecne spojrzenie ofiar, które myślami były w zupełnie innym miejscu.

– Mówi pan, że on sam prosił, żeby zrobić mu te zdjęcia? – zapytała Moss.

Aż podskoczyła, gdy czajnik na zapleczu zaczął gwizdać.

– Tak. To studio fotograficzne – powiedział Taro, wstając. – Często jestem proszony o zrobienie jakichś dziwnych zdjęć, chociaż zawsze wyraźnie podkreślam, że nie wykonuję nagich zdjęć.

Popatrzył na nią przez moment. Czajnik nadal gwizdał.

– Za chwilę wracam.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, Moss wyciągnęła z kieszeni płaszcza swój telefon. Gdy Taro zerknął zza zaplecza, akurat wybierała numer Petersona.

– Z mlekiem i cukrem?

– Tak, poproszę.

– Na tej ulicy komórki często gubią sygnał. To pewnie przez te wszystkie drzewa.

Moss przyłożyła telefon do ucha, ale nie było sygnału. Taro ponownie uśmiechnął się do niej przyjaźnie i zniknął na zapleczu. Moss była kompletnie zbita z tropu jego zachowaniem. Podeszła do drzwi i zobaczyła, że ciągnie się za nim długi korytarz. Z drugiego końca dobiegał brzęk czajniczka i łyżeczki pobrzękującej o spodek. Podeszła do kontuaru i podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego. Brak sygnału. Podeszła do drzwi wejściowych i odkryła, że są zamknięte. Klucza nie było. Czy Taro zamknął za nią drzwi, gdy weszła do środka i nic nie zauważyła?

To śmieszne – pomyślała, starając się uspokoić. Za bardzo przejmowała się tym, czy robi wszystko, co w jej mocy, żeby rozwiązać sprawę. Obeszła cały pokój, trzymając telefon wysoko w górze i szukając sygnału.

Gdy przechodziła za fotelami, na których siedzieli, zobaczyła, że teczka Taro leży otwarta. Jej wzrok przykuł formularz z urzędu pracy, wypisany starannym, cienkim pismem. Kolejna kartka pełna była odręcznych notatek i rzędów cyfr. W dolnym prawym rogu, tym samym niebieskim atramentem co dane w formularzu, ktoś wykonał rysunek. Moss wzięła teczkę w drżące ręce. Misternie wykonany rysunek przedstawiał twarz w masce przeciwgazowej, z cieniowaniem wykonanym czarnym długopisem.

Moss przescrollowała pliki w telefonie, szukając rysunku maski przeciwgazowej, dołączonej do wiadomości, którą otrzymał Joseph. Kreska i ogólne wykonanie rysunku pasowały do siebie – były wykonane tą samą ręką.

Usłyszała za plecami cichy brzęk. Obróciła się. Taro stał za nią, trzymając dwie filiżanki z herbatą.

– Pan to narysował? – zapytała Moss, cofając się o krok.

Ręce jej drżały.

– Tak. Tak, ja to narysowałem – powiedział cicho Taro.

Filiżanki brzęknęły ponownie, gdy postawił je delikatnie na malutkim stoliczku.

Moss chciała coś powiedzieć, ale Taro rzucił się do drzwi i wyłączył światło, pogrążając całe pomieszczenie w mroku. Moss pobiegła do wyjścia, gdzie przez szybę wpadało do środka chociaż blade światło słońca, nagle jednak poczuła silne uderzenie w głowę i wszystko pogrążyło się w ciemności.

Rozdział 56

Erika i Izaak ponownie pojechali odwiedzić Edwarda. Widać było, że szybko dochodzi do siebie. Pielęgniarka pomogła mu wstać i podtrzymywała go przy chodzeniu. Stwierdził, że po latach życia z bólem biodra wreszcie czuje się, jakby dostał nową nogę. Pożegnał się z Izaakiem, który musiał rankiem następnego dnia wracać do Londynu.

Jadąc z powrotem do Slaithwaite, Erika poprosiła Izaaka, aby trochę nadłożył drogi i przejechał przez parę ładnie wyglądających alejek, wzdłuż których wznosiły się domy jednorodzinne.

– Mógłbyś się zatrzymać? – poprosiła.

Zatrzymał się przed piętrowym domem. Trawnik od strony ulicy pokryty był śniegiem, koło drzwi stał bałwan z marchewką zamiast nosa, parą czarnych oczu i czerwonym szalikiem. Dach był obwieszony świątecznymi lampkami, przez okno widzieli stojącą w środku choinkę.

– Ładnie tu – powiedział Izaak. – Dlaczego się tu zatrzymaliśmy?

– To mój dom – odpowiedziała Erika, patrząc przed siebie smutnym wzrokiem. – Przez piętnaście lat mieszkałam tu z Markiem.

– Och.

Erika nadal wpatrywała się w dom. Wytarła łzę, która zebrała się jej w rogu oka.

– Nie byłam tu od czasu jego śmierci. Wynajęłam firmę, która spakowała wszystkie rzeczy i wrzuciła do magazynu. Domem zarządza wynajęte przeze mnie biuro nieruchomości.

– Znasz ludzi, którzy go wynajmują? Chcesz podejść i zapukać do drzwi?

– Nie.

Izaak skinął głową.

– Długo planujesz tu zostać?

– Muszę pomóc Edwardowi wrócić do domu. Znaleźć mu jakąś opiekunkę.

Gdy to powiedziała, zadzwonił jej telefon. Numer był z Londynu, ale nie kojarzyła go. Odebrała mimo to.

– Erika? – zapytał zaniepokojony kobiecy głos.

– Tak.

– Z tej strony Celia, żona Kate. Żona Moss.

– Cześć, Celio, przepraszam. Nie mam twojego numeru, nie wiedziałam, że to ty dzwonisz.

– Czy Kate się z tobą kontaktowała?

– Nie. Zostawiłam jej jakiś czas temu wiadomość, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi.

– Martwię się, zwykle dzwoni w ciągu dnia. Rano trochę się posprzeczałyśmy, nic poważnego, ale Kate zawsze dzwoni, żeby chwilę porozmawiać. Dzwoniłam do Jamesa i Johna McGorry'ego, ale nie mają pojęcia, gdzie się podziewa. Zostawiłam jej sześć wiadomości.

– Prowadzi dużą sprawę. Wierz mi, człowiek potrafi w tej robocie stracić poczucie czasu.

– Wiem. Kate była bardzo zestresowana, że musi przejąć twoje obowiązki…

– Pewnie przejęła ode mnie przy okazji też złe nawyki pracy. W czasie śledztwa często tracę poczucie czasu… – Erika urwała na moment. Traciła poczucie czasu wyłącznie dlatego, że nie miała nikogo, kto by do niej dzwonił. – Pewnie wezwano ją na odprawę. Jest teraz oficerem prowadzącym, to ona musi tłumaczyć się

z postępów śledztwa. Te spotkania potrafią ciągnąć się w nieskończoność.

– W porządku – powiedziała Celia. – Przepraszam, pewnie musisz teraz sobie myśleć, że jestem jakąś dziwaczką.

– Nie. Myślę, że Moss ma wiele szczęścia. Gdy ja się z kimś pokłócę, zwykle ten ktoś nigdy więcej już ze mną nie rozmawia! Zadzwonię do ciebie, gdy tylko Moss się do mnie odezwie.

– Dzięki.

– Podam ci też bezpośredni numer do nadkomisarz Hudson – powiedziała Erika, podyktowała Celii numer i się rozłączyła.

– Wszystko w porządku? – zapytał Izaak.

Erika wybrała numer Moss, ale od razu włączyła się poczta głosowa.

– Celia mówi, że Moss nie odezwała się do niej od rana.

– To nietypowe?

– Dla nich tak.

– Też chciałbym mieć kogoś, kto czekałby na telefon ode mnie – powiedział Izaak.

– Ja też – powiedziała Erika, nie odrywając wzroku od domu. – Ależ ta wisteria szybko rośnie – dodała, wskazując na wysoką, grubą gałąź wijącą się po jednej stronie budynku i wciskającą się pod dach. – Kupiłam ją w takiej malutkiej doniczce w dniu, w którym się wprowadziliśmy. Wpadliśmy do sklepu po farbę i akurat zobaczyłam, że jest na przecenie. Kosztowała tylko siedemdziesiąt pensów. Mark stwierdził, że nie powinnam marnować pieniędzy na ten cienki patyk. Wyglądała, jakby była kompletnie martwa.

– Pewnie gdy kwitnie, jest ładna – powiedział Izaak.

Erika skinęła ponownie głową i otarła łzy.

– Dobra, zbierajmy się. Chciałam zobaczyć jak to dzisiaj wygląda, ale to tylko miejsce, budynek. To ludzie czynią go

domem, a nas od dawna już tam nie ma. Teraz to dom kogoś innego.

Rozdział 57

Taro albo po prostu „T”, jak lubił skracać swoje imię, uderzył potężnie Moss w głowę skórzanym kastetem. Trzymał go na suszarce kuchennej i schował do kieszeni, gdy przygotowywał herbatę. W głowie mu wirowało, ale nie był przestraszony i nie panikował. Upadła ciężko na podłogę, ale z dala od okna, w mroku, przy wyłączonym świetle.

Nasłuchiwał tykania zegara. Ulicą przejechał samochód. Uklęknął, nadal z kastetem w prawej dłoni na wypadek, gdyby wciąż była gotowa się bronić. Wolną ręką dotknął jej nadgarstka i sprawdził puls. Był powolny, rytmiczny. Przytrzymał chwilę palec na jej nadgarstku. Czuł życie przepływające przez jej ciało, pulsujące pod skórą. Przesunął dłoń i dotknął tyłu głowy kobiety. Jej włosy były mokre od krwi. Wstał i schował kastet do kieszeni. Przeszedł nad nią i skierował się do okna. Ulica była cicha i spokojna. Cofnął się do cienia i przewrócił kobietę na plecy.

– Duża dziewczynka – wyszeptał, poklepując ją lekko, po czym złapał ją za piersi i przejechał ręką między jej nogami. Przytrzymał tam dłoń przez chwilę, delektując się przyjemnym ciepłem, po czym skierował całą uwagę na kieszenie. Wyciągnął jej kluczyki od samochodu, telefon, portfel i legitymację policyjną. Położył je na kontuarze przy kasie i wrócił. Był silny. Schylił się, jednym płynnym ruchem podniósł jej ciało i przerzucił sobie przez ramię. Wyniósł wciąż nieprzytomną kobietę za drzwi, znikając tam na kilka minut, po czym wrócił do studio.

Włączył światło. Dywan, na który upadła kobieta, był czysty, nie było na nim żadnych śladów krwi. Musiał mieć jednak pewność

i wyprać go. Podszedł do kontuaru i wziął jej telefon i kluczyki od samochodu. Otworzył drzwi do zakładu, wyszedł na zewnątrz i stanął na chodniku. Wzdłuż ulicy stał rząd zaparkowanych samochodów. Nacisnął przycisk blokady drzwi i spojrzał w prawo. Nic. Zerknął w lewo i ponownie nacisnął przycisk. Jakieś pięćdziesiąt metrów od niego zamigotały światła ciemnego Rovera.

T zatrzymał się na moment. Myślał. Był zdumiony swoim spokojem. Jego serce biło szybciej i czuł krew dudniącą w nogach i nadgarstkach, ale nie stracił panowania nad sobą. Nie panikował.

Nie miał pojęcia, czy powiedziała komuś, że tu jedzie. Było wczesne popołudnie. Policjanci nie byli zwykle szczególnie zsocjalizowanymi stworzeniami. Być może dopiero jutro rano ktoś się zorientuje, że Moss zniknęła, ale gdy alarm zostanie już podniesiony, to ktoś na pewno przyjedzie go przesłuchać. Będzie musiał potwierdzić, że była w jego zakładzie, ale skłamie im, że wyszła. Popatrzył na kluczyki i portfel. Jak sfingować to, że wyszła z jego salonu?

Zobaczył, że zza rogu wyjeżdża ciężarówka służb komunalnych. Była odkryta – typowy wóz wykorzystywany do zbierania odpadów zielonych. Podszedł do samochodu od strony kierowcy i udał, że robi coś przy drzwiach, po czym szybko wytarł telefon o kurtkę. Gdy ciężarówka przejeżdżała koło niego, rzucił telefon Moss między stos gałęzi i martwych liści. Wsiadł do jej samochodu, popatrzył, jak ciężarówka komunalna zatrzymuje się na światłach na końcu ulicy, po czym rusza dalej. Przy odrobinie szczęścia dojedzie do South Circular.

Taro odpalił silnik i odjechał samochodem Moss dwie mile, krążąc skrupulatnie koło domów, tak aby uniknąć jakichkolwiek kamer przemysłowych. Zaparkował samochód na końcu Tresilian Road, cichej ulicy zabudowanej domkami rodzinnymi. Zamknął samochód, wytarł kluczyki i wrzucił je do studzienki.

Wrócił do swojego studia fotograficznego. Gdy szedł nieśpiesznie ulicami, zaczęło się ściemniać. Spokój panujący na ulicach między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem był idealny do jego poczynań. Nikogo nie spotkał. Aż żałował, że nie zabrał ze sobą swojej maski przeciwgazowej, tak dla zabawy. Wiedział jednak, że musi wrócić do zakładu i pozbyć się policjantki.

Rozdział 58

Pani Fryatt siedziała przy kominku, popijając herbatę ze swojej ulubionej zastawy, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby uświadomić sobie, że w domu nie ma nikogo więcej i sama musi otworzyć drzwi. Ciężko wstała z ulubionego fotela.

Dojście do drzwi zajęło jej sporo czasu. Dom był duży, a jej nogi zesztywniały od siedzenia przez kilka godzin w jednym miejscu. Otworzyła pierwsze drzwi i weszła do zimnej altany. Przez okienko w drzwiach zobaczyła czarnoskórego mężczyznę w garniturze, koło którego stało pięciu umundurowanych policjantów.

Czarnuch – pomyślała z pogardą i otworzyła drzwi. Mężczyzna pokazał jej legitymację policyjną.

– Pani Elsa Fryatt? Inspektor James Peterson.

– Czego pan sobie życzy? – zapytała władczo.

Była niska, ale jej rozmówca stał niżej od niej, na progu, rozmawiali więc praktycznie oko w oko.

– Mamy nakaz przeszukania pani domu w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa Marissy Lewis – powiedział, podając jej dokument.

– Nic mi po tym. Nie mam okularów – odpowiedziała.

– Nie mam zamiaru czekać, aż pani to przeczyta – stwierdził Peterson.

Wszedł o jeden stopień wyżej, nagle nad nią górując. Rozłożyła ramiona, aby zagrodzić mu wstęp, ale delikatnie odsunął je i wszedł do środka.

– Łapy precz ode mnie, czarnuchu! – krzyknęła.

Policjanci wyminęli ją i weszli do domu. Wszyscy założyli gumowe rękawiczki.

– Co wy wyprawiacie? Dlaczego wchodzicie nieproszeni do mojego domu?

Młoda policjantka zabrała się za otwieranie szafek w korytarzu. Pani Fryatt rzuciła się, aby je zamknąć.

– Proszę się odsunąć albo będziemy zmuszeni panią aresztować.

– Na jakiej podstawie?

– Utrudnianie pracy policji.

Podeszła do poręczy schodów, obserwując, jak policjanci rozchodzą się po domu i zaczynają go przeszukiwać. Podeszła do telefonu i drżącymi rękoma wybrała numer komórki swojego syna.

– Charles? U mnie w domu jest policja! – jęknęła, a jej głos uniósł się lekko. – Mówią, że mają nakaz… Wszystko przeszukują… – Patrzyła przez drzwi, jak w salonie policjanci ściągają książki z półek, otwierają, potrząsają nimi i zrzucają na podłogę.

Syn zalewał ją potokiem pytań.

– Nie wiem. Nie mam okularów do czytania. Nie chcą mi powiedzieć co robią. Jak zagrodziłam im wejście, to jeden z nich po prostu odstawił mnie na bok… Dobrze, przyjedź jak najszybciej!

Odłożyła słuchawkę i spróbowała poszukać miejsca w domu, gdzie mogłaby poczekać na przyjazd syna, ale policjanci byli chyba wszędzie. Gdy otworzyła drzwi, było ich sześciu, teraz kręciło się ich chyba jednak więcej. Wróciła do lodowato zimnej altany i usiadła na krzesełku, na którym zwykle wkładała buty. Trzęsły jej się ręce i nie była to tylko wina zimna.

Godzinę później w okienku w drzwiach pojawiła się twarz Charlesa Fryatt.

– Co tak długo? – warknęła, wpuszczając go do środka.

– Gdzie nakaz? – zapytał Charles.

Wziął go od niej, przejrzał szybko wzrokiem jego treść i podpis. Weszli razem do korytarza akurat w chwili, gdy Peterson schodził po schodach.

– Czy pan Charles Fryatt? – zapytał.

– Tak. To przeszukanie jest zupełnie bezsensowne, niby co moja matka miałaby mieć wspólnego z morderstwem Marissy? – zapytał Charles. – Niech pan na nią popatrzy, ma dziewięćdziesiąt siedem lat!

Peterson zupełnie go zignorował.

– Sypialnia od frontu należy do pani, pani Fryatt?

– Tak. Byłeś tam? Ty? – wykrzyczała.

– Tak.

– Myślałam, że zrobi to policjantka. Pewnie dotykałeś łapskami wszystkich moich rzeczy!

Charles rzucił swojej matce ostrzegacze spojrzenie.

– Mamo, uważaj, co mówisz – ostrzegł ją.

– To mój dom i będę mówiła, co mi się podoba. Mamy wolność słowa!

– Chcemy panią prosić, aby otworzyła pani sejf, który znajduje się w szafie – powiedział Peterson.

Charles popatrzył na swoją matkę. Oczy miał szeroko otwarte, czaił się w nich strach.

– Zakładam, że nie mam wyboru? – zapytała.

– Nie, nie ma pani. Albo otworzy go pani sama, albo go rozwiercimy.

Weszli na górę i skierowali się do sypialni, gdzie stało wielkie łóżko z baldachimem, ciężka drewniana toaletka stojąca pod wykuszowym oknem i olbrzymia, zajmująca całą jedną ścianę szafa. Środkowe drzwi były otwarte, odsłaniając ciężki metalowy sejf z klawiaturą numeryczną.

– Tylko ja znam kombinację – powiedziała pani Fryatt władczo.

– No i widzisz, pomyśl, co by było, gdybyś jej kiedyś zapomniała – powiedział Charles.

Słowa te wypowiedział tak, jakby chciał jej podpowiedzieć, że w każdej chwili może przyznać, że nie pamięta kodu, ale pani Fryatt podeszła do sejfu i powoli przy nim uklękła.

– Wszyscy mają się odwrócić – powiedziała.

Peterson, Charles i dwóch funkcjonariuszy skierowali wzrok w inną stronę. Usłyszeli kilka cichych kliknięć i sejf się otworzył. Charles starał się uchwycić spojrzenie swojej matki, ale ta w ogóle nie patrzyła w jego stronę.

– Proszę – powiedziała.

Peterson podszedł do sejfu, uklęknął i zajrzał do środka. W środku były trzy półki. Na pierwszej był stos dwudziestofuntowych banknotów oraz staromodnie wyglądające obligacje bankowe. Na drugiej znajdowały się wyścielane aksamitem pudełka na biżuterię. Dwóch funkcjonariuszy dołączyło do Petersona i założyło czyste rękawiczki, aby wyjąć je i położyć na dywanie. Pierwsze pudełko było szerokie i płaskie – w środku znajdował się diamentowy naszyjnik. W drugim i trzecim znaleźli diamentowy zegarek Cartiera i dwie bransoletki. Peterson przejrzał pozostałe pudełka, w których pani Fryatt trzymała diamentową broszkę, złote kolczyki i jeszcze jeden naszyjnik z sześciouncjowym złotym wisiorkiem. W ostatnich dwóch pudełeczkach znajdowała się para olbrzymich osadzonych w złocie diamentów oraz druga para diamentów ciętych we wzór princess cut.

Dolna półka była pusta.

– Czy ma pani jeszcze jedne diamentowe kolczyki princess cut? – zapytał Peterson.

– Nie – odparła pani Fryatt. – Na górnej półce, pod obligacjami znajduje się dokument z ubezpieczalni, na którym wypisana jest

cała moja biżuteria. Dokument pochodzi z końca sierpnia tego roku. Proszę spojrzeć, wszystko jest tam wypisane.

Peterson przeglądał przez kilka minut papiery, po czym wstał i podszedł do Charlesa, który obserwował wszystko, stojąc pod oknem. W domu było chłodno, a mimo to jego skóra błyszczała od potu.

– Czy może pan potwierdzić, że Marissa Lewis przyszła do sklepu jubilerskiego, w którym pan pracuje, mając ze sobą parę diamentowych kolczyków princess cut, dokładnie takich jak te? – zapytał, pokazując mu pudełko.

– Yyy… Tak… Zgadza się – odpowiedział Charles.

Pani Fryatt obdarzyła go lodowatym spojrzeniem.

– Dlaczego nie powiedział pan tego moim koleżankom, gdy były tu wcześniej w sprawie morderstwa Marissy?

– Bo nie miałem o tym pojęcia, dopóki jeden z pańskich kolegów nie pojawił się w sklepie i nie odbył rozmowy z moim teściem. Jestem jedną z czterech osób w rodzinie, która tam pracuje – powiedział Charles.

Jego wzrok przeskakiwał między Petersonem a stalowym spojrzeniem matki.

– To biznes prowadzony przez rodzinę pańskiej żony, prawda?

– Tak, pracuję tam wraz z dwoma jej braćmi.

– Muszę zabrać kolczyki na badania – powiedział Peterson.

– Jakie niby badania? – zapytała pani Fryatt.

– DNA.

– No cóż, na pewno znajdziecie państwo na nich moje DNA i być może nieco DNA mojej synowej, która pożyczała je przy paru okazjach. No i znajdą tam państwo, rzecz jasna, DNA Marissy.

Peterson popatrzył na nią.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Bo pozwoliłam jej przymierzyć je. Jeśli jest pan skłonny zaczekać, to mogę nawet poszukać zdjęcia, które wtedy zrobiłyśmy. Zdjęcie było na potrzeby jej portfolio. Była z nami jej przyjaciółka, Sharon, która pomogła nam ze wszystkim. – Pani Fryatt wyciągnęła rękę po kolczyki.

– Mimo wszystko chciałbym zabrać je do analizy.

– Tylko tyle? A może jeszcze próbkę krwi? Albo moczu? A może sprawdzicie jeszcze każdą powierzchnię w tym domu w poszukiwaniu odcisków?

– Tylko kolczyki – powiedział Peterson, patrząc jej prosto w oczy.

– Proszę bardzo. Proszę je przebadać, ale ostrzegam: jeśli w trakcie tego kolczyki zostaną w jakikolwiek sposób uszkodzone… Jeśli pojawi się choćby najmniejsze uszkodzenie… pozwę was za przekroczenie uprawnień. Może mi pan wierzyć, mam wystarczająco pieniędzy, aby to zrobić.

Peterson schował kolczyki do foliowej torebki. Wyszedł z pokoju, a za nim pięciu funkcjonariuszy. Żaden z nich się nie odezwał, dopóki nie znaleźli się przy radiowozach.

– Ja pierdolę! – zaklął Peterson, waląc pięścią w maskę samochodu. – Kurwa mać!

Rozdział 59

Moss powoli odzyskiwała przytomność, ale wokół panowała ciemność. Nic nie widziała. Leżała na plecach, na jakieś twardej powierzchni, a głowa pękała jej z bólu. Wciągnęła głęboko powietrze. W pomieszczeniu unosił się ciężki, nieprzyjemny odór ludzkiego ciała i potu. Jej ciałem wstrząsnęły nudności, była pewna, że zwymiotuje. Spanikowała, gdy uświadomiła sobie, że usta ma zaklejone taśmą. Teraz całkiem już przytomna poczuła, że spoczywające przed nią ręce ma związane w nadgarstkach, podobnie jak nogi. Przełknęła ślinę i spróbowała się uspokoić. Nasłuchiwała. Cichy syk, później głośne „fuuch" i niewielki niebieski kwadratowy rozbłysk na skraju pola widzenia. Widziała go przez kilka sekund, po czym zniknął.

Moss ponownie przełknęła ślinę. Gardło miała kompletnie suche i lepkie. Przeturlała się z boku na bok, starając się wyczuć powierzchnię, na której leżała. Związane ręce przełożyła na prawą stronę i wyczuła metalową kratę. Po lewej to samo. Uniosła się lekko i wyczuła pręty nad głową i pod nogami. Serce ponownie zaczęło walić jak szalone i powoli zaczęła wpadać w panikę. Strach zaczął ją przytłaczać. Była w klatce.

Spokojnie, tylko spokojnie. Zachowaj spokój… spokój… – powtarzała sobie w głowie. Pomyślała o technikach relaksacyjnych, które zaczęła praktykować Celia, żeby spróbować opanować lęki. Wkurzała się na nią, że wszędzie łaziła z tą książką. W tej chwili żałowała, że nigdy do niej nie zajrzała. Próbowała sobie przypomnieć, co Celia mówiła jej na ten temat. Było tam coś o skoncentrowaniu się na tym, co się dzieje tu i teraz,

o niepoddawaniu się emocjom. Skoncentrowała się na chłodnej podłodze, na której leżała. Poruszyła się parę razy. Niemal na pewno podłoga była drewniana.

Czym było to niebieskie światło? Płomień. Niewielki płomień za kwadratowym otworem pieca centralnego ogrzewania. Musiała sprawdzić, czy jest w stanie się podnieść i zobaczyć, czy jeśli płomień pojawi się ponownie, oświetli cokolwiek w pomieszczeniu.

Powoli wciągnęła i wypuściła powietrze. Przez nos dostawało się do płuc zdecydowanie za mało powietrza. Spróbowała usiąść, ale zrezygnowała przy próbie podniesienia się – pulsująca w żyłach krew zaostrzyła ból głowy. Czuła, jakby czaszka miała jej eksplodować. Miała mdłości. Jeśli zwymiotuje, zadławi się.

Położyła się z powrotem na podłodze i wzięła kilka głębokich wdechów, przekrzywiając głowę tak, że oparła się policzkiem o chłodną podłogę. Myślała o tym, co się stało. O rysunku maski przeciwgazowej, o chwili, gdy wszystkie elementy układanki nagle wskoczyły na swoje miejsce… No i o tym, że on to wszystko zobaczył.

Znów wpadła w panikę. Zabije ją. Płomień, który zobaczyła, pochodził z pieca, co znaczyło, że prawdopodobnie znajdowała się w piwnicy. Związana. Zakneblowana. Jej ciało opanował strach i poczucie beznadziei. I wtedy pomyślała o Jacobie. O tym, jak kochał obejmować ją w coraz bardziej rozrastającym się pasie i stawać na jej stopach, aby w ten sposób prowadzała go po domu. I o Celii, o jej miodowych blond włosach i pięknej, delikatnej twarzy. Dlaczego nie uściskała ich przed wyjściem z domu? Dlaczego nie powiedziała im, że ich kocha?

Łzy napłynęły jej do oczu, co dodało jej sił do walki. Wzięła kilka głębokich wdechów, po czym powoli, centymetr po centymetrze, podniosła się do pozycji siedzącej, starając się przypomnieć sobie, z której strony pojawił się niebieski płomień.

Oparła głowę o kratę po lewej i uniosła się o parę centymetrów. Ból pulsował jej w głowie, niemal kompletnie przytłumiając zmysły. Raz jeszcze zaciągnęła się mocno powietrzem. Zdjął z niej kurtkę i spętał jej ręce od przedramienia i nadgarstków po knykcie. Po tym, jak więzy kleiły się do włosków na rękach, czuła, że zrobił to przy pomocy taśmy klejącej.

Coś kliknęło w oddali po prawej i ponownie pojawił się niebieski płomień. Widziała niewyraźnie, obraz rozmywał się, ale zdołała na tyle przyzwyczaić wzrok do otoczenia, że zobaczyła zarys kilku kształtów. Piec na ścianie. Kilka cieni między piecem a miejscem, gdzie się znajdowała. Stojąca na podłodze klatka. Płomień zgasł i pomieszczenie ponownie pogrążyło się w ciemności.

Moss poczuła, jak wracają mdłości, a mięśnie pleców i nóg chwytają skurcze. Związane nogi były wystarczającym problemem, ale to w jaki sposób Taro związał jej ręce z przodu, z dłońmi wycelowanymi przed siebie, sprawiało, że nie była w stanie się wyprostować. Skurcz nasilił się, a ona skrzywiła się z bólu.

Oddychaj, oddychaj, oddychaj. Ból minie. Załkała cicho, gdy ból zrobił się nie do zniesienia. Ramiona miała przygarbione, łokcie sklejone ze sobą. Przypomniała sobie filmik, który oglądała kiedyś w internecie, na którym jakiś amerykański spec od samoobrony tłumaczył, co robić w przypadku, gdy ma się ręce sklejone taśmą. Jeszcze jedno hobby Celii – lekcje samoobrony. Chciała, żeby Moss chodziła na zajęcia razem z nią, ale zawsze kolidowały z jej pracą. Celia pokazała jej jedynie filmik na YouTube… Gość unosił na nim sklejone ręce nad głową, po czym robił nimi szybki ruch w dół, uderzając się w brzuch i rozrywając taśmę. Miało to coś wspólnego z odpornością taśmy na rozciąganie. Jeśli będziesz ciągnąć tylko w jedną stronę, to będzie się po prostu rozciągać, jak najwytrzymalsza na świecie guma do żucia, ale jeśli użyjesz do

tego błyskawicznie odwrotnie ukierunkowanej siły, to przedrze się równo na pół.

Moss wzięła głęboki wdech i spróbowała unieść ramiona, ale w ciemności źle oceniła kąt i uderzyła spętanymi nadgarstkami prosto w nasadę nosa. Wydała z siebie zduszony szloch, po czym wpadła w panikę, bo z nosa zaczęła lać się krew. Pochyliła się do przodu, ale ręce nadal miała ciasno spętane, a do tego nie mogła oddychać. Pogrążona w kompletnej ciemności zaczęła krztusić się własną krwią.

Rozdział 60

T z przyjemnością wracał pieszo, przechadzając się między domami. Miał czas, żeby się namyślić. Postrzegał swoje życie jako mieszaninę światła i ciemności. Jego praca przy wykonywaniu rodzinnych portretów była tak interesująca, a zarazem przyziemna, że myślał o niej jako o świetle. Gdy zamykał sklep i zostawał sam, zanurzał się w ciemność.

Ciemność tę pokazała mu dziewczyna, którą poznał piętnaście lat wcześniej – nie, to nie do końca tak. Mrok towarzyszył mu nieustannie, ale Tabitha wyciągnęła go na powierzchnię. Zawsze myślał, że był jedyną osobą na świecie, która fantazjowała o przemocy, ale Tabitha, młoda, przedwcześnie dojrzała uczennica, zachęciła go do eksperymentowania z sekszabawkami i odgrywaniem ról. Zachęciła go do wyjawienia jej w ciemności jego tajemnic.

Tabitha uwielbiała być wiązana – któregoś razu odgrywali scenkę, w której porywał ją i gwałcił. Wtedy wydawało mu się to szokujące i odważne, ale gdy patrzył na to z perspektywy czasu, była to zwykła dziecinada. Tabitha jedynie grała. Wcielała się w konkretną rolę. Nie była zresztą w tym jakoś specjalnie dobra: jej odgrywanie strachu wydawało się drewniane i płytkie. Była tylko pierwszym krokiem w bardziej mroczne rejony życia.

Którejś nocy poszli do undergroundowego klubu bondage w Soho. To tam odkrył istnienie kapturów, kontrolowanie oddechu i tam też zakończył się jego związek z Tabithą. Niewiele brakowało, a udusiłby ją. Zobaczył w jej oczach prawdziwy strach,

ale nie był w stanie się powstrzymać. Odwiódł ją od zgłoszenia sprawy na policję.

Przez kilka kolejnych lat jeździł do Amsterdamu, gdzie chodził do klubów bondage i kupował ostre filmy porno, ale szybko zrozumiał, że nie satysfakcjonują go nawet najmocniejsze pornosy. Wtedy właśnie odkrył maski przeciwgazowe, a konkretnie: uprawianie w nich seksu, z zatykaniem filtrów, aby odciąć dopływ powietrza, albo wypychanie ich watą nasączoną azotanem amylu.

Nie pamiętał już, kiedy po raz pierwszy wpadł na pomysł, aby przemierzać nocami ulice. Naćpał się z jakimś gościem, który zaprosił go na rundkę w swoim lochu, który zbudował w piwnicy. W jakiś sposób wylądowali w ogrodzie. Chwiejąc się, wyszedł tylną furtką na ulicę, gdzie skulił się w ciemnym rogu, obserwując ludzi, sam dla nich niewidoczny. W tej chwili poczuł w sobie moc większą niż kiedykolwiek wcześniej. Powoli zachowywał się coraz zuchwalej – najpierw tylko obnażał się przed mężczyznami i kobietami, później zaczął na nich napadać.

T zwolnił krok, gdy znalazł się w pobliżu Camery Obscury. Potrzebował czasu, aby się zastanowić, co zrobić. Fakt, że miał do czynienia z policjantką, był dodatkowo podniecający. Mimo wszystkich ataków na przestrzeni lat nikt go nigdy nie złapał. Nie figurował w policyjnej kartotece, nie mieli jego DNA, nigdy nawet nie dostał mandatu czy punktów karnych od drogówki.

Była w piwnicy. Widziała go. Jeśli pozwoli jej uciec, wszystko się skończy.

Lubił podejmować ryzyko. Już zatarł większość śladów. Musiał się jeszcze tylko zastanowić, jak pozbyć się ciała policjantki. Była z niej spora babka. Ponownie przyśpieszył kroku. Musiał zrobić jeszcze jedno kółko po okolicy. Zamierzał się zastanowić i obmyślić plan.

Rozdział 61

Moss uniosła ręce w górę i ostro szarpnęła w dół, uderzając nadgarstkami w pierś. Nic. Ponowiła próbę. Nos zalewał się krwią i walczyła o każdy oddech. Przy trzecim podejściu więzy puściły, a jej łokcie walnęły o kraty klatki. Nie przejmowała się bólem – ścierpniętymi palcami sięgnęła do ust i zdarła z nich taśmę. Zakrztusiła się, splunęła i wreszcie zdołała wziąć kilka głębokich haustów powietrza.

– O Boże, o Boże! – wykrzyknęła, czując ulgę, że znów może używać rąk i oddychać przez usta.

Szybko zabrała się za rozrywanie i ściąganie taśmy krępującej jej kostki, w końcu się uwalniając. Wykonała kilka kolistych ruchów ramionami i na czworaka zabrała się za eksplorację klatki. Z grubsza zaczynała się orientować, co znajduje się wokół niej. Nad głową miała jakieś pręty, które uniemożliwiały jej wstanie i rozprostowanie nóg. Z boku klatki były drzwiczki, solidnie zamknięte na kłódkę.

– Kurwa – zaklęła Moss.

Była w czymś na kształt klatki dla dużego psa. Kliknięcie i ponowny rozbłysk płomienia. Jej oczy na tyle przyzwyczaiły się już do ciemności, że mogła zobaczyć, iż na jednej ze ścian przywieszone są jakieś przedmioty. Widziała ich cienie i ogólne zarysy: coś długiego, zwiniętego i cienkiego, kaptur z wizjerem i filtr powietrza. Maska przeciwgazowa. Raz jeszcze zbadała klatkę. Pręty były wykonane z mocnego, grubego metalu, ale podstawa klatki wykonana była z drewna. Teraz, gdy zdarła już z siebie całą taśmę klejącą, była w stanie poruszać się swobodniej.

Przełknęła ślinę i wytarła nos. Czuła, że krew zaczyna powoli krzepnąć. Nadal na czworakach, spięła się i dotknęła plecami góry klatki. Poruszyła się na boki i poczuła, że klatka przesunęła się o parę centymetrów. Nie była przymocowana do podłogi. Zaczęła trząść nią mocniej, odsuwając od ceglanej ściany. Kosztowało ją to mnóstwo wysiłku, kilka razy musiała przerwać, żeby złapać oddech. Przecisnęła dłonie przez kraty i upewniła się, że jest już na tyle daleko od ściany, że nie jest w stanie jej sięgnąć. Była z siebie zadowolona – teraz z każdej strony miała nieco wolnej przestrzeni. Moss przywarła plecami do krat i zaczęła trząść klatką na boki, starając się naruszyć jej środek ciężkości. Im mocniej trzęsła, tym wyżej boki klatki odrywały się od podłogi. Nagle klatka przewróciła się i wylądowała na ziemi, wywołując w piwnicy potężny hałas. Moss krzyknęła z bólu, lądując boleśnie na lewym boku klatki, który teraz spoczywał na ziemi.

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby złapać oddech, i zaczęła kopać drewnianą podstawę klatki.

– TRZEBA. BYŁO. ZDJĄĆ. MI. BUTY. TY. PIERDOLONY. DEBILU! – warknęła, każde słowo podkreślając kopnięciem w klatkę.

Każde uderzenie rezonowało bólem w jej kościach, a metalowe kraty wbijały się w ramiona i plecy, ale nie przestawała. Wreszcie, gdy miała już wrażenie, że stopy za moment jej eksplodują, drewno trzasnęło, a jej but przebił się na drugą stronę. Drzazgi wbiły jej się w nogę i krzyknęła z bólu, ale nie przerwała pracy. Wciągnęła nogę z powrotem do klatki i zaczęła powiększać dziurę, kopiąc, napierając na nią i obierając palcami grube drewno. Wydawało jej się, że trwało to całą wieczność, ale wreszcie się udało. Dłonie i nogi miała pełne drzazg. Ale była wolna. Pomacała w ciemności wokół siebie, znalazła włącznik i zapaliła światło.

Rozdział 62

Moss z trudem była w stanie złapać oddech, gdy uświadomiła sobie, w jak koszmarnym miejscu się znalazła. W rogu pomieszczenia znajdowały się jeszcze jedna klatka, wyższa od tej, w której jeszcze przed chwilą była zamknięta, dyby i stół ze skórzanymi pasami. Na podłodze policjantka zauważyła plamy krwi. Ściany obwieszone były pornograficznymi zdjęciami przedstawiającymi nagie i torturowane postacie. W pomieszczeniu stał też duży telewizor, nad którym wisiała półka z rzędami równo ustawionych pudełek z filmami na DVD.

Na przytwierdzonych do ściany wieszakach zawieszono pejcze, kajdany, uprzęże, dwa pełnowymiarowe lateksowe kostiumy, na ostatnim kołku – czarna maska przeciwgazowa z olbrzymimi wizjerami i długą rurą doprowadzającą powietrze. Narysowane na niej białe kwadraciki upodobniały ją do szczerzącej się w uśmiechu twarzy.

Gdy usłyszała kroki po drugiej stronie drzwi, Moss zamarła. Zamek szczęknął i drzwi się otworzyły.

W drzwiach stanął Taro, trzęsący się i blady. W jednej ręce trzymał wielką strzykawkę wypełnioną jakimś grantowym płynem, w drugiej trzymał olbrzymi plastikowy worek. Przyszedł zabić ją w najdelikatniejszy i najczystszy możliwy sposób, ale ona musiała wszystko skomplikować. Była pewna, że zamierzał zrobić jej zastrzyk przez kraty. Pomyślała przez moment o okropnym filmie o testach wykonywanych na zwierzętach, który kiedyś oglądała. O tym, jak odsuwały się od krat, gdy wkładano przez nie igły, żeby wbić im je w ciało.

– Jak się wydostałaś? – zapytał.

Jego głos był niski i równy.

– Sam się przekonaj – odpowiedziała.

Nie odrywając od niej wzroku, zrobił krok do przodu, stopą zamykając za sobą drzwi. Potem następny.

– Cofnij się – powiedziała.

– Nie powinnaś tu przychodzić. Zamierzałem przestać. Chciałem przestać i po prostu rozpłynąć się w tłumie… Ale teraz muszę załatwić jeszcze ciebie. TERAZ MUSZĘ ZAŁATWIĆ JESZCZE CIEBIE!

Moss starała się nie okazywać strachu. Cofnęła się tak, aby leżąca na boku klatka znalazła się między nimi. Zbliżył się do niej. Złapała górę klatki i spróbowała natrzeć na niego jak taranem, ale klatka stawiła opór o podłogę, przesunęła się tylko o kilka centymetrów. Moss straciła równowagę i poleciała do przodu.

Napastnik natychmiast znalazł się przy niej, błyskawicznie obchodząc klatkę i łapiąc Moss od tyłu. Miotała się. Widziała, w jaki sposób zmienia chwyt, tak żeby strzykawkę zacisnąć w pięści, a kciukiem móc nacisnąć tłok. Ściskał strzykawkę, gotów wbić ją w Moss.

Pochyliła się, po czym szarpnęła głową do tyłu. Tyłem czaszki uderzyła go w usta, łamiąc jeden z górnych zębów i nos. Krzyknął z bólu i się cofnął. Moss pobiegła do drzwi, ale były zamknięte. Nacisnęła klamkę, ale ani drgnęły.

Obróciła się i zobaczyła zataczającego się Taro. Z nosa ciekła mu krew. Na podłogę wypluł dwa zęby i popatrzył na nią. Na jego twarzy malował się obłęd. Rozejrzała się wokół za czymś, co mogłaby wykorzystać, i zobaczyła przy drzwiach stół, na którym leżały wielka kłódka oraz łańcuch. Błyskawicznie chwyciła ją i cisnęła w jego stronę, celując maksymalnie wysoko. Czas jakby zatrzymał się na moment. Kłódka obróciła się w powietrzu raz i drugi, po czym uderzyła Taro w skroń. Spojrzał na nią z wyrazem

szoku i zaskoczenia na twarzy, po czym runął na podłogę, uderzając głową o ziemię z nieprzyjemnym trzaskiem.

Moss ponownie zabrała się za drzwi. Mechanizm był nieco zardzewiały, ale zdołała w końcu nacisnąć klamkę i wydostać się na zewnątrz. Wyszła na jasno oświetlony korytarz i zatrzasnęła drzwi za sobą.

Zobaczyła, że ściany korytarza wyłożone były staromodnymi drewnianymi panelami i że pomieszczenie, z którego właśnie się wydostała, znajdowało się za ukrytymi drzwiami. Po zamknięciu wtapiały się one wizualnie w resztę ściany. W korytarzu stała stara maszyna do szycia Singera, na której leżały książki, kwiaty i koszyczek z kluczami. Moss przeciągnęła ją z piskiem po kamiennej podłodze, nie spuszczając przy tym wzroku z drzwi w obawie, że mogą się otworzyć. Przeciągnęła stolik z maszyną pod drzwi, blokując je i mając nadzieję, że to chwilowo wystarczy.

Gdy tylko zablokowała drzwi, puściła się biegiem przez korytarz i studio fotograficzne. Na zewnątrz było już ciemno, a drzwi od zakładu nadal były zamknięte, ale wzięła w ręce jeden z trójnogów na lampy i z niemal histerycznym przerażeniem walnęła nim w szybę wystawową. Szkło wystrzeliło na zewnątrz. Nogą wykopała resztki szkła, przelazła przez otwór i znalazła się na ulicy.

Jej samochodu nie było, a ona nie miała przy sobie telefonu. Rozejrzała się po ulicy. Adrenalina napędzała ją do działania. Krew z rany z tyłu głowy ciągle ciekła. Musiała znaleźć budkę telefoniczną, ale nigdzie na ulicy nie było jej widać.

Moss pobiegła na koniec ulicy, w miejsce, gdzie skręcała ona w stronę stacji New Cross. Ulica pełna była nastolatków wysypujących się ze stacji, ubranych na imprezę. Hałas był wręcz ogłuszający. Przebiła się przez tłum i zobaczyła starą budkę telefoniczną stojącą na stacji. Złapała słuchawkę i jej pierwszym odruchem było porozmawiać z Celią. Wybrała numer sto, aby

zadzwonić do operatora, i poprosiła o połączenie na koszt odbiorcy.

Rozdział 63

Erika była smutna, że Izaak musiał już jechać. Miała nadzieję, że w czasie podróży powrotnej do Londynu nie trafi już na kolejne śnieżyce. Rozpaliła w piecu i sprawdziła telefon, ale nadal nie było żadnej informacji o Moss. Czuła się zmęczona i odcięta od wszystkiego. Wróciła myślami do odwiedzin w starym domu. Przez ostatnich kilka lat traktowała Londyn jako tymczasowe miejsce zamieszkania, miejsce, gdzie udała się na wygnanie po wydarzeniach w Manchesterze, teraz jednak uświadomiła sobie, że Londyn stał się jej nowym domem. Życie na północy było już przeszłością. Już tu nie pasowała.

Przeleciała szybko po kanałach telewizyjnych, nie znalazła jednak nic, co miałaby ochotę obejrzeć. Włożyła płaszcz, starą czapkę i rękawiczki i poszła na pobliski cmentarz. Była pogodna gwiaździsta noc. Wchodząc na wzgórze, widziała rozciągające się pod nią jasno oświetlone domki. Gdy doszła do bramy cmentarza, księżyc wychylił się zza chmur, widziała więc wyraźnie ścieżkę wśród grobów i mogła znaleźć ten, w którym spoczywał Mark.

Jego nagrobek był wykonany z polerowanego czarnego granitu. W świetle księżyca błyszczał napis:

PAMIĘCI MARKA FOSTERA
1 SIERPNIA 1970–8 LIPCA 2014
ZAWSZE BĘDZIEMY CIĘ KOCHAĆ

Erika wyciągnęła z kieszeni malutką buteleczkę Jacka Danielsa, otworzyła ją, wzięła niewielki łyk i wylała resztę na ziemię.

– Nigdy nie myślałam, że tak skończy się nasz związek – powiedziała. – Tęsknię za tobą każdego dnia… – Otarła łzę dłonią odzianą w rękawiczkę. – Tyle razy już to mówiłam, ale muszę żyć dalej, muszę pójść naprzód. Gdybym to ja tu leżała, nie chciałabym, żebyś przez resztę życia błąkał się po świecie zrozpaczony… Postanowiłam sprzedać dom. Byłam tam dzisiaj i nie było to już to samo miejsce, które zapamiętałam. To już nie jest nasz dom. Kupię sobie coś nowego, coś, co znów będę mogła nazywać domem… – Erika połknęła łzy. – Nie ma cię już, a ja nie mogę żyć wiecznie sama. Nigdy cię nie zapomnę i nigdy nie przestanę kochać, ale nie mogę dłużej być połówką człowieka.

Chmury zasłoniły księżyc, pogrążając ją w ciemności.

– Czasami szukam Jerome'a Goodmana. Zastanawiam się, gdzie jest. Czy czasami o nas myśli. Wklepuję jego dane do naszych systemów, ale nic nie mogę znaleźć. Przepadł. Jeśli kiedykolwiek będę miała okazję znaleźć się z nim sam na sam… zabiję go. Zamorduję go bardzo powoli za to, co zrobił tobie, mnie i…

Alejkę owionął nagle mroźny wiatr. Erika poczuła, jak zimno przeciska jej się szczelinami do butów, rękawic i przebiega po plecach.

– Zajmę się twoim tatą. Wynajmę mu opiekunkę, będę uważniej śledziła, co się z nim dzieje, i będę częściej wpadała do niego z wizytą. – Przycisnęła palce do ust, a po chwili dotknęła nimi złotych liter, którymi wypisane było imię Marka.

Nim Erika wróciła do domku, ogień zdążył już zgasnąć. Przegrzebała popiół i dorzuciła do pieca parę kawałków drewna. Gdy zamykała drzwiczki, usłyszała telefon. Dzwoniła Melanie.

– Eriko, Moss miała wypadek – powiedziała bez jakichkolwiek wstępów.

Erika wysłuchała uważnie opowieści Melanie na temat tego, co przytrafiło się Moss, i że znaleziono ją na wpół przytomną w budce na stacji New Cross.

– Wszystko z nią w porządku?

– Mam taką nadzieję. Trafiła na izbę przyjęć, robią jej skan. Ma mocne wstrząśnienie mózgu. Aresztowaliśmy trzydziestopięciolatka nazywającego się Taro Williams, który prowadzi studio fotograficzne w New Cross. Moss pojechała go przesłuchać po tym, czego dowiedziała się w urzędzie pracy w Forest Hill. Joseph Pitkin pracował w tym studio na początku dwa tysiące szesnastego roku.

Erika poczuła podekscytowanie, a zarazem frustrację, że nie było jej na miejscu.

– Jestem na północy. Nie mogę teraz zostawić teścia.

– Wiem i proszę, zostań tam i zajmij się nim. Mamy wszystko pod kontrolą. Williams to bogaty facet i zdążył już wynająć świetnego adwokata, musimy więc działać bardzo ostrożnie i zgodnie ze wszystkimi procedurami.

– Moss powinna zadzwonić i powiedzieć, dokąd jedzie. Naraziła się na niebezpieczeństwo – powiedziała Erika.

– I kto to mówi? A ile razy ty narażałaś się na niebezpieczeństwo? Dostałaś lanie więcej razy niż Jackie Chan. Jesteś jak cyborg!

– Bardzo śmieszne.

– Przepraszam. Po prostu cieszę się, że udało nam się tak szybko rozwiązać tę sprawę.

– Przeprowadźcie badania DNA – powiedziała Erika.

– Oczywiście… A ty odpręż się i spędź ze swoim teściem tyle czasu, ile potrzebujecie.

Erika chciała powiedzieć coś jeszcze, ale Melanie zdążyła się już rozłączyć.

Erika siedziała chwilę, zapatrzona w ogień trzaskający za drzwiczkami pieca, czując się daleko od wszystkich kłopotów.

Rozdział 64

Wybiła piętnasta, ale atmosfera na komisariacie w Lewisham Row była pełna ekscytacji. Peterson, McGorry, Crane i nadkomisarz Hudson zostali wezwani z powrotem do pracy, gdy tylko pojawiły się informacje o Moss. Najpierw zadzwoniła do Celii, później po wsparcie policji i wreszcie, prawie tracąc przytomność, do Petersona.

Policjanci, którzy zjawili się w Camerze Obscurze, znaleźli Taro Williamsa w piwnicy. Odzyskał przytomność. Po sprawdzeniu stanu zdrowia przez ratownika medycznego został aresztowany i odstawiony na Lewisham Row. Tam pobrano mu odciski palców i próbki DNA, które natychmiast wysłano do laboratorium.

McGorry, Crane i nadkomisarz Hudson przypatrywali się, jak Peterson przesłuchuje Taro Williamsa.

– Nie puści pary z ust – powiedział McGorry, gdy stali przed ekranem, pokazującym obraz na żywo z pokoju przesłuchań.

– Wielki z niego skurwiel, nie? – rzucił Crane.

– Wielki i przerażający. Przechodzą mnie ciarki na widok jego oczu – odparł McGorry. – Gdy przywieźli go tu, spisali, pobrali odciski palców i próbki DNA, był kompletnie obojętny. Jakby w ogóle go to nie ruszało.

Peterson na ekranie poprosił Taro o potwierdzenie, że jest właścicielem Camery Obscury i budynku, w którym ona się znajduje, oraz że pracuje na pełen etat jako fotograf.

Taro pochylił się do przodu przyjacielsko.

– Tak. Odziedziczyłem zakład dwanaście lat temu, po śmierci ojca – odpowiedział.

Jego głos był delikatny, wysławiał się nienagannie.

Rozdzwonił się telefon nadkomisarz Hudson.

– Technicy – powiedziała.

Mężczyźni obserwowali ją, gdy rozmawiała przez telefon. McGorry zacisnął kciuki.

– Wyniki pasują! Próbka DNA pobrana z rozbitej szyby w biurowcu w West Norwood pasuje do próbki, którą pobraliśmy od niego na komisariacie. Mamy go! – wykrzyknęła Melanie.

Cała trójka przybiła ze sobą żółwika.

– Co za psychol – powiedział McGorry.

– To, co mamy, wystarczy, żeby oskarżyć go o wszystkie sześć napaści seksualnych i zamordowanie Marissy Lewis? – zapytał Crane.

– Tak, szczególnie o zamordowanie Marissy. Nie zamierzam wypuścić go na wolność. Nie ma za sobą żadnej udokumentowanej przeszłości kryminalnej i nie chcę dać jego adwokatowi nawet najmniejszej szansy załatwienia mu wyjścia za kaucją, bo nie zdołaliśmy powiązać go z morderstwem – powiedziała Melanie. Pochyliła się do mikrofonu. – Peterson, proszę na moment przerwać przesłuchanie. Mamy wyniki DNA.

Peterson wyszedł z pokoju. Melanie zapoznała go z wynikami i dała wolną rękę w postawieniu Taro Williamsowi oskarżenia.

Patrzyli, jak Peterson wraca do pokoju przesłuchań i oficjalnie aresztuje Williamsa za napaść seksualną na Rachel Elder, Kelvina Price'a, Jenny Thorndike, Dianę Crow i Jasona Batesa oraz o zamordowanie Marissy Lewis.

Taro nadal zachowywał się zupełnie obojętnie. Do tego stopnia, że gdy Peterson odczytywał mu zarzuty, wyskubywał sobie z marynarki kłaczek. Później podniósł wzrok i spojrzał prosto w kamerę, a funkcjonariusze przed ekranem poczuli, jak przechodzi ich zimny dreszcz. Zupełnie, jakby ich widział.

Uśmiechnął się. Był to szeroki uśmiech, odsłaniający wszystkie zęby, ale nieobejmujący oczu.

Rozdział 65

Erika spędziła na północy dwa tygodnie. Między codziennymi odwiedzinami u Edwarda udało jej się zamontować w jego domu windę. Przy okazji udekorowała nieco dom i zarejestrowała go online u dostawców wszystkich mediów, żeby monitorować na bieżąco, czy rachunki są opłacane.

W czasie jednych z ostatnich odwiedzin w szpitalu Edward podchodził do tych pomysłów i zmian bardzo entuzjastycznie. Wszystko zmieniło się w momencie, gdy Erika powiedziała mu, że wynajęła opiekunkę, która będzie przychodziła do niego trzy razy w tygodniu.

– Nie wpuszczę do domu jakieś kompletnie obcej osoby, żeby wycierała mi tyłek! – oświadczył.

Był już w stanie siedzieć na łóżku i znajdował się na dobrej drodze do wyzdrowienia.

– Edwardzie, to nie tak. Ona będzie po prostu po to, żeby pomagać ci, w czym będziesz potrzebował.

– Ona? – zapytał i zmrużył oczy.

– Wolisz faceta?

– Boże drogi, nie.

– Będzie pomagała ci ze zmywaniem, sprzątaniem, przygotowywaniem posiłków czy umawianiem różnych rzeczy, na przykład wizyt u lekarza. Będzie twoją towarzyszką. Obiecuję, że nie będzie żadnego podcierania tyłka.

– Jestem za młody na to, żeby mieć opiekunkę!

– No dobra. A asystentkę?

Roześmiał się.

– Kim ona jest? Tory nie może u mnie przesiadywać. Nie chcę też jakieś młodej siksy cały czas przyklejonej do telefonu.

– Oczywiście, że nie.

– I ma to być ktoś z północy. Nie mam nic przeciwko tym z południa kraju, ale spędzanie z nimi trzech dni w tygodniu w swoim domu to już trochę za dużo.

– W pewnym sensie jest z północy… Z północy Słowacji. Na imię ma Lydia. Ma dwadzieścia pięć lat, świetnie mówi po angielsku i zajmuje się… Przepraszam, jest asystentką na część etatu u pewnej pani w sąsiedniej wiosce.

– Masz jej zdjęcie?

– Nie. Poznasz ją, gdy wrócisz do domu. Jutro, mam nadzieję.

Następnego dnia Edward został wypisany ze szpitala. Erika czekała na niego z Lydią w domu. Polubił ją i natychmiast złapali wspólny język. Erika miała poczucie, że ostatni element układanki wskoczył na swoje miejsce.

Resztę tego i kolejnego dnia Erika spędziła z Edwardem. W niedzielę czternastego stycznia wracała do Londynu. Wspierając się na lasce, odprowadził ją do taksówki i uściskał.

– Masz ćwiczyć – powiedziała Erika.

– Dobrze, kochanie.

– I dobrze się odżywiać. Lydia przyniesie ci jutro gulasz.

– Już nie mogę się doczekać.

– I korzystaj z windy. Żadnego popisywania się, że jesteś w stanie wejść bez problemu po schodach.

Przytaknął.

– Poinstruowałam Lydię, żeby sprawdzała, czy przez następne dwa tygodnie będziesz nosił pończochy uciskowe. Mają zapobiegać…

– Tak, wiem, zakrzepom – odpowiedział i uniósł skraj spodni, żeby pokazać zielone pończochy. – Będziemy częściej rozmawiać?

– Tak, oczywiście, że tak – zapewniła.

Erika miała wrażenie, że zaraz się rozpłacze, więc po prostu uściskała go jeszcze raz i wsiadła do taksówki. Podróż pociągiem do Londynu była szybka i bezproblemowa. Śnieg zdążył już się stopić. Chociaż przez ostatnie dwa i pół tygodnia była bardzo zapracowana, czuła się zrelaksowana. Urlop dobrze jej zrobił.

W jej mieszkaniu było przeraźliwie zimno, a na wycieraczce zalegał olbrzymi stos listów.

Następnego dnia obudziła się wcześnie rano i od razu pojechała na Lewisham Row. Przeszła przez recepcję, witając się przy okazji z siedzącym za biurkiem sierżantem Woolfem, olbrzymim policjantem o czerwonej twarzy, którego od emerytury dzieliło już tylko kilka tygodni.

– Szczęśliwego Nowego Roku – przywitała się.

– Trochę się z tym, cholera, spóźniłaś – odpowiedział. – Człowiek zdążył już zapomnieć o Nowym Roku. W sklepach już sprzedają jajka wielkanocne!

Erika zrobiła sobie kawę i poszła do swojego gabinetu na czwartym piętrze, żeby przejrzeć całą pocztę i maile, które nazbierały się przez kilka ostatnich tygodni. Po jakimś czasie usłyszała pukanie do drzwi i do środka zajrzała nadkomisarz Hudson.

– Witamy z powrotem, nieznajoma. Jak tam twój teść?

– Wraca szybko do zdrowia… A ja staram się nadgonić zaległości – odparła, wskazując na piętrzący się na biurku stos teczek.

– Wysłałam ci wczoraj maila, nie chciałam, żeby zagubił się wśród innych wiadomości. Przekazaliśmy wszystkie dowody i akta

sprawy prokuraturze oraz zespołowi obrońców Taro Williamsa. Mamy oficjalne potwierdzenie zgodności próbek DNA. Łączą go one bezpośrednio z dwoma atakami i stanowią wystarczające poszlaki, aby przypisać mu pozostałe ataki. Dołączymy do tego nagranie z kamery przemysłowej oraz zeznanie pani Fryatt dotyczące morderstwa Marissy Lewis.

– Zeznanie pani Fryatt?

– Tak, zeznała, że Taro Williams po raz pierwszy zaatakował Marissę kilka tygodni przed jej zamordowaniem.

– Czyli twierdzi, że Marissa twierdziła… To trochę naciągane, nie sądzisz?

– Tej sprawy nie możemy już przegrać. Mamy nagranie z kamery przemysłowej, jak wchodzi za Marissą przez furtkę do jej ogrodu. Tylko chciałabym, żebyś wszystko przejrzała i dołączyła zwój raport, nim podpiszemy nasz. Jak wiesz, Moss i Peterson pracowali nad nim w czasie twojej nieobecności.

– Jesteś pewna, że damy radę skazać go za zamordowanie Marissy?

– Jasne, że tak. Mamy nagrania z monitoringu, próbki DNA, dowody na wcześniejsze stosowanie przez niego przemocy… Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że podejrzewasz, że krąży tu gdzieś jeszcze jego naśladowca?

– Nie. Po prostu wyrażam wątpliwości. W śledztwie w sprawie morderstwa nie ma głupich pytań – powiedziała Erika.

Melanie przytaknęła jej.

– Taro Williams ma pieniądze i wynajął do prowadzenia swojej sprawy najlepszych z najlepszych. Sama wiesz, jak dobrze idzie adwokatom wywąchiwanie nawet najmniejszych błędów proceduralnych po naszej stronie. Ostateczną wersję raportu masz na wierzchu.

– Zaraz na nią spojrzę.

Telefon Melanie zadzwonił i musiała wyjść. Erika ściągnęła akta sprawy ze stosu teczek i zaczęła je przeglądać. Były w niej zeznania ofiar wszystkich wcześniejszych ataków, matki Marissy, pani Fryatt oraz kilku koleżanek z pracy Marissy. Erikę najbardziej zasmuciło zeznanie Moss, w którym opisywała, jak została schwytana i uwięziona.

Erika przejrzała zdjęcia Taro Williamsa wykonane na komisariacie. Był wielkim facetem o szerokich rysach twarzy. Na zdjęciach wydawał się kompletnie obojętny, jego spojrzenie było martwe. Zalogowała się do Holmesa i weszła w pliki z przesłuchań, które znajdowały się na dysku, podpięte pod akta sprawy. Przesłuchiwano go trzykrotnie w ciągu dwóch dni. W czasie pierwszego przesłuchania Taro Williams siedział obojętnie naprzeciw Petersona. Podczas dwóch kolejnych Petersonowi towarzyszył McGorry. W trakcie wszystkich trzech przesłuchań Taro siedział w kajdankach, chociaż jego prawnik domagał się ich zdjęcia. Taro był wysoki, opierał się na stoliku. T-shirt i spodnie dresowe, które miał na sobie, wydawały się na niego za małe. Zupełnie, jakby ktoś go siłą w nie wepchnął. Erika przewinęła na koniec nagrania, przyglądając się wstającemu Taro. Górował nad swoim adwokatem, McGorrym oraz nad Petersonem, który sam przecież miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Erika wróciła do nagrania z monitoringu szkoły, która znajdowała się naprzeciw domu Marissy Lewis. Patrzyła, jak Taro Williams pojawia się pod domem tuż przed Marissą. Ubrana na czarno postać w masce przeciwgazowej stała przed furtką. Szła powoli, ostrożnie, specjalnie idąc po śniegu, bo z trudem utrzymywała równowagę na śliskim chodniku. Taro podszedł do furtki, zerknął do ogrodu i popatrzył na dom. Później schował się w alejce koło domu, czekając w ciemności na swoją ofiarę.

Zerknęła na dodane opisy poszczególnych fragmentów nagrania i przewinęła naprzód. Przy furtce pojawiła się Marissa.

Gdy Erika obserwowała, jak idzie ulicą z gracją, ubrana w długi płaszcz i z torebką przerzuconą przez ramię, pomyślała sobie, że Marissa była bardzo piękna. Marissa na nagraniu otworzyła furtkę i zniknęła w mroku ogrodu. Dziesięć sekund później ubrana na czarno postać w masce przeciwgazowej wyszła z cienia i ruszyła w stronę furtki, w ręce trzymając długi nóż.

– Tu cię mam, Taro – wymamrotała Erika.

Postać na ekranie przeszła przez furtkę i zniknęła w ciemności.

Erika przyjrzała się uważnie nagraniu i w jej piersi zaczęła narastać panika. Cofnęła do momentu, gdy postać w masce pojawiła się po raz pierwszy przy furtce i obejrzała ten fragment jeszcze raz. I jeszcze raz. I ponownie. Drżącymi rękoma wróciła do nagrania z trzeciego przesłuchania Taro Williamsa, patrząc, jak Peterson prowadzi go do pokoju przesłuchań. Zatrzymała nagranie i porównała Taro z nagrania z komisariatu z postacią nagraną przy furtce. Chwyciła za telefon i zadzwoniła do Melanie.

– Potrzebuję cię tutaj. I to już – powiedziała.

Rozdział 66

– Jakiego wzrostu jest Taro Williams? – zapytała Erika.

Melanie siedziała obok niej, oglądając nagranie z Wigilii z kamery monitoringu znajdującej się przed domem Marissy.

– Nie wiem. Jest wysoki… – zaczęła Melanie.

– Sześć stóp i cztery cale, sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry – stwierdziła Erika, trzymając w ręce raport z aresztowania i przywiezienia Taro Williamsa na komisariat. – Popatrz jeszcze raz na to nagranie. – Przesunęła film do momentu na sekundę przed wejściem w kadr wracającej do domu Marissy. Erika zatrzymała nagranie w chwili, gdy Marissa na nagraniu stanęła przy furtce. – Marissa Lewis mierzyła pięć stóp i dwa cale, sto pięćdziesiąt siedem centymetrów. Jak widzisz, jest niewiele wyższa niż furtka.

– Okej – powiedziała Melanie, obawiając się, w jakim kierunku to wszystko zmierza.

Erika umieściła na czubku głowy Marissy znacznik.

– Dobra, teraz puszczam nagranie dalej – powiedziała Erika. – Pamiętaj o znaczniku… – Postać w masce przeciwgazowej ponownie pojawiła się na ekranie, z trudem ze spuszczoną głową przedzierając się przez śnieg. Erika zatrzymała nagranie w momentu, gdy postać dotarła do furtki. – Jak widzisz, postać w masce przeciwgazowej…

– Taro Williams – upierała się Melanie.

– Postać w masce przeciwgazowej jest tylko nieznacznie wyższa od Marissy. – Umieściła na nagraniu kolejny znacznik, niewiele tylko wyżej niż pierwszy. – Taro Williams jest trzydzieści sześć

centymetrów wyższy od Marissy Lewis. Postać na nagraniu to nie Taro Williams. Chyba że posiada zadziwiające zdolności kurczenia się.

Melanie pochyliła się i kilkukrotnie odtworzyła nagranie. Jej twarz się zachmurzyła.

– Na nagraniu mamy możliwość porównania wzrostu obu osób w relacji do konkretnego obiektu: furtki – powiedziała Erika.

– Kurwa.

– Nie ma szans, żeby adwokaci tego nie podłapali. Widziałam sprawy, które prokuratura przegrywała, bo różnica wzrostu postaci na nagraniach z monitoringu wynosiła ledwie parę centymetrów. Poproszą o dostęp do nagrania, po czym przeprowadzą znacznie dokładniejsze testy niż umieszczenie paru znaczników na ekranie.

– Ja pierdolę! – zaklęła Melanie, waląc ręką w biurko. – Zjebaliśmy. Nie udowodnimy mu winy.

– Owszem, udowodnimy – powiedziała Erika. – Taro Williams napadł pięć osób i możemy powiązać go z tymi atakami dzięki wynikom badań DNA. Bardziej martwi mnie kim, u diabła, jest postać w masce przeciwgazowej, która zabiła Marissę. Bo to nie jest Taro Williams.

Rozdział 67

Z samego rana Erika zajechała pod dom Moss w Ladywell. Miała już wysiąść, kiedy Moss pojawiła się przy furtce i wskoczyła do jej samochodu.

– Cześć. Dobrze widzieć cię w jednym kawałku – powiedziała, ściskając ją niespodziewanie.

– Znasz mnie. Nie upadam, zawsze jakoś się odbiję – powiedziała Moss, a jej policzki się zaczerwieniły.

Erika włączyła silnik i jechały przez minutę w ciszy. Zerknęła kątem oka na Moss. Jej milczenie było bardzo nietypowe. Zawsze była pobudzona i gadatliwa.

– Płaczesz? – zapytała Erika.

– Nie – odpowiedziała Moss, trąc agresywnie oczy.

– Trochę za wcześnie na alergię.

– Nie dopatrzyłam się różnicy wzrostu na nagraniu z monitoringu. Zachowałam się jak żółtodziób. Jestem pieprzoną zakałą…

– Czyja była to wina?

– Moja.

– Punkt za wzięcie odpowiedzialności za swoje błędy. Byłabym zła, gdybyś próbowała zrzucić tę pomyłkę na kogoś innego.

– To nie w moim stylu, szefowo.

– Wiem.

– Gdy złapaliśmy Taro Williamsa, weszliśmy w tryb zbierania dowodów. Większość zespołu dostała nowe zadania, brakowało mi ludzi. Raz jeszcze: to nie wymówka. Stanowisko oficera

prowadzącego nie jest jednak dla mnie. Wolę stać w drugim szeregu.

– Doprowadziłaś jednak do aresztowania Taro Williamsa.

Moss pokręciła przecząco głową.

– Mam wrażenie, że po prostu na niego wpadłam. I przy okazji prawie dałam się zabić.

– Ale nie zrobiłaś tego – odpowiedziała Erika. – Gdyby nie ty, nadal napadałby ludzi. To dzięki tobie siedzi w areszcie.

– Niby tak, ale nadal nie chce zeznawać.

– To akurat nic nowego. To, czy będzie zeznawał, czy nie, jest dla nas bez znaczenia. Mamy jego DNA.

– Masz talent literacki i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Erika uśmiechnęła się.

– Powtórzę: wykonałaś świetną robotę.

Moss zamachała ręką, a jej policzki ponownie zrobiły się czerwone.

– Dobra, dosyć o mnie. Jak było na północy?

– Z Edwardem już dobrze. Przez wiele lat to on był odpowiedzialnym dorosłym, a ja dzieciakiem. Teraz, gdy przyszło mi się nim zająć, uświadomiłam sobie, jak stara już jestem.

– Wcale nie jesteś stara! Co ty wygadujesz? Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje.

– Tyle że moje życie seksualne jest martwe. No, chyba że uwzględnimy jakiegoś starego dziada w Sainsbury, który otarł się o mnie przy kasie.

Moss wyszczerzyła się w uśmiechu.

– Dobrze, że wróciłaś, Eriko.

– Dzięki – odparła, odpowiadając jej uśmiechem. – Dobrze jest być już z powrotem. Dobra, a teraz do roboty. Miejmy nadzieję, że dzisiaj rozwiążemy tę sprawę.

Erika przyśpieszyła. Skręciły w Coniston Road i pojechały do domu Mandy Trent.

Zaparkowały kilka budynków dalej od domu Mandy. Śnieg dawno już się roztopił, w szkole naprzeciwko właśnie trwała przerwa. Plac zabaw roił się od bawiących się i głośno rozmawiających ze sobą dzieciaków. Erika i Moss wysiadły z samochodu i dołączyły do małego zespołu czterech analityków, którzy rozkładali przed furtką wejściową sprzęt do pomiaru wzrostu. Połowa placu zabaw naprzeciwko została odgrodzona, tak aby obraz z kamery monitoringu zawieszonej na ścianie szkoły był czysty. Jeden z techników stał przy furtce i trzymał pionowo długą plastikową tyczkę. Miała dwa metry wzrostu, co pięć centymetrów widniały na niej czerwone kreski. Jego koleżanka rozpakowywała trójnóg i aparat, ustawiając je pod takim kątem, aby niwelować nierówności chodnika przy Coniston Road. Kilkoro co bardziej ciekawskich dzieciaków bawiących się na placu zabaw przyglądało im się przyklejonych do ogrodzenia szkoły.

Erika i Moss przywitały się i przedstawiły technikom, po czym przeszły przez furtkę do ogrodu. Żywopłot został przycięty, zostawiono tylko niewielki pasek nad ziemią, otaczający ogródek, który bez śniegu był po prostu kawałkiem gołej ziemi. Matka Marissy, Mandy, obserwowała wszystko z progu domu. Była nieuczesana i paliła papierosa. Przywitały się i zapytały, jak się czuje. Odparła, że jest w trakcie przygotowań do pogrzebu Marissy, który miał odbyć się za kilka dni.

– Chciałabym, żeby zagrano *All Things Bright and Beautiful*, bo uwielbiałam śpiewać ten hymn, gdy chodziłam do szkoły – powiedziała, zaciągając się mocno papierosem. – Też go lubicie?

– Tak, kocham ten hymn – odparła Moss.

– I żeby były kwiaty. Uwielbiam lilie. Marissa też je kochała. Były mąż Joan prowadzi kwiaciarnię przy Honor Oak Park…

Bardzo mi pomógł, załatwił takie z rozłożonymi kwiatami. Nie cierpię lilii z zamkniętymi kwiatami – powiedziała. – Byłam też na pogrzebie Josepha Pitkina, siedziałam z tyłu i wiele myślałam. Przy jego trumnie też były lilie, ale wszystkie były zamknięte. Pogrzeb, a jedyne, o czym byłam w stanie myśleć, to, że jest tak zimno, że nie ma szans, żeby ich kwiaty się otworzyły. Po prostu umrą, nie mając szans, żeby rozkwitnąć… I wtedy znowu pomyślałam o Marissie. Ona też została zabita, nim naprawdę rozkwitła. Co to jest?

Popatrzyła na Erikę i Moss.

– Tragedia – odparła Erika.

– Nie – powiedziała Mandy, niecierpliwie strzepując papierosa na żywopłot. – Co to jest? O, mam: metafora. Zamknięta lilia to metafora Marissy i Josepha.

Erika i Moss przytaknęły jej.

– Dobra, to o co chodzi z tym całym mierzeniem furtki? – zapytała.

– Dodatkowa dokumentacja do nagrania z monitoringu. Standardowa procedura. Pomoże nam dowieść paru rzeczy przed sądem.

– Czy ma jakieś znaczenie, że kazałam ściąć żywopłot? Nie czułam się bezpiecznie. Nie było jak się schować, gdy człowiek potrzebował.

– To nic – powiedziała Erika.

Widzieli teraz ulicę w obie strony. Don Walpole wychodził właśnie z domu ze śmieciami. Zauważył je, skinął głową i wrócił do środka. Mandy zapaliła kolejnego papierosa.

– Jeanette wróciła ze szpitala. Umieścili jej implant w brzuchu, żeby nie piła. Łyk czegokolwiek, co zawiera alkohol, i natychmiast rzyga… Mam nadzieję, że Don kupił zapas płynu do czyszczenia dywanów.

– Czy spakowała już pani rzeczy Marissy? – zapytała Erika.

– Nie. Nie mogłam się do tego zmusić. Nie przed pogrzebem. Joan jest dobra w sprzątaniu, powiedziała, że przyjdzie i mi pomoże ze wszystkim. Posortujemy rzeczy, zobaczymy co zatrzymać, a co oddać na cele charytatywne. Wiele strojów Marissy można wystawić na eBayu – powiedziała Mandy.

– Nie warto się śpieszyć z tymi sprawami.

– Cieszę się, że dorwaliście drania, który jej to zrobił… Widziałam, jak mówili o nim w wiadomościach, o tym, jak krążył w nocy po ulicach. To nie jest najprzyjemniejsza okolica, ale człowiek nigdy nie pomyślałby, że mogłoby go to spotkać na progu własnego domu.

– Miałaby pani coś przeciwko, gdybyśmy raz jeszcze rzuciły okiem na sypialnię Marissy? Tak, żebyśmy miały absolutną pewność, że nic nie przeoczyliśmy? – zapytała Erika.

– Jasne, idźcie. Wiecie gdzie jest jej pokój – odparła Mandy.

Wstało słońce. Mandy oparła głowę o ceglaną ścianę domu, zamknęła oczy i skierowała swoją bladą, pomarszczoną twarz w górę.

Weszły do środka i schodami udały się do sypialni na piętrze. Wyglądała identycznie jak w dniu, gdy Erika sprawdzała ją wraz z McGorrym. Na ścianach wisiały te same plakaty, wszystkie stroje i rekwizyty do burleski leżały nietknięte. Podeszła do okna i spojrzała na ulicę poniżej. Paru mieszkańców okolicznych domów wyszło na zewnątrz, przypatrując się ekipie techników. W szkole rozległ się dzwonek oznajmiający koniec przerwy. Dzieci ruszyły biegiem, aby ustawić się na skraju placu zabaw. Mandy, wciąż jedynie w łapciach, nocnej sukni i grubym zimowym płaszczu, przeszła na drugą stronę ulicy, aby porozmawiać z Joan, która paliła papierosa na progu swojego domu.

– Nadal męczy mnie sprawa z tymi kolczykami – powiedziała Erika. – Czuję, że są one kluczem do rozwiązania całej tej zagadki.

Dlaczego Marissa poszła do sklepu jubilerskiego, w którym pracował Charles Fryatt? Czy wiedział, że się tam zjawiła? Czytałam raport, wiem, że zeznał, że dowiedział się o tym dopiero, kiedy McGorry przyszedł tam z koleżanką Marissy, Ellą. Nikt nie zaprzeczył nawet, że były to kolczyki należące do pani Fryatt.

– Charles Fryatt ma alibi: swoją żonę, poza tym on też jest bardzo wysokim mężczyzną – powiedziała Moss, podnosząc leżący przed niewielkim kominkiem szpikulec do opiekania jedzenia na ogniem i uważnie przyglądając się jego końcówce.

– Jeśli wierzyć Martinowi, kostiumografowi z klubu Matrix, oraz Elli, jednej z tancerek, Marissa miała powiedzieć, że zabrała diamentowe kolczyki pani Fryatt, ale kto tu mówi prawdę, a kto kłamie? Ani nie wiemy, skąd te kolczyki się wzięły, ani gdzie są teraz.

– Czy Mandy mogła ściągnąć je z martwego ciała Marissy? – zapytała Moss, również podchodząc do okna.

Joan i Mandy paliły kolejnego papierosa.

– Nadal mamy znak zapytania, jeśli chodzi o to, gdzie w nocy, gdy zginęła Marissa, spała Mandy. Powiedziała nam, że spała na górze, w sypialni od tyłu, ale mamy dowód, że spała na kanapie na parterze.

– Na kanapie na parterze była pościel – powiedziała Erika. – Ale to żaden dowód. Mogła po prostu uciąć tam sobie drzemkę.

– Eriko. Sprawa sprowadza się do tego, kto to zrobił. Nie do diamentów, czy raczej diamentowych kolczyków.

– Co powiedziałaś?

– Że sprawa sprowadza się do tego, kto zabił, bo wiemy, że nie zrobił tego Taro Williams…

– Nie, później.

– Że nie chodzi o kolczyki. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Erika zaczęła szybkim krokiem przechadzać się po pokoju.

– Gdy byłam z Petersonem w klubie Matrix, facet od kostiumów powiedział nam, że Marissa mówiła o „diamencie", a nie „diamentach". Że „diament" przyniesie jej fortunę… Powiedział coś w stylu: „Wiem, że Marissa była idiotką, ale na pewno znała różnicę między liczbą pojedynczą i mnogą". Jeśli nie mówiła o diamentowych kolczykach, to w takim razie o czym?

– Dobra, teraz już się zupełnie pogubiłam – powiedziała Moss. – Miała diament wyszyty na kostiumach. – Podeszła do ustawionych pod ścianą trzech manekinów, na których wisiało kilka kostiumów Marissy z wyszytym logiem. – Planowała polecieć do Nowego Jorku i występować tam jako Honey Diamond. Może miała na myśli, że zbije fortunę, występując tam?

Erika pokręciła głową i wyjrzała przez okno. Many i Joan nadal były pogrążone w głębokiej rozmowie. Joan powiedziała coś kącikiem ust, a Mandy wybuchła śmiechem, wypuszczając z ust dużą chmurę dymu. Ostatnie dzieciaki wracały do szkoły, a jeden z techników wydzierał się na okolicznych mieszkańców.

– Proszę się odsunąć! – mówił głośno, machając dłonią w rękawiczce.

Cofnęli się (dwie starsze panie i młody chłopak) jak zaganiane do zagrody owce.

Erika popatrzyła ponownie na sypialnię i utkwiła spojrzenie w dużym oprawionym w ramkę zdjęciu na ścianie wiszącym między oprawionymi w ramki zdjęciami Marissy z występów. Na fotografii był wielki osadzony w pierścieniu diament, który aż błyszczał czystością. Podeszła do zdjęcia i delikatnie zdjęła je ze ściany. Zaczęła je badać. Od tyłu do ramy przyklejony był gruby papier.

– Masz może rękawiczki? – zapytała.

Moss pogrzebała w kieszeniach i podała jej parę.

Rozdział 68

Erika położyła na łóżku oprawioną w ramę fotografię, zdjęciem do dołu, i wraz z Moss wbiła wzrok w gruby papier przyklejony do tylnej ramy.

– Rama jest stara i kiepskiej jakości – powiedziała Erika. – Zdjęcie diamentu praktycznie wyblakło, jakby wisiało na ścianie i za dużo świeciło na nie słońce, ale papier na odwrocie wygląda na zupełnie nowy.

Erika wzięła z biurka pod oknem parę nożyczek do paznokci. Gdy ostrożnie rozcinała papier, Moss przytrzymywała ramę. Cofnęły się i wpatrywały w znalezisko. W środku nie było nic poza wydrukiem na kawałku kartonu. Erika usunęła go delikatnie z ramy. Wydawał się gruby. Spojrzała na niego pod światło.

– Z jednej strony żółty, odwrotna strona jest jednak biała – powiedziała Moss. – No, ale tylko strona wystawiona na światło wyblakła.

Erika przyjrzała się uważnie krawędziom kartonu.

– Spójrz, tutaj i tutaj kolory na siebie nachodzą: ta strona jest biała, a ta ma żółtawy odcień.

– Dwa kartony sklejone razem – stwierdziła Moss.

Erika delikatnie przejechała odzianą w rękawiczkę dłonią po wydruku diamentu. Jej palce zatrzymały się na środku.

– Tu jest spore wybrzuszenie, jakby coś było w środku. Coś podłużnego. Może zwinięty papier, może koperta przyklejona pomiędzy dwiema tekturami.

Erika i Moss spakowały wydruk i pojechały z nim na komisariat w Lewisham Row, gdzie umieściły go w sterylnym pomieszczeniu do wykonywania badań medycznych. Założyły rękawiczki i maseczki. Przy pomocy skalpela Erika ostrożnie zaczęła ciąć sklejony klejem karton na pół.

– Ostrożnie – powiedziała Moss, patrząc, jak Erika powoli jedzie nożem wzdłuż łączenia obu kartonów.

W końcu obie części kartonu odkleiły się od siebie. W środku była mała brązowa koperta.

– Powinnyśmy przekazać to technikom – powiedziała Moss.

– Wiem – odpowiedziała Erika. – Nie tknę miejsca, gdzie przytwierdzona jest koperta. Niech technicy przeprowadzą badanie śliny… O ile w ogóle będzie co badać.

Delikatnie nacięła skalpelem górną część koperty i wyciągnęła z niej dwie złożone kartki. Pierwsza była skanem niemieckiego dowodu tożsamości datowanego na październik tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Dokument wystawiony był na młodą kobietę imieniem Elsa Neubukov. Kobieta na zdjęciu w kolorze sepii miała dwadzieścia dwa lata, urodziła się w styczniu tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Na dowodzie tożsamości były trzy odciski palców: kciuka oraz palców wskazujących prawej i lewej ręki. Erikę zmroziło na widok pieczątki Trzeciej Rzeszy: orzeł z rozłożonymi skrzydłami, a pod nim swastyka. Kobieta na zdjęciu miała krótkie, jasne włosy, wysokie czoło i ładną twarz. Niemal wyzywająco patrzyła w obiektyw aparatu.

– Elsa ze zdjęcia urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Dzisiaj miałaby dziewięćdziesiąt siedem, prawie dziewięćdziesiąt osiem lat – powiedziała cicho Moss.

Przyjrzały się drugiej kartce. To również był skan, tym razem austriackiego paszportu. Datowany był na sześć lat później, trzy lata po zakończeniu drugiej wojny światowej. Zdjęcie było inne, ale widniała na nim ta sama kobieta. Tym razem figurowała

w dokumencie jako Elsa Becher. Data urodzenia była taka sama jak w pierwszym dokumencie, podobnie jak odciski palców.

Moss i Erika popatrzyły po sobie.

– Kiedy urodziła się Elsa Fryatt i jak brzmi jej nazwisko panieńskie?

– Zaraz się dowiemy – stwierdziła Erika. Wyciągnęła telefon i zadzwoniła na numer domowy Elsy Fryatt i do skarbówki. – Data urodzenia się zgadza. Musimy tylko sprawdzić jej nazwisko panieńskie.

– Elsa Fryatt żyje pod zmienioną tożsamością? – zapytała Moss.

– Ale to tylko skany, gdzie są oryginały? – zapytała Erika.

Wróciła do pierwszego dokumentu tożsamości i zobaczyła, że na odwrocie długopisem wypisany był numer telefonu. Długi, Erika nie była w stanie rozpoznać kodu. Był tam też adres strony internetowej, kończącej się na „.de". Domena zarejestrowana w Niemczech.

– Myślisz, że to pismo Marissy? – zapytała Moss.

– Zaraz się przekonamy – odparła Erika, wpisując numer.

Rozdział 69

Dwa dni później, po sprawdzeniu paru nowych śladów, Erika i Moss zajechały pod dom Elsy Fryatt. Poranek był szary, a ulica pusta i cicha. Moss popatrzyła nerwowo na Erikę, otworzyły furtkę i ruszyły przez podwórko w stronę drzwi. Już miały zadzwonić do drzwi, gdy pani Fryatt nagle pojawiła się za nimi, niosąc w rękach zakupy.

– Dzień dobry paniom. W czym mogę pomóc? – zapytała, wyciągając klucz z kieszeni płaszcza.

Gdy ruszyła w ich stronę, Erika pomyślała, że jak na dziewięćdziesiąt siedem lat jest bardzo sprawna fizycznie.

– Dzień dobry, pani Fryatt. Przyjechałyśmy zwrócić diamentowe kolczyki, które nasz kolega zabrał do badań – powiedziała Erika, trzymając w ręce niewielką torebkę na dowody, w której znajdowało się aksamitne pudełko.

– I do tego potrzeba aż dwóch osób? – sarknęła pani Fryatt, odkładając torby z zakupami i otwierając drzwi.

Erika posłała jej rozbrajający uśmiech.

– Rozumiemy, że kolczyki są bardzo cenne i potrzebujemy, aby podpisała nam pani parę formularzy, że zwróciliśmy pani własność i wszystko jest z nią w porządku.

Przez moment były pewne, że pani Fryatt nie wpuści ich do środka, ale się myliły.

– W porządku – powiedziała. Moss podeszła, aby wziąć od niej torby z zakupami, ale pani Fryatt odepchnęła ją na bok. – Sama dam sobie radę.

Weszły za nią do domu i długim korytarzem skierowały się do kuchni. Charles nalewał właśnie wody do czajnika. Na widok Eriki i Moss pobladł.

– Charles, czy mógłbyś zrobić paniom funkcjonariuszkom herbaty? Przywiozły moje kolczyki. – Spojrzała na niego i Charles skinął głową.

Zostawiły Charlesa samego w kuchni i poszły za panią Fryatt do ogromnego salonu. Pani Fryatt wskazała im kanapę, a sama usiadła w fotelu naprzeciwko.

– Dobrze. Oto pani kolczyki – powiedziała Erika, odkładając niewielką torebeczkę na stojący przed nią wypolerowany stolik kawowy. – Proszę sprawdzić, czy wszystko jest, jak należy.

Pani Fryatt założyła okulary, wyjęła z torebki pudełeczko i otworzyła je. W środku znajdowały się kolczyki, połyskując na niewielkiej, błękitnej wyściółce.

– Tak, to moje maleństwa – powiedziała, przypatrując się im pod światło.

– Musi pani podpisać formularz, w którym zaświadcza, że zwróciliśmy pani jej własność – powiedziała Erika. – Proszę się upewnić, że wszystko jest w porządku i że w istocie są to pani kolczyki.

Usłyszały brzęk zastawy i do pokoju wszedł Charles, niosąc tacę z filiżankami. Ręce mu się trzęsły, gdy odkładał ją na stolik.

– Charles, potrzebuję, żebyś spojrzał na to swoim okiem eksperta – powiedziała pani Fryatt, podając mu pudełeczko z kolczykami. – Muszę podpisać, że to moje. Jestem w stanie odróżnić diament od cyrkonii, ale muszę mieć pewność, że panie policjantki mnie nie oszukały. – Uśmiechnęła się do Eriki i Moss, ale jej uśmiech nie objął oczu.

Charles wyjął z kieszeni zestaw jubilerski i zaczął badać za jego pomocą kolczyki.

– Zawsze jest przygotowany. – Pani Fryatt uśmiechnęła się wyniośle.

Charles przyjrzał się im uważnie, westchnął ciężko, po czym podszedł do okna, żeby spojrzeć na nie pod światło. Zegar tykał.

– Wszystko w porządku? – zapytała Erika.

– Tak – odparł, wracając do nich i odkładając pudełeczko na stolik.

Moss otworzyła teczkę, którą ze sobą miała, i położyła przed panią Fryatt wypełniony zawczasu formularz.

– Proszę sprawdzić, czy nazwisko i adres się zgadzają i podpisać na dole – poprosiła.

Erika pochyliła się i położyła na formularzu zeskanowany dowód tożsamości Elsy Neubukov. Pani Fryatt wpatrywała się przed długi moment w zdjęcie i pieczątkę Trzeciej Rzeszy, kompletnie sparaliżowana. Podniosła wzrok i spojrzała na Erikę. Później skierowała go na Moss i Charlesa, który stał z szeroko otwartymi ustami. Oparła się w fotelu i drżącą ręką zakryła usta.

– Znaleźliśmy te papiery ukryte za zdjęciem wiszącym na ścianie sypialni Marissy Lewis – powiedziała Erika. – Wraz z tym… – Obok poprzedniego dokumentu tożsamości położyła kopię austriackiego paszportu wystawionego na nazwisko Elsy Becher. Następnie położyła na stoliku zaświadczenie o ślubie Elsy Becher i Arnolda Fryatta i odłożyła obok paszportu. – Jak pani widzi, mamy tu ciąg dokumentów wystawionych na Elsę Neubukov, Elsę Becher i Elsę Fryatt. Wszystkie trzy to pani.

– To jakiś absurd – parsknęła pani Fryatt. Krew odpłynęła jej z twarzy, a ręce się trzęsły. Pochyliła się i wzięła skan niemieckiego dokumentu tożsamości. – Przecież to nie jest oryginał. To jakiś chory żart. Dziewczyna była notoryczną kłamczuchą, a na komputerze można dzisiaj zrobić wszystko…

– Na odwrocie znajduje się numer telefonu – powiedziała Erika. – Matka Marissy potwierdziła, że jest to jej odręczne pismo. To

numer telefonu do doktora Arnolda Schmidta, który pracuje w Hamburgu w biurze zajmującym się badaniem nazistowskich zbrodni wojennych.

Charles oparł się o ścianę, był blady. Nie wyglądał dobrze.

– Lepiej, żebyś usiadł, Charles – zwróciła się do niego Erika.

Podszedł do kanapy i usiadł naprzeciw matki.

– Doktor Schmidt nie znał pani tożsamości, ale Marissa tak. Albo dodała dwa do dwóch, gdy znalazła te dokumenty. Zadzwoniła do niego kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem, rzucając parę ogólnych sugestii. Powiedziała mu, że widziała artykuł w jakimś tabloidzie, w którym było napisane, że tak zwani łowcy nazistów oferują nagrodę za informacje o każdym, kto w czasie wojny pracował w którymś z obozów koncentracyjnych. Powiedział jej, że nagroda wynosi dwa tysiące euro… Podejrzewam, że Marissa uznała, że zarobi więcej, po prostu panią szantażując.

– Kłamstwa – warknęła. – Co za suka… Wszystko zmyśliła! Gdzie są niby oryginały, co? No gdzie?

Moss ponownie otworzyła teczkę i podała Erice kartkę.

– Pani Fryatt… A może powinnam zwracać się do pani Elso Neubukov? Elso, pracowała pani w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen w górnej Austrii.

– Kłamstwa! Austria nigdy nie przystąpiła dobrowolnie do wojny. Zostaliśmy aneksowani do niemieckiej Trzeciej Rzeszy. Zwykli ludzie nie mieli żadnego wyboru, po prostu staliśmy się częścią tego wszystkiego, bo tak się spodobało paru politykom.

– Doktor Schmidt bardzo szybko znalazł dokumenty z Mauthausen-Gusen. Pracowałaś tam, Elso – oświadczyła Erika.

– Nie nazywaj mnie tak – rozpłakała się i zakryła uszy rękoma.

– Brałaś udział w eksterminacji ludzi na podstawie kryteriów rasowych. Więźniowie obozu pracowali niewolniczo,

eksperymentowano na nich i torturowano ich.

Elsa uderzyła dłonią o stolik kawowy.

– Myślisz, że to my jesteśmy za to odpowiedzialni? Że Austriacy tego chcieli? Nie mieliśmy żadnego wyboru! – wykrzyczała, a jej spojrzenie miotało pioruny.

– Mauthausen był jednym z największych obozów koncentracyjnych w okupowanej przez Niemców Europie – ciągnęła Erika.

– Nie musisz mi tu wygłaszać jakichś pierdolonych lekcji historii! – wrzeszczała Elsa. Charles pustym wzrokiem wpatrywał się w leżące na stoliku papiery.

– Więźniowie Mauthausen-Gusen byli zmuszeni do pracy na rzecz produkcji wojskowej i w kamieniołomach – kontynuowała Erika. – Warunki, w których funkcjonowali, były potworne. Czym dokładnie się zajmowałaś? Akta stwierdzają, że byłaś strażniczką, ale to bardzo szerokie określenie. Twoim zadaniem było kontrolowanie więźniów, tak? Prowadzanie ich z miejsca na miejsce, egzekwowanie dyscypliny i porządku, wykonywanie rozkazów. Jakich rozkazów? Rozkazów Hitlera i Trzeciej Rzeszy. Rozkazów przekształcenia Europy zgodnie z aryjskim ideałem. Czy uważasz się za przedstawicielkę rasy panów? Co musisz sobie o mnie myśleć? Jestem Słowaczką, w rozumieniu Trzeciej Rzeszy byliśmy podludźmi.

– Proszę, panie oficer, to za wiele. Moja matka to starsza kobieta, popatrzcie na nią! – powiedział Charles.

– Za dużo? – zapytała Erika, zaczynając tracić nad sobą panowanie. – Czy to, że jest staruszką, sprawia, że mamy zapomnieć o tym, co zrobiła? A może za bardzo wdaję się w politykę? Może próbuję narzucać tu zbyt liberalny sposób myślenia?

Charles potrząsnął głową.

– Jestem chora, gdy słyszę, że wina ludzi, którzy mieli współudział w Holokauście i pracowali w obozach koncentracyjnych, może być jakoś umniejszona przez czas, jaki minął. Systematyczna rzeź milionów ludzi na podstawie genetyki lub koloru skóry to coś, o czym nigdy nie można zapomnieć. Ani wybaczyć. To nie ulega przedawnieniu. Pańska matka jest tak samo winna dzisiaj, jak lata temu. – Wbiła wzrok w Elsę, po czym popatrzyła na jej bogato urządzony dom, jej drogie ubrania i otwarte pudełeczko leżące obok filiżanek z herbatą.

– Doktor Schmidt… Doktor Schmidt… – wymamrotała Elsa. – Ile ma lat?

– Nie wiem – odpowiedziała Erika.

– Tyle samo co ja? – zapytała, bębniąc palcami po piersi.

– Jest w wieku, który nadal pozwala mu na pracę. Po pięćdziesiątce.

– To skąd może wiedzieć, jak to wtedy wyglądało?! – rzuciła wściekle Elsa.

– Byłaś strażniczką w obozie koncentracyjnym, Elso. Nie na obozie wakacyjnym! – powiedziała Moss.

– Gdybym odmówiła, to sama bym się w nim znalazła! – upierała się Elsa. Jej głos był niski, a spojrzenie wściekłe. – Przyjechali niemieccy żołnierze, pukali do drzwi rolników… Mieszkaliśmy na wsi, mieliśmy gospodarstwo. Ojciec był jednym z najlepszych rolników w okolicy. Przyjechali i zażądali, że młodzi mają jechać do pracy jako ochrona obozu. Powiedzieli, że jeśli się nie zgodzimy, to całymi rodzinami ześlą nas tam jako więźniów. Nigdy tego nie przeżyłyście! Nie wiecie, jak to wyglądało!

– Ale ty przeżyłaś. I widziałaś, jak na twoich oczach giną setki, jeśli nie tysiące ludzi – stwierdziła Erika.

– Masz rodzinę? – rzuciła wściekłe Elsa.

– Nie.

– A ty? – wskazała na Moss.

– Tak – odpowiedziała.

– Masz dzieci?

– Małego synka.

– No to wyobraź sobie, że niemieccy żołnierze pukają ci do drzwi i mówią, że jeśli nie pójdziesz pracować w obozie, to twoje dziecko pójdzie do gazu. Co byś zrobiła?

– Walczyłabym. Walczyłabym o życie swojego dziecka, ale też przeciwko tamtym – odparła Moss.

Jej twarz była czerwona z wściekłości. Cała się trzęsła.

– Wartości moralne w pewnym momencie przestają mieć jakiekolwiek znaczenie.

– Czyli wolałaś po prostu chodzić każdego dnia do pracy, katować więźniów, posyłać ich na śmierć i wziąć udział w eksterminacji milionów ludzi. Czy chodząc do pracy, pogwizdywałaś sobie radośnie, myśląc, że nic ci nie grozi?

– Oczywiście, że nie!

– Obóz koncentracyjny, w którym byłaś strażniczką, był obozem trzeciego stopnia, najcięższym w całym systemie obozowym. Przeznaczono go dla „wrogów politycznych Rzeszy". Przy okazji był jednym z najbardziej dochodowych.

– Ile razy mam powtarzać: nie zgadzałam się z Hitlerem! Pracowałam w obozie, bo musiałam!

Na moment zapadła cisza. Erika słyszała tykanie zegara.

– Elso, twój syn poślubił Żydówkę – powiedziała Erika.

– Nie rozumiem.

– Nie wiedzieliśmy – powiedział Charles, odzywając się po raz pierwszy. – Ojciec zmarł, nie znając prawdy. Matka zmieniła szczegóły tego, w jaki sposób trafiła do Anglii. Sfałszowała papiery. Tata wiedział, że była Austriaczką, że była córką rolnika. Wiedział,

że Austria była pod okupacją, ale żadne z nas… – Ukrył twarz w rękach.

– Kiedy Marissa odkryła twoją tożsamość? – zapytała Erika.

– Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem. Przez lata ukrywałam ją, aby nie trafić do więzienia. – Elsa pokręciła głową. – Jeden błąd… Jeden drobny błąd i wszystko… Wszystko się zawaliło.

– Trzymałaś dokumenty w sejfie, a mimo to twój mąż nie miał o nich pojęcia?

– Trzymałam je w skrytce w banku w Londynie… Otworzyłam ją po przybyciu do Anglii w latach pięćdziesiątych. Zachowałam je, bo były potwierdzeniem tego, kim byłam. Rodzina nie miała nic wspólnego z partią nazistowską. To było bardzo poważane nazwisko. Powinnam spalić wszystkie te dokumenty, ale nie mogłam się na to zdobyć. Parę lat później, już po śmierci męża, bank skontaktował się ze mną i powiedział, że przenoszą siedzibę, więc zabrałam swój depozyt i przeniosłam do domu. – Elsa oparła się w fotelu i zamknęła oczy.

– Kiedy Marissa zaczęła panią szantażować? – zapytała Moss.

– Gdy tylko dałam jej kolczyki. Byłam pewna, że to wystarczy, żeby ją uciszyć, ale się myliłam. Wiedziała, jakie będą konsekwencje dla mnie, Charlesa i jego rodziny, jeśli prawda wyjdzie na jaw. Litmanowie mają dochodowy sklep jubilerski w Hatton Garden, gdzie Żydzi od wieków prowadzili swoje biznesy. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że jego matka była… – Głos jej się załamał.

Wyglądała na zmęczoną i pogodzoną z losem.

– Powiedziała nam pani, że kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem Marissa została napadnięta przez człowieka w masce przeciwgazowej – powiedziała Erika.

– Tak.

– Chciała pani, żebyśmy myślały, że napadł ją ponownie?

– To była idealna okazja. Facet w masce przeciwgazowej trafił na pierwsze strony gazet, wszyscy się bali… Mniej więcej w tym samym czasie usłyszałam w pobliskim sklepie o młodej kobiecie, która została napadnięta późnym wieczorem, gdy wracała ze stacji kolejowej do domu.

– Łatwo było dopowiedzieć, że kobietą tą była Marissa – powiedziała Moss.

Elsa przytaknęła.

– Żeby popełnić zbrodnię doskonałą, trzeba mieć doskonałą przykrywkę – oświadczyła Erika. – A Taro Williams był świetną przykrywką.

– Trochę czasu zajęło nam dostanie się do wykazu połączeń z telefonu Marissy. Wiemy, że tuż przed tym, jak wsiadła w Wigilię do pociągu na stacji Brockley, dzwoniła do ciebie, Charles.

Popatrzył na nie ze swojego miejsca na kanapie.

– Zadzwoniła, żeby powiedzieć, że chce więcej pieniędzy lub biżuterii… Wszystko jedno, byle jak najszybciej – powiedział Charles, chowając twarz w rękach. – Mówiła, że wyjeżdża i potrzebuje tego jak najszybciej… Już wcześniej oddaliśmy jej kolczyki i pieniądze. Nie miałem wyboru. Nigdy by się to nie skończyło… Dalej by nas szantażowała i się odgrażała.

– Skąd wziąłeś maskę przeciwgazową? – zapytała Erika.

– Second hand w Soho – odpowiedział Charles.

Zwiesił głowę i się rozpłakał.

– Jedyny problem w tym, Charles, że masz alibi na Wigilię – powiedziała Erika. Popatrzył na nią. – Monitoring na stacji benzynowej w północnym Londynie nagrał cię jedenaście minut przed tym, jak napadnięto i zamordowano Marissę. Nie ma szans, abyś mógł się dostać tam na czas.

Wszyscy popatrzyli z powrotem na Elsę.

– Nikt nie uwierzy w to, że dziewięćdziesięciosiedmiolatka była wystarczająco silna, żeby zabić dwudziestodwulatkę – stwierdziła Elsa, posyłając im paskudny, przebiegły uśmiech.

Nagle w pokoju zrobiło się bardzo zimno.

– Przyznaje się pani, że to zrobiła? – zapytała Erika.

Elsa potrząsnęła głową, nadal się uśmiechając.

– Sekcja zwłok wykazała, że Marissa zginęła zamordowana przy pomocy bardzo szczególnego rodzaju noża. Ostrze osiem cali, ząbkowane na czubku – stwierdziła Erika. – Gdy policja przeszukiwała pani dom, jeden z funkcjonariuszy zabrał identyczny jak ten, którym zabito Marissę… Nie uznano go za cenną rzecz, nie została więc pani poinformowana. Jestem pewna, że dokładnie go pani umyła, byłaby pani jednak w szoku, gdybym powiedziała jakich cudów potrafią dokonać technicy, gdy dać im choćby najmniejszą próbkę. Na nożu znaleźliśmy mikroskopijne pozostałości kości i krwi Marissy Lewis…

Uśmiech zniknął z twarzy Elsy. Otworzyła usta, kompletnie przerażona.

– Mało tego – kontynuowała Erika. – Zdołaliśmy porównać nóż z ranami kłutymi i ciętymi na ciele Marissy. Pani nóż był narzędziem zbrodni. Wykorzystaliśmy także najnowszą technologię, aby przebadać nagranie z kamery monitoringu znajdującej się na budynku naprzeciw domu Marissy. Możemy porównać pani wzrost ze wzrostem postaci w masce przeciwgazowej.

– Nie… Nie! – wykrzyknęła Elsa.

– A teraz ostatni element układanki, najlepszy, moim zdaniem. W Wigilię Marissa wysiadła na stacji w Brockley, mając na sobie diamentowe kolczyki – powiedziała Erika, wskazując na leżące na stole pudełko. – Jeanette Walpole potwierdziła, że Marissa miała je wówczas na sobie. Na nagraniu monitoringu widzieliśmy także, jak Marissa rozmawia z dwoma pijanymi chłopaczkami przy

zejściu z peronu. Podejrzane typki, pewnie próbowali ją zagadać i zrobić sobie z nią selfie, żeby chwalić się znajomym.

Moss wyciągnęła kolejne zdjęcie z teczki. Było to bardzo wysokiej jakości selfie, na którym widoczna była Marissa i dwóch młodych chłopaków. Miała na sobie kolczyki.

– Zdjęcie zrobiono piętnaście minut przed jej śmiercią – powiedziała Erika. – Przebadaliśmy kolczyki pod kątem DNA. Poza drobnymi pozostałościami potu i oleju znajdowała się na nich krew. Gdy spojrzeć na nie gołym okiem, mogą wydawać się czyste, ale po użyciu związku chemicznego zwanego luminolem ujawniła się obecność krwi. Widziałaś pewnie w telewizji, jak robi się takie rzeczy. We właściwym świetle krew świeci wówczas na niebiesko. Odkryliśmy, że oba kolczyki były nasiąknięte krwią. Było jej zdecydowanie zbyt dużo, aby uznać, że to od lekkiego zranienia. Zamordowałaś Marissę, Elso. Nożem do warzyw poderżnęłaś jej gardło, po czym zostawiłaś, aby się wykrwawiła, i zdarłaś z niej kolczyki.

W tym momencie zadzwonił dzwonek i usłyszeli, jak otwierają się drzwi wejściowe. Do salonu wszedł Peterson wraz z McGorrym oraz trzema innymi funkcjonariuszami. Erika popatrzyła na nich i skinęła głową. Elsa siedziała oparta w fotelu. Jej twarz poszarzała i jakby zapadła się w sobie.

– Nie… Nie… – wycharczała, ale cała jej odwaga oraz pewność siebie wyparowały.

– Elso Fryatt, jesteś aresztowana za morderstwo Marissy Lewis. Nie musisz nic mówić, ale jeśli nie wspomnisz obrońcom o czymś, co będziesz musiała zeznać później w sądzie, będziesz działała na własną szkodę. Wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie. Informuję także, że prawnik z międzynarodowego sądu do spraw zbrodni wojennych oraz rząd niemiecki prosili o przesłuchanie cię pod kątem twojej pracy w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen oraz zbrodni

przeciwko ludzkości, których dopuściłaś się w czasie drugiej wojny światowej.

Pani Fryatt wpatrywała się przed siebie. Nagle złapała leżący na stoliku kawowym złoty nóż do otwierania listów i rzuciła się w stronę Eriki, ściskając go w ręce. Peterson podbiegł i złapał ją za nadgarstek. Ostrze noża zatrzymało się kilka centymetrów od twarzy Eriki.

– Czarne łapy. Trzymaj swoje czarne łapska z dala ode mnie – wysyczała Elsa, a jej oczy płonęły wściekłością.

Peterson wyciągnął nóż z dłoni Elsy. Przycisnął jej ramiona do boku, a McGorry spiął jej ręce za plecami. Elsa utkwiła spojrzenie w Erice.

– Nigdy nie zrozumiecie. Gdybym miała możliwość, zrobiłabym to ponownie.

– Zabrać ją – powiedziała Erika.

Peterson wyprowadził Elsę z salonu i odprowadził do czekającego na zewnątrz radiowozu.

Epilog

Erika, Moss, Peterson i McGorry obserwowali, jak Elsa i Charles są pakowani do osobnych radiowozów. Gdy samochód, w którym siedziała Elsa, ruszał, wyprostowała się, uniosła z dumą głowę i utkwiła spojrzenie w punkt przed sobą. Za nimi ruszył drugi radiowóz. Charles siedział ze spuszczoną głową, płakał.

Po drugiej stronie ulicy sąsiedzi podchodzili do furtek i wychodzili przed domy. Niektórzy zerkali na wszystko przez zasłony.

– Ciekawe, co sobie pomyślą, gdy dowiedzą się, że ich sąsiadka była morderczynią i nazistowską zbrodniarką wojenną – powiedział McGorry.

– Jestem pewna, że będą w szoku. Zawsze ubrana od stóp do głów w ubrania z Marks and Spencer – stwierdziła Moss. – Zakrywała nimi setki grzechów.

Erika uśmiechnęła się.

– Co teraz z nią będzie? – zapytał McGorry.

– Jest stara, ale i tak się postaramy, żeby stanęła przed sądem za zamordowanie Marissy – odparła Erika. – A Charles stanie przed sądem za współudział w morderstwie. Bardziej martwię się o pozostałe zarzuty. Zbrodnie wojenne. Chciałabym, żeby żyła wystarczająco długo, aby odpowiedzieć za to, czego dopuściła się w czasie wojny.

– Życzmy jej zatem długiego życia i tego, żeby zgniła w więzieniu – stwierdził Peterson.

Przy krawężniku zatrzymała się czarna ciężarówka i ze środka wysypali się technicy, który ruszyli w stronę domu. Erika

wyciągnęła papierosa i zapaliła. Peterson rzucił Moss spojrzenie.

– Chodź, John – powiedziała. – Pójdziemy na kawę.

– Piłem już dzisiaj dwie… – zaczął, ale Moss rzuciła mu wymowne spojrzenie i ruszył za nią do wyjścia.

Peterson przestąpił z nogi na nogę i popatrzył na Erikę.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Co?

– Z Elsą i tym, co powiedziała.

– Do rasizmu nie można się przyzwyczaić. Zawsze będzie obecny. Każdego dnia, w takiej lub innej formie…

Erika skinęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Chciałem porozmawiać z tobą o czymś innym. Nie o pracy – powiedział.

– O czym?

– Powinienem powiedzieć ci wprost o Kyle'u i Fran… Próbowałem ci powiedzieć, gdy poszliśmy do klubu… ale wymiękłem.

– Po tych wszystkich rewelacjach… fakt, że jesteś ojcem, nie wydaje się już taki szokujący.

– Jeśli ująć to w ten sposób, to rzeczywiście – przyznał.

– To nie znaczy, że ci wybaczyłam, James. Ale jestem coraz bliżej tego – stwierdziła Erika.

– Okej.

– Zawsze chciałeś mieć dzieci i teraz udało ci się spełnić marzenie, przy okazji wymigując się od uroku zmieniania pieluch…

Pokręcił głową.

– Przepraszam, źle to zabrzmiało – powiedziała.

– W porządku. Wiem, co masz na myśli. – Uśmiechnął się do niej. – Między nami wszystko w porządku?

– Tak, w porządku – odpowiedziała.

Z radością usłyszała dzwonek swojego telefonu. Dał jej znak, żeby odebrała.

– Spotkamy się w kawiarni?

Skinęła głową i patrząc, jak odchodzi, odebrała telefon z szerokim uśmiechem na twarzy.

Stała przy furtce, paląc papierosa. Zalewało ją uczucie ulgi i podniecenia, że zdołała rozwiązać tę sprawę. Nie była pewna, jak długo tam stała. W pewnym momencie zorientowała się, że na ziemi leżą już cztery pety.

– Pieprzyć to – powiedziała do siebie. – Niecodziennie łapie się przed obiadem nazistowską zbrodniarkę wojenną. – Sięgnęła do paczki i wyciągnęła jeszcze jednego papierosa.

Jeden z policjantów wyszedł z domu i ruszył w jej stronę.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Zdaje się, że znaleźliśmy płaszcz mordercy. Był wciśnięty pod deski podłogowe. Znaleźliśmy też maskę przeciwgazową. Na obu znajduje się chyba krew.

– Zaraz do was przyjdę. – Podziękowała.

Funkcjonariusz wrócił do domu, a Erika pozwoliła sobie na moment triumfu. Na którymś z pobliskich drzew śpiewał ptak. Popatrzyła na błękitne niebo i zasłuchała się w cichym, przyjemnym odgłosie. Zaciągnęła się świeżo zapalonym papierosem, po czym zgasiła go o swój but i schowała z powrotem do paczki.

Ruszyła w stronę domu.

List od Roba

Chciałbym podziękować wam za sięgnięcie po *Deadly Secrets*. Bez względu na to, czy jest to pierwsza książka mojego autorstwa, którą czytaliście, czy też sięgnęliście po nią, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Erice Foster, będę wdzięczny za krótką recenzję. Nie musi być długa, wystarczy parę wyrazów, zrobi ona jednak sporą różnicę i pozwoli odkryć moje książki nowym czytelnikom.

Uwielbiam zapoznawać się z waszymi przemyśleniami i czytać wasze wiadomości. Dziękuję wszystkim czytelnikom za kontakt – czytam i doceniam każdą wiadomość od was. Możecie skontaktować się ze mną przez fanpage na Facebooku, Twittera, Goodreads lub stronę internetową: www.robertbryndza.com. Planuję napisać jeszcze wiele książek i mam nadzieję, że będziecie towarzyszyć mi w tej podróży!

Robert Bryndza

PS. Jeśli chcielibyście dostawać powiadomienia o datach premier kolejnych książek, możecie zapisać się do newslettera pod linkiem poniżej. Wasz adres email nie będzie nikomu przekazany i możecie zrezygnować z powiadomień w każdej chwili.

www.bookouture.com/robert-bryndza
Twitter: @RobertBryndza
Facebook: @bryndzarobert
www.robertbryndza.com

Podziękowania

Dziękuję Oliverowi Rhodesowi, Claire Bord i całemu wspaniałemu zespołowi z Bookouture. Dziękuję także Rebecce Bradley za wszystkie przemyślenia oraz podpowiedzi dotyczące sposobów prowadzenia dochodzeń przez policję. Wszystkie odstępstwa od rzeczywistości są wyłącznie moim wyborem.

Dziękuję mojej niezwykłej agentce, Amy Tannenbaum Gottlieb, za całą życzliwość oraz wsparcie, dzięki którym przeszedłem przez kilka ostatnich miesięcy pracy nad książką. Dziękuję także równie niezwykłej Danielle Sickles oraz wszystkim pracownikom Jane Rotrosen Agency. Dziękuję również Jan Cramer za cudowne audiobooki książek o przygodach Eriki Foster.

Dziękuję mojej teściowej, Verce, za miłość i wsparcie oraz za wykonanie rysunku maski przeciwgazowej. Prezentuję go z dumą – stworzyłaś coś naprawdę mrożącego krew w żyłach. Wielkie podziękowania dla mojego męża, Jána, za lekturę kolejnych brudnopisów i znoszenie wszystkich moich dziwactw. Gdyby przyznawano nagrodę dla małżonków pisarzy, dostawałbyś ją co roku. Dziękuję także Riky i Loli za bezwarunkową miłość i to, że rozjaśniacie nam każdy dzień swoją obecnością.

Na koniec dziękuję moim wspaniałym czytelnikom, grupom książkowym, blogerom książkowym i recenzentom na całym świecie. Pisarz jest niczym bez czytelników. Dziękuję, że jesteście.